

Nic nie trwa wiecznie

Maureen Lee
Świat Książki (2012)

Rating: ★★☆☆☆

Tags: Literatura Współczesna

Brodie, Diana, Vanessa, Rachel cztery kobiety, którym życie nieznośnie się pogmatwało. Małżeństwo Brodie rozpada się, Diana we własnym domu staje się niepotrzebna i niemile widziana, Vanessa na próżno stoi przed ołtarzem czekając na narzeczonego, który w dniu ślubu odchodzi w siną dal, a Rachel ma zaledwie piętnaście lat i maleńką córeczkę, którą prawo chce jej odebrać. W domu Brodie wszystkie znajdują chwilową przystań i siły do... życia. Wzruszająca opowieść o sprawach najprostszych: miłości, odpowiedzialności za własne dzieci, przyjaźni, małżeństwie, rodzinie, wreszcie o rozstaniu i o tym, że niestety, nic nie trwa wiecznie.

źródło opisu: Świat Książki, 2012

źródło okładki: [http://www.swiatksiazki.pl/nic-nie-trwa-wiecznie-m...»](http://www.swiatksiazki.pl/nic-nie-trwa-wiecznie-m...)



Nic nie trwa wiecznie

Diana

Wrzesień 1999

- No więc widzisz, Di, moja kochana - smętnie mówiła Michelle O'Sullivan - naprawdę już czas, żebym odpoczęła. Kiedy cię urodziłam, miałam raptem dwadzieścia lat. Potem przyszedł na świat nasz Damian, po nim Jason, wreszcie Garth... A niedługo po tym, jak Garth się urodził, wasz tata pozwolił sobie prysnąć z domu.

Mówiąc tak, matka wyrządziła ojcu Diany wielką krzywdę.

Rozwiódł się z żoną zupełnie oficjalnie z powodu nieodwracalnego rozkładu ich małżeństwa. W dokumentach rozwodowych nie było jednak ani słowa o tym, że ów rozkład był rezultatem jej cudzołożnych związków z czterema różnymi mężczyznami.

Doszło do tego, że tata nie był wcale pewny, czy któregoś z dzieci - z wyjątkiem Diany - było jego.

Wtedy to Jim O'Sullivan przepadł jak kamień w wodę.

- Masz już osiemnaście lat i wcale ci nie zaszkodzi, jeżeli weźmiesz na siebie trochę odpowiedzialności, żeby twoja biedna mama mogła, powiedzmy, odpocząć - ciągnęła Michelle nieco drżącym głosem. - A ten mój Warren to naprawdę miły gość... co prawda troszeczkę ode mnie młodszy.... Tak czy owak, nie byłoby w porządku, gdybym go poprosiła, żeby się tu wprowadził i utrzymywał dzieciaki innego faceta.

Dianie nawet w snach nie przyszłoby do głowy, by powiedzieć, że przecież Warrenowi cały czas zabiera utrzymywanie samego siebie - częściej bywał bezrobotny niż zatrudniony.

Michelle przerwała na chwilę, żeby nabrać tchu. Zaciągnęła się głęboko papierosem i błagalnie spoglądała na córkę wielkimi, niebieskimi oczyma, mokrymi teraz od łez.

W czarnych dżinsach i czerwonej koszulce z sercem z cekinów na piersi ta trzydziestoosmioletnia kobieta mogłaby uchodzić za o wiele młodszą, niż była naprawdę. Na nogach miała sandaiki na dziesięciocentymetrowych obcasach; czerwony lakier częściowo już oblał z paznokci na palcach jej stóp.

- A więc, kochanie - mówiła dalej, okraszając przemówienie teatralnym westchnieniem - pomyślałam, że będzie najlepiej, jeżeli to ja się stąd na jakiś czas wyprowadzę. W ten sposób razem z Warrenem będziemy mogli spędzić trochę czasu tylko we dwoje, a ty tymczasem zajmiesz się braciszkami. Moglibyśmy sobie znaleźć jakieś małe mieszkanko dla nas dwojga... Prawdę mówiąc, Warren już wie o takim jednym miejscu w Melling Village, bardzo blisko Liverpoolu: to taka mała chałupka, tylko z jedną sypialnią. Och, ale wiesz, Di, tam w ogrodzie rośnie fantastycznie piękne drzewo. Warren mówił mi, że to czereśnia. - Wrzuciła na wpół wypalonego papierosa do kominka i z niesmakiem spojrzała przez okno, wychodzące na malusieńkie podwórko na tyłach domu, którego mury prosiły się o pomalowanie, odkąd Diana sięgała pamięcią. Rząd domów za podwórkiem był

oddalony najwyżej o kilka metrów, z frontu zaś wychodziło się wprost na chodnik. - Drzewo, Di! Możesz to sobie wyobrazić: wyglądasz przez okno i widzisz drzewo?

Diana tylko współczująco się uśmiechnęła.

Jej matka nigdy dotąd nie wyrażała chęci oglądania pól, drzew, jagniątek, kwiatków czy czegokolwiek związanego z przyrodą, jednak wrodzona słodycz i ufność Diany sprawiły, że nawet przez myśl jej nie przeszło powiedzenie matce prawdy.

- Więc kiedy wyjeżdżasz, mam? - spytała.

- Myślę, że się wybiorę dziś po południu - odparła matka od niechcienia, jakby informowanie na kilka godzin wcześniej, w sobotę po południu, o tym, że za chwilę porzuci nie wiadomo na jak długo czwórkę swoich dzieci, było czymś zupełnie rozsądnym. - Zanim

wyjadę, zrobię wam gulasz, żeby chłopaki miały coś do jedzenia, kiedy wrócą z meczu. Jutro pewnie będziesz musiała zrobić jakieś zakupy w supermarkecie. Jak się tylko z Warrenem urządzimy, postaram się załatwić, żebyś dostawała zasiłek na chłopaków.

Wszyscy trzej jeszcze chodzili do szkoły.

Sięgnęła po torebkę.

- Zostawię ci parę szylingów na zakupy, co?

- Nie trzeba, mam. Mam dość własnych pieniędzy.

Oczy Michelle przez moment załśniły szczerymi łzami: dobrze wiedziała, że wykorzystuje miękkie serce Diany.

Niewiele osiemnastoletnich dziewcząt zgodziłoby się tak chętnie zaopiekować trójką niesfornych chłopaków, i to zupełnie nie wiadomo, na jak długo. Jej córka nie wahała się jednak ani chwili.

Poza tym Diana nie po raz pierwszy musiała znosić matczyne ekscesy. Tak było od czasu, kiedy miała najwyżej dwanaście lat.

Michelle nie wiadomo który już raz prosiła Boga, żeby jej córka nie wdała się w ojca. Jim był takim niezdarą! Stale się potykał o wszystko albo wpadał na drzwi. Di była do niego bardzo podobna: wysoka i patykowata, z ogromnymi stopami i długimi, białymi rękami. Urodziła się w dniu ślubu księcia Karola z Dianą, stąd jej imię.

Myśląc teraz o tym, Michelle stwierdziła, że jej Diana bardziej niż kiedykolwiek przypomina nieżyjącą już księżną Walii, niech ją Bóg błogosławi. Obie nawet miały tak samo miękkie serce.

Brodie

Październik 2004

- Pomyśl tylko - mówił Colin, kładąc się do łóżka - że już nie będziemy musieli czekać z zaśnięciem, aż usłyszymy zgrzytnięcie jej klucza w zamku drzwi frontowych. Jutro możemy sobie pospać do woli i pójść dopiero na południową mszę.

Brodie nic nie odpowiedziała, wiedziała jednak, że ona w każdym razie i tak nie zaśnie przez całą noc, myśląc o tym, czy Maisie, ich córka, dobrze śpi na nowym miejscu, w uniwersyteckim domu akademickim, gdzie ją zostawili dzisiaj rano.

Colin objął ramieniem talię żony i przyciągnął ją do siebie.

- A kiedy się będziemy kochali, możesz robić tyle hałasu, ile ci się tylko spodoba - ciągnął.

- Hałasu? Ucałował jej ramię.

- Zanim urodziły się nam dzieci, podczas seksu wrzeszczałaś jak wariatka.

- Nic podobnego nie robiłam - zaprotestowała Brodie z oburzeniem.

- Ależ na pewno, kochanie. - Przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej. -

Chwała Bogu, że to wolno stojący dom, inaczej sąsiedzi mogliby się skarżyć.

- Och, przesadzasz. - Kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że rzeczywiście już tęskniła za możliwością krzyku w momencie przeżywania rozkoszy. - Wygląda na to, że nic a nic nie jest ci przykro, że już straciliśmy naszą małą Maisie - zarzuciła mu.

- Jestem zdruzgotany - odparł po prostu. - Będę za nią tęsknił jak szalony. Postaraj się jednak spojrzeć na to z jaśniejszej strony: nie straciliśmy jej bardziej, niż na przykład straciliśmy Josha. Jestem bardzo dumny, że dwoje naszych dzieci już studiuje. Ale teraz możemy zacząć żyć na nowo, jak młoda para, jakbyśmy się dopiero co pobrali, a ty możesz sobie wrzeszczeć do woli, kiedy się będziemy kochali. Te najbliższe parę tygodni to będzie jakby nasz drugi miesiąc miodowy...

- Och, zamknij się! - Usiłowała wydostać się z uścisku, ale przytulił ją jeszcze mocniej.

- Nigdy mi się nie wyrwiesz - wyszeptał. Pocałował ją w szyję, potem w ramię. Jego ręka powędrowała w kierunku jej piersi. -Dlaczego śpisz w nocnej koszuli? Dawniej wkładałaś ją tylko, na wypadek gdyby któreś z dzieci rozplakało się w nocy i musiałybyś do niego wstawać. O

ile dobrze pamiętam, zawsze podawałaś to jako powód, kiedy już przestałaś się kłaść do łóżka nago.

W końcu udało mu się doprowadzić do czegoś, co wydawało się nieprawdopodobne: czuła równocześnie gniew i pożądanie. Nie była pewna, któremu z tych dwóch uczuć dać upust.

Po zastanowieniu doszła do wniosku, że skutki tego drugiego będą o wiele przyjemniejsze.

Odrzuciła koldrę i zaczęła zdejmować nocną koszulę.

Obudziła się dokładnie kwadrans po siódmej, kiedy przez szczelinę w zasłonach zaczął się przebijać długi pasek dziennego światła.

Jej koszula nocna leżała na podłodze, tam gdzie ją wczoraj wieczorem rzuciła.

Brodie wstała, włożyła koszulę i usiadła na brzegu łóżka, wpatrzona w Colina, leżącego na boku i cicho pochrapującego.

Miał czterdzieści cztery lata, ale wyglądał młodziej, tym bardziej teraz, kiedy spokojnie spał, rozluźniony. Jego brązowe, zupełnie proste włosy, w tej chwili trochę rozczochrane, nie wykazywały żadnych tendencji do rzednięcia i nie było w nich widać srebrnych kosmyków, w przeciwieństwie do niej, która miała już ich dziesiątki.

Tak samo sprawa się miała ze zmarszczkami. Mimo iż była od niego o trzy lata młodsza, już się dorobiła paru kresek wokół oczu, podczas gdy chłopięca twarz Colina pozostała zupełnie gładka. Kiedy nie spał, często marszczył brwi, jakby cały świat i wszystko, co na nim jest, było dla niego przyczyną wiecznego zdziwienia. Gdy zasnął, mars zniknął i czoło się wygładzało.

Poczuła pokusę, żeby go obudzić pocałunkiem, ale wiedziała, co po tym niechybnie nastąpi, a na to czuła się już zbyt zmęczona, choćby się to

miało potoczyć tak cudownie jak tej ostatniej nocy. Wczorajszy dzień solidnie ją wyczerpał: jazda samochodem do Londynu z bagażnikiem pełnym rzeczy Maisie, z nią samą na tylnym siedzeniu, wraz z resztą drobiazgów... Ona sama także jechała, trzymając sprzęt hi-fi na kolanach. O tak, ta podróż była naprawdę wyjątkowo niewygodna.

Zostali z Maisie aż do czwartej po południu. Brodie pościeliła jej łóżko w małym pokoiku, w którym córka miała teraz zamieszkać.

Poukładała jej rzeczy w maleńkiej, wbudowanej w ścianę szafce i w szufladach. Przybory toaletowe ułożyła na parapecie okna, bo to było jedyne miejsce, gdzie się pomieściły. Ręczniki powiesiła pod umywalką.

Podczas gdy Brodie się tym zajmowała, Maisie stała w zatłoczonym korytarzu, zawierając nowe przyjaźnie. Była w tym naprawdę bardzo dobra. Jej głos z liverpoolskim akcentem wyraźnie przebijał się przez zmieszany gwar innych głosów.

- Słyszę, że są tu też chłopcy - zauważyła Brodie. - Czy ich pokoje są na tym samym korytarzu, co dziewcząt? Myślałam, że mieszkają oddzielnie!

Colin włączył już wieżę hi-fi i ustawiał głośniki.

- Tak było dawniej, kiedy ja studiowałam na uniwersytecie... ale jak wiesz, te rzeczy się zmieniają.

- Myślę, że się szykują do wspólnej wyprawy do jakiegoś klubu na West Endzie. - Brodie skończyła wypakowywanie rzeczy i stanęła za uchylonymi drzwiami, skąd mogła lepiej słyszeć.

- Nie podsłuchuj! - Włączył radio i pokoił wypełniły dźwięki no-woorleańskiego jazzu. - O, to jest coś, czego warto słuchać, zamiast podsłuchiwać nastolatki organizujące swoje zakazane zabawy!

Teraz Brodie zastanawiała się, czy Maisie poszła w końcu z innymi do tego klubu.

Czuła pokusę, by zatelefonować na jej komórkę i dowiedzieć się, ale zdrowy rozsądek jej podpowiadał, że to byłoby naprawdę niemądre posunięcie. Jak bardzo by ją to smuciło - a nawet łamało serce - już teraz musi pozwolić swojej córeczce żyć po swojemu.

Zostawiła śpiącego Colina, wsunęła stopy w ranne pantofle, chwyciła szlafrok i zeszła na dół do kuchni.

Niebo miało wodniście szarą barwę: trudno było stwierdzić, jaki będzie ten dzisiejszy dzień, w dodatku wczoraj nie oglądali prognozy pogody. Brodie zaparzyła herbatę, ustawiła wszystko na tacy i zaniósła do frontowego pokoju. Włączyła lampę i usadowiła się w rogu kanapy.

Na niskim kredensie pod przeciwległą ścianą stała kolekcja fotografii: ślubne zdjęcie jej i Colina, inne śluby, dzieci w różnych etapach ich życia, od urodzenia aż do teraz. Maisie zawsze robiła do zdjęć śmieszne miny - albo się krzywiła, albo śmiała się jak szalona od ucha do ucha - podczas gdy Josh, ich syn, zarówno jako niemowlę, jak i jako dwudziestoletni młodzieniec wyglądał tak samo poważnie.

Nigdy jakoś nie potrafił się z łatwością uśmiechać. Kiedy wyjechał na uniwersytet do Norwich, Brodie była naturalnie przygnębiona, ale nie czuła niepokoju. Josh miał ze wiele rozsądku, żeby wpaść w kłopoty, zresztą natychmiast znalazł sobie zajęcie w supermarkecie. Teraz, kiedy zaczynał ostatni rok studiów, nigdy już nie prosił rodziców o pieniądze.

Brodie była pewna, że Maisie będzie o nie prosiła systematycznie.

Wzeszło słońce. Spojrzała przez okno na ogród. Na eleganckim trawniku leżało kilka suchych liści. Była pewna, że skoro tylko Colin je dostrzeże, zaraz się ich pozbędzie.

Ogród był jego dumą i radością, zresztą podobnie jak ich dom, jego żona i dzieci. Kochał swoją pracę nauczyciela języka angielskiego w szkole w centrum miasta i chyba był zadowolony ze swego

losu. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek sobie życzył czegoś, co było dla niego niedostępne.

Ostatnio kupił samochód z 1974 roku marki Triumph Spitfire i miał

zamiar doprowadzić go do idealnego stanu.

Może powinnam sobie poszukać jakiegoś zajęcia?, spytała samej siebie. Dotychczas zupełnie jej wystarczała rola żony i matki na pełny etat.

Ale... coś interesującego? W niepełnym wymiarze godzin? W

każdym razie dobrze znała podstawy pracy na komputerze.

Rozległy się kroki na schodach i wszedł Colin. Był w dżinsach i podkoszulku. Stopy miał bosc. Wyglądał tak młodo i ładnie, że Brodie aż dech zaparło.

- Aha, tutaj jesteś! - zawołał dobrodusznie. - Znajdzie się w tym czajniku trochę herbaty?

Brodie potrząsnęła czajnikiem.

- Jest dosyć, tylko musisz sobie przynieść kubek. Myślałam o znalezieniu sobie pracy - powiedziała, kiedy wrócił z kuchni. - Na pół etatu.

- Lepiej najpierw odpocznij, kochanie - doradził jej, jakby przez ostatnie dwadzieścia lat tyrała w pralni albo kopalni. - Nie przejmuj się, wybierz się na jakieś zakupy, idź na lunch ze swoją mamą. Wydad trochę pieniędzy... z tych, które dostajesz za swój dom.

Wiele lat temu, kiedy matka Brodie przeprowadziła się do małego mieszkania, dała w prezencie córce - swojemu jednemu dziecku -

duży rodzinny dom w Blundellsands. Willa nosiła nazwę „Kasztany”.

Od dawna była wynajmowana.

- Wiesz, co ci powiem? - Colin klasnął w dłonie. - Podjedźmy do tej kawiarenki na drodze do Southport, gdzie serwują takie fantastyczne śniadanka! Mszę możemy dzisiaj odłożyć na później. Aha, i chciałbym wpaść dziś po południu do moich staruszków, sprawdzić, czy mama jeszcze żyje, teraz, kiedy ma tatę w domu już całe dwa tygodnie!

Ojciec Colina, okropny typ, przeszedł ostatnio na emeryturę, czego jego żona Eileen bardzo się obawiała.

- Ale przede wszystkim - kończył Colin - zejdę zaraz do ogrodu i uprzątnę z trawnika te suche liście.

Brodie patrzyła przez okno, jak jej mąż sprząta ogród. Podśpiewywał

coś, ale nie mogła rozróżnić melodii.

Właściwie dość jej się podobał pomysł drugiego miesiąca miodowego. Kiedy już przywyknie do domu bez Maisie, życie może być wręcz doskonałe! No, niemal doskonałe.

Chyba jednak oczekiwanie doskonałości to byłoby trochę za wiele.

Vanessa

Wielka Sobota 2005

Vanessa siedziała na kanapie w domu swojej matki i przygotowywała jakąś listę.

- Co robisz? - spytała jej siostra Amanda, marszcząc brwi.

- Coś, co ma związek z moją pracą - wymamrotała Vanessa w odpowiedzi.

- Na litość boską, Vannie, dziś jest twój ślub! Nikt nie pracuje w dniu swojego ślubu.

- Ja pracuję. - Vanessa odwróciła kartkę i dalej pisała. - To lista osób, z którymi trzeba będzie zrobić wywiady: jutro i w poniedziałek wielkanocny.

Pracowała dla radia Siren, ustalając plan wywiadów z miejscowymi dygnitarzami i innymi znanymi ludźmi, jakich można było spotkać w Liverpoolu. Naprawdę uwielbiała swoją pracę.

- Ale przecież od dzisiaj będziesz w podróży poślubnej -

perswadowała jej Amanda. - Dlaczego się tym martwisz?

- Przygotowuję to dla Clare Johnson, ma być na ślubie. - Vanessa skończyła listę i podpisała ją zamasyście. - Przejmuje moją pracę na czas mojej nieobecności i chcę, żeby to zrobiła jak należy.

Amanda wzruszyła ramionami.

- Za nic nie chciałabym dla ciebie pracować, siostrzyczko. Vanessa odparła z żartobliwą powagą:

- Jeżeli robota jest warta tego, żeby ją wykonać, jest warta, by wykonać ją dobrze!

Weszła ich matka, ubrana w elegancki błękitny jedwabny kostium, z tym że efekt jej pięknego stroju całkowicie psuły ogromne, futrzane kapcie z przodami w kształcie mordki tygrysków.

- Dawniej często też tak mówiłaś, już kiedy byłaś dzieckiem -zauważyła. - Zawsze miałam wtedy ochotę trzepnąć cię po tej twojej zarozumiałej buzi, ale nigdy tego nie zrobiłam. - Uśmiechnęła się do obu córek, a one odwzajemniły jej uśmiech.

- Założę się, że w podróż poślubną zabierasz swój laptop -wtrąciła Amanda.

- A wyobraź sobie, że tak. - Vanessa nie widziała w tym zupełnie nic złego. Żyła z Williamem od trzech lat, seks nie był zatem dla niej żadnym nowym doświadczeniem. - Zabieram laptop, na wypadek gdybym wpadła na jakiś nowy pomysł. Wtedy będę mogła go zapisać.

Amanda ryknęła śmiechem.

- Założę się, że William nie będzie chciał, żebyś jego nowe pomysły zapisywała w komputerze.

Ich matka usiadła i zrzuciła kapcie z nóg.

- Mogłaby mi któraś z was pomóc z tymi pantoflami? Kosztowały siedemdziesiąt pięć funtów, ale prawdopodobnie włożę je na nogi wyłącznie dzisiaj.

Vanessa uklękła przed matką i wzięła do ręki błękitny pantofelek na niewiarygodnie wysokim obcasie; na górną część pantofla składało się zaledwie parę cienkich paseczków.

- Powinnaś była sobie kupić coś bardziej praktycznego, mamó. Te pantofle są tylko na pokaz.

- Spodobały mi się - z uporem odparła matka. - Nawet jeżeli ich już więcej nie włożę, kiedyś w przyszłości, gdy już będę przykuta na zawsze do wózka inwalidzkiego, będę mogła spojrzeć przez lupę na wasze ślubne zdjęcia i podziwiać, że kiedyś potrafiłam nosić takie niesamowicie piękne pantofelki, jak te. Poproszę nawet waszego tatę, żeby zrobił mi specjalne zdjęcie: tylko moje nogi. To mnie naprawdę usatysfakcjonuje. - Włożyła pantofle i wysunęła stopy przed siebie. -

Czyż nie wyglądają fantastycznie?

- Fantastycznie, mamó - przyznały obie córki.

Vanessie nigdy by nawet nie przyszło do głowy kupować sobie coś tylko na jeden raz. Jej ślubny strój stanowiła prosta sukienka z białego jedwabiu z wąskim paseczkiem i odpowiednio do niej bo-lerko. Inaczej niż prawdziwa ślubna suknia, ta mogła być potem noszona przy wszelkiego rodzaju okazjach, a nawet do pracy.

Zamiast kapelusza - Vanessa nie znosiła kapeluszy - fryzjer upiął jej długie blond włosy w luźny kok poprząkany maleńkimi pączkami róż. Nawet Amanda, która się upierała, że siostra powinna sobie sprawić prawdziwą suknię ślubną, stwierdziła, że Vanessa wygląda absolutnie fantastycznie.

- Panna młoda w każdym calu - przyznała.

Vanessa złożyła przygotowaną listę wywiadów i poprosiła Amandę o przechowanie jej w torebce; chciała ją wręczyć Clare Johnson podczas przyjęcia.

- Dopilnuję, żebyś o tym nie zapomniała, siostrzyczko - przyrzekła Amanda.

- Nigdy nie zapominam o czymś tak ważnym jak to. Amanda roześmiała się.

- Wiesz, co pomyślałam? Że kiedy wyjdiesz za mąż, będziesz miała w głowie o wiele ciekawsze rzeczy niż praca. - Spojrzała z za-ciekawieniem na siostrę. - Czy ten dzień nie ma dla ciebie ani odrobiny uroku?

- Oczywiście, że ma! - zirytowała się Vanessa. - Chociaż, co prawda, ślub to trochę taka... antykulminacja.

Amanda, patrząc w stronę matki, wymówiła bezgłośnie „antykulminacja” i obie przewróciły zabawnie oczyma.

Zadzwoniła komórka Vanessy, na ekraniku wyświetliło się imię Williama.

- Halo, William - rzuciła trochę sztywnym tonem. - O tej porze już powinieneś być w drodze do kościoła.

Miał jechać do kościoła z ich mieszkania przy Hunt's Cross, gdzie spędził ostatnią noc z pierwszym drużbą.

Ale... dlaczego najwyraźniej mieli włączoną telewizję? Nadawa-no jakieś sprawozdanie sportowe: słyszała hulaśliwe okrzyki tłumu.

Gdyby się spóźnił na ślub...

- Nie mogę znaleźć spinek do mankietów - jęknął.

- Są na komodzie przy łóżku, po twojej stronie - parsknęła Vanessa. -

Pokazywałam ci, gdzie leżą, zanim wyszłam wczoraj wieczorem.

- Wiem, że pokazałaś. Ale teraz ich tam nie ma. - Głos z telewizora cichł, jakby William chodził z telefonem po mieszkaniu. - Och! Tutaj są, tu, gdzie mówiłaś. Ale nie w pudełku! - rzucił oskarżycielsko. -

Szukałem małego czerwonego pudełka.

- Co z ciebie za idiota, William! - wykrzyknęła. - I to jest cały twój kłopot?

- Tak, kochanie.

- No to do zobaczenia w kościele. - Wyłączyła telefon bez po-

żegnania, zdenerwowana. Doprawdy, to czasem przypominało opiekę nad niemowlakiem! Chyba wszyscy mężczyźni są tacy sami.

Matka już się podniosła. Trochę się chwiała na tych nieprzytomnie wysokich obcasach.

- Biedny William - powiedziała ciepło.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mammo?

- Bo ja wiem... - Wzruszyła ramionami.

Vanessa była uroczą dziewczyną, ale o wiele za pewną siebie. Tak nie powinno się mówić do nikogo, a już na pewno nie do mężczyzny, który lada moment zostanie jej mężem. Pewnego dnia jej córka z hukiem spadnie z obłoków na ziemię.

Matka miała tylko nadzieję, że się zanadto nie porani.

Rachel

Boże Narodzenie 2005

Rachel i Tyler wpatrywali się w niemowlę, które było ich dzieckiem.

Z trudem mogli uwierzyć, że ta maleńka dziewczynka jest prawdziwą istotą z krwi i kości.

W rogu szpitalnego pokoju stała choinka, nad drzwiami powieszono jakąś tanią ozdobę. Poza nimi było tam pięć kobiet, każda ze swoim dzieckiem. Wszystkie mocno spały.

- Ależ ona jest odlotowa! - wyszeptał Tyler. - Jak ją nazwiemy? Był

wysoki i chudy, nosił wielkie okulary w rogowej oprawie, co mu nadawało wygląd niewiarygodnie pilnego ucznia, którym zresztą rzeczywiście był.

- Poppy - odparła Rachel. - To moje ulubione imię.

Ona też wyglądała na prawie tak samo pilną uczennicę, chociaż ostatnio przerwała naukę, głównie z powodu kłótni z matką na temat przyszłości dziecka, którego Rachel się spodziewała.

- Fajnie - przyznał Tyler. - Poppy to brzmi fajnie.

Poppy, która jeszcze nie ukończyła godziny życia, zamachała rączkami i pierwszy raz w życiu prychnęła śliną.

- Myślę, że nas lubi. - Rachel, kołysząc córeczkę w ramionach, ostrożnie dotknęła jej bródki, jakby w obawie, że może ją uszkodzić.

Tyler westchnął.

- Żałuję, że nie byłem tu wcześniej. - Dopiero co przyszedł do szpitala.

Rachel też wyglądała na zmartwioną.

- I ja żałuję! Wcale tak bardzo nie bolało. Mógłbyś mnie trzymać za rękę, czy coś takiego. Udało ci się wyjść z domu tak, żeby nikt nie widział?

- No! Komórkę to trzymałem pod poduszką. Kiedy zatelefonowałaś, zadzwoniłem po taksówkę, a potem się wymknąłem i czekałem na ulicy. - Marzył o tym, żeby zabrać Rachel i niemowlę i odlecieć daleko, gdzieś na bezludną wyspę, gdzie złoci się piasek plaży, a drzewa uginają się pod ciężarem egzotycznych owoców. Mogliby tam do śmierci żyć szczęśliwie, nad morzem, w chatce z traw. - A co ty zrobiłaś?

- To samo! - odparła Rachel swoim cichym, bladym głosem. - Kiedy miałam pierwszy skurcz, była prawie północ. Mama już spała.

Podalam taksówkarzowi numer dwadzieścia zamiast dziesięć, więc nie stanął przed naszym domem.

- Powinnaś była wtedy do mnie zadzwonić, słoneczko - zwrócił jej uwagę Tyler.

- No tak, ale mogło trwać całymi godzinami, zanim dziecko się urodzi, a ty rano i tak musiałaś iść do szkoły.

Latem Tyler miał skończyć gimnazjum.

- Jeeezu! - Tyler ponownie westchnął. - To ostatni dzień semestru.

Nie mógł nikomu powiedzieć, że tej nocy ma zostać ojcem, mimo że czuł się z tego powodu niezmiernie dumny. Ale gdyby ta wiadomość dotarła do papy, na pewno by się uparł, żeby Tyler wracał do Nowego Jorku i znowu zamieszkał z matką. Wtedy byłaby dopiero sakramencka awantura, bo Tyler musiałby odmówić. Postanowił zostać z Rachel i ich córeczką aż do śmierci.

Zjawiała się pielęgniarka.

- Chyba już czas, żebyście obie poszły spać - zwróciła się do świeżo upieczonej matki i noworodka. Na wpół się uśmiechnęła, na wpół

zmarszczyła brwi w stronę Tylera. - A co do ciebie, młody człowieku, to lepiej idź teraz do domu.

Najwyraźniej nie miała pojęcia, co z nimi począć. Dziewczynka przysięgała, że ma szesnaście lat, ale wcale na tyle nie wyglądała. Pielęgniarka początkowo sądziła, że chłopak jest jej bratem, ale sposób, w jaki postępował z tą dziewczynką, nie był ani odrobinę braterski.

Rachel i Tyler poznali się w sklepie z płytami Virgin Records w Liverpoolu: oboje dokładnie w tym samym czasie chcieli zdobyć płytę CD znanej już Amy Winehouse. Płyta Rachel o mało nie spadła na podłogę, na szczęście Tyler zdołał ją na czas złapać.

- Mój dziadek zbierał dawniej te stare, czarne płyty - oznajmił, wręczając Rachel krążek CD. - Tamta, gdyby którąś upuścić, rozbiłaby się na milion kawałków. - Zaczynał mu się zmieniać głos, więc słowa wymawiał albo bardzo wysoko, albo dość nisko, przez co to wszystko brzmiało dość dziwnie.

- Serio? - Machnęła płytą. - Tak czy owak, dzięki! - rzekła. -Za to, że ją złapałeś.

Wpatrywali się w siebie nawzajem bardzo długo. Ona miała dopiero czternaście lat, on był prawie dokładnie o rok od niej starszy. Rachel nie potrafiłaby określić uczuć, jakich doznawała w tym właśnie momencie, ale podejrzewała, że zbudziły się one za wcześnie, niejako wbrew naturze: to były uczucia, jakich doznają ludzie, kiedy już mają osiemnaście lat, a nawet więcej!

Niektórzy zresztą mogą ich nie doznać nawet przez całe życie.

- Napiałabyś się coli? - spytał Tyler.

- Nie powiem nie!

Nie mogłaby powiedzieć mu „nie”, nawet gdyby miało jej to ura-tować życie.

Dopiero co zaczęła miewać okres, kiedy go nagle straciła i zorientowała się, że jest w ciąży.

Powiedziała o tym matce, która zaczęła szaleć: biegła po pokoju w swoim ostentacyjnie jaskrawym, jasnozielonym dresie, wrzeszcząc i wykrzykując do córki, że musi się tej ciąży pozbyć.

Rachel zdecydowanie odmówiła.

- W takim razie - rzuciła jej matka twardym jak stal głosem -będziesz musiała tego cholernego bachora oddać do adopcji. Nie

wyobrażaj sobie, że możesz po prostu wrócić sobie do szkoły i zostawić toto ze mną!

- Nie mam najmniejszego zamiaru zostawiać mojego dziecka z tobą, mamu - wyniośle odparła Rachel. - A poza tym nie wrócę do szkoły. Ja i Tyler się pobierzemy, kiedy tylko skończę szesnaście lat.

- Tyler? - prychnęła matka. - Ten cholerny jankes, którego tu kiedyś przytargałeś?

- Dokładnie ten sam.

Nigdy już go więcej nie przyprowadzała, wstydząc się prymitywnego zachowania i wulgarnego języka matki.

- Podczas wojny to właśnie jakiś jankes doprowadził do zguby moją ciotkę Thelmę - burczała matka. - A co do ciebie, dziewczyno, to i tak musiałabym coś podpisać, jakieś tam zezwolenie, zanim byś mogła wyjść za mąż, nawet jako szesnastolatka.

- Jeżeli tego nie zrobisz, cóż, poczekamy, aż skończę osiemnaście. A może poproszę o podpisanie tego tam papieru mojego tatę?

- Spróbuj, może uda ci się go dopaść, kiedy nie będzie uchłany jak świnia. Bo na ogół to nie jest w stanie nawet zapamiętać, jak się nazywa. - Z pogardą pociągnęła nosem, chociaż było w jej zachowaniu coś niewiarygodnie smutnego. - No, jeżeli myślisz, że ten twój facet będzie się koło ciebie pałętał jeszcze przez trzy lata, to się grubo mylisz.

Wybuchnęła płaczem. Rachel mogłaby uznać te lzy za naprawdę szczere, ale nie potrafiła znaleźć w sobie współczucia dla matki.

Poznanie Tylera i posiadanie jego dziecka było najlepszą rzeczą, jaka ją w życiu spotkała.

- Jesteś moim jedynym dzieckiem, z którego mogłam być dumna! -

zawodziła matka. - Tak dobrze się uczyłaś! Mówiłaś, że chcesz zostać nauczycielką!

Dwaj bracia Rachel siedzieli w więzieniu za złodziejstwo, a wobec siostry toczyło się właśnie śledztwo w sprawie o wyłudzenie zasiłku.

- Ja nadal chcę zostać nauczycielką - odparła Rachel z uporem. -To, że urodzę dziecko, wcale mi nie przeszkodzi. Jeszcze pięć lat,

a ono samo będzie już szło do szkoły. Dalej będziesz mogła być ze mnie dumna, mamu! - mówiła, zakłopotana, ale matka tylko wzruszyła ramionami, jakby nie wierzyła jej ani przez chwilę.

A teraz Poppy już była na świecie.

Rachel tęsknie spojrzała na drzwi, przez które pielęgniarka wyniosła jej córeczkę. Chciała ją mieć znów przy sobie. Chciała trzymać przy piersi to maleńkie ciało i nigdy mu nie dać odejść. Niebawem będzie musiała wrócić do domu, a mama jest przecież strasznie przeciwna zatrzymaniu dziecka. Groziła, że sprowadzi pracowników socjalnych, którzy odbiorą jej córeczkę.

Rachel wiedziała, że to się zdarza. Czytała o czymś takim w gazetach i widziała w telewizji: jakaś ważna osoba mogła po prostu wyrwać dziecko z ramion matki i oddać je komuś innemu.

Była przerażona na myśl o przyszłości. Nawet myślenie o tym sprawiało, że czuła się chora. Mimo że Tyler miał dużo pieniędzy, nie będą mogli wspólnie założyć rodziny.

Rachel wsunęła się pod przykrycie i zapłakała żałośnie.

Marzec-kwiecień 2006

Rozdział 1

Diana stała oparta plecami o drzwi, z rękami rozpostartymi, jakby była do tych drzwi przyklejona, bojąc się, że jeżeli zrobi jeszcze jeden krok, to będzie znak, że na pewno tutaj zamieszka.

Pokój był duży, kwadratowy, z wysokimi, sięgającymi aż do podłogi oknami. Słońce na dworze świeciło tak mocno, że wszystko było zalane jasnożółtym światłem dnia. To światło przy okazji ujawniało, że wysoki, ozdobiony stiukami sufit domaga się gwałtownie porządnego oczyszczenia, a następnie pomalowania farbą emulsyjną.

Wszystkie meble pokrywała cienka warstwa kurzu.

Stała tam staroświecka szafa na ubrania i pasująca do niej komoda, pojedyncze łóżko, pianino, stół i dwa krzesła oraz dwa fotele obite beżowym gobelinowym materiałem. Dywan na podłodze był

jasnobrązowy, obwiedziony przekwitającymi różami.

Pokój był sympatyczny i wygodny. Gdyby któryś z jej braci zechciał

w nim zamieszkać - Jason często mówił, że chciałby się przenieść na swoje - z radością zaaprobowałaby taki wybór.

Ale czy chciała czegoś takiego dla siebie samej?

Diana od wielu lat wyobrażała sobie wszelkiego rodzaju koszmarnie wydarzenia na świecie, które mogłyby zniszczyć życie na ziemi.

Należały do nich: ptasia grypa, terroryzm, broń masowego rażenia, globalne ocieplenie, wybuch głównego pieca centralnego ogrzewania, na skutek którego ginie cała jej rodzina, to znaczy, o ile nie dokona tego przedtem ulatniający się gaz. Martwiła się zresztą nie tyle o siebie, ile o swoich braci.

Od owego dnia przed siedmiu laty, kiedy ich matka odeszła, by zamieszkać z Warrenem, Diana poświęcała się całkowicie opiece nad Damianem, Jasonem i Garthem. Znajomi mówili, że to z jej strony głupota, że powinna już mieć jakieś własne życie, poznać chłopaka, pomyśleć o małżeństwie...

Diana w ogóle ich nie słuchała.

Chciała tylko opiekować się chłopcami tak długo, aż będą dostatecznie dorośli, by zacząć samodzielne życie. Któregoś dnia młodzi O'Sullivanowie odejdą przecież z domu, pożenią się, założą rodziny, a ona zostanie sama w tym małym szeregowym domku na Coral Street w dzielnicy Bootle, tam gdzie cała ich czwórka przyszła na świat. Dopiero wtedy, kiedy jej braci już tam nie będzie, gdy znajdą gdzieś indziej swoje szczęście, Diana zacznie myśleć o sobie, o wyjściu za mąż za kogoś naprawdę miłego... i wtedy postara się o swoich własnych trzech małych chłopców.

Taka wizja przyszłości całkowicie jej odpowiadała. Poza strachem przed ptasią gripą, terroryzmem i innymi okropnościami Diana była naprawdę zadowolona z życia, jakie wiodła.

Była jednak jeszcze inna okropność, która dotychczas nawet nie przeszłaby jej przez myśl. To perspektywa zostania bezdomną, konieczność wyprowadzenia się z domu przy Coral Street... dlatego że już tam nie jest potrzebna.

Od ostatniego Bożego Narodzenia, kiedy do ich mieszkania wprowadziła się Emma, Diana stała się tam zbyteczna.

Niepewnym krokiem weszła do pokoju. Próbowała sobie wyobrazić, że tutaj sypia - tu, a nie w małym służbowym pokoiku, do którego musiała się przeprowadzić, tak żeby Damian i Emma mieli dla siebie średnią sypialnię z podwójnym łóżkiem.

W tamtym pokoiku nie było miejsca na ubrania Diany. Co wieczór musiała pamiętać, żeby przed pójściem do łóżka wyjąć rzeczy na następny dzień z szafy w pokoju, który był teraz sypialnią Damiana i Emmy. Nie było tam nawet miejsca na mały przenośny telewizor, który zwykła włączać wczesnym rankiem, kiedy się budzi-

ła. Musiałaby go chyba postawić na podłodze albo powiesić sobie na dużym palcu u nogi!

W tym pokoju natomiast było tyle przestrzeni, że starczyłoby jej nawet na jeden z tych olbrzymich ekranów plazmowych - co prawda, akurat wcale by takiego nie chciała - i na jej wszystkie ubrania i inne rzeczy... Tutaj jednak nie będzie słyszała mamrotanych przez sen komentarzy Gartha na temat meczu piłki nożnej ani tego, jak Jason kręci się niespokojnie we śnie. Czy bez tego da sobie radę? Z drugiej strony - nie będzie też słyszeć, co wyrabiają Damian i Emma w starym łóżku mamy, w tym łóżku, w którym Diana spała przez ostatnie siedem lat. Nie, żeby to potępiła, ale uważała to za trochę krępujące.

Weszła o krok dalej do pokoju.

Kremowe zasłony powinno się solidnie wyprać. Żeby je zdjąć, potrzebna będzie drabina. Potrzebowałaby pościeli i ręczników. W jaki sposób zdoła wynieść to wszystko, włącznie z kołdrą, z domu przy Coral Street bez zwrócenia niczyjej uwagi? Nie chciała, żeby wiedzieli, że się wyprowadza, aż będzie po wszystkim. Bała się, że będą ją próbowali zatrzymać. A jeżeli im się to uda, sprawy nadal będą się ciągnąć w taki sam niezadowolający sposób.

Usiadła na łóżku.

Miało staroświeckie sprężyny, które trochę skrzypiały, ale było bardzo wygodne. Potem przymierzyła się do jednego z foteli. Poręcze były szerokie i tapicerowane, idealne, żeby przez nie przewiesić nogi przy czytaniu albo oglądaniu telewizji!

Uwagę jej zwrócił jakiś ruch w ogrodzie i aż krzyknęła na widok wiewiórki, skaczącej po drzewie z gałęzi na gałąź. Zachwycona patrzyła, jak druga wiewiórka przycupnęła na trawie i chrupała coś, co trzymała w przednich łapkach. Ta scena przypominała ilustrację z jakiejś dziecięcej książki.

Dom mieścił się na końcu krótkiej uliczki, niedaleko Blundellsands Station. Tory kolejowe, ukryte za trawiastą skarpa, biegnęły o jakieś trzydzieści metrów od niego. Właśnie w tej chwili przejechał pociąg: w czasie gdy przejeżdżał, dom lekko wibrował.

Wiewiórki też uciekły: zniknęły w gęstwinie liści albo w wysokiej, niepielęgowanej trawie.

Budynek stał dosyć daleko od ulicy, ukryty za szeregiem starych drzew. Diana wiedziała, że muszą być stare, bo ich pnie były bardzo grube. Początkowo myślała, że ten ogród należy do kogoś innego i że pan w sklepie z materiałami malarskimi się pomylił, kiedy jej objaśniał

drogę. Dopiero gdy zobaczyła okna przeświecające przez gałęzie, kremowe cegły i wyblakłe frontowe drzwi koloru bzu z napisem „Kasztany”, wybitym mosiężnymi literami, zrozumiała, że to ten dom.

Jest uroczy i trochę tajemniczy, pomyślała, kiedy otworzyła furtkę i szła wybrukowaną ceglami ścieżką. Jakby to się działo w innym miejscu albo w innym czasie, a nawet w innym kraju, na przykład na dalekim południu Ameryki. Zamieszkanie tu byłoby naprawdę czymś niezwykłym. Mogłaby leżeć w łóżku, obserwować wiewiórki i patrzeć, jak w miarę upływu miesięcy liście na drzewach zmieniają kolor.

Och, ale przecież wcale nie chciała tu zamieszkać!

Oparła czoło o chłodną szybę okna i przymknęła oczy. Stokroć wołała zostać na Coral Street, tam gdzie wiewiórki są w ogóle nieznane i gdzie, jak dobrze wiedziała, nie rosły żadne rozłożyste drzewa.

Przypomniała sobie, że mama, odchodząc z domu, by zamieszkać z Warrenem w Melling Village, okazała5 nagle i zupełnie nie-spodziewane upodobanie do drzew. Może to było rodzinne?

Co miała zrobić? Próbowała pozbierać splątane myśli, kiedy frontowe drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do środka.

Diana przeszła teraz do kwadratowego przedpokoju, który był prawie tak duży jak największy pokój w domu przy Coral Street. Wzory witrażowych okien po obu stronach drzwi odbijały się niewyraźnie na posadzce z białych i czarnych kafelków.

W przedpokoju stała kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia. Miała gładkie ciemne włosy i dobrą twarz. Kiedy dostrzegła Dianę, podskoczyła.

- Nie wiedziałam, że ktoś tu jest! - prawie krzyknęła.

- Ten pan ze sklepu z przyborami malarskimi dał mi klucz i powiedział, że jestem pierwszą osobą, jaka ogląda ten dom - wyjaśniła Diana. - Wywiesił kartkę na wystawie i powiedział mi, że mogę sobie wybrać pokój, jaki zechcę.

- Pan ze sklepu z przyborami...? - Kobieta wyglądała na zdziwioną.

Po chwili jednak jej twarz się rozjaśniła. - Och, masz na myśli Leonarda, tego, co sprzedaje materiały dla artystów malarzy. Co prawda jeszcze nie

powinien był wywieszać zawiadomienia. W tej chwili instaluję nowe urządzenia w kuchni, a cała hydraulika też wymaga solidnego przeglądu. Poza tym wszystko musi być porządnie wyczyszczone, zanim pokoje zostaną wynajęte. Nie mówił ci o tym?

- Nie...

Te raczej rozczarowujące wieści sprawiły, o dziwo, że Diana natychmiast zmieniła zdanie: teraz naprawdę chciała zamieszkać w „Kasztanach”. Pewnie, że i tutaj może być nieszczęśliwa, ale na pewno nie bardziej, niż była w ciągu ostatnich miesięcy.

- A... kiedy dom będzie gotowy?

- Za jakieś dwa tygodnie. - Kobieta z niepokojem spojrzała na Dianę.

- Mam nadzieję, że nie jesteś tym tak bardzo zmartwiona. Masz gdzie mieszkać do tego czasu?

- O, tak - westchnęła Diana. - Pani też tu będzie mieszkać? Ta kobieta wydała jej się wyjątkowo miła. Gdyby tu zamieszkała, przeprowadzka Diany z jej jedynego dotychczas rodzinnego domu byłaby bardziej do zniesienia.

- Nie jestem jeszcze pewna. - Kobieta weszła do pokoju, który Diana dopiero co opuściła. - Już zapomniałam, jak wysokie są tutaj sufity.

Diana szła za nią.

- Była tu pani już przedtem?

- To mój dom - niespodziewanie powiedziała kobieta. - Dała mi go moja matka. - Pociągnęła jedną z kremowych zasłon, wzbijając tuman kurzu. - Trzeba je będzie oddać do pralni - mruknęła. Odwróciła się do Diany. - Nazywam się Brodie Logan.

- A ja Diana O'Sullivan. Pani matka podarowała pani dom?

- O, już dawno temu... tak. Został wynajęty wraz z meblami na dwadzieścia pięć lat siostrze Slattery. Było ich cztery - wszystkie już po pięćdziesiątce. W zeszłym miesiącu umowa wygasła. Przez te dwadzieścia pięć lat trzy z sióstr Slattery umarły, a jedyna, która jeszcze żyje, poszła do domu opieki. Tak że w sobotę byłam tu po raz pierwszy od mojego ślubu i masz pojęcie? Mało co się tu zmieniło. -

Dotknęła wieka pianina. - Ciekawe, czy nie trzeba by go nastroić?

Matka dała mi ten dom, żeby uniknąć podatku spadkowego, kiedy umrze, to znaczy podatku od tego domu. Panny Slattery zostawiły to pianino.

- Rzeczywiście...

Diana nigdy w życiu nie słyszała o podatku spadkowym. Nie miała na tym świecie nikogo, kto zostawiłby jej w spadku choćby klatkę na króliki, a co dopiero mówić o takim wielkim, pięknym domu! Jej tata, zanim odszedł, kupił dom przy Coral Street, ale ciągle jeszcze trzeba było spłacać hipotekę.

- W tym domu się urodziłam i mieszkałam aż do wyjścia za mąż.

- A dlaczego pani tu nie została? - spytała Diana.

- Dlatego że już mieliśmy z mężem inny dom, a mama kupiła sobie małe mieszkanie w pobliżu rzeki. Jest wdową: mój ojciec zmarł niedługo po moim przyjsciu na świat. T Brodie otworzyła jedno z drzwi na taras i wyszła na zewnątrz. Diana ruszyła w ślad za nią.

Wszędzie pachniało ziemią i świeżością, zupełnie jakby się było na dalekiej wsi.

- Kiedy byłam mała, bawiłam się tutaj - ciągnęła Brodie.

- Uwielbiałam to. Pociągi mi nie przeszkadzały: urządzałam polowania na wiewiórki w nadziei, że uda mi się którąś złapać. Marzyłam, że będę je ubierała w lalczyste sukienki i brała ze sobą na noc do łóżka.

Uśmiechnęła się. Na obu jej policzkach ukazały się dołeczki. Z bliska była naprawdę bardzo ładna, z trochę zadartym małym nos-

kiem i pełnymi wargami. Miała na sobie ciemnozielony kostium ze sztruksu i bluzkę w kwiaty.

- Widziałam tu już dwie wiewiórki - pochwaliła się Diana.

- Dawniej mama kupowała im orzechy i nasionka dla ptaków, a potem po prostu siadała przy oknie i obserwowała, jak jedzą.

Diana postanowiła, że ona zrobi dokładnie tak samo, oczywiście kiedy już będzie mogła.

- Napijesz się czegoś? - spytała Brodie. - Dopiero co zrobiłam zakupy u Sainsbury'ego, więc w samochodzie mam mleko, kawę i herbatę.

- Z przyjemnością napiję się herbaty, dzięki.

- Mam nadzieję, że w kuchni znajdziemy jakieś kubki i czajnik.

Weszły z powrotem do domu. Brodie pokazała Diane, gdzie jest kuchnia, i poszła zabrać z auta swoje zakupy.

Kuchnia była zaskakująco mała. To śmieszne, pomyślała Diana, żeby tak ważne miejsce w gospodarstwie było cztery razy mniejsze niż przedpokój! Poza tym urządzona była bardzo staroświecko: miała wyszczerbiony emaliowany zlew, rzędy zaniedbanych półek, bardzo starą lodówkę i coś, co wyglądało na pierwszy na świecie model mikrofalówki. Udające marmur linoleum było miejscami zupełnie wytarte, tak że spod spodu widać było kruszący się cement posadzki.

Ani śladu pralki i suszarki.

Pomyślała o kuchni na Coral Street.

Była większa od tej, co prawda niewiele. Od czasu, kiedy matka opuściła dom, Diana stopniowo modernizowała kuchnię, kupując na raty rozmaite urządzenia i dopasowując segmenty. Wreszcie położyła piękne linoleum, a ściany pomalowała na różowo. Sama to zrobiła, chłopcy tylko pomagali jej przy kafelkach. Serce jej wzbierało radością za każdym razem, kiedy tam wchodziła i widziała, jak wszystko lśni i błyszczy, zwłaszcza kiedy zapaliła lampę.

Teraz jednak ta kuchnia była dla niej niedostępna. Przejęła ją Emma.

W związku z tym Diana czuła się jak ktoś zupełnie niepotrzebny.

Myśl o tym, że będzie musiała używać tej kuchni z epoki kamienia łupanego, zamiast tamtej, pięknej, którą sama stworzyła dla

siebie, a także wspomnienie nieszczęsnego życia, jakie wiodła od ostatniej Gwiazdki, co jeszcze pogarszał fakt, że właśnie straciła pracę, wystarczały, żeby się rozpłakać... co też się stało.

Łzy, które tyle razy obawiała się wylewać, a które jednak w niej tkwiły i nie mogły znaleźć ujścia, trysnęły i popłynęły po białych policzkach Diany, tworząc miniaturowe kałuże na jej botkach i na podłodze.

- Och, moja ty biedna dziewczynko! Co ci jest, na Boga? - wykrzyknęła Brodie, wchodząc do kuchni z zakupami.

- Wszystko... - rozszlochała się Diana. - Wszystko!

- Chodź, siądziemy i będziesz mi mogła o tym opowiedzieć. Chociaż dopiero co się poznały, Brodie już widziała, że Diana O'Sullivan musi być bardzo nieszczęśliwa. Widać to było po wiecznospuszczonych oczach, po opuszczonych kącikach ust, a także po tym, że ta dziewczyna jakby już dawno zapomniała, że w ogóle można się uśmiechać.

Zastanowiła się, czyjej własne oczy i twarz dają światu podobną informację o niej.

- To... przez Emmę - mówiła Diana łamiącym się głosem, kiedy już usiadły w obitych gobelinem fotelach. - Jest dziewczyną naszego Damiana... w sierpniu spodziewa się dziecka. Do tego czasu nie chcą brać ślubu, bo ona chce koniecznie mieć wspianiałą ślubną suknię.

Wprowadziła się do nas w Boże Narodzenie... Nie chodzi do pracy, więc robi to wszystko, co dotychczas ja robiłam: gotuje, pierze, prasuje, sprząta... Jedyna rzecz, której nie robi, to cerowanie skarpetek: zamiast tego je po prostu wyrzuca i kupuje nowe. A ja kiedyś bardzo lubiłam cerować skarpetki... tyle że teraz już ich nie ma w domu.

- Nie bardzo rozumiem, kochanie - łagodnie przerwała jej Brodie. -

Kto to jest Damian?

- Mój brat - płakała dalej Diana. - Ma dwadzieścia trzy lata i jest najstarszy. Jason ma dwadzieścia, a nasz Garth siedemnaście. Jeszcze chodzi do szkoły. - Łzy kapały jej teraz na kolana zamiast na stopy.

Wyciągnęła chusteczkę z rękawa i zaczęła ocierać oczy. -

Kiedy mama sobie od nas poszła, kazała mi się nimi opiekować. 1

opiekowałam się. Ale teraz, gdy wracam z pracy do domu i powinnam zacząć przygotowywać podwieczorek, okazuje się, że Emma już go przygotowała. Ona się upiera, żeby myć i wycierać naczynia i w ogóle, tak że ja już nie mam zupełnie nic do roboty. Nawet pierze moje rzeczy i chłopaków, chociaż ją prosiłam, żeby tego nie robiła! - Teraz łzy zastąpiło oburzenie. - W dodatku prasuje dosłownie wszystko: ścierki, poszewki, chusteczki, nawet majtki! Ja na to nigdy nie miałam czasu.

- Oczywiście, że nie miałaś, kochanie.

Brodie miała mnóstwo wolnego czasu, ale nigdy by jej do głowy nie przyszło, żeby prasować majtki.

- Nie daje mi niczego tknąć - skarżyła się Diana. - Kiedy wstaję, żeby pójść do kuchni, ona już tam jest przede mną i pyta, czego bym chciała.

A to jest przecież moja kuchnia! - Diana załamała ręce i zaczerwienionymi od płaczu oczyma wpatrywała się w Brodie. - I teraz nie wiem, gdzie się podziać. Pokoje dole są połączone w jeden, więc kiedy Jason i Garth wyjdą, po prostu czuję, że przeszkadzam. Ale nie mogę też pójść na górę, bo teraz śpię w słuźbówce, która jest okropnie brzydka i nie ma w niej miejsca na tele ani nawet na krzesło. Dokąd mam pójść? - zapytała tragicznie.

- A na dwór? - zaproponowała Brodie. - Nie mogłabyś wychodzić na spacer? Nie masz jakichś przyjaciół?

- Moje wszystkie szkolne przyjaciółki już powychodziły za mąż. A poza tym zawsze byłam za bardzo zajęta opieką nad chłopakami i domem, żeby

zawierać jakieś nowe przyjaźnie. Zawsze miałam tyle roboty!

Brodie zdobyła się na najmiłszy ze swoich uśmiechów.

- A nie próbowałaś porozmawiać z Emmą?

- Próbowałam, ale nie chce mnie słuchać. Kłopot w tym...

- W czym? - zachęciła ją Brodie, kiedy Diana przerwała i przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- W tym, że Emma jest urocza - zaczęła dalej mówić Diana z rozpaczą w głosie. - Ona po prostu chce pomagać. Myśli, że ja lubię,

kiedy mnie ktoś obsługuje. „Siądź sobie, Di, odpocznij”, tak mówi, kiedy tylko wejdę do domu. Robi nawet zakupy! - Diana wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - Właśnie dlatego, kiedy zobaczyłam kartkę w oknie w tym sklepie, pomyślałam, że tu przyjdę i obejrzę. Kosztuje naprawdę bardzo tanio.

- To dlatego, że nie jestem zainteresowana robieniem na tym majątku.

Pomyślałam po prostu, że wynajmę te pokoje na rok czy coś w tym rodzaju, a przez ten czas się zastanowię, co zrobić z domem: czy go zatrzymać jako inwestycję, czy sprzedać i włożyć pieniądze do banku.

- Naprawdę...?

Diana robiła wrażenie zakłopotanej. Brodie rozumiała, że takie sprawy jak prawo własności czy inwestycja to określenia bardzo odległe od świata, który zna ta dziewczyna.

- Siadaj tu, kochanie, a ja tymczasem zaparzę herbatę.

- Dziękuję, Brodie... Czy „Brodie” to nie męskie imię?

- Irlandzkie. Może je nosić tak samo mężczyzna, jak i kobieta. Chcesz mleka czy cukru?

- Proszę tylko o mleko, dziękuję. Mnie dano imię z powodu księżnej Diany. Wyszła za księcia Karola tego dnia, kiedy się urodziłam.

- Diana to śliczne imię i bardzo do ciebie pasuje.

Brodie wyszła do kuchni. Zanim napełniła czajnik wodą, pozwoliła jej trochę popłynąć z kranu. Na półce pod zlewem znalazła dwa kubki, umyła je i włożyła do każdego torebkę z herbatą.

Biedna Diana: straciła grunt pod nogami. Brodie zastanawiała się, czy ta cała Emma jest rzeczywiście tak zupełnie bez winy, jak się wydaje Dianie, czy też może to bardzo sprytna kobietka, próbująca po prostu przywłaszczyć sobie cary dom? Może najzwyczajniej ukradkiem stara się wysiadać z niego Dianę - i, jak widać, z sukcesem!

Woda się zagotowała, więc Brodie zrobiła herbatę i zaniósła ją do pokoju, który jej matka nazywała „salonikiem”. Ten pokój zawsze się jej podobał, bo światło dzienne nabierało tam zielonkawego odcienia, kiedy promienie słoneczne przebijały się przez zieleń liści.

Diana siedziała, wpatrzona w przestrzeń.

- Poczęstuj się, kochanie.

- Dziękuję.

Dziewczyna jakby się ocknęła i sięgnęła po herbatę długimi, białymi palcami. Miała na sobie strój, który zdaniem Brodie pochodził ze sklepu jakiejś instytucji dobroczynności: brzydko udzierniany pomarańczowy sweter, szarą „ołówkową” spódnicę i długie, czarne botki na koturnach. Ale na Dianie te rzeczy wyglądały niemal elegancko. Chociaż jej ruchy były nerwowe, miały jednak w sobie wdzięk młodości. W ogóle wszystko w niej było długie i wąskie: twarz, ciało, ręce i nogi. Fioletowo-błękitne oczy Diany, barwy leśnych dzwoneczków, miały w sobie taką niewinność i ufność, jaką się widuje tylko w oczach dzieci. Właściwie wyglądała i zachowywała się jak nastolatka, musiała jednak być starsza, skoro już od tylu lat opiekowała się braćmi.

Czy jej matka jeszcze żyje?, zastanawiała się Brodie. Poczwała gniew -

nie tylko do tej matki, ale i do Emmy za to, że tak bezdusznie traktują tę tak niewiarygodnie uroczą młodą kobietę.

- A gdzie pracujesz? - spytała.

- Do zeszłego tygodnia pracowałam w centrali informatycznej, ale ją teraz zamknęli i przenieśli do Indii - mówiła Diana z dezaprobatą. -

Podobno tam mogą ludziom o wiele mniej płacić. Dlatego dzisiaj, chociaż to poniedziałek, nie jestem w pracy. Ale od przyszłego tygodnia już będę znowu pracowała, w ośrodku dla uchodźców, niedaleko Cazneau Street. Naprawdę się na to cieszę.

Brodie z kubkiem herbaty podeszła do okna i patrzyła na ogród, w którym bawiła się w dzieciństwie.

- Jak myślisz, Diano? Dobrze ci się tu będzie mieszkalo? - zapytała.

Dziewczyna westchnęła.

- Nie może mi tu być gorzej niż tam, gdzie mieszkam teraz. Wiem, że to brzmi okropnie, bo Kocham moich braci bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale już nigdy nie będzie mi tam tak, jak było kiedyś.

Podeszła i stanęła obok starszej kobiety: była od niej wyższa co najmniej o pół głowy.

- Tu jest naprawdę ślicznie. Na Coral Street okno tej służbówki, w której teraz śpiam, wychodzi na okno takiego samego pokoiku w sąsiednim domu. - Po raz pierwszy się uśmiechnęła, co prawda trochę smutno. - Nareszcie będę miała spokój. Och, kiedy tak mówię, ktoś mógłby pomyśleć, że chciałabym umrzeć! - Przesesała palcami gęste, jasnobrązowe włosy, tak że się rozsypały. - Tylko że w domu czuję się taka... niespokojna, mam wrażenie, jakby mi w brzuchu coś aż buzowało.

- Ja to miejsce zawsze kochałam - cicho wyznała Brodie.

- Jest przemiłe. Problem w tym, że ja się jeszcze ciągle nie mogę zdecydować. W tej chwili mi się wydaje, że przeprowadzka to doskonały pomysł, a pięć minut temu nienawidziłam nawet samej myśli o czymś podobnym. To ta kuchnia tak mnie zniechęciła - przyznała i dodała wielce nietaktownie: - Jest naprawdę okropna.

- Już ci mówiłam, że tu się wszystko odnowi. Jutro przychodzą robotnicy.

Diana patrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Ale tam nie ma w ogóle miejsca ani na pralkę, ani na suszarkę.

- Te rzeczy są na zapleczu. Chodź, może ci wszystko pokażę? - zaproponowała Brodie. - Pokój obok jest zupełnie taki sam jak ten, a na górze są jeszcze dwa podobne. Tylko te cztery pokoje chcę wynająć.

Poza nimi jest w willi jeszcze kilka o wiele mniejszych pokoików, z których można zrobić składziki. Jest też łazienka, tak duża, że można by w niej tańczyć. Poza tym na dole i na górze są ubikacje. Chodź, pokażę ci pralnię. Tam jest może trochę ponuro, ale też się tym zajmę: właściwie wszędzie ściany trzeba będzie pomalować na nowo.

W pralni stały wielka pralka i suszarka, obie nawet dość nowoczesne, poza tym stół do prasowania i stojak do suszenia ubrań, na którym wisały trzy pończochy - wszystkie nie do pary. Ściany miały kolor błota, a co najmniej połowa farby zwisiała z nich w strzępach.

Obok mieściła się oranżeria ze szklanym dachem i oknami z trzech stron, pokrytymi teraz w przeważającej części nieporządnymi zwojami bluszczu. Stał tam stary wiklinowy zestaw: kanapa i dwa fotele ze splewiałymi poduszkami w kwiaty oraz mały okrągły stolik.

Brodie opowiadała, że tam właśnie jej ojciec zwykł palić fajkę.

- W lecie robiło się tu nie do wytrzymania gorąco, za to zimą było zimno jak w lodowni. Mój tata siadywał właśnie na tych poduszkach, na tej samej kanapie! - Dotknęła poduszek i szeroko otwartymi oczyma spojrzała na Dianę. - Boże, to naprawdę strasznie dziwne. Zupełnie nie mogę go sobie przypomnieć.

Diana też dotknęła poduszek i powiedziała, że i jej wydaje się to dziwne.

- A co to jest? - spytała, wskazując jakąś pomarańczową plamę na szczycie szklanego dachu.

Brodie się roześmiała.

- Ach, to ten rudy kot. Myślę, że to kocur, bo taki wielki. Nie wiem, jak się nazywa ani z którego jest domu. Był już tutaj, kiedy przyszłam w sobotę.

Weszły na piętro. Brodie spytała, czy Diana wolałaby zamieszkać w jednym z pokoi na pierwszym piętrze, ale dziewczyna odparła, że już sobie wybrała ten na parterze.

- No i podoba mi się, że tam jest pianino.

- Ty umiesz grać?

Długie palce Diany doskonale by się nadawały dla pianistki.

- Nie, ale umiem czytać nuty, trochę... uczyli nas tego w szkole. I chętnie bym spróbowała coś zagrać... jednym palcem. Powiadomi mnie pani, kiedy robotnicy już skończą odnawianie, tak żebym się mogła wprowadzić? Chciałabym co prawda, żeby było można już dzisiaj - rzekła tęsknie - bo nie wiem, co ze sobą zrobię w domu... z tą Emmą. Dlatego tak lazałam przez całą dzielnicę Waterloo. Szłam piechotą cały czas, aż z Bootle.

- Możesz tu zamieszkać nawet dzisiaj, jeżeli chcesz.

Dziwne... Brodie poznała tę dziewczynę dosłownie przed pięcioma minutami, a już czuła, jak bardzo ją lubi. Od czasu, kiedy jej własne dzieci odeszły z domu, brakowało jej w otoczeniu obecności młodych osób.

Josh, obecnie dwudziestodwuletni, skończył uniwersytet ze średnią lokatą i przeniósł się do Londynu. Mieszkał tam teraz „na dziko” w pobliżu Holloway Road.

Maisie... O Maisie wolała teraz nie myśleć.

- Jeżeli ci bałagan nie przeszkadza - mówiła Dianie - możesz się ulokować w jednym z pozostałych pokoi, podczas gdy twój będą remontowali. Poproszę robotników, żeby się najpierw zajęli właśnie twoim. Tylko musisz się liczyć z tym, że przez jakiś czas może nie być prądu i że będzie

dość duży hałas, więc o spokoju nie masz nawet co marzyć.

- Wprowadzić się już dzisiaj! - Diana wyglądała na naprawdę podekscytowaną tym pomysłem i po raz pierwszy serdecznie się uśmiechnęła. - To by było wspaniałe!

Kiedy dziewczyna wyznała, że nie ma samochodu i nawet nie umie prowadzić, Brodie zaproponowała, że zabierze ją i jej wszystkie rzeczy i przywiezie do „Kasztanów”.

- Jeżeli chcesz, możemy pojechać już teraz.

- Teraz byłoby cudownie. Po południu Emma zwykle chodzi do swojej siostry w Walton Vale, więc nie będzie jej co najmniej do trzeciej. Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że się wyprowadzam. Napiszę im tylko kartkę i podam, gdzie jestem. \

Wrzucenie swoich rzeczy do kilku toreb plastikowych i wepchnięcie pościeli do kilku innych zajęło Dianie niewiele czasu. Parę sztuk jej biżuterii i kosmetyki już dawno przewędrowały z toaletki mamy do szuflady w komodzie. Wszystko to wrzuciła do mniejszej torby.

Książki postanowiła zostawić - zawsze je będzie mogła wypożyczyć sobie z biblioteki. Zabrała tylko płyty CD i odtwarzacz oraz przenośny telewizorek i odtwarzacz DVD, które stały teraz w sypialni Damiana i Emmy.

Ale oni nigdy nie oglądali ani telewizji, ani filmów: w łóżku mieli ważniejsze sprawy do załatwienia.

Kiedy po raz ostatni przeszła się po domu, już nie czuła się tak smutna, jak się tego obawiała. Chociaż, kiedy weszła do dużej sy-

pialni Jasona i Gartha, czule pogłaskała ich poduszki. Miała jednak nadzieję, że nie będzie za nimi tęsknić aż tak bardzo.

Powiedziała i tak wszystko w kartce, którą zatknęła za zegar ścienny.

Wyjaśniła, że nie chce, żeby ktokolwiek z nich sądził, iż się wyprowadza, dlatego że była tu nieszczęśliwa. Ale chyba jej obecność tutaj już nie jest konieczna, skoro Emma może się opiekować nimi wszystkimi. List zakończyła słowami: *Mój adres: willa „Kasztany”, Elm Road, Blundellsands. Odwiedźcie mnie, kiedy tylko zechcecie. Di.*

W drodze powrotnej Brodie poprosiła Dianę o numer jej telefonu komórkowego.

- Ja też podam ci mój numer, na wypadek gdybyś chciała się ze mną skontaktować z jakiegoś powodu.

- Ale... ja nie mam komórki - wyznała Diana. - Ciągle myślałam, żeby sobie kupić, ale nigdy się jakoś nie złożyło.

- Widzę, że nie zabrałaś ze sobą komputera.

- Bo mamy tylko jeden, a chłopcy byliby zdruzgotani, gdybym go zabrała. Co prawda ustawiałam na nim tylko pasjansa. Nigdy się nie nauczyłam porządnie go używać.

- No cóż, w „Kasztanach” jest telefon: wisi w przedpokoju i jest nadal podłączony. Mogę do ciebie dzwonić w razie potrzeby.

- To świetnie - pogodnie rzekła Diana. Wyglądała teraz zupełnie inaczej, o wiele radośniej. - Czy masz dzieci, Brodie?

- Dwoje, Josepha - nazywamy go „Josh” - i córkę, Maisie. Oboje już są dorośli i mieszkają w Londynie.

No tak... Kiedy Brodie ostatni raz dostała wiadomość o córce, Maisie była jeszcze w Londynie, teraz jednak nie miała pojęcia, gdzie jej dziewczynka się obraca.

Cóż to za przemiła młoda kobieta; nie tylko przypomina kogoś z zeszłego stulecia, ale jakby jeszcze z poprzedniego!

Tak myślała Brodie, wracając do Crosby po odwiezieniu Diany do „Kasztanów”, gdzie pomogła jej się rozpakować.

Jechała trochę szybciej, niż powinna, bo przedtem zupełnie zapomniała o jedzeniu wieszonym w bagażniku. Wszystko, co było mrożone, już raczej zamrożone nie jest.

Zanim się rozstały, Diana spytała, czy Brodie naprawdę się tu sprowadzi.

- Bo przedtem, kiedy cię spytałam, powiedziałaś, że nie jesteś pewna.

- I nadal nie jestem. U mnie jest podobnie jak u ciebie: w domu dzieją się rzeczy, które mi się wymykają spod kontroli. Już od dłuższego czasu jestem bardzo nieszczęśliwa.

- Tak mi przykro! - szczerze zawołała Diana. - Mam nadzieję, że nie myślisz o mnie źle, dlatego iż chciałabym, żebyś tu była. Nic na to nie mogę poradzić. Byłoby cudownie, gdybyś zamieszkała w tym pokoju obok mnie.

Zobaczę, co się wydarzy w ciągu następnych paru dni, postanowiła Brodie, wnosząc do domu torby z jedzeniem. Wiedziała, że nie powinno się wkładać do zamrażarki rozmrożonego jedzenia, ale mimo to je tam włożyła. Cóż, mało prawdopodobne, żeby ta żywność kogoś zabiła.

Emma już ponad godzinę była w domu na Coral Street, kiedy zauważyła kartkę wsuniętą za zegar. Kiedy ją przeczytała, nie potrafiła powstrzymać lekkiego uśmiechu triumfu.

Jeszcze zanim się wprowadziła do tego domu, Damian dość twardo obstawał przy tym, że jej pobyt będzie tymczasowy.

- Nasza Di na pewno nie będzie mieć nic przeciwko temu, żebyś tu mieszkała, ale tylko do czasu, kiedy dziecko się urodzi. Wtedy będziemy się musieli rozejrzeć za jakimś własnym mieszkaniem.

To chyba było trochę nieuczciwe, pomyślała Emma. Di była samotną kobietą, tymczasem ona - niemal zamężna... i w dodatku w ciąży.

Jeżeli ktoś się powinien rozejrzeć za jakimś mieszkaniem, to chyba właśnie Diana. Nie zwierzyła się jednak Damianowi ze swoich myśli: i on, i jego bracia uwielbiali siostrę i nie pozwoliliby na powiedzenie nawet słowa przeciwko niej.

Wobec tego Emma rozpoczęła kampanię, która miała ją uczynić niezbędną w tym domu. Mieszkanie było teraz bez jednej plamki, codziennie robiła pranie i szykowała obfite i pożywne posiłki (w szkole miała bardzo dobre oceny z „gospodarstwa domowego”), mimo że w gruncie rzeczy uważała kucharzenie za stratę czasu. O wiele łatwiej było przecież otworzyć puszkę czy karton!

Garth trochę nawet przesadził, kiedy pewnego dnia stwierdził, że nie wie, jak sobie bez niej poradzą, kiedy ona i Damian już się stąd wyprowadzą.

- Nasza Di nigdy nie robi takiego smacznego jedzenia. No i nigdy nie ściele naszych łóżek - dodał.

Słyszając to, Damian prawie na niego wrzasnął.

- Di jest cały dzień w pracy, dlatego! - sarknął. - A nie ściele nam łóżek, bo kiedy wychodzi rano do roboty, niektórzy z nas ciągle w nich leżą! Opiekowała się nami, kiedy wszyscy byliśmy jeszcze w szkole -

wyjaśnił Emmie.

Garth się na to zaczerwienił i przeprosił.

Emma zrozumiała wtedy, że jeśli chce się pozbyć Di, musi się posuwać naprzód bardzo, ale to bardzo ostrożnie.

Z wyrazu bólu w wielkich, błękitnych oczach Diany Emma mogła wnioskować, że Di tęskni do opieki nad braćmi. Wobec tego robiła co tylko mogła, żeby tamta czuła się możliwie jak najgorzej.

Strasznie trudno było jej tak postępować, bo w gruncie rzeczy naprawdę bardzo lubiła Dianę, ale... cóż! Świat jest okrutny i trzeba zawsze i przede wszystkim myśleć o sobie. A jeżeli przy tej okazji zdepcze się tak miłych ludzi jak Diana, to... tym gorzej dla nich!

Inna na miejscu Diany powiedziałaaby Emmie wprost: „Odwal się!” -

ale Di była na to zbyt miękka i łagodna.

Emma wyjęła kartkę zza zegara i zwinęła ją w kulkę. Im dłużej ich siostra będzie poza domem, tym lepiej chłopcy rozumieją, że życie bez niej jest zupełnie możliwe. Gdyby natomiast się dowiedzieli, dokąd poszła, zaraz pognają do tego Bundellsands i będą błagali, żeby do nich wróciła.

Ale przecież Diana któregoś dnia się tu pokaże i przysięgnie, że zostawiła wiadomość za zegarem: wtedy to Emma będzie podejrzana o to, że kartkę wyrzuciła. Najlepiej jeżeli ją zostawi, tylko położy w jakimś miejscu, jak... jak... na przykład pod lodówką! A jeśli kartka kiedykolwiek się objawi, każdy będzie przekonany, że wpadła tam przypadkowo.

Wyprostowała kartkę, zaniósła do kuchni i wsunęła pod lodówkę.

Stała teraz pośrodku kuchni, myśląc, jak bardzo jej się tu podoba.

Uwielbiała sposób, w jaki były oświetlone ścienne szafki z półkami, podobała jej się koronkowa zasłonka z falbankami w oknie i małe półeczki w rogu: na każdej z nich stał piękny kielich do czerwonego wina. Damian jej powiedział, że Di kupiła je w firmie Argos i że się na nie mówi „puchary”:

- Na Boże Narodzenie zawsze je stawia na stole, a do środka wkłada małe lampeczki. Wtedy wyglądają cudownie pięknie.

Siostra Emmy, Sophie, miała dwójkę dzieci i mieszkała w obskurnym lokalu w Walton Vale. Kuchenka we wspólnej kuchni wyglądała, jakby ją wydobyto z Arki Noego, a pralka działała tylko wtedy, kiedy jej się chciało. Wszelkie prośby, żeby właściciel coś z tym zrobił, spełzały na niczym. Sophie bez przerwy tylko biegają do publicznej pralni tam i z powrotem - niczym jo-jo - a to przecież kosztowało straszne pieniądze!

Damian nigdy by nie pozwolił, by Emma z ich dzieckiem mieszkała w takiej norze. Niemniej jednak w żadnym mieszkaniu, jakie dla nich wyszukiwał, takiej kuchni, jak ta na Coral Street, nie było.

Emma przesunęła ręką po cętkowanym kremowym blacie. Większość kobiet za taką kuchnię oddałaby życie!

- Coś się dzisiaj nasza Di spóźnia - zauważył wieczorem Jason, kiedy usiedli do kolacji.

- Może musiała z jakiegoś powodu zostać dłużej w pracy? -

zasugerowała Emma.

- Dotychczas nigdy tak nie było.

Damian nie wyglądał na specjalnie przejętego, ale kiedy kolacja się skończyła, a Diany nadal nie było, bardzo się zaniepokoił.

- Powinna była zadzwonić, jeżeli ją zatrzymali dłużej w pracy. Gdy minęła jeszcze godzina i w dalszym ciągu nie było ani śladu Di, Jason poszedł na górę grać na komputerze. Zaraz jednak zszedł z powrotem na dół. Twarz miał białą jak papier.

- Drzwi do gościnnego pokoiku są otwarte, a z łóżka naszej Di zabrano wszystkie rzeczy!

- Co takiego?

Damian wbiegł na górę sam sprawdzić, co się dzieje. Wrócił i powiedział, że przejrzał szafę z ubraniami i że stamtąd też zniknęły rzeczy Di.

- Jaki jest telefon do jej pracy? - spytał.

- Już siódma, nikogo tam nie będzie - uznał Garth.

- Idioto! To centrum informacyjne. Jest otwarte do północy. Damian wziął notes z telefonami, w którym Diana swoim niewiarygodnie eleganckim piśmem wpisywała numery, i zadzwonił.

Odebrano natychmiast.

- Rozumiem... aha... w porządku, stary, cześć. - Odwiesił słuchawkę i poważnie spojrzał na braci. - To był facet z British Telecom. Centrum zamknęli w zeszłym tygodniu i teraz likwidują wszystkie linie.

Dlaczego nasza Di nic nie mówiła, że już tam nie pracuje? - rzucił z gniewem.

- Mówiła... - cicho szepnął Jason. Był najbardziej nieśmiałym i najspokojniejszym z braci. - Tyle że nikt nie zwrócił na to uwagi tylko ja. Podobno dostała inną pracę... gdzieś w mieście.

- Gdzieś w mieście! - drwiąco powtórzył Damian. - Rzeczywiście, bardzo nam pomogłeś.

Jason wzruszył ramionami.

- Ty nawet i tego nie wiedziałeś. W każdym razie nasza Di nie wyniosłaby się nigdzie, nie zostawiając listu. Dawniej, kiedy musiała zostawić wiadomość, zawsze ją wsuwała za zegar na kominku.

Zaczął się poszukiwanie kartki od Diany. Z pewnością nie było jej za zegarem, więc Jason zabrał się do szukania pod meblami,

„na wypadek gdyby tam spadła”. Reszta chłopców poszła na górę szukać w sypialniach.

Emma cały czas czuła okropne mdłości, a serce biło jej nienaturalnie szybko. Co będzie, jeśli Jason zajrzy pod lodówkę? Prawdę mówiąc, to durne miejsce na schowanie tej głupiej kartki. Powinna była od razu pójść do kuchni i zjeść ten list, niestety Damian wszedł tam już wcześniej.

- Pomyślałem, że mogła przyczepić kartkę magnesem do lodówki -

powiedział, ale na szczęście nie przyszło mu do głowy, żeby pod nią zajrzeć.

Na Coral Street człowiek nigdy nie czuł się sam. Chłopców mogło nie być w domu, ale na podwórku bawiły się dzieciaki z sąsiedztwa, w domach z obu stron ryczała telewizja, jakiś człowiek za domem ciął

coś elektryczną piłą, na ulicy wyły auta i motocykle, słychać było podniesione głosy ludzi.... Jednym słowem, hałas dobiegał zewsząd.

W „Kasztanach” było cicho jak w grobie, ale Dianie to bynajmniej nie przeszkadzało.

Pierwszy raz w życiu była zupełnie sama, bez żadnej żywej duszy w pobliżu,

żadnego

innego
dźwięku

w

okolicy.

Odgłosy

przejeżdżających pociągów wewnątrz domu raczej się czuło, niż słyszało: ot, leciutkie wibracje pod stopami. A ponieważ Elm Road było ślepią uliczką, te pociągi były jedynymi przejeżdżającymi opodal pojazdami. Diana wędrowała z pokoju do pokoju. Liczyła na to, że robotnicy podczas odnawiania nie zamalują farbą spłowiałych tapet, które miały taki piękny jedwabisty połysk, a tylko je oczyszczą; że nie zastąpią niczym innym jeszcze bardziej wypłowiałych dywanów i że nie zabiorą stąd żadnego z tych staroświeckich mebli.

Naprawdę podziwiała wysmukłe lampy z abażurami z frędzlą, ciemne szafy i komody tak wysokie jak ona. Pianino było w szaro-czarnej cętki, klawisze miało ciemnokremowe. Diana zagrała kilka nut. Dźwięki odbiły się echem w całym starym domu.

Z wyjątkiem urządzeń kuchennych, Diana lubiła starocie: nie tylko domy, ale też filmy, muzykę, książki... Już straciła rachubę,

ile razy oglądała na DVD filmy *To wspaniałe życie* czy *Ta szczęśliwa rasa*. Na półkach w domu przy Coral Street nagrania CD zespołów Kaiser Chiefs i Arctic Monkeys stały zgodnie obok płyt Ala Bowlly'ego i Rudy'ego Vallée, a powieści Jane Austen mieszały się z dziełami Irlandki Maeve Binchy.

Już zdążyła pokochać ten dom, z jego atmosferą lat trzydziestych dwudziestego wieku, aurą „herbatek” i wspólnych śpiewów przy pianinie. Latem okna tarasowe były na pewno stale otwarte, ludzie wchodzili i wychodzili... Dzieci, które dzisiaj są chyba o wiele starsze niż teraz Brodie, bawiły się pod drzewami.

Diana nie miała złudzeń, że mogłaby być jedną z takich osób.

Jeszcze do niedawna wszyscy żyjący krewni z rodziny mamy mieszkali co najmniej od stu lat w okolicy Coral Street w dzielnicy Bootle, a jej tata był irlandzkim robotnikiem. Gdyby miała jakiegokolwiek związek z willą „Kasztany”, to chyba tylko jako służąca. Musiałaby harować w tej obrzydliwej kuchni, a nie wchodzić i wychodzić na taras!

To, że jej kuchnia dosłownie we wszystkim przewyższała tutejszą, dało Dianie poczucie satysfakcji. Po prostu był to dowód, jak bardzo w przeciągu ostatnich stu lat świat zmienił się na lepsze - to znaczy, nie mówiąc o broni masowej zagłady i tym podobnych okropnościach.

Około szóstej zagrzała zapiekankę z ziemniaków i mięsa, którą Brodie kupiła u Marksa i Spencera i zostawiła Dianie, kiedy odkryła, że dziewczyna nie wzięła ze sobą żadnego jedzenia. Potem zjadła deser z owoców ze śmietaną, z tego samego źródła, i zrobiła sobie filiżankę kawy. Jadła w pokoju przylegającym do tego, który zamierzała zająć, kiedy już zostanie odnowiony, włączyła telewizor i oglądała wiadomości, potem program świąteczny, wreszcie serial *EastEnders**.

Kiedy niedługo po serialu poczuła się śpiąca, pomyślała o umyciu się.

W końcu jednak odłożyła to na jutro rano, gdyż w słabym świetle wszystko dookoła wyglądało tu trochę strasznie.

*** *EastEnders* (mieszkańcy wschodniej części Londynu) - jeden z najstarszych seriali angielskich (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).**

Słysząc było jakieś niepokojące odgłosy, dochodzące z niewidocznych miejsc, a na szczycie schodów kładły się co chwila jakieś cienie. W tym domu umarły przecież trzy siostry Slattery, a przedtem na pewno jacyś inni ludzie, których nazwisk nie znała.

Poszła do toalety na dole, następnie zamknęła na zasuwkę drzwi swojego pokoju i oplukała twarz w małej umywalce stojącej w kącie.

Położyła się do łóżka i niemal natychmiast usnęła.

Przed zaśnięciem przebiegło jej jeszcze przez myśl, że bracia dotąd jej nie odwiedzili. Cóż, niewątpliwie zrobią to jutro.

Rozdział 2

- Heej! Diana! Jesteś na górze, kochanie? To tylko ja, Megan! Za chwilę wstawiam wodę na herbatę!

Diana już po krótkiej chwili przypomniała sobie, gdzie się znajduje, ale za chińskiego boga nie mogła zrozumieć, skąd jakaś kobieta o imieniu Megan, mówiąca z na wpół liverpoolskim, na wpół irlandzkim akcentem, zna jej imię i mówi coś do niej z tamtej strony drzwi.

Uznała, że najlepiej zrobi, jeżeli wstanie i sama się przekona.

- Ubieram się! - odrzyknęła, gwałtownie wciskając na siebie ubranie, które nosiła wczoraj.

- Słodzisz, kochanie? - chciała wiedzieć tajemnicza Megan.

- Nie, dzięki!

Diana rozsunęła ciężkie zasłony i do pokoju wlało się światło dzienne. O tej porze tylko mały kawałek ogrodu był oświetlony słońcem. Na dachu starej szopy, której wcześniej nie zauważyła, rządkiem siedziały ptaki.

- A, to doskonale, bo nie ma tu ani odrobiny cukru.

Głos Megan brzmiał jak głos młodej kobiety, ale kiedy Diana weszła do kuchni, gdzie akurat zagotowała się woda, odkryła, że Megan nie jest już bynajmniej młoda.

- Nie uważasz, że herbata w torebkach to wyjątkowo pożyteczny wynalazek? Oczywiście mówię o wynalazkach w dziedzinie jedzenia - wyjaśniła kobieta.

Szczupła i zgrabna, robiła wrażenie ucieleśnionej energii. Jej krótko ostrzyżone włosy miały bardzo piękną barwę srebra, a oczy, równie błękitne jak oczy Brodie, mrugały wesoło w mocno pomarszczonej twarzy.

Jasne! To musi być matka Brodie! To ona podarowała jej ten dom.

Musiła ją urodzić dosyć późno, bo wyglądała na tak wiekową, że mogłaby być jej babką. Ubrana była elegancko, w długą, czerwoną, zwężającą się do dołu spódnicę i w czarny sweter z czerwoną lamówką. Podobnie jak Brodie, była dużo niższa od Diany.

- Och, chyba jest mnóstwo takich wynalazków - odparła Diana. - Na przykład krojony chleb?

Zastanawiała się, jak powinna się odzywać do tej pani. Czy ma jej mówić „Megan”?

- Pewnie, że masz rację. Są też mrożone frytki... no i można kupić już gotowe ciasto. Zawsze nie cierpiałam wyrabiania ciasta: zwłaszcza jeśli zostawało mi pod paznokciami. Pytałam cię już, czy pijesz z cukrem?

- Tak, i powiedziałam, że nie słodzę, a pani wtedy powiedziała, że to dobrze, bo nie ma ani odrobiny.

- Naprawdę? Tak powiedziałam? I ty mi odpowiedziałaś? Mam pamięć jak rzeszoto - rzekła, przewracając oczyma. - Boże, nie pozwól, żebym dostała alzheimera! - Podniosła kubki z herbatą. - Może wypijemy w ogrodzie? Tam jest całkiem jak w lecie, chociaż mamy dopiero marzec. A potem może mi pomożesz wynieść wszystko z kuchni, zanim murarze jej nie rozwalą na drobne kawałki.

Diana obiecała, że pomoże. Poszła za Megan przez oranżerię do zalanej słońcem części ogrodu. Pod wielkim, szeroko rozgałęzionym drzewem z liśćmi ogromnymi jak talerze stał żelazny stół z czterema takimiż krzesłami i solidna drewniana ławka. Z drzew kapala rosa; rosa błyszczała też na trawie, jak diamenty.

Diana zadrżała z zimna. W ogrodzie może i było jak w lecie, jednak dosyć chłodno, poza tym czuła przez sukienkę wilgoć na drewnianej ławce.

- Która to godzina? - zapytała.

- Za kwadrans ósma, kochanie. Kiedy już wschodzi słońce, nie mogę wytrzymać w łóżku.

- Daleko pani mieszka?

- Przy Burbo Bank Road.

Dianie ta nazwa nic nie mówiła: nigdy o tym miejscu nie słyszała.

- Och, to właściwie żadna odległość. Mam mieszkanie z widokiem na rzekę. Ale, ale: proszę, mów do mnie Megan. - Chudą, kościstą ręką uściśnęła kolano Diany. - Megan Sylvester.

- Megan... - na próbę powtórzyła Diana.

Nigdy dotąd nie знаła nikogo o tym imieniu. Nigdy dotąd też nie siedziała w ogrodzie, który wyglądał jak mały lasek. Chociaż było jej chłodno, nic to nie przeszkadzało. We wszystkim tego ranka było coś zupełnie nowego: niemal jak wyzwanie. Nawet herbata inaczej tu smakowała.

Z przyjemnością się przeciągnęła.

Jakiś ogromny kocur, na wpół rudy, na wpół biały, wkroczył do ogrodu, jakby był jego właścicielem. Zupełnie nie zwracał na nie uwagi. Wyciągnął się na trawie przed szopą i zabrał do uważnego studiowania ptaszków. Diana przypomniała sobie pomarańczową plamę na dachu oranżerii. Najwyraźniej kot lubił to miejsce.

- Robotnicy będą tu o ósmej, żeby zacząć pracę przy domu -powiadomiła Dianę Megan. - Brodie nie mogła się zdecydować, na jaki kolor pomalować kuchnię. Kupiła już nowe szafki, jasny dąb, ale jeszcze nie zamówiła kafelków ani farby do malowania ścian.

- A czy będzie też nowa lodówka? - zainteresowała się Diana.

- Och, z pewnością. Widziałam na zamówieniu. Taka na pół lodówka, na pół zamrażarka. I będzie też nowa kuchenka, z płytą ceramiczną.

Bardzo łatwo utrzymać ją w czystości.

Diana z uznaniem kiwała głową. O kuchenkach z ceramicznymi płytami wiedziała dosłownie wszystko, bo jedną taką kupiła do kuchni na Coral Street.

Coś zaszeleściło w gałęziach nad stołem. Diana zobaczyła, jak dwie wiewiórki gonią się po jednej z gałęzi. Zeskoczyły na ziemię, znieruchomiały na moment, jakby próbując ustalić, gdzie są, po czym jak błyskawice wskoczyły na inne drzewo i zniknęły w gęstwinie liści.

- Och... - westchnęła z zachwytem Diana. - Jakie urocze!

- Tak, wyglądają miło, ale to w gruncie rzeczy małe żarłoczne dranie -

z pogardą rzuciła Megan. - Wyobraź sobie tylko! Kiedy tu jeszcze mieszkałam, karmiłam je codziennie. Wiesz, kochanie -Megan znowu ścisnęła kolano Diany - że nasza Brodie zadzwoniła do mnie wczoraj wieczór i opowiedziała mi wszystko o tobie. Obie się zastanawialiśmy, co się dzieje z twoją matką?

- Mieszka w Nottingham ze swoim drugim mężem, Warrenem.

Nieczęsto ich widzimy. Mają dwóch chłopczyków.

Diana czasami myślała, że skończy się na tym, że i nimi będzie się musiała zaopiekować.

Nie żeby miała coś przeciw temu!

Brodie zastanawiała się, czy ma włożyć dżinsy i podkoszulek, czy coś ładnego. Miała zamiar pojechać zaraz do „Kasztanów”, gdzie wszystko czekało tylko na przyście robotników, ale to przecież nie ona, lecz oni mieli wszystko wysprzątać i odnowić. Sama wolała się trzymać od tego z daleka.

Dobrze! Nigdy nie lubiła dżinsów.

Wyciągnęła z szafy sukienkę w czarno-białą szachownicę, zapinaną z przodu na guziki aż do samego dołu, i rozłożyła ją ostrożnie na łóżku; z komody wyjęła czystą bieliznę i rajstopy, wybrała kolczyki i dopiero wtedy poszła pod prysznic.

Colin, jak zwykle po kąpieli, rzucił swój ręcznik byle gdzie: leżał

teraz w łazience na podłodze jak wilgotna kupka nieszczęścia. Brodie podniosła go, włożyła do kosza z rzeczami do prania i wyjęła inny z ciepłej szafki-suszarki.

Stojąc pod gorącym prysznicem, myślała o Colinie.

Zastanawiała się, czy ich małżeństwo wróci jeszcze kiedyś do dawnego, szczęśliwego stanu. Pamiętała namiętność na początku ich związku, wzruszenie i zachwyty, kiedy urodziły się dzieci, wzajemne zadowolenie pomiędzy tamtymi latami a dniem dzisiejszym. Te lata były naprawdę pełne harmonii.

Wyszła spod prysznica i mocno się wytarła: szorowała skórę aż do bólu.

Nie, powrót ich dawnego małżeństwa nie jest możliwy.

Różnili się zdecydowanie co do jednej, zasadniczej kwestii. To był

pierwszy kryzys w ich wspólnym życiu. Odtąd, niezależnie od tego, co się może wydarzyć, nieważne, jak może być źle, nie mogła polegać na Colinie: w każdej sprawie miał inne zdanie niż ona. Cierpiąc, odwrócił

się od niej. Wolał być ze swoim okropnym ojcem, gadającym głupie dowcipy i traktującym syna jak szczeniaka-nastolatka.

Już miała powiesić ręcznik na drzwiach łazienki, kiedy zadzwonił

telefon. Skromnie owinięta ręcznikiem swoje drobne, zgrabne ciało, chociaż była w domu zupełnie sama, i wbiegła do sypialni odebrać.

Serce zaczęło jej bić nieco szybciej.

- Halo, mammo. Jak tam?

- Tak jak zawsze, kochanie.

Opadła na łóżko z ręką na sercu, jakby je chciała uspokoić. Była gorzko zawiedziona, bo dzwonił Josh, mimo że kochała syna całym sercem. Problem polegał na tym, że stale czekała na telefon od kogoś innego.

- Czy będzie w porządku, jeżeli przyjadę na ten weekend z kumplem, z Murdochem? Jego tata ma fioła na punkcie starych samochodów i Murdoch chciałby zrobić parę fotek triumpha taty i wysłać ojcu.

- Naturalnie, że w porządku. - Bardzo już się stęskniła za widokiem syna. - Zostaniecie na noc?

- Nawet na dwie noce, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, mammo.

- To jest przecież nadal twój dom, Josh - powiedziała ciepło - i wiesz, że zawsze tu możesz przywieźć przyjaciół. - Z przyjemnością kupi dla nich obu jedzenie. - Murdoch to imię czy nazwisko?

- Pojęcia nie mam - mętnie odparł Josh. - To Szkot - dodał, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

Brodie jeszcze się dopytywała, czy Murdoch nie jest wegetarianinem, czy nie przestrzega żadnej dziwacznej diety, wymagającej specjalnego pożywienia, i czy nie jest wrogiem wina. Josh spytał, jak się miewa ojciec.

Opowiedziała mu też o „Kasztanach” i Dianie.

- Zaraz tam jadę dowiedzieć się, jak się ma. Dziś przychodzą robotnicy do remontu kuchni.

Josh stwierdził, że chętnie by tam zajrzał w ten weekend. Dotychczas widział „Kasztany” tylko z zewnątrz.

- A jak tam twoje ostatnie interesy? - zagadnęła go Brodie. Musiał jej już chyba mówić, co to za interesy, ale zapomniała.

Josh, dobrze się zapowiadający biznesmen, niestety jak dotąd bez powodzenia, robił wszystko, żeby żyć, nie chodząc do pracy w żadnym typowym biurze czy firmie. Dotąd zaczynał mnóstwo drobnych interesów, z których na razie żaden nie wypalił.

- Ostatnio sprzedaję książki na aukcjach internetowych - powiedział. -

Idzie mi nie najgorzej, ale nie zarabiam dosyć, żeby za to żyć.

- Pewnego dnia zarobisz! - Brodie starała się, żeby to zabrzmiało zachęcająco. Chciałaby, żeby jej syn zajął się jakąś zwyczajną pracą jak synowie tylu kobiet, które znała.

- Były jakieś wiadomości od Maisie? - spytał w końcu Josh.

Z tonu jego głosu Brodie mogła wywnioskować, że to pytanie zostawił sobie na koniec rozmowy, gdyż obawiał się odpowiedzi. Cóż, mogła być tylko zła, bo w przeciwnym razie matka od razu by mu o tym powiedziała.

- Nie było żadnych - odparła. Zaraz po tym Josh odłożył słuchawkę.

Nadal owinięta ręcznikiem, Brodie weszła do pokoju Maisie i stanęła w oknie, które wychodziło na ogród za domem. Kiedy się tu wprowadzali, dom w Crosby dopiero co zbudowano, a ogród stanowiła zaledwie plama czerwonej ziemi. Teraz to było morze zieleni, niewielkich drzew i krzewów, dorodnych i rozrośniętych, jakby chciały zaraz rozkwitnąć. Trawa tylko czekała na przystrzyżenie -

pierwszy raz w tym roku.

Zjeżdżalnica i drabinki do wspinania się dla dzieci zniknęły z ogrodu już dawno, huśtawka jednak pozostała. To Maisie się uparła, żeby ją zostawić. Bardzo lubiła na niej siedzieć w ciemno-

ści i pomalutku się huścić, marząc o życiu i rozmaitych sprawach.

Kiedyś, gdy Brodie ją o to zapytała, odparła: „Planuję tam swoją przyszłość”. Brodie jęknęła.

Wsadziła pięść do ust i zagryzła kostki palców. Maisie z pewnością nie mogła planować tego, co się z nią naprawdę stało!

Rzuciła się twarzą w dół na wąskie łóżko przykryte żółtą jak jaskier kapą i wybuchnęła płaczem.

Moja dwudziestoletnia córka jest narkomanką. Nie wiem, gdzie teraz jest - myślała - jak zdobywa pieniądze na kupowanie narkotyków.

Mogła tylko sobie wyobrażać najgorsze.

A Colin nie okazał się żadną pomocą. Początkowo się martwił, ale bardzo szybko z tym skończył.

- To jest coś, co Maisie musi sama rozwiązać - mówił z twardym, nieustępliwym wyrazem twarzy. - My tu nie możemy nic zrobić.

Zdecydowanie odmówił dalszych dyskusji na ten temat. Od tej chwili Maisie ani jej problemy dla niego nie istniały.

Brodie początkowo wysyłała córce czeki, ale kiedy sprawdziła swoje konto, okazało się, że nie były realizowane. Wtedy zaczęła posyłać gotówkę.

Colin mówił jej, że oszalała.

- Przecież wyda to tylko na narkotyki - twierdził zimno.

- Wolę, żeby dostawała pieniądze od nas, to znaczy ode mnie - upierała się Brodie.

Drżała na myśl, jakimi sposobami jej słodka, śliczna córeczka zdobywałaby pieniądze, gdyby ich nie dostawała od matki.

Tuż przed Bożym Narodzeniem ostatnia koperta z pieniędzmi wróciła z Camden z adnotacją: „Już nie mieszka pod tym adresem”.

Od tego czasu Brodie nie miała żadnych wiadomości o córce. Nie miała też pojęcia, dokąd dziewczyna mogła pojechać. Napisała do jedynej osoby w Londynie, przyjaciółki Maisie, która mogła cokolwiek o niej wiedzieć.

Niestety - Coleen nic nie wiedziała.

Robiłam wszystko, żeby być z nią w kontakcie - pisała Coleen - ale kiedy ostatni raz poszłam na to wysypisko śmieci w Willesden, już stamtąd zniknęła....

Brodie w ogóle nie wiedziała, że jej córka mieszkała w Willesden - i to na wysypisku śmieci!

Josh też od wielu miesięcy szukał siostry, niestety bezskutecznie.

Na dole ktoś wszedł do domu tylnymi drzwiami.

To jej teść, George, przyjechał pracować przy samochodzie syna.

Colin odnawiał swojego triumpha z namiętnością, którą dawniej rezerwował tylko dla żony i dzieci. Nic nie było za dobre dla tego grata, nie żałował żadnego wydatku na zrobienie nowych części i dosłownie cały swój wolny czas spędzał w garażu, w którym stał triumph.

Samochody jego i Brodie parkowały na podjeździe.

Brodie prześlizgnęła się do własnej sypialni i szybko się ubrała.

Posmarowała kremem i upudrowała twarz, sprawdzając, czy oczy jej nie podpuchły. Nie chciała, żeby George wiedział, że płakała.

- 'bry - rzucił szorstko, wchodząc do kuchni. Nalał sobie wody do kubka i wrzucił torebkę z herbatą.

Zbliżał się do siedemdziesiątki. Był nawet przystojnym mężczyzną, ze srebrnoszarymi włosami, które tylko odrobinę mu się przerzedziły na czubku głowy, i z mocną, butną twarzą. Kiedyś pracował jako brygadzysta w fabryce samochodów po drugiej stronie zatoki, w Birkenhead, i miał opinię wcielonego szatana w robocie.

- Dzień dobry - odparła Brodie z uśmiechem.

George nigdy nie pukał, tylko bez żenady wchodził i wychodził, jakby był u siebie. Była pewnie nierozsądna, spodziewając się, że jej teść zachowa się tak, jak ona sama zachowywała się w jego domu. Nie zносиła tego człowieka.

Nie ona jedna zresztą.

Żona George'a, Eileen, opuściła go po przeszło czterdziestu latach małżeństwa, kiedy przeszedł na emeryturę. Nie potrafiła z nim wytrzymać pod jednym dachem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

George był despotą, który uważał, że tylko on jeden zawsze ma rację i zdecydowanie odmawiał przegrania sporu, niezależnie od

tego, jak kretyńską pozycję w nim zajmował. Upierał się na przykład, żeby razem z Eileen chodzić do supermarketu, gdzie się kompletnie szarogęsił: wybierał najtańsze mięso i jarzyny, nie zgadzał się na kupowanie czegokolwiek organicznego, odstawił ulubiony proszek do prania Eileen z powrotem na półkę po to, żeby kupić inny, o którym nie miał pojęcia, jakby chciał po prostu udowodnić żonie, że od tej chwili sprawy będą załatwiane tak, jak on zechce.

- Nigdy w życiu niczego nie uprał ani nie ugotował - łamiącym się ze zdenerwowania głosem mówiła Eileen do Brodie, swojej synowej.

Były najlepszymi przyjaciółkami.

- Przez wszystkie te lata opiekowałam się nim i czwórką dzieci, ale George uważa, że to nic nie znaczy. I jeszcze coś: absolutnie odmawia wejścia do kawiarni w supermarkecie, kiedy już zrobimy te nieszczęsne zakupy. A ja to zawsze najbardziej lubię: wypić kawę i zjeść ciastko przed pójściem do domu. Kiedy tam chodziłam w piątki rano, zawsze spotykałam w kawiarni te same panie. Widywałyśmy się regularnie.

W końcu, rok temu, nie będąc już w stanie dłużej znosić życia z George'em, Eileen wyjechała do Londynu i zamieszkała ze swoją owdowiałą siostrą Mary. Spędziły razem ostatnią zimę w Goi, gdzie była piękna, ciepła pogoda, a wydatki na mieszkanie i życie stanowiły ułamek tego, co w Anglii.

- Gdzie jest cukier? - burknął teraz George.

- Tam gdzie zawsze: w czerwonym naczyniu z napisem „CUKIER”.

Nie byłaby może aż tak sarkastyczna, gdyby się pofatygował i dodał

do swojego pytania „proszę”.

Wsypał trzy duże łyżki cukru do kubka i z hukiem opadł na krzesło przy kuchennym stole, chyba naumyślnie, jak się wydawało Brodie, jakby wiedział, że to ją zirytuje.

Planowała się czegoś napić przed wyjściem. Zamiast tego wyjęła karton mleka z lodówki i pożegnała się z George'em grzeczniej, niż na to zasługiwał. Następnie wyszła z domu, wsiadła do swojej toyoty yaris i pojechała do Blundellsands.

Gdyby jej stosunki z Colinem były lepsze, oboje pewnie śmialiby się z jego okropnego ojca. Teraz to tylko zwiększało dzielący ich dystans.

Kiedy Brodie przyjechała na miejsce, przed willą „Kasztany” stała już furgonetka z napisem z boku „F. PETERSON I SYNOWIE: MALOWANIE, ODNAWIANIE, HYDRAULIKA I WSZELKIE

PRACE BUDOWLANE”.

Polecił ich przyjaciel jej matki, Leonard Gosling. Mówił, że pięknie odnowili jego mieszkanie. Ponieważ zaś Leonard był strasznie wybredny, musieli naprawdę dobrze pracować.

Z wnętrza domu dobiegały jakieś bardzo niszczycielskie odgłosy, jakby ktoś coś rozbijał kowalskim młotem. Brodie skrzywiła się.

Jej matka i Diana siedziały w ogrodzie na ławce, obie z kubkami w dłoniach. Pomachały, kiedy ją zobaczyły.

- To brzmi, jakby zaczęli pracować z dużą zawziętością - zauważyła Brodie. - Czy woda i prąd są nadal włączone? Umieram z pragnienia.

Napiłabym się herbaty. Przywiozłam trochę mleka, na wypadek gdyby już nic nie zostało.

Jej mama odparła, że nalala pełne wiadro czystej wody, tak że powinno starczyć na cały dzień. Nie miała pojęcia, czy elektryczność jest włączona, czy nie.

- Pójdę i sprawdzę - oświadczyła Brodie. Diana zerwała się i pozbierała brudne kubki.

- Proszę, usiądź, zrobię ci herbaty. Może mi dasz to mleko.

- No, czyż nie jest urocza? - Brodie opadła na ławkę obok matki. -

Mówiłam ci, że jest bardzo miła, prawda?

- Tak, rzeczywiście. Bardzo ją polubiłam. - Megan machnięciem ręki wyraziła swoje uznanie dla Diany. - Aha, i jest katoliczką, więc będziemy mogły razem chodzić na mszę. I wiesz co? Jej matka zdaje się drugi raz wyszła za mąż i mieszka w Nottingham. Ma dwóch nowych synków. A ten jej ojciec też mi wygląda na dobre ziółko: kupił

dom od właściciela, zanim się zmył nie wiadomo gdzie, więc płacą tylko niewielką miesięczną kwotę za hipotekę. -

Wyraz twarzy Megan się zmienił, była teraz smutna. - Szkoda, że twój tata i ja nie mieliśmy więcej dzieci. Bardzo chciałabym mieć dużą rodzinę... Tyle że troje moich malarstw zmarło, nim ty się urodziłaś, a zaraz potem twój biedny tata umarł, zanim mieliśmy czas, żeby znowu spróbować! - Uśmiechnęła się niewesoło. Matka była najsilniejszą i najbardziej pozytywnie myślącą osobą, jaką Brodie kiedykolwiek знаła. - Ale na szczęście mam ciebie, kochanie, no i dwójkę wspaniałych wnucząt. Odzywali się do ciebie ostatnio?

- Josh telefonował dziś rano. Przyjedzie do domu na weekend z jakimś swoim kolegą. Musisz do nas przyjść na obiad, mammo. A co do Maisie - skłamała Brodie - to ma ostatnio nowego chłopaka. - Starła się nie mówić matce prawdy o Maisie, nie chcąc jej martwić, a może dlatego, że się po prostu wstydziła. - Jest pewnie za bardzo nim zajęta, żeby sobie teraz zawracać głowę rodziną.

- Napijcie się herbaty? - spytała Diana braci Petersonów, Russella i Lea.

Ich ojciec był akurat uwiązany przy robocie w Everton Valley, gdzie naprawiał komuś toaletę. Miał przyjechać dopiero później, jak wyjaśnił

Leo. Segmenty kuchenne były już rozmontowane i na ścianach zostały tylko brzydkie ślady, jakby kuchnia przeszła właśnie jakąś paskudną chorobę. Na miejscu zostały tylko krany i zlew. Półki też już były zdjęte. Wszystko złożono na kupę pośrodku pomieszczenia, co wyglądało jak gotowe do rozpalenia ognisko.

- Nie powiem nie - odparł Russell.

Był postawnym, mniej więcej dwudziestoletnim chłopakiem z prostymi, czarnymi jak kruk włosami i groźnie krzaczastymi brwiami.

Miał na sobie kamizelkę bez rękawów i tatuaże w formie drutów kolczastych na obu ramionach.

Leo był starszy, drobniejszy i bez tatuaży. Włosy też miał czarne, ale mocno kręcone, a brwi delikatniejsze.

Dianie podobał się bardziej niż jego brat.

Uśmiechnął się nieśmiało.

- I ja bym nie odmówił...

Diana napełniła czajnik: woda nie była jeszcze wyłączona, zresztą elektryczność też nadal działała. Czekając, aż się woda zagotuje, przyniosła pięć kubków i herbatę w torebkach z oranżerii, do której przedtem razem z Brodie wyniosły wszystkie rzeczy z kuchni. Ona też miała jeszcze ochotę na herbatę i była pewna, że Megan również.

Russell powiedział:

- Ten zlew to następna rzecz do wyrzucenia. Jak żyję, nie widziałem takiego staroświeckiego zlewu! To prawdziwy antyk, jak Boga Kocham.

Zlew był biały, głęboki i kwadratowy, tak duży, że można by w nim namoczyć równocześnie parę prześcieradeł.

- Czy któryś z was słodzi? Russell słodził, Leo odmówił.

Dziesięć minut później wszystkie panie znowu siedziały w ogrodzie, a chłopcy musieli już chyba wypić swoją herbatę, bo łomot w kuchni zaczął się od nowa. Megan stwierdziła, że przypomina jej to nalot podczas wojny.

- Tak samo się czułam podczas nalotów bombowych - zauważyła -

tyle że nie muszę się bać, że mnie zabiją.

W południe Diana wybrała się do siebie, na Coral Street.

Zawołała: „Hej, to tylko ja!”, na wypadek gdyby Emma była w domu, ale, jak zresztą przypuszczała, odpowiedzi nie było. Emma o tej porze odbywała pewnie swoją codzienną wizytę u siostry w Walton Vale.

Kartka, którą Diana wczoraj zostawiła, zniknęła zza zegara, ale tego też mogła się przecież spodziewać. Rozejrzała się: chłopcy na pewno ją gdzieś zostawili, podała tam przecież swój nowy adres! Kiedy nigdzie jej nie zobaczyła, pomyślała, że jeden z nich pewnie ją schował. Chyba Damian.

Być może odniosła mylne wrażenie, ale dom chyba nie wyglądał

dzisiaj tak czysto, jak zazwyczaj; jakby z chwilą, kiedy zabrakło Diany, Emma pozwoliła sobie na zaniedbania.

- Przecież nie ma mnie raptem od dwudziestu czterech godzin!

-powiedziała sama do siebie.

A jednak w zlewie leżały nieumyte naczynia, a kiedy Diana weszła na górę, stwierdziła, że nikt nie pościelił łóżek.

W salonie unosił się jakiś dziwny zapach, a w popielniczce przy kominku leżały dwa nienaturalnie wielkie niedopałki.

Diana wzięła jeden i powąchała.

- Trawka! - zawyrokowała na głos.

Aż jej się zrobiło niedobrze. Zawsze była strasznie przeciwna narkotykom. Do znużenia tłumaczyła braciom, jak takie rzeczy niszczą ludziom życie.

- Gdyby któryś z was wpadł w narkomanię - wywodziła surowo -nie tylko on by cierpiał, ale cała nasza rodzina.

Była nawet dość zadowolona, że - w każdym razie dotychczas -słuchali jej.

Wyniosła popielniczkę na podwórze i wysypała zawartość do kubła na śmieci. Pozmywała naczynia i pościeliła łóżka. Kiedy Emma wróci do domu, zorientuje się, że Diana ciągle tu jest.

Co do narkotyków... nie wiedziała, co zrobić. Trawka nie była chyba tak groźna jak heroina czy kokaina. Nie miała zamiaru wracać do domu i spać w służbowym pokoiku tylko po to, żeby mieć braci na oku. Tak czy owak, naprawdę czuła się zraniona, że się nie pofatygowali i nie przyszli do niej.

A może po prostu się cieszą, że się pozbyli swojej apodyktycznej starszej siostry?

To naprawdę niesamowite, pomyślała Emma, kiedy wróciła do domu i zastała pozmywane naczynia i pościelone łóżka.

To mogła być tylko Diana... Ale nadal było w tym coś dziwnego.

Dziś rano Emma uznała, że nareszcie nie musi się starać: dała sobie spokój z robotami domowymi i wypaliła parę skrętów podczas oglądania tele. Gdyby Damian wiedział, że Emma pali, będąc w ciąży, dostałby chyba ataku szału. Teraz popielniczkę opróżniono... Ta cholerna Diana jest chyba jednak za głupia na to, żeby

wiedzieć, co to skręt, więc raczej nie ma szansy, żeby powiedziała o tym Damianowi, nawet jeżeli się spotkają.

Kartka od Di nadal leżała pod lodówką i jeśli idzie o Emmę, mogła tam zostać na wieki wieków.

Damian O'Sullivan łamał sobie głowę, starając się sobie przypomnieć nazwiska osób, z którymi jego siostra pracowała w centrum informacyjnym, ale nie pamiętał ani jednego. Jedyne nazwisko Murphy brzmiało znajomo, a facet chyba mieszkał na sąsiedniej ulicy.

Bill Murphy? Phil Murphy? Coś w tym rodzaju...

Poszukał nazwiska Murphy w spisie telefonów i znalazł G. Murphy na Garnet Street. Wybrał numer, odebrał jakiś mężczyzna. Damian spytał, czy pan Murphy pracował w centrum informacyjnym, a jeżeli tak, to czy zna Dianę O'Sullivan.

Mężczyzna odpowiedział twierdząco na oba pytania.

- Pamiętam Di. Miły dzieciak. Wszyscy ją lubiliśmy. Chyba mieszkała w Bootle, tak jak i ja.

- Czy pan wie, gdzie ona teraz pracuje?

- Nie mam pojęcia, kolego. Może jeszcze nie znalazła nowej pracy, tak jak ja? No, ale ja mam pięćdziesiąt sześć lat, nie jestem już młodziakiem jak Di. Jesteś jej bratem? Wiem, że ma ich trzech.

Zawsze o nich opowiadała. Bardzo była z was dumna.

- Nie... jestem tylko kolegą.

Damian za bardzo się wstydził, żeby się przyznać, że jest bratem Diany i nie wie, gdzie się podziewa jego siostra, która w dodatku była z niego taka dumna.

- No dobrze. Kiedy ją znajdziecie, powiedz, że Gil Murphy o nią pytał.

- Naturalnie. Aha! Wiesz, Gil, w sklepie fabrycznym Gordona na Dock Road szukają ludzi do pracy, w dodatku wolą takich po pięćdziesiątce.

Odłożył słuchawkę, zanim mężczyzna zdążył mu podziękować.

Damian pracował w Centrum Zatrudnienia. Nigdy nie dostałby tak poważnego i odpowiedzialnego zajęcia, gdyby Di nie zachęcała

go do pilnego uczenia się, tak że w końcu skończył szkołę średnią ze zdanymi ośmioma egzaminami, w tym dwoma z oceną celującą. Musi ją odnaleźć.

Kiedy Diana wróciła do willi „Kasztany”, nie było tam już śladu Megan ani Brodie, a kuchnia wyglądała jak pobojuwisko. Zostało w niej tylko parę rur i kabli, sterczących ze ścian. Wszystkie rzeczy zostały zwalone na stół włącznie ze zlewem i starą kuchenką, której boki, od lat ukryte przed ludzkim wzrokiem, były zarośnięte brudem i pokryte starym tłuszczem. To, co pozostało z linoleum w marmurkowy wzór, zostało podarte na kawałki.

Russell i Leo gipsowali teraz ściany, podczas gdy jakiś starszy pan stał na drabinie i malował sufit.

- Och, pięknie to wygląda - zachwyciła się Diana.

- Kpisz sobie z nas, panienko? - parsknął mężczyzna na drabinie. To musiał być pan Peterson, ojciec chłopców. - Do końca jeszcze bardzo daleko!

- Ale już teraz wygląda o wiele lepiej niż przedtem. - Pomieszczenie robiło wrażenie dwa razy większego, poza tym było o wiele jaśniejsze i bardziej przewiewne.

- Łatwo cię zadowolić, panienko. Kiedy skończymy, będziesz po prostu zachwycona - sucho stwierdził pan Peterson.

Diana przyznała mu rację.

- Pewnie tak...

- Wiesz może, jakiego koloru ściany życzyła sobie pani Logan?

- Nie, ale wyobrażam sobie, że powinny być musztardowe z jaskrawoczerwonymi kafelkami, a podłoga ciemnobrązowa.

Widziała to bardzo wyraźnie.

- Hm... To dosyć niezwykle połączenie.

- Dla mnie fantastyczne - wtrącił się Leo. Na nosie miał smugę z gipsu. Russel włożył słuchawki na uszy i nawet nie zauważył wejścia Diany, w każdym razie nie było tego po nim widać.

Woda teraz była wyłączona, ale pan Peterson obiecał, że ją włączy, zanim stąd wyjdą wieczorem.

Korzystając z wiadra wody nabranej przez Megan, Diana przygotowała dla wszystkich herbatę, po czym wycofała się w zacisze swego pokoju - czy też raczej tego pokoju, który, jak miała nadzieję, wkrótce zostanie pokojem Brodie. Biedna Brodie robiła wrażenie okropnie nieszczęśliwej: w jej rodzinie musiało się wydarzyć coś naprawdę strasznego. Diana dobrze знаła to uczucie.

Petersonowie, wychodząc wieczorem po pracy, zawołali do niej: „Cześć, kotku” i „Dobranoc, Diano!”.

Po ich wyjściu w wielkim domu zapadła cisza. Diana włączyła telewizor i zabrała się do kanapek przyniesionych dla niej przez Brodie. Niedaleko stąd, na College Road, był sklep z rybą z frytkami.

Później może wyjść i kupić sobie porcję...

Ale wtedy będzie musiała wrócić do zupełnie pustego domu. A poza tym akurat mogliby tu przyjść jej bracia i nie zastaliby jej!

Pozornie między Brodie a Colinem nie było źle.

Colin, jako nauczyciel, był już w domu, kiedy Brodie wróciła po spędzonym z matką popołudniu. Pomagała dzisiaj porządkować tę część ogródka, która należała do mieszkania Megan.

Colin wyszedł z garażu uśmiechnięty i pocałował ją w policzek. Poza kilkoma siwymi włosami, które się ostatnio pojawiły, nie stracił ani trochę ze swojego chłopięcego wyglądu. Pozostał mu też szeroki uśmiech, który tak jej się podobał, kiedy się poznali.

- Witaj, kochanie. Miałaś miły dzień?

- Tak, dziękuję.

Byli dla siebie ostatnio niezwykle uprzejmi, lecz gdyby tylko Brodie wspomniała o Maisie lub choćby jednym słowem skrytykowała jego ojca, uśmiech natychmiast zniknąłby z twarzy Colina. Zrobiłby się szorstki i niegrzeczny.

- A jak twój dzień? - zapytała ona z kolei. Skrzywił się.

-

W czasie obiadu było trochę nieprzyjemnie. Dwóch czternastoletnich chłopaków pobilo się o dziewczynę. Jeden ma złamany nos, trzeba go było zawieźć do szpitala.

- Okropność! - rzekła Brodie ze współczuciem. Wiedziała, że nauczanie to teraz trudny zawód. Poza tym była w stanie zrozumieć obsesję męża na punkcie naprawy starego triumpha. Ta praca pozwalała mu zapomnieć o przykrych zawodowych sprawach. - Na podwieczorek będzie sałata i *quiche**. Za chwilę podaję.

Poklepał się po żołądku.

- Świetnie. Umieram z głodu. Aha, nie zapominaj, że tata nie lubi sałaty. Może mogłabyś mu zrobić trochę frytek?

- Hm... Nie wiedziałam, że George zostanie na podwieczorek. Lekko zmarszczył czoło.

- Wiesz cholernie dobrze, że ostatnio zawsze zostaje na podwieczorek, Brodie.

Nie odpowiedziała. Weszła do domu, Colin poszedł za nią. Kiedy już byli w kuchni, stanął przy drzwiach, patrząc na nią wilkiem.

- Masz coś przeciwko temu, żeby mój ojciec jadł z nami?

- Ależ skąd! Czekałam cały dzień na tę chwilę.

Dlaczego, ach, dlaczego nie była w stanie trzymać buzi na kłódkę?

Ostatnio w jej odpowiedziach pojawiała się nuta sarkazmu. Dawniej nawet nie wiedziała, co to sarkazm.

- To samotny, stary człowiek. Gdyby nie my, musiałby teraz wracać do pustego domu.

Już chciała odpowiedzieć, że jej to nic nie obchodzi, i spytać, dlaczego Colin jako jedyny z czworga dzieci Loganów czuje potrzebę wzięcia ojca pod skrzydła. Poza tym nie byłby wcale samotnym starym człowiekiem mieszkającym w skądinąd pustym domu, gdyby nie zachowywał się stale tak obraźliwie w stosunku do własnej żony, że w końcu od niego uciekła.

Chętnie też by się dowiedziała, czemu jej mąż okazuje tyle cierpliwości ojcu, a nie ma jej ani odrobiny w stosunku do córki.

Nie zadała jednak żadnego z tych pytań. Pytała o to już tyle razy przedtem! Była to jedynie strata czasu, a atmosfera w domu robiła się przez to jeszcze gorsza.

* *Quiche* (fr.) - rodzaj ciasta zapiekanego z serem, wędliną lub

szpinakiem.

Wyjęła z lodówki *quiche*, zaczęła szykować sałatę i włączyła piecyk, by usmażyć frytki.

Colin bez słowa poszedł z powrotem do garażu. Ten wieczór już się źle zaczynał, ale właściwie teraz wszystkie ich wieczory były właśnie takie. Bardzo możliwe, że w dodatku George uzna za stosowne zostać dłużej: będzie oglądał telewizję, a potem zacznie się wyśmiewać z *EastEnders*, programu, który Brodie naprawdę lubiła.

W końcu postanowiła, że obejrzy program u siebie w sypialni.

Przy podwieczorku było jeszcze gorzej. George - już zresztą któryś raz z kolei - wyraził głośno swoje poparcie dla wojny w Iraku, chociaż właśnie dzisiaj zginął tam kolejny brytyjski żołnierz.

- A co do tego tam Saddama Husajna, to krzyżyk na drogę! Baba z wozu, koniom lżej!

Wiedział doskonale, że syn i jego żona są przeciwni tej wojnie.

Wzięli nawet udział w słynnym marszu dwóch milionów przez Londyn dwa lata przed pójściem Maisie na uniwersytet, kiedy Josh był na drugim roku studiów. Wtedy jeszcze Eileen nie odeszła od George'a.

Z kolei Brodie i Colin, pomimo rozpaczliwych problemów świą-towych, uważali wówczas, że jednak nadejdą lepsze czasy. Mieli wtedy mnóstwo planów, co będą robić podczas letnich wakacji, kiedy dzieci już odejdą z domu: na przykład kupią sobie małą posiadłość we Francji albo pojadą do Australii odwiedzić Lucy, najlepszą przyjaciółkę Brodie z czasów szkolnych, która tam zamieszkała.

Omawiali nawet możliwość pracy w sierocińcu w Indiach!

Życie wydawało im się wtedy naprawdę wspaniałe. Dlaczego wszystko się ułożyło zupełnie inaczej, o tyle gorzej? Słuchając gardłowania teścia, Brodie nie była w stanie sobie na to odpowiedzieć.

Myślała o „Kasztanach” i próbowała sobie wyobrazić, jak będzie tam wyglądało, kiedy się zrobi nową kuchnię, pomaluje sufity, umyje tapety na ścianach i upierze zasłony. Już dzisiaj zaniósła do pralni zasłony z pokoju Diany. Pomyślała, jak miło byłoby mieszkać z Dianą w tym domu, w sąsiednim pokoju, i z innymi paniami, które zamieszkają na górze (postanowiła nie wynajmować mężczyz-nom, bo może się zdarzyć ktoś podobny do George'a, a wtedy na pewno będzie chciał tam rządzić).

Ten pomysł był naprawdę pociągający. Nie może być gorzej, niż jest teraz. Przypomniała sobie, że Diana przecież mówiła coś bardzo podobnego.

Megan już wiele lat temu, kiedy wieczorem zamykała oczy, zastanawiała się, czy też je otworzy następnego ranka. Sama myśl o tym ją przerażała, chociaż taka śmierć byłaby spokojna, a ona by nawet o niczym nie wiedziała. To sto razy lepsze, niż gnić powoli, bez mózgu, w jakimś domu starców, i męczyć biedną Brodie, która czułaby się w obowiązku odwiedzać ją w każdą niedzielę. Ba, znając Brodie, robiłaby to może nawet codziennie!

Tak, odejść podczas snu, to byłoby błogosławieństwo. Przemawiało za tym naprawdę bardzo wiele. Byłby to może szok dla rodziny, ale chyba to jednak lepsze, niż gdyby mieli oglądać kochaną osobę, jak umiera powoli i w cierpieniach.

Wsunęła się głębiej pod pościel. Elektryczny koc był włączony.

Chociaż już zbliżał się kwiecień, ona nadal używała zimowej kołdry.

Są pewne drobne luksusy, które zawsze cieszą niezależnie od wieku.

Kiedy jeszcze mieszkała w Irlandii, zimą dzieci brały sobie do łóżka ciężkie jak głaz butle z gorącą wodą. Od dziecka nie znosiła uczucia zimna w łóżku.

Miała piękne dzieciństwo.

Nawet później, już po zamieszkaniu w Liverpoolu, żyło im się dobrze, chociaż Megan zamęczała matkę narzekaniami na niewygodne, piętrowe łóżko i inne takie rzeczy. Ona, jej matka i Brodie na zmianę spały na dolnej pryczy, ale Megan bez przerwy marudziła, jak serdecznie tego nienawidzi - tak jakby matka mogła stworzyć dla niej z niczego osobne łóżko do spania, a może jeszcze dodatkowy pokój!

O Boże! Po co w ogóle pomyślała o Brodie? O tamtej Brodie -swojej siostrze. Teraz już na pewno nie zaśnie. Megan aż się skuliła

ze wstydu na samą myśl o strasznym świństwie, które sześćdziesiąt lat temu zrobiła swojej siostrze. Ale cóż! Była zanadto zakochana i nie mogła nic na to poradzić! Nawet gdyby mogła cofnąć czas, nie zmieniłaby niczego.

Louis się uparł, żeby nazwać ich córkę Brodie. Możliwe, że też czuł

się winny...

Ta druga Brodie, jej córka, nie wie, że ma ciotkę o tym samym imieniu, która być może jeszcze żyje. Nie wie, że poza tym ma jeszcze dwóch wujów, Toma i Jima. Jej córka zawsze sądziła, że matka, podobnie jak ona sama, jest jedynaczką. Tymczasem tam, w Irlandii, ma na pewno potężną armię krewnych.

Od czasu do czasu Megan sama się karała za swój grzech.

Teraz podniosła się z łóżka i spojrzała przez okno na płaską, srebrnoczarną rzekę Mersey. Wyglądała na opustoszałą: ani śladu statku czy światła. Stała tak, drżąc z zimna w chłodnym nocnym powietrzu. Zamiast stóp miała już dwa kawałki lodu. Kiedy uznała, że kara jest dostateczna, wróciła

do łóżka, świadoma, jak trzeszczą jej kości w nogach i w ramionach.

Cudownie było wsunąć się pod ciepły koc: była zadowolona, że go ma.

Ostatecznie - ta kara właściwie nie była żadną karą!

Po dziesięciu dniach remont był prawie skończony. Co prawda Brodie przeżyła moment zaskoczenia, kiedy odkryła, że kuchnia została pomalowana na możliwie najbardziej koszmarnie kolory: ściany były musztardowe z kompletnie do nich niepasującymi kafelkami w kolorze pomidorowym. Tylko ciemnobrązowa podłoga wyglądała nie najgorzej.

Diana przyznała się, że to jej wina.

- Tak naprawdę to ja tylko wspomniałam, że takie kolory będą ładnie wyglądać, ale przecież pan Peterson powinien był przedtem zapytać ciebie!

Brodie odparła, że nie ma zamiaru już niczego przemalowywać na nowo.

- Mam nadzieję, że się w końcu jakoś przyzwyczaję. Ja miałam zamiar zaproponować różowy i kremowy.

- Kuchnia na Coral Street jest właśnie różowo-kremowa - nietaktownie wtrąciła Diana.

- Szczęściara z ciebie! - Brodie się roześmiała, ale poczuła, że to było równie nietaktowne.

Diana przecież kiedyś jej mówiła, że być może nigdy już tej swojej kuchni nie zobaczy. Bracia nie odwiedzali jej w ogóle i to ją ogromnie gnębiło, chociaż nowe zajęcie w ośrodku dla uchodźców uznała za naprawdę interesujące. Uwielbiała tę pracę, która pozwalała jej zapomnieć o innych sprawach.

Ściany czterech dużych, przeznaczonych do wynajęcia pokoi zostały dokładnie umyte. Jedwabiste tapety aż lśniły. Sufity były teraz oślepiająco białe. Przedpokój pomalowano na głęboki, kremowy, niemal maślany kolor, wszystkie okna były czyste, a ogród uporządkowany. Drzwi frontowe odmalowano tym samym brązowym kolorem, co przedtem. Brodie poprosiła tylko, żeby bluszcz, okrywający okna oranżerii, ostrożnie podciąć.

- Jest taki śliczny, że nie chciałabym go zniszczyć - mówiła Diana. -

Mama i tata ubóstwiali ten bluszcz. Tata siadał tam sobie i palił fajkę, przypatrując się gęstwinie liści.

Brodie poprosiła Leonarda Goslinga, właściciela sklepu z przyborami malarskimi, żeby wystawił w oknie informację o wynajęciu. Jeżeli nikt na nią nie zwróci uwagi, miała zamiar dać ogłoszenie w „Liverpool Echo”, ale nie spieszyła się z tym.

Zdecydowała się w końcu przeprowadzić do pokoju sąsiadującego z pokojem Diany, musiała jeszcze tylko powiedzieć o tym Colinowi.

- Co takiego!? - Aż się zachłysnęła, kiedy go poinformowała o swoim postanowieniu. - To znaczy, że mnie opuszczasz? - Wyglądał na kompletnie zdumionego, co zresztą było chyba prawdą.

- Niezupełnie - wyjaśniła Brodie. - Opuszczam ciebie oraz twojego ojca.

Była niedziela rano, George jeszcze nie przyszedł. Siedzieli w salonie, który zawsze bardzo kochali. Był długi i szeroki, miał okna naprzeciwko siebie po obu stronach domu, tak że mogli przez nie oglądać zarówno wschody, jak i zachody słońca. To tutaj rozpoczęło się ich wspólne życie, tu bawiły się ich dzieci, tu Colin uczył je czytać, tutaj odrabiali lekcje. Na stojącej w salonie wiśniowej kanapie siadali oboje w przyjaznej ciszy, trzymając się za ręce i oglądając telewizję, zanim Josh i Maisie przyszli na świat, a także później, kiedy dzieci już spały... czasami przysypiając, jeśli program nie był zbyt pasjonujący. Ten, kto się pierwszy budził, szykował dla obojga wieczorne kakao.

Tymczasem teraz Colin mówił z lekceważeniem: - Nie bądźże taka cholernie głupia, Brodie! - Jakby nie wierzył ani jednemu jej słowu.

- Twoja matka odeszła niedawno od ojca, prawda? Czy to cię nie zastanowiło?

Prawdopodobnie uznał, że są na świecie dwie głupio nierozsądne kobiety, a nie tylko jedna.

- Po prostu zamieszkałam w Blundellsands - przypomniała mu delikatnie, bo nagle zdała sobie sprawę, że całkiem możliwe, iż dotąd była głupio nierozsądna. - To nie o milion kilometrów stąd. Możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcesz, a ja i tak będę tu przychodzić po ubrania i inne rzeczy... To znaczy, o ile mi pozwolisz wejść.

Dziwaczny sposób porzucania kogoś. Uśmiechnęła się szeroko, ale Colin nie odwzajemnił uśmiechu.

- Tak, jakbym cię zamykała! - rzucił sztywno. Ostatnio stale miał taki głos: sztywny, albo chłodny, albo twardy. - Tu jest twoje miejsce, tutaj, ze mną. Tata nie będzie przecież wiecznie u nas przesiadywał. Mama może wrócić... któregoś dnia.

- Nie przypuszczam, Colin. O ile wiem, twoja matka porzuciła ojca na dobre. Ale ja odchodzę nie tylko z jego powodu - dorzuciła pośpiesznie. - Najbardziej dla mnie przykre jest to, że nie mogę z tobą rozmawiać o Maisie. Moja matka o niczym nie wie, a nie

mogę przecież codziennie dzwonić do Josha, żeby rozmawiać z nim o siostrze.

Chłopięca twarz męża zmarszczyła się z gniewu.

- Jak sobie Maisie pościeliła, tak się wyśpi!

- A teraz kto jest cholernie głupi?! - zawołała Brodie. Gdyby się nie pilnowała, wybuchnęłaby płaczem. - Rozmawiamy o naszej córce, Colin! Naszej małej dziewczynce! Płakałaś z radości, kiedy się urodziła!

- Tamta dziewczynka już nie żyje - odparł z uporem. - Stała się kimś innym, a tej innej nie mam ochoty znać!

- I właśnie to, że tak myślisz, jest powodem, dla którego muszę od ciebie odejść.

Rozdział 3

Diana siedziała w piwnicy, dokąd wysłał ją Tinker, żeby rozsortowała odzież przyslaną dla uchodźców. Wysypała na podłogę zawartość ogromnej plastikowej reklamówki „John Lewis” i wyciągnęła suknię balową. Czarną, aksamitną, bez ramiączek, z mocno usztywnionym stanikiem.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś ją zechciał wziąć! - zwróciła się do Tinkera, który akurat wszedł do piwnicy.

Obejrzał suknię i jego zielone oczy błysnęły.

Był tylko o dwa, najwyżej trzy centymetry wyższy od Diany. Ze swoimi kręconymi rudymi włosami i niesamowitym uśmiechem robił na niej wrażenie jakiegoś złośliwego chochlika. Złapał suknię i przyłożył do swojej chudej figury.

- Sam bym nie pogardził. Co o tym myślisz?

Zaczął tańczyć dookoła piwnicy, nadal trzymając suknię przy piersi.

Po drodze zagarnął Dianę, która nie miała innego wyjścia, jak tylko tańczyć razem z nim.

Wybuchnęła śmiechem.

Nie była pewna, czy Tinker jest naprawdę gejem, czy tylko udaje. Ale bywał tak bardzo szokujący, że to chyba nie mogła być prawda.

- Pasuje do ciebie! - udało jej się wykrztusić.

- Tinker! Potrzebują cię na górze, synu! - zawołał Alan.

Alan był wolontariuszem. Wpadał do ośrodka trzy razy w tygodniu, popołudniami. Był emerytowanym bokserem, teraz już w starszym wieku, a jego uszy przypominały kalafiora.

- Już lecę, najdroższy!

Tinker, stępując, wypadł z piwnicy.

Alan nie cierpiał, kiedy go ktoś nazywał najdroższym, kochaniem, skarbem, złotkiem czy jakimkolwiek innym pieszczotliwym imieniem, których Tinker miał na podorędziu setki i obdarzał nimi niemal każdego. Uchodźców to nieustannie okropnie żenowało.

Kiedy Diana została sama, zwinęła suknię i włożyła do worka z rzeczami przeznaczonymi do sklepu organizacji charytatywnych.

Może ktoś ją kupi i przerobi? Wyglądałaby ładnie z ramiączkami z cekinów. A może się przyda jakiemuś zespołowi teatralnemu?

Nawet nie marzyła, że przeprowadzka centrali informatycznej do Indii okaże się dla niej tak szczęśliwym rozwiązaniem. Ośrodek dla uchodźców był idealnym miejscem pracy. Zamiast w najwyższym stopniu zdenerwowanych przełożonych, którzy jej bez ustanku prawili kazania na temat nieprawidłowych - w każdym razie tak twierdzili -

rachunków za gaz i elektryczność, w co zresztą Diana skłonna była uwierzyć - tutaj miała do czynienia wyłącznie z ludźmi. Z krwi i kości.

Większość z nich nie znała angielskiego, ale Diana robiła coraz większe postępy w porozumiewaniu się na migi.

Tinker, który mieszkał w ośrodku, wstawał wcześniej i przygotowywał śniadanie dla dwudziestu, czasami trzydziestu uchodźców, bo i tylu tu bywało. Diana przychodziła na dziewiątą i zaczynała dzień w recepcji filiżanką herbaty i kanapką z bekonem. Po śniadaniu, około dziesiątej, zmywała naczynia i przygotowywała lekki lunch, podawany zwykle między dwunastą a drugą: same najprostsze rzeczy, jak fasola, makaron albo jajka na tostach, kanapki lub pieczone kartofle z różnymi dodatkami, wreszcie ciastka na deser. Później nie było już żadnych posiłków, wyłącznie herbata, kawa i lekkie przekąski. O

siódmej ośrodek zamykano i wtedy Diana szła do domu.

Spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest już po czwartej. Tutaj czas schodził jej po prostu błyskawicznie, podczas gdy w poprzedniej pracy włókł się nieznośnie.

Ośrodek prowadziła instytucja dobroczynna, a Korporacja Liverpoolu wspomagała go dotacjami.

Raz w miesiącu Tinker urządzał otwarte dla publiczności imprezy w celu zdobycia dodatkowych funduszy. W zeszłą sobotę Leo Peterson sprowadził tu swój zespół muzyki pop, Little Dead Riding Hoods. Dali koncert, a dochód został przeznaczony na potrzeby ośrodka.

Wszystko to organizowała Diana.

Leo grał na perkusji. Od czasu kiedy pracował w „Kasztanach”, Diana spotkała się z nim pięć czy sześć razy. Ponieważ miał dwadzieścia dwa lata, była od niego o dwa i pół roku starsza. Trochę ją to krępowało i, jak dotąd, nie pozwoliła mu się nawet pocałować. Wiedziała, że jest w pewnym sensie śmieszna, ale wychodząc z nim, miała wrażenie, jakby chodziła z jednym ze swoich braci, którzy nadal się nie odzywali, choć minęły już trzy tygodnie, odkąd opuściła Coral Street.

Bardzo to było przykre. Nowe życie zanadto ją jednak pochłaniało, żeby miała się zamartwiać. Już więcej tam nie chodziła, obawiając się spotkania z Emmą... chociaż w końcu i tak będzie musiało do tego dojść.

Wysypała ostatnią pakę strasznie pogniecionych ubrań i poroz-wieszała je na drucianych wieszakach na stojakach. Stały tam trzy: z ubraniami dla mężczyzn, dla kobiet i dla dzieci. Później, jeżeli czas pozwoli, postara się te rzeczy trochę przeprasować.

Nie dość, że się jest uchodźcą i musi się nosić cudze, używane ubrania, to jeszcze te ciuchy mają wyglądać, jakby przez ostatnie dziesięć lat leżały pozwijane w bele?

Diana większość swoich rzeczy kupowała w sklepach instytucji dobroczynnych, ale w jej wypadku to było co innego: ona nie musiała tego robić.

Kupowała te rzeczy tylko dlatego, że nigdy jej się nie podobały modne stroje i uważała, że stare mają o wiele więcej wyrazu. Dziś na przykład miała na sobie spódnicę zszytą z kawałków, w dodatku ręcznie, a do tego mieniącą się bluzkę bez zapięcia, która, kiedy się na nią patrzyło z jednej strony, wyglądała na brązową, a z drugiej -na zieloną.

Skończyłaś z tym sortowaniem, kotku? - spytał Alan.

- Prawie!

- Rosa zaraz nam zrobi herbatę.

- Będę za chwilę!

Diana poustawiała parami buty pod odpowiednimi wieszakami i wyszła z piwnicy.

Solidny, trzykondygnacyjny budynek był kiedyś kaplicą wyznawców jakiejś tajnej wiary. Parter został podzielony na cztery osobne pomieszczenia, obecnie używane jako biuro plus recepcja. Diana słyszała, jak Tinker rozmawia tam przez telefon. Poza tym na dole był

salon z telewizorem, jadalnia i kuchnia.

Całe pierwsze piętro zajmowała sala, w której zespół Lea Petersona miał zagrać w tę sobotę. Wisiała tam tarcza do gry w rzutki i stał stół

bilardowy. Na ogół zbierali się tam młodzi ludzie. Teraz Diana też usłyszała dobiegający z góry stukot kul. Rankami w tej sali bawiły się dzieci uchodźców - było to coś w rodzaju przedszkola.

Na najwyższym piętrze mieszkał Tinker.

Wszystko tutaj było bardzo zaniedbane, a w powietrzu unosił się dziwny zapach, o którym mówiono, że to korniki. Ściany były jednak pomalowane na jaskrawe kolory, tak że wewnątrz robiło wesołe i gościnne wrażenie.

Tinker, który tym wszystkim zarządzał, dokonywał cudów, starając się, żeby każdy się tu czuł jak u siebie w domu.

W salonie, umeblowanym najrozmaitszymi rodzajami krzesel i foteli - od dość nowoczesnych do ogromnie starych - grał telewizor. Jakaś starsza kobieta w długiej czarnej szacie i szalu okrywającym włosy oglądała program o kupowaniu domów letnich w Hiszpanii. Inna kobieta, młoda, podobnie ubrana, gawędziła z drugą -w dżinsach i podkoszulku. Na dwóch fotelach odwróconych tyłem do telewizora głośno chrapało dwóch mężczyzn. Przychodzili tu codziennie od dnia, kiedy Diana pierwszy raz zawitała do ośrodka. Podejrzewała, że śpią gdzie popadnie, i że Tinker wpuszcza ich do ośrodka jak można najwcześniej. Nie wolno mu było zostawiać tu nikogo na noc. Obaj mężczyźni pochodzili z Zimbabwe, gdzie ich torturowano za udział w demonstracji przeciwko prezydentowi.

Żadna z trzech kobiet nie była uciekinierką. Starsza, pani Sharma, pracowała tu jako tłumaczka. Diana podziwiała, iloma językami mówią ludzie w niektórych krajach. Sarita i Wendy pomagały prowadzić przedszkole.

Na schodach siedziało czterech mężczyzn. Ubrani byli w „mundurki”

młodych ludzi: dżinsy i czarne skórzane kurtki. Z pasją dyskutowali w języku, którego nie była w stanie rozpoznać.

Jadalnia była już w połowie zapełniona. Za długim stołem, na którym stał wielki czajnik herbaty i mnóstwo rozmaitych filiżanek i spodeczków, siedział Alan.

Zresztą w tym pokoju wszystko było od Sasa do łasa. Każdy stół miał

inny kształt i rozmiar, nie było dwóch takich samych krzeseł. Diana uważała, że ten ogólny rozgardiasz ma w sobie jakiś nieuchwytny urok. Ściany były pozawieszane plakatami przedstawiającymi niezwykle fotogeniczne psy i koty.

Przez dolną część drzwi do kuchni było widać Rosę Rosetti. Była partnerką Alana i przychodziła wtedy, kiedy i on. W ośrodku pracowało kilkoro wolontariuszy. Niektórzy tylko wpadali co kilka dni, na przykład zrobić pranie, inni przychodzili na cały dzień, a nawet na cały weekend.

Jedynymi stałymi pracownikami byli Diana i Tinker. Zarabiała tu mniej niż w centrum informacyjnym, ale to jej wcale nie przeszkadzało.

Alan poklepał krzesło obok siebie. Miał szerokie bary, potężną pierś i zniszczoną twarz, a pięści tak wielkie jak piłki futbolowe.

- Siadaj, złotko. Trzeba dać odpocząć nogom, co? Głos miał wysoki i łagodny.

- Dzięki.

Diana usiadła na krześle o niewygodnym siedzeniu, z wytartą pośrodku dziurą. W kuchni grało radio, Gerry Marsden śpiewał *You'll Never Walk Alone**.

*** *You'll Never Walk Alone* (Nigdy już nie będziesz spacerować samotnie) -piosenka z musicalu „Carousel” z 1945 roku.**

Rosa wysunęła głowę przez otwór w drzwiach.

- Cześć, Di!

Była pół Irlandką i pół Włoszką. Siwe włosy, ściągnięte w koński ogon, przewiązała czerwoną marszczoną wstążką. Kiedyś, jak opowiadała Dianie, włosy miała czarne jak węgiel i ludzie mówili, że wygląda jak Elizabeth Taylor w filmie *Kleopatra*.

- Cześć, Rosa! Kiedy skończę, przyjdę do kuchni i pozmywam.

- W porządeczku, złotko. Rondle już wyczyściłam. Sprawdzę tylko, czy ktoś nie chce dolewki herbaty, a potem dołączę do ciebie. - Obeszła jadalnię, dolewając chętnym herbaty i kawy, po czym wróciła i usiadła obok Alana. - Uff! - Wachlowała się ręką. -To był ciężki dzień, ale jestem zadowolona. Widziałas tę młodą kobietę z chłopczykiem, Di?

Uroczy maluch. Akurat skończył roczek. Są chyba z Rumunii.

Diana wyznała, że nie widziała tej kobiety, bo prawie cały dzień przesiedziała w piwnicy.

- Wyobraź sobie tylko, mążus pojechał do Norfolk pracować na farmie, a tam, gdzie ona mieszka z dzieckiem, ten cholerny gospodarz co noc próbuje się dostać do jej pokoju. - Aż sapnęła z oburzenia. - A nie ma zamka! Biedaczka musi podstawić krzesło pod klamkę, żeby ten drań nie wlaź. Tinker ma tam potem pójść i założyć zasuwkę, a przy okazji powiedzieć temu gospodarzowi, co o nim myśli i że jeżeli nie będzie się przyzwocie zachowywał, zawoła gliniarzy.

- Całkiem słusznie - stwierdziła Diana, wstrząśnięta.

- Z chęcią spuściłbym mu lanie - zaoferował się Alan. Rosa poklepała go po ramieniu.

- Wiem, Al, ale to mogłoby się skończyć tym, że zatłukłbyś tego drania na amen!

Kiedy Diana skończyła zmywanie naczyń, poszła do biura, gdzie Tinker miał jej dzisiaj dać kolejną lekcję pracy na komputerze. Teraz naprawdę żałowała, że nie nauczyła się w domu prawidłowo go obsługiwać.

Usiadła przed monitorem. Tinker wsparł rękę na oparciu jej krzesła.

Czuła jego ciepły oddech na swojej szyi. Pokazywał jej, jak ma pisać, jak wysyłać maile - on sam pisał błyskawicznie, chociaż tylko dwoma palcami - i jak wyszukiwać wiadomości w Internecie przez Google.

- Wystarczy, że zadasz pytanie - tłumaczył. - Powiedzmy, że mamy u siebie kogoś z Etiopii; bardzo pomaga, jeżeli będziemy coś wiedzieć o tym kraju, na przykład, czy tam w tej chwili jest wojna albo jaka tam w ogóle panuje sytuacja polityczna. Co do mnie, jestem dość obznajomiony z większością miejsc na świecie, ale ty? Co na przykład wiesz o rozmaitych krajach poza Wyspami Brytyjskimi, Di?

- Niewiele - przyznała Diana.

Była zawsze zanadto zapracowana, żeby czytać gazety, a chłopcy nigdy nawet nie pomyśleli, że można by oglądać wiadomości w telewizji.

Za to teraz mogła już i czytać, i oglądać wszystko, co chciała.

No i... bardzo jej zależało na zrobieniu wrażenia na Tinkerze, w którym chyba była troszkę zakochana. Nieważne, czy był gejem, czy nie.

Kiedy Diana przyszła do domu, na podjeździe akurat parkował jakiś mały samochód śliwkowego koloru. Gdy podeszła, z auta wysiadła kobieta.

Miała ogromną nadwagę i ubrana była w luźny, czarny top, czarne spodnie i złote sandały. Jej blond włosy były długie i bardzo piękne. W lokach i pierścieniach spadały jej aż do połowy pleców.

Na każdej innej kobiecie takie włosy wyglądałyby uderzająco pięknie, ją jednak czyniły co najwyżej - dziwaczną.

- Witam - uśmiechnęła się Diana. Kobieta popatrzyła na nią wilkiem.

- Brodie Logan powiedziała mi, że mam tu przyjechać. Obiecała, że sama też przyjedzie, tyle że później. Jeżeli ty jesteś Diana, to masz mi pokazać pokój na piętrze.

- Naturalnie, złotko.

Diana otworzyła kluczem frontowe drzwi. W domu pachniało świeżą farbą. Przedpokój, ze swoją czarno-białą podłogą z kafli i kremowymi ścianami wyglądał niezmiernie elegancko. Czowała się dumna.

- Jestem Diana O'Sullivan - przedstawiła się.

- Vanessa Dear - niemal odwarknęła kobieta.

- Jakie śliczne imię! Może pomogę pani wejść na górę? Nowo przybyła wydawała się tym zdecydowanie dotknięta.

- Potrafię wejść na piętro sama, ale dziękuję.

- Nie wiedziałam, że Brodie już dała ogłoszenie do „Echa” -

próbowała gawędzić Diana. - Miała zamiar to zrobić już od dawna...

Vanessa ciężko pracowała, wspinając się na schody. W połowie drogi zabrakło jej tchu. Diana współczująco zwolniła kroku.

- O... ogłoszenie było we wczorajszej gazecie. Od razu zadzwoniłam, a ona obiecała zatrzymać dla mnie ten pokój, aż go będę mogła obejrzeć. Podobno są dwa. Ta pani Logan jest chyba nawet całkiem miła - niechętnie przyznała Vanessa.

- Och, Brodie jest urocza! - z entuzjazmem zawołała Diana. - I Megan też. Megan to jej mama. A moja mama mieszka w Nottingham i nie widziałam jej już od wieków...

- Naprawdę?

Sądząc z tonu, Diana nie była pewna, czy Vanessa jest jej gadaniem znudzona, sarkastyczna, czy po prostu ma wszystkiego dosyć.

Po trzech dniach Vanessa już się mniej więcej zainstalowała w swoim pokoju na piętrze. Od razu wybrała pierwszy, do którego weszła.

Nawet się nie pofatygowała, żeby obejrzeć ten drugi.

Trzeba coś zrobić, postanowiła kilka tygodni temu, kiedy pewnego ranka wstała, weszła na wagę i zorientowała się, że jeżeli będzie tyła w takim tempie jak ostatnio, za tydzień przekroczy sto czternaście kilo wagi.

Przejsie na kolejną dietę było bez sensu.

Jej zdaniem, spróbowała chyba wszystkich. Przeszła już dietę beztłuszczową, bez węglowodanów, potem jadła wyłącznie ananasy,

piła tylko niskokaloryczne koktajle mleczne, próbowała egzystować, zjadając zaledwie tysiąc kalorii dziennie, rozważała zadrutowanie zębów, zaszycie żołądka, robiła ćwiczenia, przeszła hipnoterapię, studiowała jogę, słuchała pryt CD, w których namawiano ją, żeby nie jadła, i oglądała płyty DVD, gdzie mówiono jej to samo. Nic nie pomagało.

Kiedy Vanessa robiła to wszystko, a czasami kilka rzeczy naraz, tylko przybywało jej na wadze.

Tak było niewątpliwie dzięki smacznym niewielkim kąskom, którymi sobie dogadzała w przerwach pomiędzy dietą.

Na jakiś czas przyłączyła się nawet do grupy kobiet zdecydowanych chwalić fakt, że mają nadwagę. To jednak też nic nie pomogło, w każdym razie nie pomogło Vanessie. Podziwiała je, owszem, ale nie dzieliła ich przekonań.

Dwanaście miesięcy temu ważyła niecałe sześćdziesiąt siedem kilo i nosiła ubrania w rozmiarze czterdzieści dwa. Nigdy nie miała kształtów sylfidy, jednak nie skarżyła się na swój wygląd.

Ale kiedy to się wydarzyło, kiedy przez to stała się tak nieszczęśliwa, po prostu zaczęła jeść wszystko, co miała w zasięgu wzroku.

Początkowo jedzenie pozwalało jej czuć się lepiej. Stanowiło rekompensatę za to, co straciła.

Nie zwróciła wówczas specjalnej uwagi na fakt, że spódnice zrobiły się zbyt obcisłe i że nie mogła włożyć starych spodni. W ten sposób przeszła na następny rozmiar, potem na jeszcze wyższy, aż nagle okazało się, że nosi czterdzieści osiem. Wtedy zaczęła swoją pierwszą dietę, podczas której utyliła jeszcze o sześć kilo i osiągnęła rozmiar pięćdziesiąt.

Od tego czasu zrobiła się jeszcze grubsza i pewnie znowu zmieniła rozmiar.

Ponury łańcuch jej myśli przerwał odgłos śmiechu przed domem.

Wyrzała przez okno. Był miły kwietniowy wieczór.

W ogrodzie pod drzewem siedziały trzy kobiety: Diana, która ją tu wprowadziła, właścicielka domu Brodie Logan oraz Megan, matka Brodie, z którą Vanessa jeszcze nie rozmawiała. Słychać też

było muzykę, taką z lat dwudziestych czy trzydziestych, której nie lubiła. Jakiś mężczyzna śpiewał bardzo smutnym głosem: „Za każdym razem, gdy pada, padają pensy z nieba”. To było strasznie przygnębiające.

Megan przypominała Vanessie jej własną babkę ze strony ojca. Miała dwie babki i kiedy to się wydarzyło, obie rywalizowały ze sobą, która będzie w stosunku do Vanessy bardziej zjadliwa.

- Ten cholerny William. Nigdy mu nie ufałam ani za grosz! -twardziła babcia Dear na weselu, a właściwie na nieweselu. Za pomocą jej kapelusza można by chyba odbierać telewizję satelitarną.

- Miał chytrą gębę - posępnie dorzuciła babcia Harper.

- I w dodatku złośliwą - uzupełniła babcia Dear.

- Tego drania powinno się wykastrować, ot co!

Siostra Vanessy, Amanda, była pierwszą osobą, która wyraziła słowami lęk ogarniający już piękną pannę młodą: - Kochanie, chyba William nie ma zamiaru się tu pojawić... Mówiła to z wahaniem, jakby właściwie sama w to nie wierzyła.

Tymczasem wszyscy goście już dobre dwadzieścia minut czekali w kościele. Takich słów nie spodziewała się powiedzieć do nikogo, nigdy w życiu, a już na pewno nie do własnej siostry w dniu jej ślubu!

Przed kościołem zaczęli się już gromadzić goście na następny ślub, zaplanowany po ślubie Vanessy.

Stała w kruchcie razem z siostrami. Żałowała, że nie została w aucie, ale teraz już było na to za późno: samochód odjechał.

Jakim cudem u licha mogła przypuszczać, że William nie przyjdzie na swój ślub? Nie było też śladu jego drużby, Wayne'a Gibbsa, ale w tym nie było nic dziwnego, bo przecież on i William mieli przyjść do kościoła razem.

Nie wiedziała, czy ma krzyczeć, czy wybuchnąć płaczem. Najchętniej by zemdlła i pozwoliła rodzicom i siostrom borykać się z całym dalszym ciągiem dnia. Ona sama wróciłaby po tygodniu, kiedy już wszystkie prezenty zostaną oddane z powrotem do sklepów, a fakt, że Vanessę Dear narzeczony porzucił przed ołtarzem,

przestanie być najświeższym tematem rozmówek i domysłów we wszystkich częściach Liverpoolu czy w radiu Siren, gdzie pracowała.

Jednak nie zemdlła. Nie krzyczała ani nie wybuchnęła płaczem. To by uwłaczało jej godności.

Była zraniona, głęboko zraniona, bardziej, niż mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić, ale trzymała głowę wysoko, zdecydowana za wszelką cenę zachować szacunek dla samej siebie, zwłaszcza kiedy weselni goście zaczęli przechodzić do kruchty, by zobaczyć, co się stało.

Matka Williama była kompletnie zrozpaczona, a jego ojciec taki wściekły, że prawie nie był w stanie mówić.

Uczestnicy następnego ślubu stali przed kościołem i przyglądali się porzuconej pannie młodej z mieszaniną ciekawości i żalu. Była taka piękna w swoim prostym białym stroju, z białymi różyczkami w naturalnie jasnych włosach!

Przyjęcie się odbyło, a w każdym razie przygotowane potrawy zostały zjedzone. Zdaniem pani Dear - „byłoby grzechem to zmarnować”. Wynajęty kwartet jazzowy, który miał grać do tańców po przyjęciu, został opłacony i odesłany do domu. Vanessa dotąd nie miała pojęcia, co się stało ze ślubnym tortem.

Wróciła do domu z siostrami - Amandą i Sonią.

Licząca sobie trzydzieści jeden lat Vanessa była najstarszą i jedyną niezamężną i bezdzietną z sióstr. Właściwie nigdy się nie uważała za feministkę, raczej za osobę równą każdemu mężczyźnie. Chciała wyjść za mąż wtedy, kiedy jej to będzie odpowiadało, mieć dzieci w dogodnej dla siebie porze, następnie wrócić do pracy i kontynuować karierę zawodową, podczas gdy jej dziećmi będzie się zajmować jakaś inna kobieta.

Ale tego dnia, kiedy powinna była wyjść za mąż za Williama Jamesa Lunta, wszystkie plany Vanessy rozsypały się w proch. Poczuli się kompletnie stara, brzydka i niepożądana przez nikogo.

Czy jeszcze kiedyś zdoła podnieść głowę do góry? Czy jest już skazana na staropanieństwo? Na to, że nigdy nie będzie miała dzieci?

Czy będzie jej w ogóle na czymś zależało? Czy zdoła się zmusić do tego, by wrócić do pracy po tych dwóch tygodniach, które mia-

ły być przeznaczony na jej podróż poślubną z Williamem na Wyspy Kanaryjskie? (Większość kolegów z radia Siren została zaproszona na ślub, więc po prostu byli świadkami jej gehenny).

A wracając do tych dwóch tygodni: co miała ze sobą zrobić? Zostać w domu z mamą i tatą? Wolałyby umrzeć, niż wracać teraz do mieszkania na Hunt Cross, które razem z Williamem kupowali już od trzech lat. A gdyby go tam spotkała?

Na szczęście to ona rezerwowała wakacje na Kanarach i ona miała bilety. Zdołała namówić rodziców, żeby je wykorzystali. Podobnie jak Vanessa marzyła o tym, żeby zemdleć i tak trwać bez przytomności aż do chwili, kiedy cała ta afera się zakończy, a w każdym razie częściowo zakończy, tak jej matce ogromnie zależało na tym, by uniknąć, przynajmniej na krótki czas, wstydu z powodu publicznego poniżenia jednej z córek.

- Że też musiałaś to być właśnie ty, z tą twoją wytworną pracą i w ogóle - żaliła się z goryczą. - Tak długo chwaliłam cię przed wszystkimi, że ludzie już mieli serdecznie dosyć słuchania tych peanów. Na pewno mnóstwo znajomych zaciera teraz ręce z radości.

Zatem rodzice pojechali w podróż poślubną Vanessy i Williama, ona zaś została w domu.

Spała w swoim dawnym pokoju i jadła... jadła... jadła. Zawsze miała dobry apetyt, ale teraz działała na najwyższych obrotach.

Rozległo się pukanie do jej nowego pokoju. Otworzyła. To była Megan, chuda jak szczapa, bez jednego grama ciała za dużo. Ostatnio Vanessa przede wszystkim zwracała uwagę na rozmiary ludzi, a nie na ich twarze czy ubrania.

- Witaj, kochanie. Nie zechciałabyś zejść i usiąść z nami w ogrodzie?

Pijemy herbatę i trochę sobie plotkujemy... i z tego wszystkiego zapomnieliśmy, że jesteś tu na górze zupełnie sama!

- Prawdę mówiąc, chciałam się dzisiaj wcześniej położyć.... -Nie czuła w sobie ani odrobiny potrzeby towarzystwa, a plotkowanie zawsze uważała za stratę czasu. Do czego miałyby to prowadzić? Ludzie, poza najbliższą rodziną, raczej mało ją interesowali. - No i mam jeszcze trochę rzeczy do rozpakowania.

- Dobrze, kochanie - ciepło powiedziała Megan. - Ale gdybyś przypadkiem miała ochotę na popaplanie, to schodź na dół, bez wahania! Chcemy potem obejrzeć w pokoju Diany płytę z filmem *Grand Hotel* z Gretą Garbo i Johnem Barrymore'em. - Zachichotała. -

Kiedy ten film szedł w kinach, miałam raptem sześć lat! Poproszę, żeby ściszyła dźwięk, na wypadek gdybyś nie mogła zasnąć.

- O, jestem pewna, że mnie nie obudzi.

Wspomnienie niedosłego ślubu nadal nie dawało jej spać prawie każdej nocy.

Megan życzyła jej dobrej nocy i Vanessa zamknęła drzwi. Wtedy zadzwoniła jej komórka.

To była Amanda.

- Jak ci tam, siostrzyczko? - spytała. W jej głosie było słychać niepokój.

- W porządku. Tu jest bardzo miło. Pokój jest uroczy. - Fakt, był o wiele lepszy, niż się spodziewała. Wyobrażała sobie, że taki dom z wynajmowanymi pokojami będzie raczej ohydny, prowizoryczną rudera, tymczasem jej pokój był elegancko i pięknie urządzone. -

Łóżko jest naprawdę wygodne, a na dole nowiuteńka kuchnia -

opowiadała. - Ogród jest, jak mówią agenci nieruchomości, „zarośnięty”.

- Nie podałaś mi swojego adresu. Mama mówi, że też go nie ma.

- Nie mam takiego zamiaru, Mandy. Nie chcę, by ktokolwiek z was wiedział, gdzie jestem.

- Ależ siostrzyczko... - jęknęła Amanda.

- Skontaktuję się z wami znowu mniej więcej za rok o tej porze. Do tego czasu miała nadzieję zredukować swoją wagę do takiej, jaką miała dawniej.

- Za rok?

- Planuję wyłączyć komórkę na stałe, kiedy już skończymy tę rozmowę. - Vanessa poczuła się bezwzględna i potężna. - Muszę tak zrobić, Mandy - ciągnęła łagodniejszym tonem. - Potrzebuję tego.

Amanda westchnęła.

- Chyba cię rozumiem. Nie jestem sobie w stanie nawet wyobrazić tego, przez co musiałaś przejść. Ale, siostrzyczko - dodała,

jakby sobie akurat coś przypomniała - zawsze przecież możemy być z tobą w kontakcie w pracy!

- Odeszłam stamtąd - oznajmiła Vanessa bez ogródek. - Wymówiłam pracę w zeszłym tygodniu. - Powinna była otrzymać miesięczne wypowiedzenie, ale nie zależało na tym ani jej, ani dyrektorowi radia Siren, Richardowi Freemanowi. W ciągu ostatniego roku Vanessa nie była bynajmniej jedną z najsympatyczniejszych pracownic.

Prawdopodobnie ucieszył się, że odeszła.

- Ale przecież pracowałaś tam tak ciężko!

- Wiem.

Vanessa nie zwierzała się rodzinie, że już od miesięcy była odsuwana na drugi plan. W pracy była męcząca i jej podwładni często się na nią skarżyli. Richard przeniósł ją do sprawozdań transkontynentalnych, gdzie pracy było tyle, że starczało jej akurat dla jednej osoby, ale nie dosyć, by była tak zajęta jak przedtem. Byli z Richardem starymi przyjaciółmi i Vanessa zdawała sobie sprawę, że gdyby na jej miejscu był ktoś inny, już

dawno wyleciałby z pracy.

- Chcesz pracować gdzie indziej? - chciała wiedzieć Amanda.

- Masz na myśli, że będę szukała pracy teraz, kiedy tak wyglądam? -

sarknęła Vanessa. - Nie ma takiej szansy.

- Ale czy masz dość pieniędzy, żeby się utrzymać?

- Mam mnóstwo pieniędzy w banku, poza tym William odesłał mi forszę, którą zapłaciłam za hipotekę na mieszkaniu.

Zarabiała o wiele więcej niż jej własny ojciec i niż mężowie jej sióstr.

I niż William. Amanda jęknęła.

- Ale... co ty będziesz całymi dniami ze sobą robiła, Vanesso?

- Ćwiczenia i dieta.

I próby niemyślenia w ogóle o Williamie. Ani o jedzeniu.

- O Boże, siostrzyczko! - Amanda była zrozpaczona. - Czy to znaczy, że kiedy skończymy tę rozmowę, nie będziemy ze sobą rozmawiały przez cały rok?

- Obawiam się, że tak. Cześć, Mandy. Vanessa wyłączyła komórkę.

Ekran był już pusty.

To chyba najlepszy moment na zakończenie rozmowy, inaczej Amanda - i Vanessa - stawałyby się coraz bardziej i bardziej przygnębione.

Była teraz na diecie „Special K”: na śniadanie płatki pszenno-ryżowe, biały ser; na lunch pomidor i jeden maślany krakers, wreszcie na podwieczorek sardynki na toście, cieniutkim jak platek wafła.

Dotychczas czuła się bardzo z siebie zadowolona, kiedy jednak skończyła rozmowę z siostrą, dostała napadu strasznego głodu: mogłaby zjeść wszystko, nawet meble.

Przez dobre pół godziny spacerowała po pokoju, ale to jedynie zwiększało głód. Gryzła kostki palców, lecz i to nie pomagało. W

końcu wyszła na ulicę, wsiadła do samochodu i objechała okolicę w poszukiwaniu jakiegoś sklepiku z jedzeniem na wynos, z rybą z frytkami, jakiejś pizzerii, czegokolwiek, gdzie mogłoby jej sprzedać coś do jedzenia.

W końcu kupiła średnią pizzę hawajską i zjadła ją w samochodzie, łykając ogromne kawały. Nawet ich porządnie nie przeżuwała. Kiedy skończyła, wytarła ręce i uruchomiła wóz. Jedzenie sprawiło jej niebiańską rozkosz, ale teraz czuła się kompletnie zgnębiona. Była jak wór wypchany trocinami, nienawidziła się za to, że uległa.

Och, dobrze! Przynajmniej kupiła średnią pizzę, a nie dużą. Ale ta myśl niewiele jej pomogła.

Obudziła się w środku nocy z bólem brzucha. Wyobraziła sobie zakalcowate kawały pizzy ułożone w rozmaitych częściach jej ciała.

Odbiło jej się głośno. To bolało.

W domu panowała kompletna cisza, ale na zewnątrz słychać było szum drzew poruszanych słabym wiatrem. W nie do końca do-ciągniętych zasłonach ukazał się wąski pasek księżyca.

Usiadła na łóżku, podłożyła sobie poduszkę pod plecy i ponownie jej się odbiło.

O Boże! Czuła się taka nieszczęśliwa! Boleśnie, całym sercem

nieszczęśliwa. Jak on mógł, ten William, którego naprawdę kochała, o którym myślała, że też ją kocha, zrobić jej coś takiego?

Słowo po słowie przywoływała w pamięci list, który do niej wysłał.

List przyszedł we wtorek po dniu „ślubu”, kiedy była sama w domu.

Vanesso,

jak sobie pewnie możesz wyobrazić, czuję się z tego powodu okropnie.

- Ale ani w przybliżeniu nie tak okropnie jak ja, myślała Vanessa, kiedy czytała ten list po raz pierwszy. - *W sobotę rano czułem jakiś dziwny opór przed pójściem do kościoła.* - Rzeczywiście!

Prawda wygląda tak że to ty podejmujesz wszystkie decyzje dotyczące naszego życia, a ja nie mam zamiaru znosić tego dłużej. To ty

zdecydowałaś, kiedy powinniśmy kupić sobie mieszkanie i kiedy nadejdzie odpowiedni moment, żeby kupić dom, a także gdzie to mieszkanie i ten dom mają się znajdować. To ty mi powiedziałaś, na kiedy planujesz rodzenie dzieci oraz to, że masz je zamiar oddać potem pod opiekę jakiejś piastunki czy niani.

Przy podejmowaniu tych decyzji nigdy nie konsultowałaś się ze mną.

Dla mnie najważniejsza była ta ostatnia. Wybacz, ale nie chcę, żeby nasze dzieci były pozostawiane obcym ludziom. Ponieważ zarabiasz więcej ode mnie, o czym nigdy nie pozwoliłaś mi zapomnieć, z radością rzuciłbym pracę i zajmował się dziećmi. Jednak nie miałem odwagi czegoś takiego zasugerować. Nazwałabyś mnie mięczakiem, jak to już kiedyś zrobiłaś.

Wtedy wsobotę, zaraz po moim telefonie do ciebie - pamiętasz?, kiedy nie mogłem znaleźć swoich spinek do mankietów! - uznałem, że wolę się nie żenić z kobietą, która tak mało o mnie myśli i która wgruncie rzeczy traktuje mnie z lekceważeniem.

Nie bardzo wiem, jak zakończyć ten list; mogę tylko powiedzieć, jak mi przykro i że życzę ci szczęścia w przyszłości. Postaram się załatwić, żeby wszystkie pieniądze, jakie wyłożyłaś na hipotekę, zostały przelane na twoje konto.

Z wyrazami szacunku

William

- Sukinsyn! - chrapliwie wyszeptała Vanessa. - Jesteś mięczakiem.

Jesteś największym mięczakiem na świecie! - Była ciekawa, co by się stało, gdyby wiedział, ile kilogramów jej przybyło od tego czasu. Co prawda William pracował w Manchesterze i nie mieli żadnych wspólnych przyjaciół, ale Wayne, drużba Williama, kiedyś umawiał

się z Fioną, recepcjonistką w radiu Siren. Wayne i Fiona wydali przyjęcie, na którym poznała się z Williamem. Potem już się nie spotykali, ale jeżeli nadal widują się choćby od czasu do czasu, William może wiedzieć, że jego eksnarzeczona jest obecnie niemal dwa razy cięższa niż dawniej.

Minęły kolejne trzy dni i okazało się, że Vanessa nadal bez przerwy marzy o jedzeniu: o miękkim, kruchym torcie czekoladowym z gęstą śmietaną; o kartonach lodów imbirowych; o krewetkach w sosie curry z ryżem i słodkim sosem owocowym; o jajkach z frytkami, spryskanych octem; o befsztyku z kartoflami i chrupkim puddingu Yorkshire; o kotletach jagnięcych z mięsowym sosem; o pudłach czekoladek, o kielbaskach z puree ziemniaczanym; o świeżych rogalikach grubo posmarowanych masłem i dżemem truskawkowym; o hot dogach z musztardą... We śnie Vanessa była w stanie zjeść wszystko, co stało na stole, a mimo to nie przybywało jej na wadze ani grama.

Te posiłki w wyobraźni były przyjemne, ale ona musiała mieć jedzenie w żołądku, nie w marzeniach.

Pozbawiona ostatnich szczątków siły woli, Vanessa jeździła późnym wieczorem dokądkolwiek i rzucała się na rybę z frytkami albo na pizzę.

Była już u kresu wytrzymałości. Co to za życie? Właściwie zupełnie nie chciało jej się żyć.

Colin się dąsał.

Niemądrze robię - myślała Brodie - że odchodzę od męża, a potem go odwiedzam dwa czy trzy razy w tygodniu. Taka sytuacja była naprawdę śmieszna i Brodie nie miała Colinowi za złe jego dąsów.

Biedak nie wiedział, na jakim świecie żyje.

Przychodziła tylko wieczorami, kiedy George'a już nie było.

Przedtem jeszcze sprawdzała program telewizyjny, by się upewnić, czy dziś przypadkiem nie ma meczu piłki nożnej albo jednego z tych filmów, w których hordy ludzi przez dwie godziny masakrują się nawzajem, bo George w takim wypadku mógł u nich zostać i oglądać telewizję razem z ukochanym synusiem.

Kiedy przyszła w niedzielę, Colin oglądał na DVD film z Peterem Sellersem, jeden z tych o Różowej Panterze, i nawet nie ściszył dźwięku, gdy weszła.

- Jest do ciebie kilka listów - prychnął.

- Normalne listy czy reklama? - spytała.

- Nie wiem, nie patrzyłem. Wiesz co - rzucił złośliwie - mogłabyś wypełnić jakiś formularz, a wtedy pocztę przesyłaliby ci tam, gdzie akurat mieszkasz.

- Wiem. - Myślała przez chwilę o tym, co powiedział, czując rozpaczliwy smutek. W końcu się odezwała: - Dlaczego jest w nas teraz tyle goryczy? Przecież było nam dobrze razem.

- Sprawy się zmieniają, ludzie się zmieniają, życie się zmienia - mruknął, wpatrzony w ekran. - Nic nie trwa wiecznie.

- Sprawy nie zmieniły się aż tak, żebyśmy się mieli nawzajem znienawidzić.

- Ja cię nie nienawidzę.

Nareszcie zgasił telewizor i odwrócił się ku niej twarzą. Wyglądał

mizernie i tak nieszczęśliwie, że miała ochotę wziąć go w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Tyle że nie będzie. Nie będzie ani trochę dobrze. Jego ojciec to była zaledwie kropla w morzu. Najbardziej Brodie nienawidziła jego stosunku do ich córki, tak bardzo, że nie była w stanie żyć z nim pod jednym dachem. Dziwne, ale jego matka mówiła to samo o George'u, chociaż ojciec i syn tak bardzo się od siebie różnili.

Westchnął.

- Naturalnie, że cię nie nienawidzę, Brodie.

- Ani ja ciebie.

Usiadła w swoim starym fotelu po prawej stronie przed kominkiem.

Płomyk gazu był nastawiony na słabe grzanie.

Wnętrze i obrzeże kominka, a także wszystko w pokoju pokrywała warstwa kurzu. Nie chciała przy nim sprzątać, bo to by wyglądało, jakby mu chciała coś wytknąć... a z kolei, gdyby przyszła, kiedy Colin będzie w szkole, zastanie w domu George'a. Założyłaby się, że Colin nie pierze sobie koszul i że niedługo nie będzie miał ani jednej skarpetki, nawet gdyby ich miał pięćdziesiąt par. Joshowi nigdy nie przyszło do głowy, że jego ojciec może chciałby dostać od niego na Gwiazdkę czy na urodziny inny prezent niż te wieczne skarpetki.

Kołnierzyk koszuli Colina nie wyglądał zbyt czysto. Uderzyła ją myśl, że mąż musi się czuć wyjątkowo źle, nosząc brudną koszulę, skoro zawsze tak zwracał uwagę na swój wygląd.

Dłuższy czas siedzieli w milczeniu, ale nie w takim wygodnym, wyluzowanym milczeniu, które kiedyś tak oboje lubili. Brodie starała się myśleć o rzeczach, które powinna powiedzieć, a Colin zapewne robił to samo.

A może chciał, żeby już sobie poszła, a on w spokoju będzie mógł

dalej oglądać film?

- Pozwolisz, że zabiorę komputer? - spytała. Mąż nigdy się nie nauczył go obsługiwać, pozostawiając jej zapisywanie jego notatek i sprawdzanie różnych rzeczy w Google. - W „Kasztanach” mam szerokopasmową instalację. Zawsze mnie możesz powiadomić, gdybyś potrzebował mojej pomocy. Możesz przynieść mi to, co bę-

dziesz miał do napisania, i przy okazji obejrzeć dom. Zobaczysz, jak teraz wygląda.

- Możesz wziąć wszystko, co chcesz.

- Dobrze. - Smutno skinęła głową.

- Z czego teraz żyjesz? - spytał po kolejnej długiej ciszy. Było w tym coś nieprzyjemnego. Nie w samym pytaniu, ale w ostrym tonie, jakim je zadał.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli pieniądze. Z czego się utrzymujesz?

- Z pieniędzy z naszego wspólnego konta, naturalnie - wyjaśniła Brodie. - Poza tym obie wynajmujące panie płacą co miesiąc po dwieście funtów każda, a jutro pewnie będę miała trzecią, trzecią i ostatnią. Co prawda po zapłaceniu rachunków nie zostanie z tego wiele, może nawet nic. Podatek komunalny za dom tej wielkości jest przerażający, a wydatki na wodę, gaz i elektryczność coraz wyższe. A teraz, wiosną, ogród znowu się zrobi bardzo zarośnięty i będę musiała nająć kogoś, kto by go uporządkował.

Do niedawna pieniądze z wynajmowania „Kasztanów” wpływały na ich wspólne konto. Teraz jednak Brodie nie miała zamiaru dokładać tam ani jednego pensa.

- Ostatnio z naszego wspólnego konta podjęto bardzo dużą sumę, którą, jak sądzę, wydałaś na opłacenie remontu domu. Czy uważasz, że to w porządku - ciągnął Colin takim samym niemiłym tonem - żebym w obecnej sytuacji nadal cię utrzymywał?

- W sytu... aha, masz na myśli to, że od ciebie odeszłam? - Brodie poczuła, że robi jej się zimno. Czyżby naprawdę doszło aż do tego?

- Właśnie, dokładnie to. Jesteś jeszcze młodą kobietą i z łatwością znajdziesz sobie pracę. - W połowie zdania lekko się zawahał, jakby to obstawanie przy swoim uważał za trudne.

- Chciałam zacząć pracować, kiedy Maisie poszła na uniwersytet, ale mnie od tego odwiódłeś. - Brodie się podniosła. - Jutro zacznę szukać jakiegoś zajęcia. A ty musisz zmienić konto, tak żeby było tylko twoje.

Ja założę sobie własne.

- Nie myślałem, żeby tak od razu...

Teraz to on wyglądał na rozżalonego i zawstydzonego. Pewnie się nie spodziewał, że żona tak szybko się zgodzi, myślał, że będzie się z nim spierała. Ale - o co tu się było spierać?

- Lepiej już pójść - powiedziała z westchnieniem Brodie. - Gdzie te listy?

- W skrzynce, na bocznym kredensie.

Kupili ten druciany schowek na listy podczas wakacji w Grecji. Byli wtedy niecały rok po ślubie i Brodie jeszcze nie wiedziała, że

jest w ciąży z Joshem. Leżały tam cztery listy. Dwa były z jakichś instytucji dobroczynnych, jeden z Partii Pracy, namawiający ją do członkostwa.

- Dostałeś taki sam? - spytała Colina. Przytaknął.

Oboje zrezygnowali z członkostwa w partii po tej nocy, kiedy zobaczyli bombardowany Bagdad. Uznali to za dość osobliwy sposób wprowadzania demokracji w Iraku.

Czwarty list miał stempel z Londynu, a jej imię i nazwisko były wypisane śliwkowym flamastrem. Miała przeczucie, że list musi mieć jakiś związek z Maisie. Rozdarła kopertę. List był dość krótki.

Szanowna Pani Logan! parę dni temu jechałam autobusem na uniwersytet przez Dodge Street, w bok od Holloway Road. Był korek jak zwykle. Właśnie wyglądałam przez okno, kiedy jakaś dziewczyna, kubek w kubek jak Pani Maisie, wyszła z jednego z domów. Zrobiłam zdjęcie komórki i wyszło. Chciałam wysiąść z autobusu i pogadać z nią, ale już byłam spóźniona.

Mam nadzieję, że się Pani dobrze czuje.

Colleen Short

Colleen, przyjaciółka Maisie.

Brodie zajrzała do koperty. Zobaczyła fotografię, ale nie mogła się zdobyć na dotknięcie jej. Ostrożnie ujęła czubek w dwa palce i wyciągnęła z koperty.

- O Boże! - jęknęła.

Zdjęcie nie było bardzo dobre, ale dostatecznie wyraźne, żeby mogła zobaczyć, że z jej ślicznej córeczki została już tylko skóra i kości. Oczy miała tak głęboko wpadnięte, że niemal nieludzkie. Och, a przy tym wyglądała na taką zmęczoną, znużoną... Wychodziła z domu, rękę trzymała jeszcze na klamce, zamykała za sobą drzwi. Brodie z trudem odcyfrowała numer na drzwiach: trzy.

Dodge Street numer trzy, w bok od Holloway Road.

Pojedzie tam jutro.

- Coś ważnego? - spytał popędliwie Colin.

- Nic - odparła szybko. Nie miała zamiaru opowiadać mu o liście i wysłuchiwać krytycznych uwag. Oczywiście, że Maisie sama się wpakowała w tę sytuację, ale to była ich córka!

Dotychczasowe starania Brodie, by ją ratować, spełzyły na niczym, ale była zdecydowana, że teraz znowu spróbuje.

Vanessa z przyjemnością odbywała poranny spacer po pustej plaży.

Wdychanie świeżego, słonego powietrza i chodzenie długimi krokami po wilgotnym piasku poprawiało jej samopoczucie. Przez płócienne pantofle czuła wilgoć. Chłodna bryza przenikała przez elastyczne spodnie i taką samą koszulkę.

Zabrała ze sobą do „Kasztanów” tylko dwie zmiany odzieży: czarny bawełniany top i spodnie oraz to, co miała teraz na sobie, a co przypominało dziecinny kombinezon i było chyba najbardziej nietwarzowym z ubrań.

Wody Zatoki Liverpoolskiej były spokojne. W górze mewy pikowały tak gwałtownie, jakby były w stanie dojrzeć w niemal nieruchomej wodzie nieprzeliczone mnóstwo ryb. Skrzeczały, pewnie zawiedzione, kiedy nie znajdowały niczego poza kawałkami wodorostów i rozmaitych śmieci współczesnego świata.

Szła za szybko i zaczynała już opadać z sił. Zawróciła i poszła po własnych śladach.

Kiedy dotarła z powrotem do „Kasztanów”, dyszała ciężko, a jej dobre samopoczucie zniknęło jak sen. Była jednak zadowolona, że wyszła z domu. Z pewnością dobrze jej to zrobiło, tyle że nadwaga bardzo obciążała serce. Wiedziała o tym bez konieczności wizyty u lekarza. Umierała już z chęci zjedzenia śniadania. Co prawda była to tylko połówka grejfruta posypana udawanym cukrem, kawałek chrupkiego pieczywa posmarowany niskokalorycznym masłem i herbata z odtłuszczonym mlekiem.

Swoją torbę na ramię nosiła przelożoną przez pierś jak żołnierz.

Zaczęła w niej szperać, szukając kluczy; klucze do drzwi frontowych

i kluczyki do samochodu wisiały na tym samym kółku. Po kilku minutach poszukiwań zorientowała się, że zapomniała je zabrać ze sobą. Oczyma duszy widziała je na stole, gdzie rzuciła je wczoraj wieczorem, kiedy przyniosła sobie do domu podwójną porcję krewetek w sosie curry z ryżem.

Zadzwoiła do drzwi. Dzwonek wydał staroświecki, bucujący dźwięk.

Diana prawdopodobnie już wyszła do pracy, ale Brodie powinna jeszcze być w domu. Jednak, mimo że Vanessa dzwoniła kilka razy, drzwi uparcie pozostawały zamknięte.

Zaglądała przez otwór na listy, chociaż wiedziała, że to niemądre.

Skoro nikt nie otwierał drzwi, kogo się spodziewała tam zobaczyć?

Co miała ze sobą zrobić? Sterczeć na schodach, aż ktoś się pojawi?

Diany nie będzie w domu bardzo długo, a Brodie mogła pójść do matki i też wrócić późno.

Ku swojej wielkiej uldze nagle przypomniała sobie, że Brodie dała jej numer swojej komórki i numer telefonu, który stał w przedpokoju. -

Nigdy nic nie wiadomo, możesz kiedyś potrzebować tych numerów -
powiedziała.

Vanessa miała komórkę w torbie. Była wyłączona od czasu jej ostatniej rozmowy z siostrą. Włączyła ją i znalazła siedemnaście wiadomości do przeczytania. Zlekceważyła je i zadzwoniła na komórkę Brodie.

Tamta zaraz odebrała.

- Halo! Przepraszam za hałas w tle, ale jadę pociągiem - wyjaśniła.

Vanessa od razu przystąpiła do rzeczy i wytłumaczyła, że w tej chwili nie może wejść do domu.

- Długo cię nie będzie, Brodie?

- Jadę do Londynu, wrócę do domu na pewno bardzo późno. Może nawet będę musiała tam zanocewać. To zależy, jak się sprawy potoczą.

- Głos Brodie było bardzo słabo słycać. Jakiś głos męski, o wiele silniejszy, oznajmiał właśnie, że wagon restauracyjny oferuje napoje i kanapki. - Och, moja droga! Mama też nie może ci pomóc: wyjechała do Walii ze swoją przyjaciółką, Gwen.

- A Diana? Wiesz, gdzie pracuje?

- Wiem tylko, że w jakimś ośrodku dla uchodźców, gdzieś w mieście.

Och, przypominałam sobie! Leonard Gosling też ma klucz. Znasz jego sklep z materiałami malarskimi przy Crosby Road?

- Nie, ale znajdę.

Vanessa zaczynała się już niecierpliwic, mimo że Brodie najwyraźniej bardzo chciała jej pomóc. To przecież nie była jej wina, że lokatorka zostawia klucze na stole w swoim pokoju.

- Nie mogę sobie przypomnieć, pod którym numerem jest ten sklep, ale gdzieś niedaleko szkoły. Samochodem będziesz tam w pięć minut.

Leonard to przyjaciel mojej matki. Powiedz mu, że ja cię do niego posłałam. Uwielbia pomagać damom w potrzebie.

Telefon zamilkł. Pociąg pewnie wjechał do tunelu. Vanessa wyłączyła komórkę.

Klucze do jej samochodu też zostały w pokoju, razem z kluczem do drzwi, musiała więc pójść pieszo. Ponieważ całe życie mieszkała w południowej części Liverpoolu, a tu była część północna, nie miała pojęcia, gdzie może być Crosby Road. Trzeba będzie popytać ludzi.

Stopy w wilgotnych pantoflach miała lodowate. Marzyła o filiżance herbaty.

Gdyby William James Lunt mógł słycać wyzwiska, jakimi jego eksnarzeczona go obrzucała, wlokąc się w stronę, w której miała nadzieję znaleźć Crosby Road, uszy tak by mu płonęły, że przepaliłyby mu głowę na wylot!

Rozdział 4

- Och, moja droga pani! O Boże! O Boże!

Vanessa opadła przed chwilą na krzesło za ladą sklepową i była teraz gwałtownie wachlowana przez Leonarda Goslinga, który do tego celu używał wielkiego malarskiego szkiecownika.

Dotarła do sklepu ostatecznie wykończona, wściekła i jak podejrzewała, po trosze śmierdząca potem. Czula, że włosy spadają jej na ramiona w wilgotnych strąkach. Poza tym marzyła, żeby mieć w tej chwili na sobie cokolwiek innego, a nie ten elastyczny szary kombinezon.

- Jak się pani teraz czuje? - troskliwie dopytywał Leonard. Był to niewysoki, fertyczny dżentelmen koło siedemdziesiątki, z gęstą, falistą brązową czupryną i różową cerą. Podejrzewała, że farbował sobie włosy. Nosił białoszare spodnie i koszulę w kolorze bzu, z ciemniejszym krawatem w tym samym odcieniu. Głos miał

aktorski, głośny i wyrazisty, bez cienia akcentu liverpoolskiego.

- O wiele lepiej - występowała Vanessa. - Już prawie odzyskałam oddech.

- Świetnie, świetnie. - Przestał ją wachlować, sam też trochę za-dyszany. - Spacer z Elm Road jest dość długi.

- Szłam chyba kilometry! W dodatku stałe myliłam drogę i musiałam zawracać.

Jej umysł raczej nie pracował prawidłowo, bo kiedy pytała ludzi o drogę, ich wskazówki nie miały sensu. Dopiero dużo później przyszło jej do głowy, że powinna była zadzwonić po taksówkę.

Zupełnie jakby jakaś złośliwa istota rzuciła na nią urok i teraz była już skazana na wieczne nieszczęścia.

- Napije się pani wody?

- Proszę...

Pierwszy raz w życiu ucieszyła się, że ktoś się nad nią trzęsie.

Leonard poszedł na zaplecze i wrócił ze szklanką wody z plasterkiem cytryny.

- Mówiła pani, że się nazywa...?

- Vanessa Dear.

- Jestem Leonard Gosling - przedstawił się trochę nieśmiało -ale przypuszczam, że Megan już to pani mówiła.

- Właściwie to mówiła mi Brodie. Nie zabrałam kluczy i nie mogłam wejść do domu, dopiero ona mi powiedziała, że pan ma klucz. Była akurat w pociągu, a Megan wyjechała do Walii z przyjaciółką.

- Prawda, zapomniałem. Musisz do mnie mówić Leonardzie, a ja do ciebie Vanesso. Czy wolno?

- Świetnie.

Był to rodzaj rozmowy prowadzącej donikąd, która w normalnej sytuacji zirytowałaby Vanessę, ale teraz absolutnie jej nie przeszkadzała. Nawet działała kojąco. Nikt nie próbował jej niczego przekazać, a ona nie musiała być inteligentna ani rzeczowa, nie musiała nawet specjalnie myśleć.

- To bardzo interesujący sklep - zauważyła.

Miał podwójne drzwi na ulicę, ale był dość wąski: najwyżej cztery metry szerokości. Na jednej ścianie było mnóstwo szufladek z tubkami farb, ołówkami, kredkami, pędzlami i szpicownikami -od małych do ogromnych. Inne półki były pełne książek: jak malować, jak rysować, jak wykonywać rozmaitego rodzaju przedmioty artystyczne; poza tym były tam książki o słynnych artystach, takich jak van Gogh, Picasso, Degas, Monet.

W drzwiach stały wielkie sztalugi, a na nich obraz. Vanessa ze środka sklepu widziała tylko jego tył. W jednym rogu stała sterta ram, w drugim taka sama sterta płócien.

W szkole była bardzo dobra z malarstwa. Od jej ukończenia często miewała niejasną chęć, żeby malować, ale nigdy nie było na to czasu.

Cóż, teraz za to miała tego czasu aż za dużo. Postanowiła, że zanim wyjdzie, kupi parę płócien i trochę farb olejnych.

Jedyną rzeczą, jakiej nie chciałaby namalować, był autoportret.

Leonard promieniał.

- Interesujący, prawda? Prowadzę go już prawie dziesięć lat, niedługo będę odnawiał dzierżawę. Nie robię na nim majątku, ale Kocham swoją pracę.

- A co robiłeś przedtem? Rozpromienił się jeszcze bardziej.

- Byłem aktorem. Wiele razy występowałem w telewizji. W takich serialach jak *Z Cars* i *Maigret* - byłem wtedy dopiero zarozumiałym smarkaczem - i w paru mniej znanych. Zawsze jednak wolałem scenę.

Po śmierci żony postanowiłem się wycofać i zamieszkać na stałe w mieście, w którym się urodziłem. Mieszkam tutaj, nad sklepem.

- Tak mi przykro... to znaczy, z powodu twojej żony - szczerze stwierdziła Vanessa. - A z której części Liverpoolu pochodzisz?

- Z Knotty Ash. - Uśmiechnął się. - Tam gdzie mieszkają *Diddy Men* *

Vanessa pomyślała, że zemdleje, jeżeli się zaraz nie napije czegoś gorącego. Powiedziała:

- Słuchaj, nie będę ci zabierać więcej czasu. Jeżeli możesz mi dać klucz do „Kasztanów”, to daj, a zaraz wrócę do domu.

- Moja droga - odparł ze staroświecką galanterią - jak mógłbym mieć coś przeciw temu, że pewna czarująca młoda dama zabiera mi czas?

Jadłaś już śniadanie?

- Nie.

Serce jej zaczęło bić trzy razy szybciej. Może ma piecyk na zapleczu i mógłby jej szybko przygotować filiżankę herbaty?

*** Diddy Men - postaci z dziecięcych przedstawień liverpoolskiej ulicy, początkowo grane przez liliputy, potem (już w TV) przez aktorów z lalkami.**

- Więc może poszlibyśmy na drugą stronę ulicy, do tej uroczej *patisserie* i zjedli razem *petit dejeneur*! Dają tam przepyszną czekoladę na gorąco z górą świeżej bitej śmietany, a ich *croissanty*...

Ucałował czubki swoich palców i posłał pocałunek w powietrze.

Vanessa wiedziała dokładnie, co miał na myśli.

- Czemu nie?

Zwykle jej dieta brała w łeb dopiero wieczorem. Dzisiaj będzie tylko musiała uważać, żeby jej nie złamać dwa razy.

- A co będzie, jeżeli ktoś przyjdzie do sklepu?

- Możemy sięść przy oknie. Stamtąd będę miał oko na wszystko. O

tak wczesnej porze rzadko miewam klientów. - Wziął ją pod ramię. -

Chodźmy, moja droga, zabawimy się!

Brodie przeszła obok numeru trzeciego na Dodge Street, uważnie go obserwując i próbując zajrzeć przez okna, które wyraźnie wymagały umycia. Był to obskurny szeregowy dom o trzech kondygnacjach, z małym ogródkiem, w którym leżała połowa plastikowego wiadra, puste opakowania po chrupkach i setki niedopałków papierosów.

Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy systematycznie wysypywali tam zawartość popielniczek.

Uliczka była krótka, miała zaledwie po osiem domów z każdej strony, bary na dwóch rogach, na trzecim sklep zabity deskami, na czwartym -

pralnię. Większość domów była w złym stanie. Z pewnością zrobiono w nich teraz po kilka mieszkań, bo na zewnętrznej ścianie do każdego wisiał osobny dzwonek.

Brodie kilka razy przeszła się tam i z powrotem po ulicze, zanim zebrała się na odwagę, by podejść do drzwi domu numer trzy.

Nacisnęła dzwonek, ale nic nie usłyszała. Wobec tego użyła kołatki.

Przeczuwała, że nikt się nie odezwie, była więc zaskoczona, kiedy drzwi się nagle otworzyły. Stał przed nią wysoki Murzyn w spodniach od czerwonego dresu i niczym więcej.

- Czego chcesz, babo? - stęknął. - Widzę, jak łazisz obok i łazisz...

Jesteś glinią?

- Szukam Maisie Logan, mojej córki. Powiedziano mi, że tu mieszka.

- No to ci źle powiedziano, moja pani. Tu żadna Maisie nie mieszka.

Żadna baba tu nie mieszka. Sami mężczyźni.

- Ale... ona tutaj była - upierała się Brodie. Sięgnęła do torebki. -

Proszę, tu mam jej zdjęcie, jak wychodzi właśnie z tego domu.

Mężczyzna się zmarszczył.

- Nie ma tu żadnej Maisie, żadnej baby! Wynoś się, moja pani!

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Brodie wyszła z powrotem na ulicę.

Była rozczarowana, jednak nie tak bardzo. Właściwie nie spodziewała się zastać tam Maisie, ale była jakaś szansa. Nie pójść tam, gdzie wskazywał list Colleen, byłoby niezgodne z jej zasadami. Czy Maisie może mieszkać gdzieś w okolicy? A może przyjechała do tego domu metrem, autobusem? A może nawet samochodem? I co tam robiła?

Poszła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła, z zamiarem złapania metra do stacji Euston i powrotu do domu.

Josh pojechał do Brighton „w interesach”, więc nie mogli się spotkać, zresztą Brodie zawsze odmawiała odwiedzania go w tym mieszkaniu „na dziko”. Gdyby to było w innych okolicznościach, pojechałaby na West End na lunch, a potem poszła na zakupy do wielkiego sklepu Marks & Spencer przy Marble Arch. Ale zakupy nie wchodziły w grę, zresztą lunch też nie. Musiała teraz liczyć każdego pensa, aż do czasu, kiedy znajdzie jakąś pracę. Jaka to by mogła być praca? Nie miała pojęcia.

- Proszę pani, przepraszam? Brodie ocknęła się z marzeń.

Jakaś młoda kobieta w prostym czarnym kostiumie, białej bluzce i praktycznych pantoflach zatrzymała się przed nią. W rękę trzymała odznakę policyjną.

- Policjantka Karen Grant - przedstawiła się. - Mogę z panią zamienić dwa słowa?

- Na jaki temat? - Brodie nigdy w życiu nie popełniła nic, co

choć w przybliżeniu przypominałoby przestępstwo, niemniej natychmiast poczuła się winna.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego przed chwilą pukała pani do domu numer trzy?

Karen Grant miała przynajmniej dwa razy mniej lat niż Brodie, ale można jej było pozazdrościć siły przekonania w głosie.

- Dlaczego? - powtórzyła Brodie chwiejnie. - Dlatego że myślałam, że ktoś, kogo znam, tam mieszka.

- Może mi pani podać nazwisko tej osoby?

Brodie chwilę pomyślała, po czym rzekła bez ceregieli: - Nie. Nie mogę pani podać jej nazwiska. A w ogóle, po co ono pani?

Co to ma wspólnego z panią?

Czuła, że się za chwilę rozplacze.

Karen Grant musiała to zauważyć. Była raczej miłą młodą kobietą z jasnoblond kręconymi włosami, bez śladu makijażu na przyjemnej, bardzo stanowczej twarzy. Położyła silną dłoń na ramieniu Brodie.

- Wie pani co? Tu za rogiem jest kawiarenka. Naprawdę chciałabym z panią porozmawiać. A ta osoba, której pani szuka, nie będzie miała przykrości, obiecuję to pani.

- Och... dobrze.

Uznała, że nie ma wyboru, że powinna porozmawiać z tą policjantką.

- Czy mogłabym poznać pani nazwisko?

- Brodie Logan - odparła trochę nadąsana.

W kawiarni czuć było zapach smażenia, co sprawiło, że Brodie poczuła głód; nic jeszcze dzisiaj nie jadła. Był to lokalik bez charakteru, z menu wypisanym kredą na tablicy w oknie i starszym panem, podającym zamówione potrawy zza kontuaru. Nie zrobiono dosłownie nic w kierunku uatrakcyjnienia tego miejsca. Ściany były gołe i przybrudzone, a klienci - przeważnie starsi ludzie - siedzieli przy prostych drewnianych stolikach ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, bezmyślnie żując. Nikt z nikim nie rozmawiał. Posiłki serwowano z górami chipsów.

Brodie usiadła, a Karen Grant podeszła prosto do kontuaru. Wróciła z czajnikiem herbaty i talerzem kanapek z serem.

- Jest pora lunchu i obawiam się, że to najmniejsza możliwa porcja, dlatego to kupiłam. Chciałaby pani do tego sosu albo pikli?

- Nie, dziękuję. - Pora lunchu? Brodie spojrzała na zegarek.

Dochodziła pierwsza. Była przekonana, że jest o wiele wcześniej.

-Pozwoli pani, że naleję herbaty?

- Proszę. - Karen podniosła kanapkę do ust. - Czy pani wie, co jest pod numerem trzecim na Dodge Street? - spytała.

- Tylko tyle, że to dom. - Brodie wzruszyła ramionami.

- To melina handlarza krak-kokainą. Narkomani zaopatrują się tam w krak-kokainę. Aha, a ja jestem z wydziału do spraw narkotyków.

Brodie omal nie wypuściła z rąk czajnika z herbatą. Czym prędzej go odstawiła na stół. Zrobiło jej się niedobrze. Jej piękna, radosna, mądra córeczka była w melinie handlarza kokainą! Ile razy? Ile takie narkotyki kosztują? Skąd brała na nie pieniądze?

- A kim jest osoba, o której pani myślała, że może tam mieszkać? -

spytała Karen.

- Moja córka... - wyszeptła Brodie. - Maisie. Ma dopiero dwadzieścia lat. Studiowała na uniwersytecie londyńskim i wtedy...

och... nie wiem, co się stało. Przestała nas odwiedzać, przestała telefonować.

Opiekun roku dzwonił do nich, pytając, czy Maisie jest w domu.

Kiedy zdumiony Colin zaprzeczył, poinformowano go, że jego córka zniknęła. Po kilku dniach ten sam opiekun zadzwonił znów z szokującą wiadomością, że Maisie zażywa narkotyki. W tamtej chwili świat przewrócił im się do góry nogami. Maisie dosłownie niemal zniknęła z ich życia, jednak wyłącznie fizycznie. Brodie myślała o niej bezustannie.

- A dlaczego pani tu przysła, na Dodge Street? Brodie podała jej fotografię.

- Przysłała mi to przyjaciółka Maisie. Zrobiła to zdjęcie telefonem komórkowym i podała mi nazwę ulicy. Dostałam je dopiero wczoraj.

Karen przyglądała się fotografii.

- Maisie Logan... - powiedziała w zamyśleniu.

- Nie zaaresztujecie jej, prawda? - pytała zaniepokojona Brodie. Nie podobało jej się, że policja poznała jej nazwisko, poznała imię Maisie i wie, że Maisie jest narkomanką. Czuła się obnażona, słaba, miała wrażenie, że naraziła córkę na niebezpieczeństwo. -Czy to znaczy, że Maisie bierze krak-kokainę? - Wiedziała, że to najgroźniejszy z narkotyków.

- Niekoniecznie. Takie meliny nie tylko sprzedają krak, handlują też innymi narkotykami.

- Skoro wiecie, co to za miejsce, dlaczego nie zamkniecie tej meliny? -

ze złością spytała Brodie. - Czy policja nie jest właśnie po to?

- Dlatego, że gdybyśmy to zrobili, natychmiast w jakimś innym miejscu otworzą podobny punkt, a odszukanie go zajmie nam trochę czasu - cierpliwie wyjaśniała młoda kobieta, jakby to pytanie zadawano jej niejednokrotnie. - Przynajmniej mamy to miejsce na oku.

Mogę zatrzymać to zdjęcie?

- Po co? - ostrożnie spytała Brodie. Wyobraziła sobie powiększone zdjęcie twarzy Maisie, przypięte do tablic we wszystkich posterunkach policji w kraju i opatrzone napisem „Poszukiwana”.

- Cóż, jednym z powodów jest to, że gdybym się kiedykolwiek natknęła na pani córkę, mogłabym pani dać znać, gdzie ona jest.

Oczywiście, jeśli zechce mi pani podać swój adres i numer telefonu. -

Była jakby trochę rozbawiona. - A dlaczego jest pani taka podejrzliwa w stosunku do policji, pani Logan?

Brodie zaprzeczyła. Wcale nie jest podejrzliwa.

- Ani trochę.

- Przecież wydobywanie od pani informacji przypomina wrywanie zębów. Nie miała pani ochoty podać mi nawet swojego nazwiska.

- Przypuszczam, że boję się wpędzić Maisie w kłopoty - przyznała Brodie. - Gdyby skończyła w więzieniu, mój mąż chyba dostałby szału.

Co nie znaczy, że bym się tym przejęła. - Lekceważąco wydeła wargi. -

Wyrzekł się Maisie. Nie wie, że tu jestem.

- Ma pani inne dzieci?

- Syna, Josha. Mieszka niedaleko stąd. Jest dzisiaj w Brighton, w interesach. - Chciała stworzyć wrażenie, że Josh jest kimś ważnym.

Nie może tylko wspomnieć o mieszkaniu „na dziko” ani o tym, że nigdy nie miał porządnego zajęcia. - Mój dziadek był sierżantem w policji w Liverpoolu. Matka mi opowiadała, że został zabity podczas pełnienia służby w 1930 roku.

- Naprawdę? - Brązowe oczy Karen Grant rozszerzyły się, była najwyraźniej bardzo zainteresowana. - A co się wtedy stało? Wie pani, jak się nazywał?

- Thomas Ryan. Złapał dwóch rabusiów okradających bank w środku nocy. Jeden z nich strzelił do niego.

- Muszę zobaczyć, czy jest coś o tym w Internecie. Och, świetnie, ta herbata jest chyba dobra i mocna. Jeszcze jej pani nawet nie piła... I proszę wziąć kanapkę. - Przechyliła się przez stół i mocno uściśnęła obie ręce Brodie. - Mam nadzieję, że nie byłam zbyt obcesowa, pani Logan! Mój starszy brat umarł po przedawkowaniu narkotyków, miał

dopiero siedemnaście lat. Nienawidzę handlarzy narkotykami!

Właśnie dlatego zostałam policjantką. Gdyby to ode mnie zależało, każdy handlarz gniłby w więzieniu do końca swojego żalostnego żywota! - Zaciśnęła wargi. - Znajdę pani córkę, dla pani! A teraz proszę mi coś o niej opowiedzieć. Gdzie przedtem mieszkała? Co studiowała na uniwersytecie? I co to za nonsens, że pani mąż wyrzekł się swojej własnej córki?

Brodie zaczęła opowiadać.

Pozbycie się z serca tych wszystkich niepokojów, spraw, o których dotychczas nikomu nie powiedziała ani słowa, było naprawdę oczyszczające.

Potem Karen odwozła ją na stację Euston i Brodie wróciła do Liverpoolu o wiele szczęśliwsza, niż kiedy jechała do Londynu.

Oczywiście nie znalazła córki, ale czuła, że Karen się to wkrótce uda i że jakoś przekona Maisie, żeby wróciła do domu.

Vanessa kupiła dwa płótna, pudełko farb i paczkę rozmaitych pędzli.

Wszystko to położyła pod łóżkiem i zapadła w krótki sen.

Poranne wydarzenia okazały się mocno wyczerpujące, chociaż spotkanie z Leonardem Goslingiem można było uznać za dość przyjemne, zwłaszcza śniadanie! Gorąca czekolada ze śmietaną i gorący *croissant* z domowym dżemem z truskawek były pyszne! Oblizwała wargi. Z

przyjemnością poszłaby tam znowu.

Kiedy się obudziła i otworzyła oczy, przypomniawszy sobie, jaki ładny jest ten jej pokój, umeblowany staroświeckimi, solidnymi sprzętami i z lekko splewiałymi, brokatowymi kotarami w oknach. Ściany miały barwę różowej muszli z lekkim połyskiem. Nad kominkiem wisiał

uroczy obraz przedstawiający wróżki pływające z girlandami kwiatów.

Przy drzwiach wisiał kolejny obraz: te same wróżki biegające wśród drzew. W takim pokoju naprawdę powinna być szczęśliwa.

Miejmy nadzieję, że będzie - kiedy tylko zacznie tracić na wadze.

Przeczytała SMS-y w komórce i wysłuchała nagranych wiadomości.

Kilka jednych i drugich wysłały do niej siostry, Amanda i Sonia. We wszystkich powtarzało się mniej więcej to samo. Czy naprawdę musiała się odciąć od rodziny? I to na cały rok? Czy to nie jest aby trochę niemądre? Przesadnie dramatyczne? *W ten sposób tylko zwracasz na siebie większą uwagę* - napisała Sonia. - *1 to nie pierwszy raz*. - Nigdy nie była z Sanią w tak dobrych stosunkach jak z Amandą.

Vanessa nie mogła sobie wyobrazić, jak zniknięcie na całe dwanaście miesięcy może być uznane za „chęć zwrócenia na siebie uwagi”.

Raczej przeciwnie!

- Co ja, u diabła, powiem ludziom, kiedy będą mnie pytali, jak się czujesz? - szlochała matka. Ojciec pogodnie jej doradzał, żeby o sobie dbała. Ktoś z radia Siren powiadał ją, że zorganizował wywiad z Waynem Rooneyem. Ktoś inny mówił, że im bardzo przykro, że odeszła. Była też jakaś wiadomość, jakoby wygrała wakacje w Hiszpanii. Zirykowało ją, kiedy odsłuchiwała też wiadomość od Williama. Amanda opowiedziała mu o jej postanowieniu, więc ją przestrzegał, by nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Jakiegoś głupstwa!

Co to miało znaczyć? Czy on poważnie myślał, że mogłaby popełnić samobójstwo z jego powodu? Też coś!

Dom był pusty. Diana jeszcze nie wróciła z pracy, Brodie gdzieś wyjechała.

Vanessa wzięła spokojną, leniwą kąpiel. Kiedy wróciła do pokoju, zważyła się. Wskazówka przekroczyła sto czternaście i pół kilo.

Samobójstwo nie byłoby chyba takim złym wyjściem z sytuacji, pomyślała ze znużeniem.

Koło szóstej po południu Vanessa usłyszała, że Diana wraca z pracy.

Po kilku minutach dziewczyna włączyła jakąś płytę, jeden z tych idiotycznych kawałków grupy Stone Age*, które tak uwielbiała. „Czy są dziś gwiazdy?”, zawodził jakiś facet. „Nie wiem, czy są chmury, czy ich nie ma”.

- Witaj, kotku!

Diana wyszła do ogrodu. Spędzała tam bardzo dużo czasu, nawet kiedy było już ciemno, a czasami zimno. Vanessa patrzyła na dziewczynę przez okno. W swoim dziwacznym, staroświeckim stroju i butach na koturnie wyglądała jak modelka na starej fotografii w magazynie mód.

Przemawiała do rudego kocura, który zeskoczył z drzewa. Podszedł

do niej i ocierał się o jej nogi. Pochyliła się i pogłaskała rude futerko.

- Co dzisiaj robiłeś przez cały dzień, kotku? Vanessa przewróciła oczami.

Nigdy nie miała dobrych stosunków z kotami. Czy Diana rzeczywiście oczekuje, że kocisko jej odpowie? Ta dziewczyna nie była naturalnie kandydatką na laureatkę *Wielkiej gry*, ale nie mogła przecież być aż tak głupia!

Z niesmakiem odeszła od okna. Nie była w stanie znieść Diany.

Oczywiście nie miało to nic wspólnego z faktem, że zazdrości-

*** Właśc. Queen of the Stone Age - amerykański zespół rockowy, powstały w 1997 r.**

ła jej figury grochowej tyczki i naturalnej elegancji, ale raczej, że tej dziewczynie najwyraźniej brakowało podstawowej inteligencji.

Po półgodzinie zadzwonił dzwonek u drzwi i Diana wpuściła kogoś do domu. Rozległy się kroki na schodach na piętro.

Vanessa zeszywniała. Modliła się, żeby to nie był nikt z jej znajomych, kto odkrył, gdzie się podziewa i teraz chce się z nią zobaczyć. Z kolei druga część jej istoty modliła się o coś dokładnie przeciwnego: żeby ten ktoś zapukał do jej drzwi i żeby wpuściła tu jakąś znajomą twarz, każdego... z wyjątkiem Williama. Marzyła o jakimkolwiek towarzystwie. O jakimś pocieszającym dotknięciu ręki, o przyjacielskim pocałunku, wystarczyłyby nawet miły uśmiech.

Ale kroki skierowały się do pokoju obok. Pewnie zjawiała się nowa i ostatnia lokatorka.

Diana mówiła:

- Brodie mi powiedziała, że mam cię oczekiwać koło szóstej. Zaniosę na górę resztę twoich rzeczy. Chciałabyś, żebym ci zrobiła filiżankę herbaty?

Nowo przybyła musiała przyjąć zaproszenie, bo Diana dodała: - Wracam za minutkę.

Vanessa miała nadzieję, że to nie jest nikt stary, bo ona nie miała najmniejszego zamiaru robić herbaty ani komuś usługiwać. Miała dość kłopotów z samą sobą.

Położyła się i znowu przysnęła.

Obudził ją płacz niemowlęcia.

Takie to już moje szczęście, pomyślała żałośnie. Okazuje się, że mieszkam w nawiedzonym domu.

Zaraz po powrocie do domu Brodie zapukała do drzwi Diany.

- Rachel się sprowadziła? - spytała.

Rachel była nową lokatorką. Kilka dni wcześniej wpadła tu i zapłaciła za pokój. Wydała się Brodie strasznie młodziutka, chociaż zapewniała, że ma szesnaście lat.

- Nie mogę się dogadać z moją mamą - powiedziała.

- Będiesz w stanie płacić za ten pokój? - chciała wiedzieć Brodie.

Nie lubiła zadawać takich pytań. Wydawała się sobie wtedy jakąś chciwą, drapieżną właścicielką. Cóż, kiedy bardzo potrzebowała pieniędzy.

Rachel zapewniła, że będzie w stanie płacić za wynajem i zapłaciła z góry za miesiąc oraz wpłaciła miesięczną kaucję - wszystko w gotówce.

- Wygląda na bardzo miłą - zawyrokowała Diana.

Diana mówiła tak dosłownie o każdym, nawet o Vanessie, której Brodie bynajmniej nie uważała za miłą. Tyle że była nieszczęśliwa, chociaż nie tak nieszczęśliwa jak Diana czy ona sama - z powodu zachowania innych ludzi. Biedna Vanessa była nieszczęśliwa z powodu samej siebie.

- Tylko że nie wiedziałam - ciągnęła Diana - że Rachel ma malutkie dziecko.

Brodie też o tym nie wiedziała.

Podczas pierwszej rozmowy Rachel ani słowem nie wspomniała o dziecku. Dziewczynka zajęła pokój pod fałszywym pretekstem.

Radosne uniesienie, w jakim Brodie opuszczała Londyn, już dawno się rozwiało. Do Liverpoolu przyjechała zdenerwowana i nieszczęśliwa.

Była w tak złym nastroju, że teraz łatwo wpadła w gniew na myśl, że ją oszukano.

Wbiegła na górę i gwałtownie zastukała do drzwi tylnej sypialni.

Rachel otworzyła. Na jej piegowatej buzi malował się przestach.

Miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu i była bardzo szczupła. Jej oczy niemal zakrywała gęsta, ciemna grzywka. Przypominała Brodie lalkę, którą kiedyś miała w dzieciństwie.

- Masz dziecko! - rzuciła oskarżycielsko.

Jakby na potwierdzenie, z głębi pokoju rozległo się ciche gaworzenie.

- Tak. - Rachel zwiesiła głowę. Wyglądała na zawstydzoną. Cały gniew Brodie się ulotnił.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytała miękko.

- Bo myślałam, że wtedy mi pani nie wynajmie pokoju...

- Przecież nie wyrzuciłabym cię, w dodatku z dzieckiem! Ale nie lubię, kiedy wprowadza się mnie w błąd.

- Przepraszam. - Dziewczynka żałośnie pociągnęła nosem. - Inni mnie wyrzucali.

Brodie pomyślała, że przecież zawsze uwielbiała dzieci i że będzie bardzo miło mieć takie maleństwo w domu.

- To chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka. Ma na imię Poppy.

- Mogę ją zobaczyć?

- Naturalnie.

Rachel odsunęła się, jak się wydało Brodie, odrobinę niechętnie.

Cichutko weszła do pokoju i podeszła do wielkiego, bardzo drogiego wózka spacerowego na trzech kołach, w którym leżało różowo ubrane niemowlę, wpatrzona w przestrzeń i od czasu do czasu mrugające oczkami.

- Piękna jest... - szepnęła Brodie. - Ile ma teraz?

- Trzy miesiące.

- Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy - szeptała dalej Brodie - nie zapomnij mi powiedzieć. Mam dwoje dzieci, ale są już dorosłe.

Trudno jej było uwierzyć, że Josh i Maisie byli też kiedyś tacy mali i bezbronni.

- Dziękuję pani.

Brodie wyczuła, że Rachel chce, by dać jej szansę. Wyszła z pokoju, powtórnie zapewniwszy dziewczynkę o chęci pomocy, gdyby ta jej kiedyś potrzebowała.

Robiła sobie herbatę w kuchni, kiedy weszła Diana. Obie zastanawiały się, czy ojciec tego dziecka wie, że ma córeczkę.

- Ile też on może mieć lat? - dumiała Diana. - Rachel wygląda najwyżej na czternaście.

- Tak myślisz? - zaniepokoiła się Brodie. - Zapewniała mnie, że ma szesnaście.

- A czy mogłaby odejść z domu w wieku poniżej szesnastu lat?

-roztropnie spytała Diana. - Mam na myśli, że może zostać zmuszona do powrotu do rodziców.

- No... chyba nie.

Brodie zadrżała, nagle wystraszona, że mogą ją oskarżyć o udzielenie schronienia nieletniej.

Poza tym była ze swoich trzech lokatorek bardzo zadowolona.

Diana okazała się jedną z najsympatyczniejszych osób, jakie kiedykolwiek знаła. Co do Vanessy, podejrzewała, że musiało ją spotkać coś strasznego, a „Kasztany” zapewniły jej pewien rodzaj azylu, dopóki nie dojdzie do siebie. Co do małej Rachel i jej córki Poppy, potrzebowały opieki i Brodie mogła im ją zapewnić.

Diana wspomniała, że dziś po południu poznała reportera z „Liverpool Echo”.

- Píše artykuł o naszym ośrodku. Pytał mnie, co robię. Aha, 1 sprowadził fotografa, który porobił nam zdjęcia.

- Kiedy to będzie w „Echu”? - chciała wiedzieć Brodie.

- Myślę, że jutro.

- Muszę je wobec tego koniecznie kupić.

Następnego dnia Garth O'Sullivan, który był teraz na ostatnim roku w Liverpool College i miał niebawem zdawać ostatnie egzaminy, jechał do domu pociągiem z Central Station. Siedział obok kobiety w jaskrawoczerwonym płaszczu. Pachniała jak środek dezynfekcyjny - chociaż to mogły być równie dobrze bardzo drogie perfumy.

Czytała wieczorną gazetę. Jak to kobieta, nie zajrzała nawet na strony sportowe, ale przeglądała wiadomości lokalne, które z kolei Garth uważał za śmiertelnie nudne. Zerknął na gazetę i odwrócił się z niesmakiem.

Chciałby po powrocie do domu zastać tam Dianę. Miał już serdecznie dosyć kuchni Emmy. Każdego cholernego dnia te same ohydne paskudztwa: mielone smażone, mielone gotowane, mielone pieczone w piecyku... Nie pamiętał, żeby ich Di przyrządzała

coś z mielonego mięsa, chyba że je podawała z dodatkiem curry, z ryżem i gęstym, ostrym owocowym sosem. W takiej postaci mielone były jego ulubioną potrawą.

Emma już w ogóle nie ścieliła ich łóżek. Od zniknięcia Di ani razu nie zmieniła pościeli. Razem z Jasonem próbowali dojść, co Emma robi przez cały dzień, ale nie mogli nic wykombinować poza tym, że chodzi do siostry w Walton Vale.

Albo na zakupy.

Jason przysięgał, że Emma codziennie wkłada na siebie nowe rzeczy.

- I kolczyki - dodawał. - Musi ich mieć co najmniej kilkaset par!

Obaj chłopcy byli w tym okresie bardzo wrogo nastawieni do Emmy.

Przeczuwali, że gdyby nie ona, ich Di nigdy nie zmyłaby się z domu.

Ale Damian nie przyjmował do wiadomości żadnych skarg na Emmę.

Była jego dziewczyną, miała urodzić jego dziecko i jasne było, nawet bez żadnych deklaracji, że zawsze stanie po jej stronie.

- Sami sobie róbcie wasz pieprzony podwieczorek - powiedział, chociaż raczej nie użył określenia „pieprzony”, ale innego, bardziej dosadnego. - I ścielcie sobie wasze pieprzone łóżka, skoro wam tak na tym zależy.

- Jeżeli to wszystko dla ciebie jest pieprzone - odparł Jason - to zatrzymuję dla siebie to, co dawałem na życie. Niby dlaczego mam płacić pięćdziesiąt funtów tygodniowo, jeżeli za to nie dostaję nawet pieprzonej porządnej kolacji ani pieprzonej świeżej pościeli?

Garth był przekonany, że Damian musiał przyznać, iż Jason rozumuje całkiem logicznie. Nie spierał się. Właściwie nie powiedział już ani słowa. Jednak od tej rozmowy, kiedy wracali do domu, czekały na nich nieco lepszy posiłek i świeża pościel, chociaż nie tak porządnie zastłana jak za czasów rządów Diany.

Siedząca obok Gartha kobieta przewróciła stronę „Echa”.

- Jasny gwint! - wykrzyknął Garth.

- Co pan ma na myśli? - obruszyła się kobieta.

- Tu... tu jest moja siostra, to mam na myśli! - Garth z przejęciem wskazywał zdjęcie u góry strony. - To nasza Di! Czy piszą, gdzie to jest, proszę pani?

Kobieta zerknęła z zainteresowaniem.

- To zdjęcie z ośrodka dla uchodźców na Winstanley Place, na rogu Cazneau Street. Tu piszą, że się nazywa Diana O'Sullivan i że tam pracuje.

- Tak, w porządku, to nasza Di. Wpiszę numer ich telefonu do komórki i zaraz zadzwonię.

- Tu masz ich numer, chłopcze. Proszę tutaj, żeby ludzie dzwonili, jeżeli chcą złożyć jakieś dotacje albo pracować tam jako wolontariusze.

Wyrecytowała mu numer i Garth wybrał go w swoim telefonie.

Odebrała właśnie Di.

Garth był taki szczęśliwy, czuł taką „pieprzoną” ulgę, tak go wzruszył

sam dźwięk głosu siostry, że zachciało mu się płakać, chociaż uważał

się za twardego, cynicznego siedemnastolatka, który już dawno zapomniał, co to łzy. Kobieta z gazetą słuchała zupełnie otwarcie, potakując, jakby pochwalała ich rozmowę.

- Och, ale ja przecież zostawiłam kartkę! - tłumaczyła Di, kiedy Garth spytał, dlaczego odeszła i nie powiedziała im dokąd. - Wsunęłam ją za zegar na kominku! Podałam wam swój nowy adres.

- Nie znaleźliśmy żadnej kartki, Di. Przepatrzyliśmy wszystkie pieprzone kąty w domu.

- Nie przeklinaj! - surowo skarciła go Diana. - Mam nadzieję, że nie klniecie teraz wszyscy jak szewcy tylko dlatego, że mnie nie ma w domu.

- Jak byśmy mogli, Di! - rzucił Garth ze świętym oburzeniem.

Di wypytała go o Damiana i Jasona, wreszcie o Emmę. Garth zapewnił ją, że wszyscy mają się dobrze i zapytał, kiedy mógłby przyjść się z nią zobaczyć.

- Przychodź, kiedy tylko chcesz, złotko. Jestem w domu prawie każdego wieczoru.

- Daj mi swój adres, Di, a będę u ciebie dziś wieczór. Wszyscy przyjdziemy!

I rzeczywiście, wszyscy trzej bracia przyszli, pozostawiając wystraszoną i nad wyraz zirytowaną Emmę w domu na Coral Street.

A co będzie, jeżeli przekonają Dianę, by wróciła? Teraz już Di nie będzie taka skłonna do pozostawiania na boku, zwłaszcza jeżeli odkryje, że Emma ostatnio nieco zaniedbała kuchnię - no, może trochę więcej niż „nieco”. Kuchnia naprawdę ślicznie wyglądała, ale Emma nie miała specjalnie ochoty w niej pracować. Jej siostra, Sophie, kilka razy przyszła do domu na Coral Street i stwierdziła, że Emma ma piekielne szczęście (ojciec jej dzieci odszedł, zanim drugie zdążyło się urodzić).

- Gdybym to ja miała takiego faceta jak Damian i taki dom! -mówiła z zazdrością. -1 obchodzi się z tobą jak z jakąś cholerną wielką panią.

Kiedy ja miałam urodzić naszą Carly, pracowałam jeszcze na dwa tygodnie przed porodem. Ty urodzisz dopiero w sierpniu, a cały dzień tylko się szwendasz po domu i kopcisz skręty.

- I chyba też do ciebie przychodzę, co nie? - klótliwie odparła Emma.

Niemniej jednak postanowiła zakasać rękawy i zaczęła oglądać w telewizji programy kulinarne. Jeszcze nie wyszła za mąż. To byłby niezły pomysł, teraz, zanim zostanie panią O'Sullivan, udawać, że bardzo się interesuje pracami domowymi.

- Później wpadną tutaj moi chłopcy! - powiadomiła Diana Brodie, kiedy tylko wróciła do domu. - Nasz Garth zobaczył moje zdjęcie w „Echu” i jeszcze z pociągu zadzwonił do ośrodka! Tego dnia, kiedy odchodziłam z Coral Street, zostawiłam kartkę za zegarem, ale Garth mówi, że nigdy jej nie dostali. Musiał ją wiatr zwiać, czy co?

- Mam nadzieję, że to nie znaczy, że wracasz do domu - rzekła Brodie.

- Naprawdę bardzo by mi ciebie brakowało.

Diana zapewniła, że nie ma najmniejszego zamiaru wyprowadzać się z „Kasztanów”.

- Cieszę się, że wtedy się tu sprowadziłam. Chłopcy są już dostatecznie dorośli, żeby sobie poradzić. Znam takie sytuacje z ośrodka: są tam młodzi ludzie, co przeszli straszne rzeczy w swoich krajach, a nie mieli takiego miłego, ciepłego domu jak moi! Tak czy siak - ciągnęła z ufnym uśmiechem - już był czas, żebym i ja się uniezależniła. Z początku, kiedy moi chłopcy nie dawali znaku życia, było mi strasznie przykro, ale po jakimś czasie za dobrze mi się wszystko ułożyło, żebym miała się tym martwić.

Brodie stwierdziła, że chłopcy Diany są przemili. Przystojni, grzeczni, tryskający zdrowiem, w dodatku świata nie widzieli za swoją siostrą. Matka ich przecież opuściła, gdy byli jeszcze w szkole, a wychowywała ich siostra niewiele od nich starsza. Zdziwiałe, jak wspaniale jej się to udało. Diana powinna być z siebie bardzo dumna.

Diana najpierw zabawiła swoich gości wygrywaniem na pianinie jednym palcem „Żółtej łodzi podwodnej”, a potem zaprowadziła ich do ogrodu. Najmłodszy, Garth, wdrapał się na drzewo, próbując złapać rudego kota.

- Oj, siostrzyczko! Tutaj jest super! - wołał, patrząc na nią w dół

poprzez liście.

Po tej wizycie Brodie zastanawiała się, kiedy ona i Colin popełnili błąd w wychowaniu swoich dzieci, z których jedno wpadło teraz w narkomanię, a drugie marnuje czas, wdając się w z reguły nieudane interesy. A przecież nigdy nie brakowało im pieniędzy ani opieki czy miłości rodzicielskiej. Colin pomagał im w odrabianiu prac domowych, Brodie dbała, żeby były czyste, ciepło ubrane i dobrze odżywione. Czy tej miłości miały za dużo, czy nie dosyć?

Pewnie gdyby ich życie było trochę cięższe, dobrze by im to zrobiło.

Odgłosy wesołości, dochodzące z ogrodu, działały Vanessie na nerwy. Pojechała do sklepu Sainsbury po jedzenie w nadziei, że kiedy wróci, goście już sobie pójdą.

Obeszła sklep dookoła, z tęsknotą popatrując na torciki Battenberga*

i na ciasteczka czekoladowe, na kartoniki ze świeżą bitą śmietaną i na mięso w kruchym cieście, które po podgrzaniu tak wspaniale smakuje.

Poprzestała jednak na cienko krojonym niskokalorycznym chlebie, białym serze i jarzynach do sałaty.

Dla kobiety o tak żarłocznym apetycie tego rodzaju zakup bynajmniej nie był pociągający.

Powinna była przejść na jakąś rozsądną dietę, na przykład taką, przy której można jeść niemal wszystko, tyle że po trochu, a nie żywić się liśćmi z dodatkiem czegoś, co smakuje jak wata. Problem w tym, że takie prawdziwe diety działały bardzo powoli, a Vanessa chciała schudnąć szybko. Wyobrażała sobie, jak te wszystkie wałki tłuszczu znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki...

Tylko że im ściślejszą dietę stosowała, tym częściej i mocniej chwytał

ją głód nie do zniesienia, który musiała koić czymś niestety naprawdę tuczającym.

Szybko wyszła z działu spożywczego i zajrzała do płyt CD, DVD i do książek.

Cóż, kiedy nic jej nie skusiło - przede wszystkim dlatego, że nie były to rzeczy do jedzenia.

Zmusiła się do popchnięcia wózka w stronę kasy. Kasjerka spojrzała na nią ze współczuciem, gdy Vanessa płaciła za swoją zbieraninę nieapetycznych artykułów.

- W końcu do tego dojdiesz - powiedziała zachęcająco.

- Do czego dojdę? - prychnęła Vanessa.

Czego zdecydowanie nie cierpiała, to objawów współczucia.

- Wiesz, do czego...

Kobieta uśmiechnęła się ani trochę niezrażona.

*** Ciasto Battenberga - podłużne, lekkie biszkoptowe ciasto, które po przekrojeniu tworzy czerwono-białą szachownicę. Pomysł tego ciasta powstał z okazji małżeństwa wnuczki królowej Wiktorii z księciem Ludwikiem Battenbergiem w 1884 r., a cztery kwadraty reprezentują czterech książąt Battenberg: Ludwika, Aleksandra, Henryka i Franciszka Józefa.**

Przez następne pięć dni Vanessa nie opuszczała domu poza wczesnym, porannym spacerem po plaży. Spędzała mnóstwo czasu, leżąc na łóżku i gapiąc się w sufit, oddana ponurym myślom. Jedną z nich była przykra świadomość, że stała się beznadziejną, bezradną istotą, do której sama czuje wstręt.

Na dole w kuchni często dzwonił telefon, ale ponieważ na pewno nie był do niej, nie odbierała. Czasami odzywał się dzwonek u drzwi, ale i na to nie reagowała.

Na telefony i dzwonienie nie reagowała też Rachel, która mieszkała obok ze swoim dziadkiem.

Vanessa miała zamiar się poskarżyć, gdyby dziecko często płakało, ale właściwie ledwo je słyszała. Zastanawiała się, czemu ta dziewczyna nie wyprowadza dziecka do ogrodu. Chyba dzieci powinny zażywać dużo świeżego powietrza?

Takie ciche sąsiedztwo też ją denerwowało. Nigdy nie słyszała, by Rachel schodziła do kuchni. Orientowała się jedynie po dźwięku włączanego czajnika z wodą i otwieranej lub zamykanej lodówki, że dziewczynka już tam jest. To samo było z toaletą, w której nagle spływała woda, tak że Vanessa aż podskakiwała.

Niespecjalnie jej przeszkadzało być jedyną osobą w domu, kiedy Diana i Brodie wychodziły. Było jednak coś nienaturalnego w tym, żeby dwie kobiety mieszkały tak blisko siebie, dosłownie o parę metrów jedna od drugiej, a mimo to nie utrzymywały ze sobą żadnego kontaktu. Raz tylko spotkały się twarzą w twarz.

Czasem, późną nocą, Rachel śpiewała swojej córeczce. Głos miała wysoki i słodki: *Spij dziecinko już, śliczne oczka zmrucz, słyszysz, wicher wieje tam...*

To było naprawdę niesamowite.

Późnym rankiem w niedzielę, kiedy Vanessa jeszcze spała, Diana zapukała do jej drzwi i zawołała:

- Ma pani gościa!

- Kto to taki? - odrzyknęła.

Jeżeli to jedna z sióstr, nie była pewna, czy jej zarzuci ramiona na szyję, czy każe sobie pójść.

Tymczasem gościem okazał się ktoś zupełnie niespodziewany.

- To pan Gosling, ze sklepu! Mówi, że telefonował cały tydzień i dwa razy nawet tu przychodził, ale nikt mu nie otwierał. Chce panią zaprosić na lunch.

Vanessa wygramoliła się z łóżka.

- Powiedz mu, że będę za minutkę.

- Nie ma pośpiechu. Robię mu akurat herbatę.

Pierwszy raz od bardzo dawna Vanessa zadała sobie wiele trudu, by dobrze wyglądać: wyszcotkowała blond włosy, tak że aż błyszcząły.

Kiedy spojrzała w lustro i uznała, że z rozpuszczonymi włosami wygląda jak nadmuchana wersja Marilyn Monroe, zwinęła je w kok i upięła nisko na szyi. Włożyła czarny top i spodnie. Kiedy była gotowa, stwierdziła, że chyba nie wygląda aż tak źle.

Ale, o Boże! Jak bardzo pragnęła znowu ważyć sześćdziesiąt siedem kilo i iść na lunch z Williamem, ubrana w elegancką bluzkę i srebrzysty jedwabny kostium ze spodniami, który kosztował ją trzysta pięćdziesiąt funtów!

Drzwi do pokoju Diany były szeroko otwarte. Musiała być dumna ze swojej umiejętności gry jednym palcem. Kiedy Vanessa weszła, Diana akurat grała dla Leonarda i Brodie melodyjkę „Noc i dzień”. Kiedy skończyła, zaczęli klaskać. Na widok Vanessy oboje zawołali przyjaźnie:

- Cześć, Vanesso!

Vanessa zdołała się uśmiechnąć.

Naprawdę poczuła się teraz zupełnie normalnie... Cóż, kiedy wiedziała, że to nie potrwa długo.

Pół godziny później Leonard wiozł Vanessę do Southport swoim starawym, ale pięknie utrzymanym morrisem minorem. Diana była w drodze na Coral Street na obiad z Emmą i braćmi, a Brodie i jej matka spotkały się na stacji Crosby: miały pojechać na zakupy

do miasta. W każdym razie matka, bo Brodie na razie nie było na to stać. Musiała poprzestać na oglądaniu.

Rachel słuchała pod drzwiami; kiedy dom był już pusty, wybrała numer w komórce.

- Teraz można przyjść - powiedziała, gdy odebrano. Wyjęła Poppy z wózka i mocno przytuliła.

Kształt dziecięcego ciała idealnie pasował do jej szyi i ramienia, jak jeden kawałek puzzli do drugiego.

- Zaraz tu będzie twój tatuś, kochanie - wyszeptwała. - Nie zostanie długo. Będziemy się tobą opiekować. Nie martw się. Nie pozwolimy, żeby nam cię odebrali.

To, że w ośrodku dla uchodźców raz w tygodniu urządzano „poranną kawę”, na którą mógł przyjść każdy, nie tylko uchodźcy, było pomysłem Diany.

- Najlepszy byłby czwartek - mówiła Tinkerowi. - To może być sposób na pozyskanie funduszy. Na końcu ulicy możemy powiesić tabliczkę z informacją, a w samym ośrodku otworzyć stoisko z różnymi bibelotami. Jeżeli kawa nie będzie droga, zaczną tu przychodzić starsi ludzie. To będzie takie ich miejsce.

Tinker zwrócił jej uwagę, że opieka nad starszymi ludźmi nie jest zadaniem tego ośrodka, niemniej jednak się zgodził, pod warunkiem że Diana się tym zajmie.

- Wszystkie sprawy organizacyjne pozostawiam tobie, moje serce -

mówił, szczerząc zęby w swoim zwykłym, zaraźliwym uśmiechu. - Ale podoba mi się pomysł spotykania się naszych klientów z miejscową społecznością.

Diana przyszykowała więc zawiadomienia, wypisane mazakiem na białym kartonie. W rogach wymalowała jeszcze kwiatki, ot tak, po prostu, bo zostało tam puste miejsce.

Przybiła po jednym na każdym rogu Winstanley Grove.

Na pierwszą „poranną kawę” przyszło dziesięć pań i dwóch panów, wcale niestarych, i zebrano tego dnia ponad piętnaście funtów. Potem były jeszcze dwie „poranne kawy” i na każdej zbierano coraz więcej pieniędzy.

Dzisiaj była czwartą. Przyszło co najmniej dwadzieścia pięć osób.

Jadalnia i duża sala były pełne miejscowych mieszkańców i ludzi z całego świata, gawędzących ze sobą, czasami wyłącznie na migi.

Panowała świetna atmosfera, pełna ciepła i przyjaźni. Wszyscy się czuli jak w domu.

Dla Tinkera było bardzo ważne, by odwiedzający ośrodek uchodźcy uważali go za miłe miejsce.

- Wielu z nich przeszło okropne rzeczy, zanim się tu znaleźli -mówił.

- Musieli na wyjazd wydać wszystko, co mieli. Tymczasem, kiedy tu dotarli, okazało się, że nie mają gdzie mieszkać. Chcę, żeby zrozumieli, że życie nie zawsze bywa tak straszne. *Pamiętaj, każda chmura obwódkę srebrną ma...* zaśpiewał melodyjnie.

- Ja tam robię tutaj świetny interes - oznajmiła Megan, matka Brodie, którą Diana spotkała w drodze do bawialni, z tacą pełną filiżanek kawy.

Kiedy kilka tygodni temu Brodie poszła do pracy, Megan poczuła się trochę osamotniona. Teraz regularnie przychodziła do ośrodka i pomagała. W czwartki zajmowała się stoiskiem z bibelotami, z reguły przynosząc sterty drobniaków, które wypraszała od przyjaciółek. Było tego więcej, niż znalazła u siebie w piwnicy.

- To się naprawdę bardzo dobrze udaje. - Diana patrzyła na prawie puste stoisko. - Ile tego uzbierałaś?

Megan wyglądała na niezmiernie zadowoloną.

- Och, nie wiem dokładnie, kochanie. Chyba trzydzieści, a może nawet czterdzieści funtów... coś w tym rodzaju.

Tinker będzie zachwycony, pomyślała Diana.

- A co to jest, to z cekinów? - zainteresowała się.

- To bluzka. - Megan podniosła ją do góry. Była czarna i naprawdę piękna, z materiału cieniutkiego jak pajęczyna, obsypana hojnie złotymi i srebrnymi cekinami. - Ale to rozmiar sześćdziesiąt, kochanie.

O wiele za duży na ciebie. Możesz to mieć za darmo.

- Chciałabym ją wziąć. Proszę. - Diana nie miała zamiaru nie zapłacić za tę bluzkę. Była w takich sprawach bardzo skrupulatna,

więc postanowiła zapłacić za nią później. Rozdała kawy i wróciła do kuchni po więcej biszkoptów z dżemem, które zeszłego wieczoru zrobiła z pomocą Brodie. Kiedy jeszcze mieszkała na Coral Street, nigdy nie miała czasu na pieczenie ciastek.

- Diano! - zawołał Tinker z pewnym roztargnieniem, kiedy weszła. -

Jestem potwornie roztrzęsiony. Czy mogłabyś, proszę, spróbować pozbyć się tych twoich ludzi najszybciej, jak się da?

Tinker był potwornie roztrzęsiony niezliczoną liczbą razy w ciągu dnia.

Teraz stał przy piecu i mieszał w wielkim rondlu fasolę, podczas gdy kawałki niedostatecznie przypieczonego chleba wyskakiwały z tostera.

Wepchnął chleb z powrotem, klnąc. Ten toster był naprawdę beznadziejny.

- Moich ludzi...?

- No, tych ludzi z „porannej kawy”. Za chwilę przyjdą tu nasi ludzie na lunch i nie będą mieli gdzie usiąść, bo twoi ludzie zajęli wszystkie miejsca.

Wczepił palce w rudą czuprynę, tak że stanęła dęba. Jego włosy przypominały teraz Dianie perukę klauna.

- W następnym tygodniu, mój skarberńku, masz ich w ogóle wypędzić z jadalni i trzymać tylko w bawialni. - Bezkutecznie usiłował teraz wyrwać sobie włosy z głowy. - Naprawdę, chyba byłoby lepiej, gdybym powierzył te poranne kawy pani Banan. Jej chyba nie spodobałby się pomysł, żeby nasz dom był zawalony angielskimi emerytami, skoro ma być ośrodkiem dla uchodźców.

Pani Banan naprawdę nazywała się Bannerman. Nikt nie wiedział

dokładnie, czym się zajmuje. Była kimś w rodzaju koordynatora pomiędzy radą, rządem a różnymi instytucjami działającymi w sprawach uchodźców. Pojawiała się w ośrodku od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie gładko i nie dzieje się nic niepożądanego, jak na przykład owe nielegalne poranne kawy.

Diana obiecała, że w następnym tygodniu dopilnuje, żeby tłum jej ludzi opuścił ośrodek o wpół do dwunastej.

Tinker ucałował ją w policzek i wylewnie podziękował.

- Czymże sobie zasłużyłem, że mam tak wspaniałą dziewczynę jak ty, Di?

- Nie wiem - odpowiedziała Diana, czerwieniąc się jak wariatka.

Zarumieniła się znowu, kiedy zaniosiła biszkopty do bawialni i zobaczyła Ahmeda Rusafiego.

Był doktorem z Iraku, nie medycyny, ale filozofii, miał około czterdziestki i był wprost niesamowicie cudowny. Wszystkie panie, młode, stare i pośrodku, zachwycały się jego nieskazitelnymi manierami i - lekko trącącym staroświecczyną - urokiem osobistym.

Megan była jedną z nich. Któregoś dnia stwierdziła, że doktor jest, wypisz, wymaluj, podobny do gwiazdora filmowego Clarka Gable'a.

- Jako nastolatka byłem w nim dziko zakochana - mówiła rozmarzona. - Moja siostra tak samo. To zupełnie jakby go spotkać teraz, żywego, po tylu latach!

- Myślałam, że nie masz żadnych braci ani siostr - zauważyła Diana. I ona uważała, że Ahmed jest... no, przystojniejszy nawet od George'a Clooneya.

- Oczywiście. Nie byłam... nie miałam. Czemu, u diabła, mówię coś takiego?

Megan zrobiło się gorąco, była naprawdę wzburzona.

Ponieważ Diana nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, że ktoś mógłby się nie przyznawać, że ma braci i siostry, chociaż w rzeczywistości je ma, nie zwróciła na zachowanie Megan większej uwagi.

Później zresztą Megan oświadczyła, że ma w domu płytę DVD z filmem *Przemięło z wiatrem*, z owym jedynym i niepowtarzalnym Clarkiem Gable'em i całym mnóstwem dawnych gwiazd i że ją kiedyś przyniesie do „Kasztanów”, żeby obie mogły ten film obejrzeć.

Dodała jeszcze:

- Nasza Brodie też chyba chciałaby go zobaczyć. Film trwa prawie cztery godziny, więc najlepiej będzie go oglądać w weekend. Wtedy możemy siedzieć do późna, ile tylko zechcemy. Ja już go oglądałam mnóstwo razy, ale z przyjemnością zobaczę jeszcze raz.

- Mogłybyśmy zamówić jakieś jedzenie do domu... - zasugerowała Diana.

- ...i kupić jakieś wino! - Megan zatarła swoje długie, szczupłe, pomarszczone dłonie.

- I ubrać się elegancko, jakbyśmy szły do teatru czy coś takiego!

- Co za znakomity pomysł, Diano!

- Możemy to urządzić w ten piątek?

W sobotę miała się spotkać z Leem Petersonem i pójść z nim na dwudzieste czwarte urodziny jego brata. Za każdym razem, kiedy się z nim spotykała, mówiła mu, że już nie chce się z nim widywać, ale on uparcie ją od tego odwoził. Był naprawdę bardzo miły i Diana nie chciała ranić jego uczuć.

- Piątek będzie doskonały. Już z góry się na to cieszę! Diana też się cieszyła na ten wieczór.

Jej życie było teraz tak pełne radosnych wydarzeń jak nigdy dotychczas. Do niedawna zawsze na pierwszym miejscu byli bracia, ale teraz, chociaż dalej się o nich martwiła (pewnie tak już będzie zawsze), potrafiła już myśleć najpierw o sobie. Naprawdę ją radowało, że może robić to, co jej się podoba.

W tej chwili podszedł do nich Ahmed Rusafi. Uśmiechnął się i wziął

ciasteczko. Jakoś nie miała serca mu powiedzieć, że ciastko jest częścią „porannej kawy” i że powinien za nie zapłacić.

- Nie miałem tej nocy nigdzie spania - powiedział z dramatycznym wzruszeniem ramion i oszałamiającym uśmiechem.

- Dlaczego nie? - Diana była zdziwiona.

Chyba mogłaby się w nim zakochać... podobnie jak w Tinkerze.

- Ci ludzi, co mają dom, potrzebują mój pokój dla innych ludziów.

- Ależ to straszne! Nie może pan znaleźć jakiegoś taniego hotelu?

Ponownie wzruszył ramionami, rozkładając ręce.

- Nic nie tanie, kiedy ktoś nie ma pieniędzy.

- Pożyczę panu...

- Nie, nie, nie, nie! - Trząśł przecząco głową, przerażony na samą myśl o czymś podobnym. - Jakoś poradzam: może spać w parku, może na schodach w sklepie. Nigdy nie brać pieniędzy od kobiety.

- W porządku.

Zastanowiła się. Tinker bardzo by się złościł, gdyby się o tym dowiedział. Radził jej nigdy nie kierować się emocjami w stosunku do uchodźców.

- To by ci wydarło serce z piersi, Di - przestrzegał. - Niektórzy z nich naprawdę okropnie ucierpieli. Nie chciej cierpieć razem z nimi. Traktuj ich z miłością, dobrocią, szczodrością... ale staraj się być bezstronna.

Tinker był taki mądry!

Ostatnia „poranna kawa” przyniosła 57,37 funta.

Tinker rozpatrywał możliwość kupienia za to stalowego tostera na sześć grzanek.

Diana i Megan były z siebie bardzo zadowolone, kiedy tego wieczoru jechały do domu pociągiem. Wsiadły na stacji w Blundellsands: Megan poszła po swój rower, a Diana piechotą ruszyła na Elm Road.

Razem wzięwszy, ten dzień był naprawdę udany.

Vanessa spędziła popołudnie na oglądaniu horroru w telewizji.

Podczas filmu cierpła jej skóra.

Nadal jej cierpła, kiedy się zastanawiała, co ma zjeść na podwieczorek. Rozpatrywała wszystkie możliwości, jedną po drugiej.

Dziś rano naprawdę zwariowała i zjadła całodzienną rację masła z dwoma duszonymi śledziami. W pokoju nadal czuć było rybą. Jakim cudem coś, co jest takie smaczne, może tak ohydnie śmierdzieć?

Salata z szynką, sałatka z serem, sałatka z sardynką, omlet z sałatą...

na deser jabłko. Pomału przyzwyczajała się do picia herbaty bez mleka, ale nie była w stanie dopatrzeć się smaku w czarnej kawie.

Zastanawiała się, czy kiedyś nadejdzie dzień, gdy coś z tych rzeczy jej zasmakuje. To było dobre na przekąskę, ale na obiad?

Westchnęła. Mieszkała w „Kasztanach” od sześciu tygodni i straciła na wadze tylko tyle, ile jej przybyło od dnia sprowadzenia się tutaj.

Kilka razy w tygodniu opuszczała ją siła woli i wtedy pędziła

dokądkolwiek, przeważnie późnym wieczorem, i dogadzała sobie jakimś wyjątkowo tuczącym jedzeniem. Rozkosz, jaką wtedy czuła, była lepsza niż seks... Niestety, później z reguły była zawstydzona i zgnębiona.

Omlet z sałatą - zdecydowała. To ją lepiej nasyci niż sardynki, kawałek sera albo plaster szynki.

Otworzyła drzwi, by zejść do kuchni, i zderzyła się z Dianą, która właśnie chciała do niej zapukać.

- Dzień dobry, Vanesso - rzekła nieśmiało. - Coś ci przyniosłam.

Mieliśmy dzisiaj „poranną kawę” w ośrodku i znalazłam to na stoisku z różnościami. - Podala jej jakąś ładną, koronkową rzecz, ozdobioną cekinami. - To bluzka - wyjaśniła, kiedy Vanessa patrzyła na nią z zakłopotaniem. - Ma rozmiar sześćdziesiąt. Chyba wystarczająco duża dla ciebie?

- Tak - odparła Vanessa łamiącym się głosem. Miała wrażenie, że rozmiar sześćdziesiąt jest chyba największy ze wszystkich. A może sześćdziesiąt dwa? - Dziękuję.

Miała w tej chwili ochotę zacisnąć dziewczynie tę bluzkę na szyi.

- Aha, i jeszcze jedno. Jutro wieczorem Megan, Brodie i ja mamy zamiar oglądać film *Przemięło z wiatrem*, u mnie w pokoju. Może chciałabyś przyjść i ty? Będziemy pić wino i chcemy zamówić jakieś jedzenie i ładnie się ubrać, jakby na premierę filmu czy coś podobnego.

Mogłabyś włożyć tę nową bluzkę...

- Mogłabym, pewnie, że mogłabym.

- Och, to by było super! Jak myślisz, czy Rachel też chciałaby przyjść? Właściwie prawie jej nie widzimy.

- Nie wiem. Musisz ją sama zapytać.

Ponieważ robiło się coraz cieplej, dziewczynka zaczęła się pojawiać w ogrodzie z malutką w wózku. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu widok tej drobnej istotki, karmiącej równie drobne niemowlę, niemal wyciskał Vanessie łzy z oczu.

W samotności Rachel było coś bardzo dziwnego. Gdzie się podziwiali jej rodzice? Gdzie był ojciec dziecka?

Vanessa powtarzała sobie, że to przecież nie jej sprawa. Niemowlę było wesołe, chyba się dobrze rozwijało, nie było zatem powodu, żeby się w to mieszać.

Diana odeszła, a Vanessa zeszła na dół do kuchni przyrządzić sobie omlet.

Co za głupi pomysł, specjalnie się stroić po to, żeby obejrzeć we własnym domu film na płycie DVD, myślała Vanessa następnego wieczoru, patrząc na trzy kobiety w ogrodzie. Każda miała w ręku kieliszek wina.

Wyrzała, kiedy usłyszała muzykę. *Moonlight becomes you, it goes with your hair...* 1 śpiewał jakiś mężczyzna super wytwornym głosem.

Pewnie czekają, aż im przyniosą jedzenie z restauracji. Była ciekawa, co też zamówiły.

Brodie była w zwyczajnej bluzce i spódnicy; dla elegancji zarzuciła na ramiona białą koronkową mantylę. Megan miała na sobie różową lnianą sukienkę i wiśniowy aksamitny żakiet. Diana włożyła prawdziwą wieczorową suknię z błękitnej tafty, bardzo staroświecką, w rodzaju tych, które panie nosiły podczas wojny, a do tego małą pelerynkę z białego futerka. Wyglądała kompletnie komicznie.

Wszystkie trzy chichotały, jakby już wypily za dużo wina.

A może i nie? Vanessa przypomniała sobie smętnie, że potrafiła zachowywać się dokładnie tak samo, kiedy wychodziła gdzieś z przyjaciółmi: śmiała się do rozpuku zupełnie bez powodu, będąc całkowicie trzeźwa.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz gdzieś wyszła z przyjaciółmi, wiedziała tylko, że to było, zanim William uciekł jej sprzed ołtarza.

Pociągnęła nosem, przygębiona, przyciskając twarz do szyby.

To, co działo się w ogrodzie, przypominało scenę z jakiejś sztuki: ta muzyka, kobiety z kieliszkami wina, ciemniejące drzewa, rzucające coraz dłuższe cienie w miarę jak zapadał zmierzch, światło

1 *Moonlight becomes you, it goes with your hair* (Światło księżycy pasuje do ciebie, do twoich włosów) - piosenka z filmu „Droga do Maroka” z 1942 roku.

padające z parterowych okien na trawę... Jakiś ptaszek śpiewał gdzieś w gąszczu liści, a na jednym z krzeseł spał zwinęty w kłębek rudy kocur.

Odezwał się dzwonek i Diana pobiegła otworzyć, jedną ręką podtrzymując długą suknię, a w drugiej nadal trzymając kieliszek. Na nogach miała pantofle ze sztucznymi brylantami, na bardzo wysokich obcasach. Poruszała się w nich równocześnie z wdziękiem i trochę chwiejnie.

- Wejdzmy do środka?! - zawołała Megan do Brodie. - Nie możemy jeść w ogrodzie, bo wszystko zaraz wystygnie.

Vanessa odwróciła się na chwilę od okna, żeby wytrzeć nos.

Kiedy wróciła, w ogrodzie już było pusto; został tylko kot, który zeskoczył z krzesła i przeciągał się leniwie, zanim nie zniknął w ciemności. Ptak nadal śpiewał, teraz jednak jakoś żalobnie... a może tylko tak się Vanessie wydawało.

W tym momencie w pokoju na dole zgasło światło. Diana musiała zamknąć okno i zaciągnąć kotary. Kiedy już było widać tylko drzewa, które z każdą chwilą się robiły coraz ciemniejsze, Vanessa zaciągnęła własne zasłony i zabrała się do...

Do czego?

Ma oglądać telewizję, cały czas myśląc o jedzeniu? To wszystko, co miała do roboty. Nie mogła nawet ratować się czytaniem, bo całkiem straciła umiejętność koncentracji.

Dawniej czytała codziennie gazetę i wiedziała o wszystkim, co się dzieje na świecie, ale teraz nie potrafiła. Wiadomości w telewizji były przerażające: nic, tylko jakieś morderstwa. Przywiozła ze sobą laptop, ale co niby miała na nim robić? Grać w jakieś gry, podczas gdy dawniej używała go do naprawdy ważnej pracy?

Zastanowiła się, czy w jej komórce nie ma czasem nowych wiadomości. Okazało się, że jest ich siedem. Wykasowała wszystkie bez czytania.

Za każdym razem, kiedy sprawdzała, było ich coraz mniej. Wkrótce nie będzie żadnej, a wtedy Vanessa poczuje się jak umarła, jakby nikt już o niej nie pamiętał.

Ta myśl zmroziła jej krew. Zupełnie wyraźnie czuła w sobie mroźne zimno. Jeszcze trochę zimniej, a umrze naprawdę.

Zerwała się i zaczęła rozcierać ramiona, tupać nogami i ruszać się, starając się rozgrzać całe ciało.

Nie, tak dalej być nie może. Na litość boską, przecież jest tylko gruba.

A porzucił ją kierownik wideo wypożyczalni, który zarabiał dwa razy mniej od niej! To jeszcze nie koniec świata. Nie ma żadnej śmiertelnej choroby. Ma krewnych, którzy ją kochają, ma dach nad głową i mnóstwo pieniędzy.

Dlaczego więc czuje się bardziej osamotniona i nieszczęśliwa niż kiedykolwiek przedtem?

Słyszała głosy pań rozmawiających w kuchni: szykowały przyniesione jedzenie. Była przecież zaproszona: mogłaby z nimi jeść, obejrzeć film i napić się wina, jednak odmówiła...

Odmówiła? Nie, przecież się zgodziła! Zgodziła się zejść do nich i włożyć tę używaną bluzkę w rozmiarze sześćdziesiąt, którą Diana kupiła dla niej na stoisku z różnościami w ośrodku dla uchodźców.

Właściwie, jeżeli na to spojrzeć z pewnego punktu widzenia, to był

ogromnie serdeczny gest.

Vanessa wciągnęła czarne spodnie i założyła bluzkę z cekinami, o wiele dla niej za dużą. To było naprawdę pocieszające, móc na siebie włożyć coś, co jest za duże, a nie za małe. Bluzka jednak wyglądała bardzo elegancko. Vanessa czuła się jakby trochę pijana, kiedy szcztokowała długie blond włosy. Rozpuściła je luźno, umalowała szminką usta i wpięła w uszy błyszczące kolczyki.

- Witaj, kochanie! - zawołała Megan, kiedy Vanessa weszła do kuchni, gdzie panie rozkładały na talerzach zawartość licznych pu-dełek z indyjskim jedzeniem.

- Jak to dobrze, że przyszaś! - rzekła Brodie. - Podaj mi jeszcze jeden talerz, nałożę ci wszystkiego po trochu. Jest tego całe mnóstwo: zamówiliśmy o wiele za dużo.

- W tej bluzce wyglądasz naprawdę ślicznie! - z podziwem stwierdziła Diana.

Film skończył się tuż po północy. Vanessa była do granic możliwości opchana smażonym ryżem z cynamonem, chrzanowym chlebem, *dahi ki dani*, jajkami w sosie curry, krewetkami w sosie curry z kokosem, *rogan josh 2*, wreszcie słodkimi kluskami na parze. Wszystko to splukała ogromnymi ilościami wina. Film, wino, towarzystwo -

wszystko było doskonałe.

Wobec tego czemu się rozplakała?

Zaczęła szlochać tak gwałtownie, tak okropnie, jakby jej serce pękało, naprawdę rozpadało się na dziesięć części, których już się nie da skleić. Od wysiłku, jaki wkładała w ten płacz, rozboleła ją całe ciało.

Kobiety zebrały się wokół niej, poklepując ją i głaszcząc, mrużąc słowa współczucia i zachęty, tłumacząc, że jutro rano już wszystko będzie dobrze, że się pewnie po prostu trochę upiła, że kiedy wytrzeźwieje, poczuje się lepiej.

Zaprowadziły ją na górę do pokoju, pomogły się rozebrać, wy-ciągnęły nocną koszulę spod poduszki i ułożyły Vanessę w łóżku.

Czekała, aż wyjdą.

Wtedy wstała z łóżka, poszukała nożyczek i stanęła przed lustrem.

Pasmo po paśmie obcięła sobie włosy, zostawiając zaledwie kosmyki po trzy centymetry.

Poczuła się swobodniejsza, lżejsza, młodsza, lepsza. Wróciła do łóżka i zaraz zasnęła.

Następnego ranka do drzwi Vanessy zapukała Brodie. - Przyniosłam ci herbatę! - zawołała.

Uznała, że gdyby Vanessa się nie odezwała, wypije ją sama. Biedna Vanessa była wczoraj w bardzo złym stanie. Co prawda *Przeminęło z wiatrem* jest bardzo smutne. Brodie pamiętała, że kiedy oglądała ten film pierwszy raz, wylewała wiadra łez.

2Dahi ki dahl, rogan josh - zupa z groszku i jogurtu, mięso pieczone w maśle - dania kuchni indyjskiej.

Już miała zabrać herbatę z powrotem, kiedy w pokoju rozległ się rumor i Vanessa otworzyła. Była w nocnej koszuli.

- Dż'ń dobry - powiedziała opryskliwie, trąc powieki.

- Obcięłaś włosy!

Vanessa poklepała się po głowie.

- Zrobiły się za długie. Pomyślałam, że dla odmiany zacznę nosić krótkie. Jak wyglądają?

Brodie długo szukała odpowiedniego określenia, które nie byłoby zanieczyszczone nietaktownością.

- Są niezwykle - powiedziała w końcu. - Całkiem niezwykle.

- W każdym razie dziękuję za herbatę - powiedziała Vanessa niemal z uśmiechem.

Vanessa zamknęła drzwi, postawiła tacę na stoliku przy łóżku i podeszła do lustra, by obejrzeć swoje włosy.

- Do jasnej cholery...!

Już prawie krzyknęła, ale powstrzymała się na czas, zatykając usta obiema rękami.

Wygłądała koszmarnie. Co ją, u licha, opętało, żeby obciąć sobie włosy tak nieuważnie, jakby jej nie czorta nie obchodziło, jak będzie wyglądać?

Właśnie dlatego, że nie czorta.

Dlatego że nie czorta, jak wygląda. Dlatego że życie to świństwo... Nie chciała mieć z nim nic wspólnego!

- Powinnaś zobaczyć, co Vanessa zrobiła z włosami - zwróciła się Brodie do Diany, wchodząc do kuchni, gdzie dziewczyna szykowała jajka na bekonie z pomidorami. Oparła się o lodówkę i patrzyła.

- Wyglądają okropnie. To znaczy włosy Vanessy, nie twoje jedzenie.

- Musiała to zrobić po pijanemu. - Diana fachowo przewróciła jajko na patelni. - Chcesz jajko obsmażone z obu stron?

- Tak, proszę. Nie cierpię, jak są za rzadkie.

Diana przechyliła głowę na jeden bok, potem na drugi.

- Gdybym kiedykolwiek wylądowała na bezludnej wyspie, ogoliłabym głowę na tyso. Słyszałam, że jeżeli się to zrobi, włosy odros-

ną kręcone, chociaż przedtem były proste...i mogą nawet zmienić kolor.

- To chyba jakieś bajki starych bab. A gdybyś wylądowała na bezludnej wyspie, najprawdopodobniej nie miałabyś czym się ogolić.

W każdym razie nasz Josh kiedyś ogolił sobie głowę i włosy odrosły mu dokładnie takie same jak przedtem.

Nie mogła pojąć, dlaczego Diana miałaby chcieć innych włosów, skoro jej miały taki piękny kolor, jasnobrązowy z pasemkami złota. W dodatku były bardzo gęste. W porównaniu z włosami Diany jej własne wydawały się Brodie rzadkie i bez życia.

- Możesz wyjąć talerze z pieca? - Diana potrząsnęła patelnią.

-Będziemy jadły u ciebie czy u mnie?

- U mnie. W twoim pokoju jest jeszcze bałagan po wczorajszym wieczorze. Kiedy zjemy, pomogę ci sprzątać.

- Nie jest tak źle, naprawdę - zapewniła Diana. - Raptem parę kieliszków i pustych butelek po winie, to wszystko. To, co zostało z jedzenia, włożyłam do lodówki. Proszę, nie wyrzucaj mięsa. Dam je Kennethowi.

Brodie parsknęła śmiechem.

- Kenneth to strasznie dziwne imię dla kota. Jak on się naprawdę nazywa?

- Pojęcia nie mam. - Diana wzruszyła ramionami. - Nie nosi obróżki.

Nie wiem nawet, gdzie mieszka na stałe. I nie pytaj, dlaczego go tak nazywam. Tak mi po prostu przyszło do głowy. Chcesz kawałek przysmażonego chleba?

- Z rozkoszą zjadłabym kawałek smażonego chleba, najchętniej w świecie - zapewniła Brodie, głośno oblizując wargi - ale... lepiej nie. -

Skrzywiła się. - To chyba najbardziej tuczająca rzecz, jaka w ogóle istnieje.

- Ja zjem dwa kawałki.

Diana jadła jak koń i nigdy jej nie przybywało ani grama. Brodie stwierdziła, że to okropne z jej strony.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tego jadła w mojej obecności!

- Możesz przecież po prostu zamknąć oczy.

Brodie postawiła nagrzane talerze na suszarce.

- Wiesz - powiedziała, rozglądając się po kuchni - zaczynam się przyzwyczajać do tego zestawu musztardowego z czerwonym.

Dziwaczne połączenie, ale bardzo oryginalne... takie trochę wschodnie.

- Ja tam uważam, że jest świetne. - Diana była jakby trochę urażona.

Pewnie nadal czuła się winna, chociaż to był błąd pana Petersona, a nie jej, że pomalował kuchnię bez wcześniejszego uzgodnienia z właścicielką.

Jadły w pokoju Brodie, przy małym stoliku pod oknem.

Był pochmurny, wilgotny dzień majowy. Nawet Diana, która uwielbiała ten ogród i kiedy tylko mogła, siadywała pod drzewami, dzisiaj nie miała ochoty tego robić.

Wyszła zaraz po śniadaniu. Chociaż nie pracowała w soboty, często przychodziła do ośrodka, żeby trochę pomóc temu zachwycającemu Tinkerowi w tym, co zaplanował na wieczór: w koncercie pop, w spotkaniu towarzyskim, w jakimś przyjęciu...

Brodie leżała na łóżku, szczerze zadowolona, że jest sobota i że ma wolny dzień. Dzisiaj nie musiała iść do pracy.

Kiedy się zastanawiała nad znalezieniem pracy, oczywistym wyjściem wydała jej się praca biurowa.

W szkole nauczyła się pisania na maszynie i stenografii. Kiedy jako szesnastolatka skończyła szkołę z pięcioma zdanymi egzaminami na średnim szczeblu, trafiła prosto do banku i została młodszą sekretarką jednego z wyższych urzędników. Było to strasznie nudne, ale miała ze wszystkimi bardzo dobre relacje, zawarła więc mnóstwo przyjaźni.

Nadal od czasu do czasu spotykała się z dawnymi kolegami.

Brodie nigdy nie planowała zrobienia kariery zawodowej. Była absolutnie szczęśliwa, kiedy po czterech latach odeszła z banku, by poślubić Colina Logana.

Od tamtej chwili nigdy więcej nie pracowała, jeśli nie liczyć tysięcy pieluszek, które wyprała, gór prasowania, posiłków, jakie przyrządziła, odkurzania, sprzątnięcia, robienia zakupów, pracy w ogrodzie, napraw ubrań, od czasu do czasu odnawiania i dekorowania mieszkania i mnóstwa innych zadań, które stanowią byt żony i matki dwojga dzieci. Zawsze miała w domu maszynę do pisania, a potem komputer.

Zatem wtedy, gdy jej uświadomiono - raczej brutalnie - że najwyższy czas, by sama zarabiała pieniądze, poszła do agencji i spytała o dorywczą pracę biurową. Jeszcze nie chciała się angażować w pracę na pełny etat.

Spędziła pierwszy tydzień w firmie prawniczej Starks & Putney przy Water Street, w dół od Pier Head: pracowała dla Roberta Priesta, którego sekretarka wyjechała na urlop.

Priest był chyba najbardziej aroganckim mężczyzną, jakiego w życiu poznała, toteż od początku go nie lubiła. Poza tym fakt, że właściwie mogłaby być jego matką, bynajmniej nie pomagał. Ani razu jej nie podziękował za tuziny pism, które codziennie wypisywała, kiedy już była w stanie zrozumieć jego bazgraninę niemal nie do odczytania.

Jeszcze gorzej było, kiedy jej dyktował całe mnóstwo słów w gorączkowym tempie, tak że trudno jej było je rozróżnić.

Ona i Robert Priest błyskawicznie stali się śmiertelnymi wrogami.

Wieczorami Brodie płakała, zanim zasnęła.

To wina Colina, że znalazła się w takiej sytuacji, gdyż kochała swoją córkę, a on o nią nie dbał.

Poczuła prawdziwą ulgę, kiedy tydzień się skończył, a ona mogła odejść i poszukać sobie innego biura.

Tym razem pracowała razem z pięcioma młodymi kobietami w wydziale skarg pewnej firmy ubezpieczeniowej za wodą 3, w Birkenhead. Przez cały tydzień niemal nie zamieniły z nią słowa. Nie były niegrzeczne, tylko po prostu niezainteresowane rozmową z osobą co najmniej dwadzieścia lat od nich starszą, w spódnicy zakrywającej kolana, z oczami prawie nieumalowanymi, bez tatuażu i bez

3.,Za wodą", czyli po drugiej stronie „fiordu"; Liverpool jest przecięty wąską zatoką morską, a osiedla po stronie bliższej pełnego morza liverpool-czycy nazywają „za wodą".

kolczyków w nosie ani w żadnej innej części ciała. Kiedy już musiały się do niej odezwać, zwracały się do niej „Erm". Tego, że poszła do pracy, nie mogła ukryć przed matką. Kiedy Megan się dowiedziała, co Colin powiedział, określiła go najgorszymi słowami, jakie tylko mogła wymyślić i zaproponowała, że będzie dawać Brodie tyle pieniędzy, ile jej będzie trzeba.

- Przecież one tylko leżą w banku, kochanie - argumentowała. - I tak kiedyś będą twoje, a ja ich naprawdę nie potrzebuję, nie w moim wieku. Nie mam zamiaru iść do domu starców, gdzie mnie wcisną w fotel i pozwolą się zaślinić na śmierć.

Ale Brodie stanowczo odmówiła przyjęcia pieniędzy matki.

- Nie chcę, żeby Colin myślał, że nie umiem sobie poradzić. Tak czy siak, mam, dobrze mi zrobi dla odmiany utrzymywać się sa-modzielnie.

Naprawdę tak myślała. Dotychczas jej życie było właściwie bardzo łatwe, zwłaszcza w porównaniu na przykład z życiem Diany, którą tak bardzo podziwiała.

W trzecim tygodniu Brodie poszła do innej agencji i poprosiła o zajęcie sprzątaczkki. Ostatecznie miała w tym więcej doświadczenia niż w pracy biurowej. Tym razem miała nadzieję, że zostawią jej wolną rękę. Już postanowiła, że odmówi, gdyby jej kazali wchodzić na drabinę i myć okna na piętrze albo przesuwac ciężkie meble. Nie była pewna, jak znieśnie sprzątnięcie toalet, zwłaszcza gdyby były brudne.

Ale u pana Dougala pracowało się po prostu uroczo. Miał już koło osiemdziesiątki, uwielbiał gawędzić i prawie nie mógł chodzić.

Skończyło się na tym, że Brodie przesiadywała całymi godzinami, słuchając jego opowiadań o latach spędzonych w marynarce podczas wojny, po

czym biegiem sprzątała mieszkanie, żeby, kiedy przyjdzie koniec dnia pracy, wyglądało porządnie. Jaka szkoda, że ta praca trwała tylko dwa tygodnie! Brodie zajmowała się tym domem w czasie, kiedy żona pana Dougala była w Kalifornii z wizytą u siostry.

Kiedy Nora Dougal wróciła, zatelefonowała do Brodie z podziękowaniem za opiekę nad mieszkaniem podczas jej nieobecności.

- Nie musiałam się nim aż tak bardzo opiekować - przyznała się Brodie. - Mnóstwo czasu spędziłam, słuchając pani męża.

- Wiem o tym, kochanie. Głędzi i głędzi o rzeczach, o których młodzi ludzie nigdy nie słyszeli. Była pani dla niego bardzo dobra i cierpliwa.

Czy gdybym jeszcze kiedyś chciała wyjechać, mogę poprosić w firmie, żeby mi przysłali właśnie panią?

- Naturalnie.

Teraz, leżąc w łóżku po wieczorze spędzonym na oglądaniu *Przeminęło z wiatrem*, Brodie zastanawiała się, jaka będzie jej następna robota.

Nie znosiła uczucia niepewności. Sama lubiła schludność i porządek i chciała, żeby życie też było takie: czyste i przewidywalne. W

następnym tygodniu miała pracować u pani Cowper w Southport i trochę się bała, jak jej tam będzie.

Vanessa usłyszała muzykę w pokoju na dole. Diana była już w domu.

Jakaś kobieta śpiewała: *Every time we say goodbye, I cry a little...* 4.

Zeszła na dół i zapukała.

- Proszę, proszę! - zawołała Diana.

- Nie, dziękuję - sztywno odparła Vanessa, stojąc na progu. - Tylko że kiedy Leonard przyjdzie jutro zabrać mnie na lunch, powiedz mu, proszę, że się źle czuję.

- Naturalnie, że powiem - odparła Diana z zakłopotanym wyrazem twarzy. - Ale dlaczego nie zadzwonisz teraz i nie powiesz mu tego sama?

- Bo będzie próbował mnie namówić - mętnie wyjaśniła Vanessa. - A ja nie chcę nigdzie pójść.

- Naprawdę źle się czujesz? A może to z powodu twoich włosów? -

Vanessa skrzywiła się i nic nie powiedziała. Ta dziewczyna nie miała ani krzty taktu. - Brodie mi powiedziała, że je obciął.

4 *Every time we say goodbye, I cry a little* (Za każdym razem, kiedy się żegnamy, płacę) - piosenka śpiewana przez Ellę Fitzgerald (muz. Cole Porter).

Wyobraziła sobie, jakimi słowami Brodie opisała Dianie jej włosy. W

tej chwili osłoniła głowę chustką, związaną w wielką kokardę.

Wyglądała trochę jak Mammy w *Przeminęło z wiatrem*.

Wzruszyła ramionami i tępo patrzyła na Dianę, nie wiedząc, co powiedzieć.

- A może byś poszła w poniedziałek do fryzjera? On by ci je na pewno trochę wyrównał i uporządkował - zaproponowała Diana.

- Nie chcę - odparła ponuro Vanessa.

Wszyscy będą myśleli, że zwariowała. Będą ją sobie ukradkiem pokazywać, chichocząc i szepcząc.

- A może pozwolisz, żebym ja to zrobiła? - zaofiarowała się Diana. Jej błękitne oczy wprost promieniały dobrocią.

Vanessa znowu się skrzywiła. Ta dziewczyna była o wiele, cholernie o wiele za miła.

Któregoś dnia ktoś będzie musiał ją zabić.

- To nieważne.

Wolałaby, żeby to nie zabrzmiało tak niemiło.

- Och... Ale ja zupełnie dobrze obcinam włosy. Strzygłam chłopców aż do czasu, kiedy odeszłam z domu. To znaczy... trzeba je tylko uporządkować. Proszę, wejdź. - Zaprosiła ją serdecznym gestem. -

Mam nawet odpowiednie nożyczki. Czasami sama sobie przycinam włosy.

- No, dobrze... - W jej głosie nadal słychać było urazę.

Na łóżku Diany leżała niebieska taftowa suknia, którą wczoraj nosiła.

Próbując być bardziej przyjacielską, Vanessa spytała, skąd Diana ją ma.

- Z ośrodka dla uchodźców. Pożyczyłam ją tylko. Muszę ją odnieść w poniedziałek. Dzisiaj wieczorem idę na czyjeś dwudzieste pierwsze urodziny i chcę ją włożyć.

Diana otworzyła drzwi szafy: wewnątrz było lustro. Ustawiła przed nim krzesło.

- Było ci w niej bardzo ładnie.

- A tobie w tamtej bluzce - odparła Diana.

Vanessa przypuszczała, że Diana poprosiła o tę bluzkę dla niej.

Usiadła na krześle, a Diana okryła jej ramiona ręcznikiem. Potem chwilę kręciła się koło niej, oglądając uważnie włosy i z hałasem otwierając i zamykając nożyczki, tak że Vanessa nawet się trochę przestraszyła.

- Piękny kolor - zauważyła Diana. - To naturalny?

- Tak.

- Mówi się, że włosy są największą ozdobą kobiety.

- Wiem. - To była resztką ozdoby, jaka jej pozostała. Diana przestała obchodzić ją dookoła.

- Nośiłaś kiedyś grzywkę? - spytała.

- Nigdy, od czasu kiedy byłam mała.

- Tak... Myślę, że teraz powinnaś. Będziesz lepiej wyglądała z włosami szczesnymi na czoło, teraz, kiedy są takie krótkie.

- Jak chcesz.

Vanessa właściwie nie przejmowała się swoimi włosami, ale też nie uśmiechało jej się wpadanie w przerażenie za każdym razem, kiedy spojrzy w lustro, aż włosy odrosną do przyzwoitej długości, co na pewno zajmie wiele miesięcy, a nawet lat...

William zawsze podziwiał jej włosy. Przebiegał w nich palcami, mówiąc, że to jej najpiękniejsza ozdoba.

Podstrzyganie znikomych kosmyków włosów, tak żeby zaczęły wyglądać bardziej jak piórka niż jak pęczki, zajęło Dianie mnóstwo czasu.

- Nie chcemy, żeby wyglądały za porządnie - mówiła, roztrzepując je palcami.

Kiedy skończyła, wyekspediowała Vanessę na górę, żeby je umyła.

- Masz suszarkę? Ja swoją zostawiłam w domu - powiedziała Diana. -

Stale mam po nią pójść.

- Mam suszarkę. Możesz ją pożyczać, kiedy tylko zechcesz.

To był pierwszy gest dobroci, który Vanessa okazała komuś, nie wiadomo od jak dawna.

- Nadal nie chcesz pójść jutro na lunch z Leonardem? - spytała Diana, kiedy już włosy Vanessy były umyte i wysuszone i wcale nie wyglądały źle, biorąc pod uwagę zniszczenia, jakie w nich poczyniła.

Na czubku głowy sterczało coś w rodzaju jeża, ale reszta wyglądała schludnie i swobodnie, co o wiele lepiej pasowało do kobiety o pełnej figurze niż dawne uczesanie.

Kiedy o tym myślała, doszła do wniosku, że z długimi włosami wyglądała staromodnie.

- Nadal uważam, że w tym tygodniu jednak opuszczę ten lunch.

Początkowo lunchy były miłe, ale w zeszłą niedzielę Leonard przycisnął jej kolano, a ona odniosła koszmarnie wrażenie, że się do niej próbuje przystawiać. Miał siedemdziesiąt trzy lata, a ona trzydzieści jeden, niemniej jednak odrobinę jej to pochlebiło. Ale dla dobra jej własnej dumy to się nie powinno nigdy powtórzyć.

Dziwne było nie mieć w sobotę nic do roboty.

Wczesnym popołudniem wyjrzało słońce i w porze podwieczorku Brodie znowu leżała na łóżku. Czowała się nienaturalnie beczynna i myślała o ogrodzie. Hortensje i rododendrony niedługo zakwitną.

Krzak bzu już był okryty kwiatami, a na pnących różach pokazały się małe czerwone pączki. Trawa sięgała tydek i bardzo już potrzebowała strzyżenia. To była dzika trawa, rosła błyskawicznie.

Mama wybierała się do teatru z przyjaciółmi. Ustaliła to z nimi już dawno, zanim jeszcze Brodie wyprowadziła się od Colina.

- Inaczej poszłybyśmy gdzieś razem, kochanie. - Megan z niepokojem spojrzała na córkę. - Nie podoba mi się, że spędzisz samotnie sobotni

wieczór.

- Mamo - cierpliwie odparła Brodie - nie wolno ci się tak o mnie troszczyć. Mam czterdzieści trzy lata. Mogę poczytać albo obejrzeć telewizję. Będzie mi naprawdę przyjemnie pobyć dla odmiany w swoim własnym towarzystwie.

W dodatku bez George'a, a to już było naprawdę błogosławieństwo.

- Mimo to - stwierdziła matka - to mi się nie wydaje dobrym wyjściem.

- Ani nie jest też złym wyjściem, mamo. Brodie nie była w domu jedyną samotną osobą.

Była nią też Vanessa. Rzadko kiedy w ogóle opuszczała dom, najwyżej raz w tygodniu, żeby zrobić jakieś zakupy... No i czasami późno wieczorem, ale wtedy nie było jej w domu najwyżej pół godziny. Brodie bardzo chciałaby wiedzieć, co też ona robi, siedząc cały dzień w „Kasztanach”. Zeszłej nocy była taka zrozpaczona: płakała, jakby świat się kończył!

Rachel i jej córeczka też były w domu, u siebie na górze. Chyba jednak naprawdę pielęgniarka powinna regularnie oglądać małą Poppy. Malutka nawet rzadko kiedy płakała. Zdarzało się, że Brodie miała ochotę powiedzieć o całej sprawie służbom socjalnym, ale mog-

łyby się to zakończyć odebraniem dziecka, a wtedy poczułaby się obrzydliwą wścibską babą. Kilka razy próbowała porozmawiać z Rachel, zainteresować się dzieckiem, ale dziewczynka tylko spoglądała na nią podejrzliwie i najwyraźniej nie chciała rozmawiać.

Dziś wieczorem Diana szła na dwudzieste pierwsze urodziny brata Lea Petersona, wystrojona w błękitną wieczorową suknię i małą futrzaną pelerynkę. W tym stroju oglądała wczoraj *Przemięło z wiatrem*. Zdaje się, że Leo chciał, by się zaręczyli, ale Diana niezbyt się do tego paliła. Brodie miała nadzieję, że Leo nie zdoła jej do tego namówić. Co prawda, ta dziewczyna nigdy nie chciała ranić niczyich uczuć.

Brodie podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi tarasu. Otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Akurat przejeżdżał pociąg: poczuła, jak ziemia drży pod jej stopami. Powietrze miło pachniało świeżością, a razem z pojawieniem się słońca wśród drzew odezwały się wesole ptasie śpiewy.

Łatwo było sobie marzyć, żeby to Diana, a nie Maisie była jej córką.

Ale przecież Maisie bywała dawniej równie słodka i miła.

Brodie brodziła w wilgotnej trawie, nie przejmując się bynajmniej, że zmoczy sobie pantofle. Wspominała czasy, kiedy tak chodziła, trzymając Maisie za rączkę, a mała podskakiwała obok niej.

Przymknęła oczy i naprawdę poczuła w dłoni małą rączkę i usłyszała całkiem wyraźnie, jak Maisie mówi: „Mamusiu, dlaczego słońce nie pokazuje się codziennie?”, „Mamusiu, gdzie jest nie

bo?”, „Kochasz mnie, mamusiu?”. Brodie brała ją wtedy na ręce, przytulała i mówiła, że jest najukochańszą dziewczynką ze wszystkich na całym wielkim świecie. Potem znów sobie przypomniała Maisie -

już o wiele starszą - siedzącą na huśtawce i śmiejącą się. Była taka pełna życia! „Ja tutaj planuję swoją przyszłość” - mówiła. Cóż... chyba nie planowała, że zostanie narkomanką...

Jakieś trzy tygodnie temu telefonowała Karen Grant. Nie miała jednak nic do przekazania, jak dotąd nie znalazła żadnego śladu Maisie.

- Ale cały czas pracuję nad tym. Zadzwonię znowu, jak tylko cokolwiek usłyszę - obiecała.

Brodie usiadła na ławce. Czowała, że jest wilgotna, ale nie zwracała na to uwagi.

Nagle usłyszała skrzypnięcie furtki i do ogrodu wszedł Colin. Była tak zaskoczona, że przez chwilę myślała, że to sen. Powiedział: - Tak myślałem, że możesz tu być i dlatego nie zadzwoniłem od frontu.

- A... po co przyszedłeś? - spytała.

Nadal miała dziwne uczucie, że marzy. Zauważyła, że powinien koniecznie się ostrzyć i że jego bawełniana koszulka jest niewyprasowana. Na dżinsach miał plamy ze smaru: dziś sobota, więc pewnie pracował przy swoim triumfie. Wyglądał bardzo młodo, nie na ojca dwojga dorosłych dzieci. Zdała sobie sprawę, że mimo wszystko bardzo go kocha. A jednak między nimi tkwi bariera, której ani on, ani ona nie może przebyć.

- Przyszedłem ci ostrzyć trawę - oznajmił nagle.

- Ale tu nie ma porządnej kosiarki...

Była tylko ręczna, bardzo stara. Ścięcie nią trawy zajęłoby z tydzień.

Brodie miała zamiar ją wyrzucić.

- Przywiozłem naszą z domu. Jest w bagażniku. - Kopnął nogą trawę.

- Załatwię się z tym w minutę.

- To bardzo miło z twojej strony. - Brodie wstała, poczuwszy nagle, że jej siedzenie niemal przygnęło do ławki; wilgoć przemo-

czyła jej spódnicę na wylot. - Ale właściwie... nie ma takiej potrzeby.

- Ależ oczywiście, że jest taka potrzeba - odparł z obrażoną miną.

Pewnie poczuł się urażony, że nie okazała mu wdzięczności. - Ta trawa wygląda na niestrzyżoną od lat! Zaraz przyniosę kosiarkę.

Ich kosiarka miała spalinowy silnik. Brodie nigdy nie umiała jej uruchomić, ale Colin robił to bez trudu. Ślizgała się po wyrosniętej trawie, pozostawiając za sobą jaskrawozielony pas. Brodie jakiś czas się przypatrywała, po czym wyciągnęła z szopy zardzewiałe grabie i zaczęła zbierać ściętą trawę na kupkę.

W końcu cały ogród był już jaskrawozielony. Brodie wzięła z kuchni torby plastikowe i zaniósła Colinowi, żeby zebrał w nie trawę, chwasty i trochę opadłych liści. Zawsze w ten sposób razem pracowali, przez wszystkie lata małżeństwa, chociaż w ich domu trawnik nigdy nie wyrósł aż tak wysoko.

Kiedy praca była skończona, podziękowała Colinowi i przygotowała mu herbatę i kanapkę.

Siedzieli w jej pokoju. Nagle zaczął coś mamrotać o tym, że właś-

ciwie wcale tak nie myślał, kiedy jej powiedział, że powinna iść do pracy... Brodie szybko mu przerwała.

- Kiedy to powiedziałeś, na pewno tak myślałeś - zawyrokowała.

Zaczerwienił się.

- Naprawdę przepraszam. Zrobiłem błąd. Teraz wcale tak nie uważam.

Nie powiedziała, że teraz jest już za późno. Postanowiła, że będzie pracować i zarobi na sobie, choćby tylko po to, by udowodnić, że jest w stanie tego dokonać.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Ktoś na górze, Rachel albo Vanessa, włączył telewizję, ale bardzo cicho.

W pewnym momencie Colin zapytał:

- Jak myślisz? Przebrniemy przez to?

- Nie mam pojęcia - odparła Brodie.

Siedzieli w milczeniu, wreszcie Colin powiedział, że chyba już sobie pójdzie.

Podziękowała mu za ścięcie trawy. Szybko skinął jej głową i wyszedł.

Dziewczyna Russella Petersona była ubrana w króciutką czarną skórzaną sukienkę, bardzo wydekoltowaną, eksponującą jej trochę pryszczate piersi i zaledwie odrobinę zakrywającą pupę. Większość dziewczyn była ubrana podobnie, pozostawiając wyobraźni patrzących jedynie kilka centymetrów kwadratowych swoich wdzięków.

Prawem kontrastu długa do ziemi suknia wieczorowa Diany wyglądała bardzo staroświecko.

Natychmiast została faworytką wszystkich obecnych na przyjęciu starszych pań, które pamiętały, jak same nosiły podobne suknie, kiedy były w wieku Diany. I nie tylko starsi panowie uznali, że w tej młodej dziewczynie z zarumienioną buzią i olśniewającym uśmiechem, okrytej od stóp do głów błękitną taftą, jest coś niezmiernie pociągającego. Leo Peterson został uznany za wyjątkowego szczęściarza.

Przyjęcie odbywało się w nowym hotelu nad rzeką. Już się zbliżało ku końcowi, kiedy Leo wziął Dianę za rękę i poprowadził ją do salonu, gdzie było o wiele spokojniej i gdzie siedziało mniej ludzi.

- Usiądźmy na chwilę, Di - poprosił.

Głos mu drżał, a na górnej wardze ukazały się kropelki potu.

- Ale tak mi się dobrze tańczy - zaprotestowała.

- Za minutkę znowu będziemy tańczyć. - Nerwowo przełknął ślinę. -

Mam dla ciebie prezent.

- Jak to miło! - Diana uśmiechnęła się z radością. - A co to takiego?

- To. - Z kieszeni spodni wyjął małe aksamitne pudełeczko, otworzył i pokazał jej zawartość. - To pierścionek - oznajmił. - Pierścionek zaręczynowy.

Następnego ranka, w niedzielę, Diana bardzo wcześnie zapukała do drzwi pokoju Brodie.

- Proszę, wejdź! - zawołała Brodie. - Już jestem prawie gotowa. Obie zazwyczaj szły razem na mszę, a z nimi też Megan, ale tym razem Diana przyszła z innego powodu.

- Zobacz! - Wysunęła lewą rękę. Na trzecim palcu błyszczał

pojedynczy brylant.

Brodie aż krzyknęła.

- Co to takiego?

- Pierścionek zaręczynowy. - Diana poruszała palcami tak, żeby kamień rzucał ognie. - Leo i ja zaręczyliśmy się.

- Naprawdę? Gratuluję. Kiedy macie zamiar się pobrać?

- Bo ja wiem? Powiedziałam mu, że muszę mieć czas, żeby to sobie przemyśleć. - Diana robiła wrażenie trochę zaniepokojonej. - Po prostu kupił pierścionek, nic mi nie mówiąc. No, na szczęście pasuje.

- Nie musiałaś go przyjmować, kochanie.

- Ależ naprawdę musiałam! Biedny Leo chyba się popłakał, gdybym odmówiła. I tak już był zmartwiony, bo jego mama i tata zapłacili straszną forszę jakiejś grupie, żeby zagrała na przyjęciu, podczas gdy mogli mieć grupę Lea, wiesz, tę Little Dead Riding Hoods* za darmo! I... miał takie urocze, smutne, ciemne oczy... Tak mi go było żal. Nie, naprawdę nie mogłam tego nie przyjąć. - Diana krytycznie przyjrzała się pierścionkowi. - Musiał kosztować majątek.

To prawdziwy brylant.

Teraz z kolei Brodie się zaniepokoiła.

- Nie gniewaj się, Diano, że zapytam: czy ty go kochasz?

- Troszkę...

Ku wielkiej uldze Brodie Diana wybuchnęła śmiechem, wkładając w to całe serce i duszę, jak to zawsze robiła, a oczy jej lśniły równie jasno jak brylant w pierścionku.

- Właściwie to teraz, kiedy już nie muszę się martwić o moich braci, chyba zakochuję się w każdym mężczyźnie, jakiego poznaję.

Naprawdę lubię Tinkera, nawet jeżeli jest gejem, poza tym

*** Little Dead Riding Hoods - dosł. „Małe, po wariacku jeżdżące oprychy”.**

w ośrodku jest taki doktor z Iraku ... no, naprawdę wspaniały. Jego też kocham.

- Więc gdyby tamci mężczyźni ofiarowali ci pierścionek z brylantem, również zgodziłabyś się za nich wyjść?

Brodie też się roześmiała.

- Prawdopodobnie. - Diana, nadal ze śmiechem, upadła na łóżko. -

Mama i tata Lea byli strasznie zadowoleni. A pan Peterson nazwał

mnie „staroświecką dziewczyną”.

- No, bo taka jesteś! - ciepło stwierdziła Brodie. - Byłabym bardzo zadowolona, gdybyś wyszła za mojego Josha.

Jedyna dziewczyna Josha, jaką miała okazję poznać, paliła bez przerwy jakieś ohydnie śmierdzące czarne cygaretki. Brodie była szczerze rada, kiedy się rozstali.

- O, Josha też naprawdę lubię.

Spotkali się tylko raz, na krótko, podczas pierwszego weekendu, kiedy Brodie się przeprowadzała. Josh przyjechał wtedy do Liverpoolu z kolegą o imieniu Murdoch.

- Idziemy na mszę?

Brodie wsunęła do torby koronkową chustkę. Już nie trzeba było wkładać do kościoła kapelusza, ale dawne zwyczaje z trudem zanikały; w każdym razie w kościele bez czegoś na głowie Brodie czuła się jakoś nieubrana.

Diana rzekła:

- Może pójdziemy po mszy do tej kawiarni naprzeciwko sklepu Leonarda Goslinga na kawę i ciastko z kremem? Będę mu mogła przy okazji powiedzieć, że Vanessa nie chce dzisiaj iść z nim na lunch.

Myślę, że jest jeszcze trochę przygnębiona z powodu włosów...

Uśmiechnęła się szeroko.

- Myślę, że chyba mogłabym się też trochę zakochać w Leonardzie, wiesz?

Rozdział 6

Kiedy Vanessa wróciła z porannego spaceru brzegiem morza, Brodie i Diana już wyszły do pracy, natomiast przed domem stał zardzewiały ford cortina, a przy frontowych drzwiach czekała jakaś dziwaczna kobieta.

Miała ze czterdzieści parę lat, utlenione na blond włosy i zjadliwie pomarańczowy makijaż, grubo nałożony na twarz o ostrych rysach.

Nosiła jaskraworóżowe spodnie typu bojówki i żółto-zielony podkoszulek.

Oznajmiła, że jest matką Rachel Keen i że dzwoniła, ale nikt jej nie otwierał.

Chociaż Vanessie ta dama zupełnie się nie podobała, nie miała wyjścia, tylko musiała ją wpuścić. Być może Rachel jeszcze śpi.

- Rachel jest w tylnym pokoju na górze - poinformowała. Kiedy otworzyła drzwi i odsunęła się, żeby wpuścić kobietę, tamta weszła bez słowa podziękowania.

Vanessa myła się w umywalni w swoim pokoju, kiedy nagle powietrze przeciął straszliwy wrzask.

Złapała ręcznik i wycierając twarz, wybiegła na podest.

Rozległ się kolejny krzyk: dochodził z pokoju Rachel, którego drzwi były szeroko otwarte.

- Po prostu mi ją daj, mała - mówiła kobieta chrapliwym głosem, dość uprzejmie. - Pozwólże swojej mamie ją wziąć i w ogóle wracaj do domu. Możesz znowu pójść do szkoły. To będzie najlepsze wyjście na dłuższą metę, Rach, obiecuję ci.

Vanessa zatrzymała się na progu.

Rachel, jeszcze w nocnej koszulce, stała w rogu pokoju, tuląc mocno do piersi maleńką Poppy. Matka stała przed nią groźnie, wyciągając ręce w stronę dziecka.

- Nie! - krzyknęła Rachel. - Ja jej nikomu nie oddam! Jest moja, to moja córka! Jak się dowiedziałas, gdzie mieszkam?

- Nasz Frances poszedł któregoś dnia za Tylerem, kiedy wychodził ze szkoły. Musieliśmy cię znaleźć, córeczko - mówiła matka z odcieniem skruchy w głosie. - Te panie ze służb socjalnych ciągle mnie nachodzą i pytają o ciebie i o dziecko, chcą wiedzieć, dokąd poszłaś i tak dalej.

Strasznie się niepokoją o ciebie.

- Co tu się dzieje? - odezwała się Vanessa.

Poppy zaczęła płakać. Sytuacja była naprawdę niemiła, ale Vanessa starała się mówić w miarę spokojnie mimo zdenerwowania.

Po namyśle uznała, że zrobiła błąd: powinna była, zanim wpuściła tę kobietę, spytać najpierw Rachel, czy zechce się widzieć z matką.

Pewnie specjalnie nie otwierała dotąd drzwi.

- To nie paniusi zakichany interes - parsknęła kobieta przez ramię. -

Odwal się, paniusiu.

- Nie mam najmniejszego zamiaru się odwalać - odparła Vanessa z taką godnością, na jaką tylko było ją stać. - Jeżeli mi żadna z was nie powie, co się tutaj dzieje, natychmiast dzwonię na policję.

Rachel odpowiedziała:

- Ona chce zabrać mi Poppy i oddać ją do adopcji... - Zaczęła płakać. -

A to jest moja maleńka dziewczynka i ja muszę, muszę ją zatrzymać!

Matka odezwała się, nie patrząc na Vanesę: - Wiesz, paniusia, ile ona ma lat? Nie ma jeszcze piętnastu. A ojciec dzieciaka jest o rok starszy. Chcą ze sobą mieszkać.

- A co w tym złego? Jestem pewna, że tak bywało nieraz. Vanessa weszła do pokoju.

- Myślę, że już czas, żeby pani sobie poszła. Rachel najwyraźniej nie chce, żeby pani tu była. Jeżeli pani natychmiast nie wyjdzie, wtedy, tak jak już mówiłam, zadzwonię na policję.

- Rachel nie powinna tu być. - Tym razem kobieta zwróciła się do niej twarzą. Ku zdziwieniu Vanessy wyglądała raczej na zgnębianą niż złą.

Tusz jej się rozmazał na lewym oku. - Powinna być w domu i mieszkać ze swoją mamą. Powiedziałam już, ma niecałe piętnaście lat.

Dzieciakom nie wolno odchodzić z domu, dopóki nie skończą szesnastu lat.

- To nieprawda. - Vanessa nie miała pojęcia, skąd to wie: może wyczytała gdzieś w gazecie, kiedy jeszcze czytywała poważne pisma i oglądała poważne programy w telewizji? - Dzieci poniżej szesnastego roku życia mają prawo opuścić dom, jeżeli nie mają dobrych stosunków z rodzicami, pod warunkiem że się przeniosą w zdrowe środowisko. Doglądam tego dziecka - skłamała - i co tydzień przychodzi do niego miejscowa pielęgniarka.

- Jeżeli ona zatrzyma to dziecko - powiedziała pani Keen z rozpaczą w głosie - zrujnuje sobie życie. To samo dokładnie mnie się zdarzyło. I jeżeli ona myśli, że tata się z nią potem ożeni, to się grubo myli. Nie będzie miała żadnego dzieciństwa, poza tym nie skończy szkoły. A to mądra dziewczyna, chciała zostać nauczycielką, kiedy dorośnie.

- I nadal może nią zostać - spokojnie powiedziała Vanessa. Była głęboko przekonana, że Rachel powinna móc zatrzymać Poppy mimo swojego młodego wieku. Próbowała doprowadzić matkę Rachel w stronę drzwi, a potem dalej na schody, nie dotykając jej, tylko stojąc za nią i popychając lekko brzuchem.

Kiedy doszły do frontowych drzwi, kobieta nagle chyba pożałowała, że tak łatwo ustąpiła.

- Wrócę tu - powiedziała ze złością. - Są tysiące kobiet, co nie mogą mieć dzieciaka i mogą zapewnić Poppy o wiele lepsze życie, niż nasza Rachel kiedykolwiek by mogła. Żadne dziecko nie powinno mieć matki, co sama jest jeszcze dzieckiem!

Vanessa otworzyła drzwi i właściwie wypchnęła kobietę na zewnątrz.

- To sprawa do dyskusji, pani Keen.

Wyraz twarzy kobiety się zmienił. Patrzyła teraz błagalnie na Vanessę.

- Pani się nią zajmie, prawda? I dzieckiem?

- Oczywiście. A czy pani z kolei obieca mi, że nie powie służbom socjalnym, gdzie jest Rachel? Mogę panią zapewnić, że jest tutaj całkowicie bezpieczna.

- Chyba tak... - niechętnie przyznała pani Keen.

Zapaliła papierosa, zanim wsiadła do auta. Vanessa z westchnieniem ulgi zamknęła drzwi. Była rozdygotana, ale zadowolona, że się jej tak dobrze udało opanować sytuację. Jednocześnie nie była zanadto uszczęśliwiona faktem, że zobowiązała się do opieki nad nastoletnią matką i jej dzieckiem.

Nie wiedziała, co ją skłoniło do takiej deklaracji.

- Ona jest okropna. - Rachel stała u szczytu schodów, nadal tuląc do siebie Poppy. Twarz miała bladą, a jej wielkie oczy były teraz wręcz ogromne.
- Nienawidzę jej!

- Myślę, że ona cię bardzo kocha.

- Jeżeli nawet, to mi to okazuje w całkiem śmieszny sposób. Kiedy jej powiedziałam, że się spodziewam Poppy, o mały włos nie dostała apopleksji. A potem gdzieś telefonowała i mówiła komuś, że ja chcę oddać dziecko do adopcji. Te baby ciągle przychodziły i próbowały mnie do tego namówić. Powiedziały, że jestem za młoda na matkę.

- Mimo wszystko ja nadal uważam, że twoja matka cię na swój sposób kocha. Nie przypuszczam, że cię skieruje do władz, już nie, nie teraz, kiedy zobaczyła, jak sobie dobrze radzisz.

Rachel tylko wzruszyła ramionami.

- Może...

- W każdym razie - ciągnęła Vanessa, wdrapując się po schodach w stronę dziewczynki - choć jesteś niewątpliwie bardzo dobrą matką, to jednak uważam, że powinnaś regularnie chodzić z Poppy do miejscowej pielęgniarki albo lekarki. - Niewiele wiedziała o macierzyństwie. - Moje siostry mają dzieci... ale nie jestem pewna, jak to było, kiedy były malutkie. Chyba też chodziły z nimi do kliniki i robiło się dzieciom zastrzyki i... i inne rzeczy. Możemy się zaraz dowiedzieć.

Kiedy Rachel zacisnęła usta i przybrała zacięty wyraz twarzy, Vanessa uparcie mówiła dalej:

- Słuchaj. Powiedziałam twojej matce, że doглядam ciebie i Poppy, co oczywiście nie było prawdą. Powiedziałam też, że pielęgniarka regularnie tu przychodzi... i to też nieprawda. Czułabym się bardzo nieodpowiedzialną osobą, gdybym pozwoliła, żeby wszystko się działo tak jak dotąd. Powinniśmy chyba porozmawiać z Brodie, kiedy wróci do domu. Miała dwoje dzieci i będzie wiedziała, co trzeba zrobić. -

Vanessa rozpaczliwie pragnęła, żeby Brodie była tu teraz. - Aha, a kto to jest Tyler?

- Tatuś Poppy. - Drobną twarzyczką dziewczynki rozpromieniła się. -

Jest Amerykaninem i chodzi do szkoły w dzielnicy Waterloo.

Przychodzi tu prawie każdego popołudnia, kiedy wraca ze szkoły.

Pobierzemy się, gdy tylko skończę szesnaście lat.

Ten dzień okazał się przełomowym dniem dla Vanessy.

Później, kiedy się już wykąpała i zważyła, odkryła, że straciła przeszło półtora kilo. Jej waga zmniejszyła się, ale dotychczas tylko po troszeczkę. Tym razem po raz pierwszy spadła tak znacznie.

Wcześniej, gdy Rachel oświadczyła, że schodzi z małą do ogrodu, Vanessa powiedziała, że lepiej będzie, jeżeli zejdzie razem z nią.

- Uważam, że odtąd, kiedy tylko będziesz poza pokojem, któraś z nas powinna być stale z tobą.

To był naprawdę gest dobroci - zwłaszcza że Vanessa zwykle nie była skłonna do takich gestów.

Dotychczas, w przeciwieństwie do Diany i Brodie, nieszczególnie lubiła siedzieć w ogrodzie, mimo że wiosenna pogoda była naprawdę przyjemna - być może dlatego, że wolała unikać towarzystwa innych kobiet. Przypomniała sobie jednak płótna i farby, kupione już wiele tygodni temu w sklepie Leonarda Goslinga. Od dnia zakupu były schowane pod jej łóżkiem. Wydobyla je stamtąd i wystawiła na zewnątrz. Dzień był bardzo ciepły, chociaż niezbyt słoneczny. Chmury pędziły po niebie, na długie minuty zasłaniając słońce.

Rachel już była w ogrodzie: siedziała z głową schowaną w książce.

Poppy spała w wózku pod wielkim, cienistym drzewem. Może dziewczynie nie odpowiada spędzanie popołudnia w towarzystwie trzydziestoletniej kobiety? Wyglądało na to, że chce się przestać zachowywać jak wystraszone, wrażliwe dziecko i stać się rozsądną młodą matką.

Vanessa rozmyślała, czym podeprzeć płótno. Miało chyba pół metra kwadratowego. Potrzebne byłyby sztalugi, ale nie miała teraz ochoty specjalnie po nie jeździć i kupować. W końcu znalazła w szopie starą drewnianą drabinę. Musiała jej na razie wystarczyć. Ustawiła ją pod największym drzewem i ułożyła skrzynkę z farbami obok na krześle: dwanaście tub farb rozmaitych kolorów. Przykrywką skrzynki służyła jako paleta do mieszania farb.

Co tu malować? To był najwykleszy ogród, no, może trochę większy niż przeciętny i wyjątkowo nieporządkny. Vanessa zagryzła dolną wargę i z na wpół przymkniętymi oczyma oceniała otoczenie: stare drzewa, rozrośnięte krzaki, które się lada dzień pokryją kwiatami, zrujnowana szopa z obłuzowanymi deskami i wypaczonymi drzwiami... Wreszcie sam dom, zbudowany pewnie ponad sto lat temu ze starej szarej cegły, z sięgającymi podłogi drzwiami tarasowymi, przez które widać było splewiałe dywany z ciemnymi plamami tu i ówdzie.

W końcu Rachel, w niebieskich dżinsach i czerwonej koszulce i niewidoczne w tej chwili niemowlę, ukryte pod budką spacerowego wózka.

Wszystko!

Vanessa chciała namalować każdą z tych rzeczy. Ten ogród nie był

najwykleszy: odznaczał się niezwykłą pięknnością.

Znowu przyjrzała mu się krytycznie i poczuła, że serce jej rośnie.

Namalowała jedno z drzew, ale tak, jakby stała wewnątrz niego, jakby była sercem drzewa otoczonym liśćmi. Po chwili doszła do wniosku, że zielone liście są nudne, zatem namalowała je czerwone, niebieskie, żółte i fioletowe, różowe i kremowe.

To było cudowne uczucie tak sobie wyobrażać, że się stoi pośród liści - podniecające, zaspokajające, nieporównywalne z niczym,

czego dotąd doznawała: lepsze niż seks, lepsze niż jedzenie... W

ogóle nie czuła głodu.

- Co to takiego? - spytała Rachel.

- Drzewo - odparła Vanessa.

Rachel odłożyła książkę i wyjmowała właśnie Poppy z wózek.

Dziecko w jej ramionach bawiło się, wymachując nóżkami. Rachel trąciła ją palcem w brzusek: oczy małej zatańczyły z radości.

Uśmiechnęła się.

Vanessa była przekonana, że niemowlęta nie potrafią się śmiać, chyba że już skończą co najmniej rok. Teraz, na widok tego radosnego dziecka kręcącego się na kolanach matki, sama też nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Wygląda dość zdrowo - zauważyła.

- Ja robię wszystko to, co każą robić w takiej książce o niemowlętach.

Dostaje witaminy i daję jej dosyć mleka, chociaż nie mogłam jej karmić piersią. Właściwie powinna już być zaszczepiona, ale bałam się pójść sama do lekarza, żeby mi jej nie odebrali. Ale teraz - ciągnęła, huśtając małą w górę i w dół ku wielkiemu zadowoleniu Poppy - kiedy ty ze mną tam pójdziesz, na pewno już się nie będę bała.

Vanessa nie mogła sobie przypomnieć, by proponowała Rachel, że z nią pójdzie do lekarza, ale pomyślała, że tak rzeczywiście będzie lepiej.

- Twój obraz jest bardzo ładny - pochwaliła dziewczynka. - Muszę już iść, przygotować Poppy jej butelkę.

- Daj mi znać, kiedy będziesz mnie potrzebowała, dobrze? Vanessa nadal była pochłonięta malowaniem. Chciała na swoim obrazie położyć tu i ówdzie kropki, białe kropki.

W nocy dwa razy się budziła, czując w pokoju zapach farby olejnej.

Za każdym razem zapalała nocną lampkę i podziwiała obraz, który oparła o krzesło.

Brodie określiła go jako „niezwykły”. Tym samym słowem określiła niedawno jej włosy, po tym jak Vanessa je ścięła. Diana uznała,

że jest „super” i zachwyciła się kolorami. Żadna z nich nie poznała, że to drzewo.

Ale Vanessa było wszystko jedno. Jutro (w tym momencie skojarzyła, że jest już wcześniej rano), nie, dzisiaj pójdzie do sklepu Leonarda Goslinga i kupi więcej płócien i więcej farb. I sztalugi. Odtąd będzie malowała codziennie. Zostanie artystką.

Leonard był naprawdę uszczęśliwiony jej widokiem.

- Nie widzieliśmy się już całe wieki. - zawołał z radością w głosie.

-Diana mi mówiła, że byłaś trochę niezdrowa. Już się lepiej czujesz?

- Ależ doskonale! - wyśpiewała Vanessa.

- No, wyglądasz nadzwyczaj dobrze. - Powiedział to z lekkim ukłonem. - Chciałem powiedzieć, jeżeli się nie pogniewasz, że świetnie ci w krótkich włosach.

- Dziękuję - odparła skromnie.

Diana ostatnio znowu przystrzygła jej włosy: teraz wyglądały jak obcięte przez pierwszorzędnego fryzjera, w każdym razie tak to obie określiły.

- Czyżbyś straciła na wadze?

- Ociupinkę. - Nie mogła usłyszeć nic przyjemniejszego. Nawet kiedy William jej się oświadczał... Chociaż właściwie, zastanowiła się, to chyba ona mu się oświadczyła...? - Wczoraj namalowałam obraz - z dumą powiadomiła Leonarda.

- Naprawdę? - Był pod wielkim wrażeniem. - Pozwolisz, żebym kiedyś wpadł go obejrzeć?

- Naturalnie. Nazwałam go *Drzewo*.

Wyjaśniła mu, po co przyszła. Wtedy jej poradził, żeby raczej kupiła zagruntowane deski, a nie płótna.

- Przygotowują je w firmie Winsor & Newton i kosztują zaledwie cząstkę tego, co płótno. Chciałabyś sztalugi składane czy innego rodzaju?

- A jakie są te „innego rodzaju”?

- Tego rodzaju, że się składają na płasko, w przeciwieństwie do tamtych, z których się robi taki mały kwadrat. Wszyscy wielcy mi-strzowie używali takich. Są o wiele bardziej królewskie, pasują prawdziwemu artyście. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby nasza ukochana królowa dała sobie malować portret przez artystę, który używałby składanych sztalug - rzekł niezmiernie pompatycznie.

- Wobec tego biorę te królewskie.

- Mądry wybór, Vanesso.

Kiedy już zapłaciła za wszystko i umieściła rzeczy w bagażniku auta, Leonard spytał, czyby z nim nie poszła na kawę z ciastkiem do kawiarni po przeciwnej stronie ulicy.

Zgodziła się, ale z zastrzeżeniem, że prosi tylko o czarną kawę.

Pomyślała, że jednak cudownie jest żyć.

Brodie nie była zachwycona swoją ostatnią pracą, chociaż nie mogła powiedzieć, że jej tak zupełnie nie lubi. Ot, praca i tyle.

Pracowała w domu opieki dla starszych ludzi w Southport. Dom się nazywał „Pięć Dębów” - z oczywistego powodu. Brodie rano sprzątała, a po południu pomagała w pralni. Jej ulubionym sprzętem była froterka. Nigdy przedtem jej nie używała, a teraz stała ochotę jeździć z nią w rytmie walca po podłogach, podśpiewując piosenkę irlandzkiego piosenkarza, Chrisa de Burgha.

Zapytała też, czy mogłaby pracować także w porze lunchu i wychodzić do domu o godzinę wcześniej. Pani Cowper, która zarządzała wszystkimi porządkowymi sprawami, zgodziła się. Było jej wszystko jedno, kiedy robota będzie skończona - pod warunkiem żeby była wykonana jak należy.

Gdyby Brodie miała wolną godzinę na lunch, mogłaby mieć ochotę włóczyć się po centrum Southport, miejscu, gdzie rok w rok podczas wakacji Colin i ona przyjeżdżali z dziećmi. Dzieci grały wtedy na plaży w piłkę i w krykieta, razem zwiedzali tereny wystawowe i molo i jedli rybę z frytkami w małej taniej kafejce, w której sprzedawano też tak pyszne eklery, że aż ślinka leciała. Brodie z reguły kupowała ich przynajmniej pół tuzina do zabrania do domu.

Gdyby teraz zobaczyła tę kafejkę, na pewno by się rozplakała...

Tamte dni były niezwykle szczęśliwe, chociaż wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy. Jeżeli kiedykolwiek jeszcze będzie równie szczęśliwa, upewni się, że sobie zdaje z tego sprawę. Będzie to szczęście bardziej cenić.

Po zakończonym kolejnym dniu pracy szła na parking po swój samochód, kiedy usłyszała czyjś głos, wołający: - Brodie! Brodie Logan! To naprawdę ty?

W jej kierunku zmierzała jakaś kobieta w białym topie, białych lnianych spodniach i złotych sandałkach na wysokich obcasach. Na jej precyzyjnie umalowanej twarzy widniał szeroki uśmiech, a gładkie czarne włosy falowały przy każdym kroku. Kiedy podeszła blisko, chwyciła Brodie w ramiona i ucałowała ją siarczyście w oba policzki.

Pachniała jakimiś bardzo drogimi perfumami. Brodie czuć było proszkiem do prania „Persil” i płynem do płukania tkanin.

- Jak to cudownie, że cię spotkałam! - zaćwierkała kobieta. Wargi jej drżały. - Nie pamiętasz mnie, co?

- Przykro mi... - wybełkotała Brodie.

Nie miała pojęcia, kim może być ta kobieta, poza tym wołałaby być jakoś bardziej elegancko ubrana, a nie w starawą bawełnianą sukienkę i jeszcze starsze sandały. Nie była wcale umalowana i od rana nie przyczesywała włosów.

Chociaż nigdy nie przepadała za spodniami, białe spodnie tej kobiety ogromnie się jej spodobały.

- Polly Baker - tak się nazywałam. Mieszkałyśmy obok siebie w Crosby, kiedy obie pierwszy raz wychodziłyśmy za mąż. Miałyśmy obie dwoje dzieci mniej więcej w tym samym czasie, tyle że ja miałam najpierw dziewczynkę, a potem chłopca. A jak się mają twoje dzieci?

A Twój mąż? Był nauczycielem, prawda? Colin! Na pewno jest już teraz dyrektorem szkoły.

- Nie, uczy angielskiego. - Colin nigdy nie miał ambicji zostania dyrektorem. Uwielbiał uczyć angielskiego. - Nasz syn, Josh, prowadzi swoją własną firmę, a Maisie jest na drugim roku na uniwersytecie. -

Gdyby była wyszła z pracy o parę minut wcześniej albo o parę minut później, nie spotkałaby Polly Baker, która dawniej

w ogóle się nie rozstawała z dzinsami i starymi koszulami męża i nosiła włosy obcięte jak chłopak. Brodie nie miała teraz ochoty snuć wspomnień o przeszłości i kłamać na temat teraźniejszości, nie była też gotowa na to, żeby wszystkim mówić prawdę. - A co z twoimi dziećmi? - spytała, jak należy. - Twój mąż ma na imię Roger, to pamiętam.

- Natalie pracuje w najlepszej agencji reklamowej w Londynie -z dumą zaczęła jej eks sąsiadka - a Dylan postanowił nie iść na uniwersytet. Jest członkiem grupy pop. Ich ostatni singiel o mały włos nie trafił na listę przebojów.

- To fantastycznie - mruknęła Brodie. - A Roger?

- Och, uwolniłam się od niego już lata temu! - Powiała lekceważąco wąskimi białymi dłońmi o długich, na czerwono polakierowanych paznokciach. - Teraz nazywam się Polly Michaels. Edward jest właścicielem fabryki produkującej rury: rury wydechowe, rury spustowe, takie tam różne.

- A co tutaj robisz? - zapytała Brodie.

Przypomniała sobie, że właściwie lubiła Polly w tamtych latach, kiedy były sąsiadkami; teraz jednak nie potrafiła się zdobyć na lubienie jej.

- Przyjeżdżam raz na tydzień odwiedzić tatę Rogera - odparła tamta. -

Jego nowa żona to właściwie głupia krowa i biedny stary Albert czuje się smutny i zaniedbany. Jest naprawdę kochanym staruszkiem, jestem do niego bardzo przywiązana.

Brodie w tym momencie uznała, że jednak ostatecznie chyba lubi Polly.

Wymieniły się numerami telefonów i obiecały któregoś dnia pójść razem na kawę. Brodie była zadowolona, że Polly nie spytała, co z kolei ona tutaj robi, bo nie bardzo wiedziała, czy ma się przyznać, że jest sprzedawcą, chociaż nie było przecież w tym nic wstydliwego.

Kiedy jechała z powrotem do Blundellsands, zastanawiała się, czy Natalie rzeczywiście pracuje w takiej świetnej agencji reklamowej i czy czasem Dylan nie poszedł na studia dlatego, że nie mógł

się na nie dostać. Nigdy się tego nie dowie, podobnie jak Polly nigdy się nie dowie prawdy o dzieciach Brodie.

To spotkanie jednak trochę nią wstrząsnęło.

Nigdy nie miała problemu: „byle nie być gorszym niż sąsiedzi”.

Bakerowie wyprowadzili się z sąsiedztwa do jakiegoś lepszego domu już piętnaście lat temu i nigdy im tego nie zazdrościła, teraz jednak była zazdrosna o oczywistą pogodę ducha Polly.

Brodie nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz była tak naprawdę pogodna, wyjąwszy krótkie momenty, jak ten wieczór, gdy oglądały wspólnie *Przemięto z wiatrem*. Potem urządziły podobną imprezę z okazji oglądania filmu *Trzy kamelie* z Bette Davis i Paulem Henreidem. „Po co prosić o księżyc, najdroższy, skoro możemy mieć wszystkie gwiazdy?”, mówiła Diana głosem Bette Davis, udając przy tym, że pali papierosa.

Brodie uśmiechnęła się. Dzięki Dianie czuła się pogodna.

Kiedy dotarła do domu, zastała w ogrodzie Eileen, swoją teściową.

Niańczyła Poppy, która w jej ramionach spała jak suseł. Brodie nie widziała Eileen od zeszłego października, kiedy tamta wybierała się za granicę i miała spędzić zimę w Goi. Przyjechała wtedy do Liverpoolu się pożegnać. Teraz się pojawiła i oznajmiła o swoim powrocie.

- Kazałam jej mamie wziąć dobrą, relaksującą kąpiel - mówiła, całując nosek Poppy. - Początkowo się bardzo opierała, ale udało mi się ją przekonać, że jestem twoją rodziną, że sama miałam czworo dzieci, że nie mam żadnych powiązań kryminalnych i jestem osobą całkowicie godną zaufania. Słodkie stworzonko. Ile ona ma?

- Masz na myśli Rachel czy dziecko?

- Rachel.

- Piętnaście. - Brodie nie była bynajmniej zaskoczona, kiedy Vanessa powiedziała jej o wizycie matki Rachel. - Cudownie wyglądasz, Eileen - zauważyła. - Naprawdę wspaniale, w dodatku jesteś okazem zdrowia.

- Jej teściowa zbliżała się do siedemdziesiąt-

ki, ale z łatwością można jej było dać o dziesięć, a nawet piętnaście lat mniej. Od czasów kiedy była nastolatką, nosiła ubrania w rozmiarze czterdzięci, z czego była ogromnie dumna. Używała tylko tyle kosmetyków, żeby podkreślić rysy, i nigdy nie wyglądała jak owca udająca jagniątko. Jej gęste popielate włosy przetykały srebrne nitki.

Podobnie jak dopiero co spotkana Polly Baker, Eileen nosiła białe spodnie, jednak do tego włożyła białe sandały i różową przezroczystą bluzkę. Eileen była uroczą, a przy tym praktyczną osobą o niezwykle barwnym sposobie wyrażania się. Rzadko się ją widywało bez papierosa w ustach. Co prawda teraz, kiedy niańczyła niemowlę, wyjątkowo nie paliła.

- I czuję się też cudownie - przyznała szczerze - zwłaszcza odkąd zobaczyłam George'a i zrozumiałam, ile miałam szczęścia, że zostawiłam tego starego drania. Ale co z tobą i z naszym Colinem? -

Wyglądała na prawdziwie zmartwioną. - Och, Brodie moja kochana, zawsze mi wyglądaliście na taką szczęśliwą parę! Sądziłam, że wasze małżeństwo jest idealne. Nigdy mi nawet nie przeszło przez myśl, że coś między wami może się zepsuć. A co na to powiedzą Josh i Maisie?

I dlaczego nikt mi o tym dotąd nie powiedział?

- Wiedziałam, że się dowiesz, kiedy już wrócisz do domu - rzekła Brodie. - Byłoby głupio wcześniej cię tym martwić.

Najwyraźniej Colin nie pomyślał o tym, żeby napisać i powiadomić matkę, że ich małżeństwo się sypie. Czy naprawdę się sypie? A może obecna sytuacja jest tylko przejściowa? Brodie nie miała pojęcia. A co o tym myśli Colin?

- Czy mogłabym wiedzieć dlaczego? - zapytała Eileen. - A może to coś zbyt osobistego? - Poppy westchnęła i Eileen pogłaskała jej bielutki policzek. - Biedactwo! Wzdycha, jakby musiała dźwigać na barkach cały świat! A może tak kiedyś będzie... Cieszę się, że moje dzieci już nie są młode.

- Dziwię się, że Colin ci nie powiedział, dlaczego się rozstaliśmy - rzekła Brodie.

- Jeszcze się z nim nie widziałam, tylko z George'em. Kiedy do was wpadłam dzisiaj po południu, bo chciałam cię zobaczyć, był

u was w domu i pracował przy tym starym aucie. Jego lordowska mość nie powiedział mi jednego cholernego słowa, tylko tyle, że już tam nie mieszkaś. - Eileen parsknęła. - Był na tyle uprzejmy, że mi podał twój adres. Podejrzewam, że to on mógł być przyczyną waszych nieporozumień. Ostatecznie przejechałam pół świata, żeby być jak najdalej od tego starego łotra, i to tylko po to, żeby się z kolei wam zwałił na głowę. Czy on tam siedzi cały czas, kochanie?

- Może nie cały czas, ale dostatecznie długo... - przyznała Brodie. -

Bywało, że żałowałam, że cię już nie ma, bo przynajmniej umiałabyś go zatrzymać w domu.

- Niestety nie. Okazuje się, że kiedy ja świetnie bawiłam się w Goi, ty cierpiełaś u siebie w domu. - Przyjrzała się Brodie z niepokojem. - Ale poważnie: czy to George był przyczyną, że zerwałaś z Colinem?

- Potem ci opowiem.

Rachel gotowa za chwilę zjawić się po dziecko, a niedługo Diana wróci z pracy.

- Poznałaś już Vanessę? - zapytała. - Maluje. W każdym razie przez ostatnich parę tygodni.

Pełna życia twarz Eileen zajaśniała.

- Tak, poznałam ją. Była tutaj, kiedy przyszłam. Malowała jakiś absolutnie bajeczny obraz. Nie wiem, co to było, ale miało zachwycające kolory. Obiecała mi ofiarować ten obraz, jak tylko wyschnie.

- Podobał ci się?

- Już ci mówiłam: jest bajeczny.

- Dla mnie one wszystkie wyglądają bez sensu. Poppy namalowałaby taki sam, gdyby dać jej pędzel do rączki. - Rudy kot dumnie przeszedł

obok nich, arogancko zerkając na obie. - A Kenneth zrobiłby to chyba nawet lepiej.

- Kochanie, nie masz za grosz wyobraźni. A kto to jest Kenneth?

Eileen siedziała jeszcze długo po podwieczorku. Jadły - ona, Brodie i Diana - w starej jadalni, gdzie Brodie jadła jako dziecko. Siostry Slattery właściwie jej nie używały: wolały mieszkać w czterech dużych pokojach, które zamieniły w pomieszczenia „do wszystkiego”.

Urządzenie tam wspólnej jadalni było pomysłem Diany.

- Tak będzie bardziej przyjacielsko - zaopiniowała. Twierdziła, że to niespołeczne, żeby cztery kobiety robiły sobie oddzielne posiłki i zabierały je do swoich pokoi, by zjeść. Poza tym uważała, że byłoby dobrze nazwać ten pokój „gabinetem”.

- Czytałam kiedyś książkę o domu, w którym jeden z pokoi nazywał

się „gabinet”.

- Ale przecież nie możemy wszystkie równocześnie szykować swoich - rozmaitych - posiłków, a potem je zjadać w tym samym czasie -

wytknęła jej Brodie.

Uznała sam pomysł za uroczy (ona i Diana często razem jadły śniadanie), ale trochę niepraktyczny.

- Więc możemy wszystkie razem jeść to samo. To znaczy gotować dla całej czwórki mogłybyśmy po kolei - sugerowała Diana. - Ja podobno robię świetny gulasz, w każdym razie chłopcy tak twierdzili.

- No tak, ale co Rachel zrobi z Poppy? - roztropnie zauważyła Brodie.

Diana często wyrażała pragnienie zrobienia z tego domu „komuny”, a to mogłoby być niezbyt szczęśliwe. - Nigdy nie zostawia małej samej na górze. Musiałybyśmy się postarać o wysokie krzeselko. A z kolei Vanessa jest na diecie. Z pewnością zauważyłaś jej wszystkie sałatki w lodówce. Nie byłaby zadowolona, siedząc nad liściem sałaty i plasterkiem pomidora, kiedy my zajadałybyśmy się gulaszem. Poza tym ona nie jest zbyt towarzyska, co? Na pewno wolałaby jeść u siebie.

- Na pewno... - Diana wyglądała na zmartwioną. - Co prawda - ożywiła się trochę - wszędzie tam, gdzie jest Vanessa, pachnie farbą.

To by nam psuło smak potraw.

- Masz zupełną rację - przyznała Brodie, zadowolona, że Diana zrezygnowała ze swego pomysłu. - Ale przynajmniej my dwie możemy jeść w jadalni, to znaczy w gabinecie. Będziemy na zmianę robiły obiady, a jeżeli tamte zauważą to i zechcą się przyłączyć, to już ich sprawa.

Diana była cała w skowronkach.

Jednak rzeczywiście przyjemnie im było jeść razem. Dzisiaj miały na podwieczorek kurczaka w cieście, którego Brodie kupiła u Marksa i Spencera w zeszły weekend, a do tego młode kartofelki i zielony groszek. Na deser pieczone jabłka i krem, zrobiony przez Dianę. Eileen stwierdziła, że od lat czegoś takiego nie jadła i już zapomniała, jakie to pyszne.

- Wzięłam do tego brunatny cukier - z powagą objaśniała Diana - i dlatego jabłka są trochę brązowe. Brunatny cukier jest o wiele zdrowszy niż biały.

- Tak słyszałam - zgodziła się Eileen.

Po jedzeniu Brodie i Eileen poszły z powrotem do ogrodu, podczas gdy Diana zносиła do pralni góry brudnych rzeczy.

- Chciałaś wiedzieć, dlaczego Colin i ja już nie mieszkamy razem -

zaczęła Brodie. - Przede wszystkim muszę ci wyjaśnić sprawę Maisie.

- Święta Mario, Matko Boża! - wykrzyknęła Eileen mniej więcej w dziesięć minut później, kiedy Brodie skończyła jej opisywać nie tylko ciężki los córki, ale także reakcję Colina. - Och, Brodie, moja kochana, to musi być dla ciebie straszne! A co do Colina, to warto by przetrzepać mu solidnie tyłek miotłą. Kiedy go tylko zobaczę, na pewno będzie mnie kusilo, żeby to zrobić. Zupełnie nie masz pojęcia, gdzie może być teraz Maisie?

- Wiem tylko tyle, że kiedy ostatni raz o niej słyszałam, była w Londynie. - Brodie odebrała jeszcze jeden telefon od Karen, która w dalszym ciągu nie wiedziała, gdzie Maisie się obraca, obiecywała jednak, że nie spocznie, póki jej nie odnajdzie.

- Londyn to okropnie wielkie miasto - mruknęła Eileen. - Gdybyś miała jakkolwiek trop, poszukałabym jej sama.

Już niedługo miała wrócić do Londynu, gdzie mieszkała ze swoją siostrą Mary.

Zadzwonił telefon i Brodie usłyszała, że Diana odbiera. Po paru minutach zeszła do ogrodu i powiedziała, że zaraz ma przyjechać jej brat Damian i zabrać ją ze sobą, tak że jakiś czas jej nie będzie.

Brodie wyczuła jakieś problemy.

- Czy aby wszystko w porządku? - spytała.

- Niezupełnie... - Diana skrzywiła się. - Powiem ci później.

- Poczekam na ciebie - obiecała Brodie.

- Dzięki...

- Czy ty ją adoptowałaś? - spytała Eileen, kiedy Diana już nie było.

Brodie odparła z gorzkim uśmiechem: - Ja potrzebowałam córki, a ona matki. W pewnym sensie za-adoptowałyśmy siebie nawzajem.

- Mamo - zwróciła się Diana do matki, kiedy już dotarła na Coral Street - czy u ciebie wszystko w porządku?

- Niezupełnie - jęknęła matka płacząc, rzucając się córce na szyję.

Damian, Jason i Garth siedzieli w rozmaitych kątach salonu z minami oscylującymi od sceptycznych do najwyczałniej znudzonych. W ich sercach było niewiele uczucia dla matki, która siedem lat temu pozostawiła ich własnemu losowi. Co do Emmy - zniknęła jakoś z pola widzenia.

- Rzuciłam Warrena, kochanie - zaszlochała matka. - Znalazł sobie inną kobietę. Jest o prawie dwadzieścia lat młodsza ode mnie.

- A co z Shawem i Jude'em?

Przyrodni bracia Diany mieli raptem pięć i trzy lata. Byli naprawdę uroczymi chłopcami.

- Zostałam ich Warrenowi, kochanie... On naprawdę kocha tych chłopaków. Włos im z głowy nie spadnie. - Michelle przytuliła ładną głowę do ramienia Diany. - Och, kochanie, myślałam, że teraz będziemy spać we dwie na tym szerokim łóżku. Nikt mi nie powiedział, że się wyprowadziłaś i że tu zamieszkała ta dziewczyna, Emma. Obecnie nie mam nawet gdzie spać, kochanie! Damian powiedział, że mieszkasz aktualnie w jakimś pięknym, wielkim domu i że tam może się znaleźć miejsce także i dla mnie.

- Nic podobnego nie mówiłem, mam! - gwałtownie zaprotestował

Damian. - Powiedziałem ci, że możesz spać tutaj w małym pokoiku, tam gdzie spała nasza Di, zanim się przeprowadziła. Tam stoi pojedyncze łóżko. Pojechałem po Di tylko dlatego, że się uparłaś, żeby ją tu ściągnąć!

- Nie wiem, co się teraz ze mną stanie - żałośnie zawodziła Michelle. -

Nie mam już nawet domu, do którego mogłabym wrócić!

Diana i Damian wymienili spojrzenia. Dom przy Coral Street wykupił

ich ojciec i Diana przypuszczała, że prawnie należał on teraz do mamy.

Z drugiej strony, przez ostatnie siedem lat wszystkie opłaty hipoteczne pokrywała Diana i chłopcy. Wszystko to było bardzo zagmatwane.

Damian się odezwał:

- Skoro Warren był ci niewierny, trzeba go było wyrzucić z mieszkania w Nottingham i dalej tam mieszkać. Jeżeli chcesz, mam, pojedę tam w weekend i pogadam z nim.

Michelle pociągnęła nosem, bynajmniej niepokieszona.

- Wcale nie chcę siedzieć w Nottingham sama!

- Przecież będziesz miała przy sobie Shaw'a i Jude'a - przypomniał jej Garth. - A może masz zamiar ich też porzucić, tak jak kiedyś nas?

- Mówiłam wam przecież, że Warren bardzo swoich synków kocha!

- A ta jego nowa dziewczyna? Też ich będzie kochała? - dopytywał się dalej Garth.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Niestety, na to pytanie mogłaby dać odpowiedź jedynie nowa dziewczyna Warren'a.

- Naprawdę, bardzo mi jej żal - z tragiczną miną zwierzała się Diana Brodie, kiedy już wróciła do domu. Brodie szykowała jej kakao dla uspokojenia nerwów. - Mam na myśli, że chłopcy byli dla niej strasznie surowi, a przecież ona nic nie może poradzić na to, że jest jaka jest, prawda?

Rozmawiały o matce Diany, która została na noc w małym pokoiku w domu przy Coral Street.

- No, nie. Ale jeśli przeniosłabyś taki sposób oceniania ludzi na innych, to logicznym wnioskiem mogłoby się okazać, że powiesz to samo na przykład o Hitlerze.

Colin byłby zachwycony jej rozumowaniem. Jednak Diana zupełnie nie zwróciła na to uwagi.

- Wiesz, co zrobiłam? Zdjęłam swój pierścionek zaręczynowy, bo nie chciałam, żeby mama prosiła mnie o spotkanie z rodzicami Lea. Czy to nie straszne? Była taka smutna, biedactwo, jakby wiedziała. Czy ty na moim miejscu wróciłabyś do domu i zamieszkała z nią?

- Nie, na pewno nie - stanowczo odparła Brodie. Nie chciała tracić Diany. I nie to, żeby była samolubna, bo myślała też i o niej. -A gdzie byś spała? - spytała jeszcze. - Z mamą, w słuźbówce?

- Tak, to jest problem. - Diana mówiła tak, jakby przedtem ani chwili nie myślała o miejscach do spania. Już kiedy się wyprowadzała, sytuacja była wybitnie niekomfortowa, a tym bardziej teraz, z jeszcze jedną osobą! - Wiesz, mama mnie pytała, czy mogłaby tutaj zamieszkać.

- Mam nadzieję, iż powiedziałaś jej, że nie może. - Dla tej dziewczyny pobyt w tym domu matki, którą w dodatku trzeba by pewnie utrzymywać, byłby koszmarem. - Doprawdy, Diano! Twoja matka nie jest jeszcze stara. Ile ma lat?

- Czterdzieści pięć.

- Więc jest ode mnie starsza zaledwie o dwa lata. - Brodie z przyjemnością powiedziałaaby matce Diany parę słów do słuchu. - Jest dostatecznie dorosła, żeby sobie poradzić. Co za tupet: zjawiać się po tylu latach i oczekiwać, że dzieci się nią zajmą! - Colin powiedziałby dokładnie to samo. - Pamiętasz ten dzień, kiedy się poznałyśmy? Byłaś wtedy naprawdę nieszczęśliwa. A od czasu, kiedy się tu przeniosłaś, chyba się czujesz

szczęśliwa, żyjąc na własny rachunek.

- Tak myślisz?

- Tak. - Brodie skinęła głową. - A teraz twoja matka znowu wyrzeka się kolejnych swoich dzieci, nawet młodszych, niż byli twoi bracia, kiedy od was odeszła. Jak oni się nazywają?

- Shaw i Jude. Wiesz - zwierzyła się Diana - wyobrażałam sobie, że kiedy moi bracia odejdą z domu, mama sprowadzi tych najmłodszych i też mi ich odda pod opiekę, na tak długo, aż i oni odejdą.

- ... a ty wtedy będziesz już miała czterdzieści pięć lat! Nie, Dianio. -

Brodie potrząsnęła głową tak gwałtownie, że natychmiast dostała migreny. - Teraz to ty powinnaś się postawić i kazać matce, by nareszcie raczyła dorosnąć!

- Chyba nie za bardzo potrafiłabym się postawić... - cichutko rzekła Diana.

- Wiem, że nie potrafisz, kochanie, i to jest właśnie jedna z twoich najmilszych cech. Masz o wiele, ale to o wiele za miękkie serce.

Kiedy następnego dnia Diana wróciła z ośrodka do „Kasztanów”, zirykował ją widok matki, ubranej jak nastolatka w czerwoną sukienkę mini włożoną na legginsy.

Siedziała w ogrodzie i rozmawiała z matką Brodie.

- Miałam takie strasznie ciężkie życie - mówiła właśnie. - Prze-cierpiałam więcej, niż kobieta może wytrzymać.

- Moje biedactwo... - współczująco wtrąciła Megan.

- Sześcioro dzieci urodziłam. Sześcioro!

Matka mówiła to takim tonem, jakby urodzenie sześciorga dzieci było strasznym nieszczęściem.

Megan zareagowała rozpaczliwym smutkiem.

- Ja miałam tylko jedno... Och, gdybym miała sześcioro, byłabym taka szczęśliwa!

Matka Diany nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wobec tego zmieniła temat.

- Muszę powiedzieć, że naszej Di to mieszkanie się trafiło jak ślepej kurze ziarno. Dom jest naprawdę piękny. To twój?

- Nie, należy do Brodie, do mojej córki.

Dotąd żadna z nich nie zauważyła obecności Diany. Kiedy nareszcie ją spostrzegły, Diana odniosła wrażenie, że Megan odetchnęła z ulgą.

Natychmiast je przeprosiła i oświadczyła, że musi iść do kuchni szykować dla Brodie obiad.

- Pewnie wróci bardzo późno. W tym domu opieki ma być dzisiaj przyjęcie. Poprosili, żeby została dłużej i pomogła.

Zniknęła we wnętrzu domu, zostawiając Dianę i Michelle same.

- Skąd się dowiedziałas, gdzie mieszkam, mamó? - spytała Di. To było naprawdę okropne, tak myśleć o własnej matce, i Diana się tego bardzo wstydziła: niemniej wołałaby, żeby matka nie przychodziła do „Kasztanów”. Jej obecność odbierała temu miejscu część uroku. Atmosfera nie była już taka przyjemna.

- Spytałam o twój adres tę dziewczynę, Emmę. - Matka robiła wrażenie oburzonej. - Zupełnie jakby chciała, żebym sobie już poszła.

Można by pomyśleć, że to nie mój dom! Co, u diabła, skłoniło Damiana, że się z nią związał? W każdym razie nie liczcie na moją obecność na ich ślubie, tyle ci powiem - zakończyła z mściwością.

- Napijemy się herbaty, mamó? - zaproponowała Diana. - Potem możemy razem pojechać pociągiem na Coral Street i tam coś zjemy.

Matka ciężko westchnęła.

- Spodziewałam się, że zjem podwieczorek tutaj, u ciebie.

- Westchnęła znowu, jeszcze ciężej. - Ale co robić? Ech! Wiem, że nie jestem mile widziana, ale nigdy nie przypuszczałam, że także przez własną córkę... Okazuje się, że nie chcą mnie po prostu nigdzie.

Zawstydzona Diana szybko przyszykowała jajecznicę z tostem, a na deser podała brzoskwinie z puszki z łyżką kornwalijskich lodów (karton tych lodów kupiła tydzień temu na spółkę z Brodie).

Razem z matką, która jakoś dziwnie przycichła, siadły do jedzenia w pokoju Diany, przy małym stoliku.

- Myślę, że jutro pojedę z powrotem do Nottingham - powiedziała matka, kiedy skończyły.

Diana aż krzyknęła.

- Ale... a co z Warrenem i tą inną kobietą?

- Ja... mogłam to wszystko zrozumieć na opak. Ta kobieta chyba go po prostu... podwoziła z miasta pod dom. Wiesz, mieszka w domu naprzeciwko nas. Jej mały synek bawi się czasami z naszym Jude'em.

Diana odniosła wrażenie, że w ogóle wszystko, co matka im dotychczas opowiadała, było kłamstwem i że Warren wcale nie odszedł z żadną o wiele młodszą kobietą. Matka po prostu chciała się rozerwać, a za najtańsze miejsce do przespania się i najedzenia uznała dom na Coral Street.

- O której wyjeżdżasz, mamó? - spytała wobec tego.

- Och, nie wiem, kochana. Przypuszczam, że będziesz aż nadto zadowolona, kiedy będziesz miała mnie z głowy - odparła matka z goryczą. Nagle wydała się Dianie stara, zmęczona i rozpaczliwie żałosna. - Nikt mnie już nie chce.

- Nie bądź niemądra! - Diana położyła matce rękę na ramieniu i przytuliła ją. Zastanawiała się, jakiej też gwiazdy szuka jej matka i czy ją kiedykolwiek znajdzie i będzie szczęśliwa? - Pomyślałam, że mogłabym poprosić szefa, żeby mi jutro pozwolił na dłuższą przerwę na lunch - powiedziała. - Mogłybyśmy się spotkać gdzieś w mieście, coś razem zjeść, a potem poszłabym z tobą na stację Lime Street i odprowadziła cię na pociąg...

Nagle wpadła na cudowny pomysł.

- Mamó! Przecież w przyszłym miesiącu są twoje urodziny! Jeżeli nam jutro starczy czasu, kupię ci mały prezencik. Poszukaj w domu na Coral Street w szafce pod schodami katalogu firmy „Argos”. Obejrzyj biżuterię i zobacz, co byś chciała mieć... No, tak w cenie do trzydziestu funtów.

Zjadły pyszny lunch z trzech dań w restauracji indyjskiej na Bold Street, a potem poszły do firmy „Argos”, gdzie Diana kupiła matce ślicznie rzeźbiony srebrny pierścionek zdobiony masą perłową.

- Zachowam go jak skarb - ze łzami mówiła Michelle. - Och, Di, a już zaczynałam myśleć, że przestałaś mnie kochać!

- Nigdy cię nie przestanę kochać, mamó.

Dianie też się zbierało na płacz. Los dał jej twardą i bolesną lekcję: okazało się, że niezależnie od tego, jak bardzo się kogoś kocha, można wcale nie chcieć przebywać z tym człowiekiem na co dzień.

Brodie musiała zaspokoić swoje marzenie.

W sobotę wsiadła do pociągu do miasta i poszła do znanego w Liverpoolu wielkiego domu towarowego T.J. Hughes, gdzie sprzedawano rozmaite artykuły po niezwykle niskich cenach.

Kupiła tam sobie białe spodnie. Rozmyślała nad tym zakupem już od tygodnia. Kupiła też złote sandałki i śliczną hinduską bluzkę z gazy.

Wszystko razem kosztowało mniej niż dwadzieścia pięć funtów.

Po zapłaceniu za zakupy natychmiast weszła do przymierzalni, przebrała się i tak wystrojona poszła na spotkanie z matką. Kiedy piły razem kawę, czuła się jak milionerka.

Rozdział 7

Bywało, że w ośrodku dla uchodźców zdarzały się awantury i akty przemocy. Jeżeli Tinker, a nawet Alan ze swoimi bokserskimi pięściami nie byli w stanie nad nimi zapanować, trzeba było wzywać policję.

Zwykle to były bójkі - zawsze pomiędzy mężczyznami: o pieniądze, o kobiety albo kiedy któregoś podejrzewano o oszukiwanie w grze.

Czasem spory między uchodźcami, pochodzącymi z rozmaitych krajów, plemion czy religii, nabierały brzydkiego charakteru. Błyskały wtedy noże.

Na szczęście jak dotąd nikt nie ucierpiał.

Niektórzy z uchodźców mieli za sobą naprawdę ciężkie przeżycia. Ich życie bywało zagrożone, poddawano ich torturom. Kobiety były gwałcone, a ich mężowie zabijani, czasem także ich dzieci. Jeszcze gorzej, kiedy dzieci po prostu znikwały i nie można ich było nigdzie odnaleźć. Takie nieszczęśliwe kobiety przybywały do Wielkiej Brytanii po lepsze, spokojne życie... Po prostu uciekały od życia, które przedtem widły.

Tych właśnie kobiet najbardziej było Dianie żal.

Zagubione i zdezorientowane, nie miały nikogo, do kogo mogłyby się zwrócić, gdyby ich podanie o azyl zostało odrzucone. To zresztą często się zdarzało, chociaż taka decyzja każdemu wydawała się skandalicznie nieuczciwa. Raz w tygodniu przychodził do ośrodka specjalista do spraw azylu i udzielał porad.

Pewnego ranka, kilka dni po powrocie matki Diany do Nottingham, do ośrodka wpadły, krzyżąc, cztery dziewczyny. Nie zatrzy-

mały się przy recepcji do rejestracji jak powinny. (Tinker zresztą żądał tylko podania nazwiska i kraju pochodzenia przybyszów. Od tego dnia jednak każdy już musiał wpisać swoje przyjście i odejście, tak żeby było wiadomo, kto i kiedy przebywał na terenie ośrodka).

Diana i Tinker popatrzyli na siebie. Bez słowa wybiegli z recepcji i pospieszyli za dziewczynami.

Dopędzili je w pustej o tej porze sali restauracyjnej. Stały pośrodku pokoju, najwyraźniej nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Diana zorientowała się, że to niemal dziewczynki: dwie nie wyglądały na więcej niż trzynaście czy czternaście lat i nawet nie były jeszcze rozwinięte. Drugie dwie były od nich niewiele starsze.

Wszystkie miały jasną cerę i jasnobrązowe włosy, z wyjątkiem najmniejszej, jasnej blondynki.

Tego ranka w restauracji dyżurowali Alan i Rosa, która już próbowała uspokajać najwyraźniej panicznie przerażone dziewczęta.

- Co wam się stało, kochaneczki? - wypytywała, poklepując je z czułością.

- Uciekłyśmy! - zawołała piskliwie jedna z dziewczynek.

W jej wychudzonej buzi o zapadniętych policzkach płonęły ogromne, udręczone oczy. Brakowało jej kilku zębów.

- On... zostawić drzwi otwarty, więc my uciekłyśmy, ale on za nami!

Proszę, schować nas!

Diana podeszła do dziewczynki i wzięła ją za rękę.

- O kim ty mówisz?

- Schować nas! Schować nas, proszę! - błagała mała. Pozostała trójka przytuliła się do niej, jakby była ich przewodniczką. A może tylko ona umiała coś powiedzieć po angielsku? - Nagle skuliła się, krzyżąc: -

Nie, nie, już za późno!

Do sali wtargnęło dwóch mężczyzn.

Jeden był wielki i groźny: miał najbardziej złowrogi wyraz twarzy, jaki Diana w życiu widziała. Czarne włosy miał krótko ostrzyżone, kręcone i mocno natłuszczone, w jego ciemnych oczach błyszczał

gniew.

Z rykiem rzucił się na dziewczyny. Dwie z nich złapał za włosy i zaczął je wyciągać z sali. Przerażone, wrzeszczały wniebogłosy.

Potężna pięść Alana wylądowała na szczęce wielkiego faceta.

Cios odniósł skutek, bo głowa mężczyzny odskoczyła w bok. Nie puścił jednak dziewczyn, które nadal miały się i krzychały.

Alan zadał następny cios, był jednak co najmniej dwa razy starszy od napastnika i nie był już w stanie powalić tak potężnego osobnika na ziemię.

Siedząca od dawna w jadalni kobieta, Azjatka, kopnęła mężczyznę w tydkę, ale mogła go równie dobrze dotknąć piórkami: reakcja byłaby podobna.

Nie mając pojęcia, co robi, Diana złapała stojący na stole czajnik z herbatą. Był pełen bardzo gorącego płynu. Pokrywka spadła, a Diana chlusnęła herbatą w twarz napastnika.

Ryknął z bólu i wściekłości i puścił dziewczęta. Rosa zagnała je natychmiast do kuchni i zamknęła drzwi na klucz.

Tinker tymczasem walczył z drugim, o wiele od tamtego niższym mężczyzną: tarzali się teraz po podłodze. Alan robił wszystko, żeby powalić olbrzyma, który nadal ryczał i zakrywał twarz ogromnymi dłońmi.

Teraz pojawiło się więcej ludzi, którzy przyszedli z dużej sali. Przez krótką chwilę panowała cisza, poza głosami dzieci przedszkolnych, śpiewających w salce na piętrze.

- Zatelefonowałem po gliniarzy - powiedział ktoś.

Jakby to był sygnał, niższy facet gwałtownie kopnął Tinkera i udało mu się zerwać na nogi. Wyciągnął towarzysza z pokoju na korytarz i pognał z

nim w stronę frontowych drzwi.

Nikt nie odważył się ich zatrzymać. Ludzie stali jak przykuci do podłogi, aż rozległ się dźwięk syreny policyjnej i wtedy wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Do lunchu sytuacja została w miarę opanowana, ale uczestnicy zajęcia nadal byli roztrzęsieni. Najcichszy dźwięk sprawiał, że Diana podskakiwała, a Tinker, z ogromnym sińcem na ramieniu, wypił

co najmniej sześć filiżanek mocnej kawy. Rosa i Alan poszli do baru napić się czegoś mocniejszego, natomiast dziewczęta uciekinierki przetransportowano do schroniska dla kobiet na Everton Valley, gdzie miały zostać przesłuchane przez policjantki zaraz po znalezieniu tłumaczki.

- Były tutaj legalnie - powiadomił sierżant policji. - Kraj, z którego pochodzą, jest częścią Unii Europejskiej. Myślały, że tutaj zatrudnią je jako modelki czy aktorki, czy coś równie głupiego. Tymczasem wsadzili je do burdelu. Tu niedaleko, dosłownie po przeciwnej stronie ulicy. Dlatego dziewczyny wiedziały, dokąd pójść: widziały wasz ośrodek ze swoich okien.

- Ale... one są przecież takie młode - jęknęła zbulwersowana Diana.

- Najmłodsza ma trzynaście lat, najstarsza szesnaście - potwierdził

policjant. - Trzymali je jak w więzieniu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie dawali ani grosza z tego, co zarobiły, nawet ich porządnie nie karmili... Biedne dzieciaki. Dałbym nie wiem co, żeby tylko dostać w ręce tych dwóch skur... łotrów. - Zrobił gest, jakby im obu skręcał kark. -1 tych innych, co prowadzą ten cholerny biznes.

Kiedy tam weszliśmy, dom już był pusty. Wydaje mi się, że mogło tam być więcej dziewczyn, ale i tamte uciekły.

Kiedy policjanci wyszli, obiecując wrócić po południu, żeby zebrać więcej oświadczeń, Diana zeszła do piwnicy i zaczęła przeglądać wiszące na wieszaku damskie rzeczy. Było tam mnóstwo koszulek z krótkimi rękawami: wybrała cztery najładniejsze, poza tym kilka par dżinsów i letnich spódniczek.

W porze lunchu poszła aż do sklepu Marks & Spencer i kupiła dwa pakiety damskich majteczek.

Ona sama nigdy się nie przejmowała tym, że nosi używane rzeczy, ale zawsze trochę ją odrzucało na myśl o włożeniu cudzej bielizny.

Te młode dziewczyny w schronisku też na to nie zasłużyły.

Brodie i Megan były przerażone, kiedy Diana opisała im przebieg porannych wydarzeń.

- To musiało być okropne - Brodie aż zadrżała. - No, ale wykazałaś się prawdziwą odwagą! Żeby tak chlusnąć gorącą herbatą w twarz temu mężczyźnie!

- Po prostu złapałam pierwszą rzecz, jaka mi się nawinęła pod rękę. -

Diana wyglądała na zaniepokojoną. - Mam nadzieję, że go nie oślepiłam!

- A dlaczego byś się miała tym przejmować? - prychnęła Megan.

- Nawet jeżeli ten człowiek jest naprawdę okropny, nie mogłabym sobie darować, gdyby z mojego powodu ktoś stracił wzrok.

Do kuchni weszła Vanessa, cała pachnąca farbą olejną. Wyjęła z lodówki butelkę wody. Brodie nie wytrzymała i opowiedziała jej o porannych przeżyciach Diany.

Jak się można było spodziewać, Vanessa była przerażona. Podobnie zareagowała Rachel, kiedy też zeszła do kuchni szykować butelkę dla małej. Diana uśmiechała się... bez przekonania. Cieszyła się, że udało im się powstrzymać tych dwóch mężczyzn od zabrania dziewczynek, ale cały czas tłukło jej się w głowie, że wylała człowiekowi wrzątek na twarz.

Vanessa stwierdziła, że jej reakcja na przemoc jest typowo kobieca.

- Nie potrafimy się zdobyć na zadanie bólu drugiemu człowiekowi, nawet jeżeli on go nam zadaje. Gdyby kobiety miały więcej siły fizycznej niż mężczyźni, świat byłby o wiele spokojniejszym miejscem - zakonkludowała nieco nielogicznie.

Vanessę zdumiewało, że zupełnie nie tęskniła za światem ze-wnętrznym - nic, ani odrobiny.

A przecież dawniej była dziko zapracowaną osobą. Takie czy inne działania zajmowały jej dosłownie każdą minutę dnia. Jej praca wymagała nieustannej aktywności: albo telefonowała, albo tkwiła przy komputerze, albo spotykała się z ludźmi na zebraniach. Lunch zjadała przy biurku, ewentualnie zabierała klienta do którejś z najelegantszych restauracji w centrum Liverpoolu lub była do którejś

przez klientów zapraszana. Nawet kiedy była sama w swoim mieszkaniu - co się zresztą bardzo rzadko zdarzało - z reguły robiła notatki na temat zajęć czekających ją nazajutrz lub w przyszłym tygodniu.

Wieczorami i w weekendy wychodzili gdzieś z Williamem, czasami tylko we dwoje, czasem z innymi kolegami. Często jechali aż do Londynu, żeby obejrzeć jakiś spektakl, i wtedy zostawali na noc w hotelu, a niedzielę spędzali na łażeniu "po sklepach".

Teraz Vanessa rzadko opuszczała dom, poza codziennym porannym spacerem nad brzegiem morza. Raz na dwa tygodnie szła z Rachel i Poppy do kliniki dziecięcej, a od czasu do czasu wpadała do sklepu Leonarda Goslinga po materiały malarskie. Ale ten wąski zakres działań bynajmniej jej nie przeszkadzał.

Tyle tylko, że już nie spędzała całego czasu u siebie w pokoju. Jeżeli była ładna pogoda - a ostatnio przeważnie tak bywało, bo uroczą wiosną ustąpiła już miejsca przepięknemu latu - spędzała długie godziny w ogrodzie, malując. Zaczęła też jeść na dole, w małej jadalni.

Pewnego dnia zastała ją tam Rachel i odtąd zaczęły jadać niektóre z posiłków razem.

Kilka razy Vanessa nakarmiła Poppy butelką. To było niezwykle przeżycie: trzymać w ramionach takie maleńkie ludzkie stworzonko!

Trudno byłoby jej nawet coś podobnego opisać: wrażenie, jakiego doznała, miało w sobie coś wręcz mistycznego.

Teraz nie martwiła się żadną z mnóstwa rzeczy, które ją dawniej gnębiły. Nie czytywała już prasy ani nie oglądała wiadomości w telewizji, miała więc niewielkie pojęcie o tym, co się dzieje na świecie za ścianami „Kasztanów”: czy gdzieś wybuchła jakaś nowa wojna, czy w innym miejscu nastąpił pokój...

To było cudowne uczucie, tak nic nie wiedzieć. Dzięki temu nie musiała się o nic martwić.

Było jej żal Brodie i Diany, które codziennie musiały wychodzić z domu do pracy. To, co Diana przeżyła w ośrodku, kiedy wpadli tam ci mężczyźni i ich młodziutkie ofiary, wstrząsnęło Vanessą do głębi.

Myślała o tym jeszcze, kiedy następnego ranka stanęła w ogrodzie przed sztalugami.

Okno pokoju Rachel było szeroko otwarte: słychać było, jak młodziutka mama śpiewa swojej Poppy jakąś piosenkę. Hałasowały też wiewiórki, skaczące po gałęziach drzew. Zdarzało się, że pokazywały się na chwilę i jedna drugą ścigała po trawie. W otaczających trawnik kwiatów brzęczały pszczoły, a nawet słychać było dziwaczne dźwięki, wydawane przez pasikonika. Megan mówiła, że te owady pocierają sobie jedną nóżkę o drugą. Od czasu do czasu po drugiej stronie zarośniętego trawą zbocza przejeżdżał pociąg...

Wpadła na pomysł namalowania tego obrazu wczoraj wieczorem, kiedy zaciągała zasłony przed pójściem do łóżka. Wręcz się zmusiła, żeby nie zacząć od razu, tu i teraz.

Miał tam być Księżyc w trzeciej kwadrze i niebo o głębokiej, gra-natowej, wręcz atramentowej barwie, usiane gwiazdami, nie większy-mi niż drobinki kurzu. Łupkowy dach domu naprzeciwko srebrzył się w zgaszonym świetle, a sylwetki drzew rysowały się na tle ciemnego, lśniącego nieba jak smugi czerni. Trawa miała najciemniejszą barwę zieleni, a meble ogrodowe były w tym półmroku ledwie widoczne.

Vanessa położyła się spać z tym obrazem w oczach. Kiedy się nazajutrz obudziła, nadal go widziała, chociaż niebo było teraz blade i mleczne, a wszystko w ogrodzie lśniło wyraźnymi, soczystymi kolorami.

Ustawiła sztalugi na zwykłym miejscu pomiędzy drzewami i zabrała się do pracy.

Malowała szybko, prawie bez przerw, chcąc przenieść jak najdokładniej na płótno scenę, którą miała w pamięci.

Niektórym ludziom namalowanie srebrnego dachu może nastro-

czałoby pewne trudności, ale Vanessa użyła lśniącej czerni poprze-cinanej białymi pasmami i była naprawdę zadowolona z rezultatu.

Kiedy zaczęła zbliżać się do końca, czuła, jak w jej piersiach wzbiera podniecenie. Nie mogła się po prostu doczekać, jak też ta jej ostatnia praca będzie wyglądała, kiedy już każdy centymetr kwadratowy płótna zostanie pokryty farbą.

- Witaj! Tak myślałam, że cię tu znajdę! Vanessa podniosła wzrok.

Do ogrodu weszła Eileen, teściowa Brodie. Vanessa naprawdę podziwiała tę kobietę, która po czterdziestu latach małżeństwa potrafiła się uwolnić od swojego męża potwora! Poza tym pochlebiało jej, że Eileen uważa jej malarstwo za absolutnie bajeczne.

- Nie będę ci przerywała - rzekła Eileen, siadając przy drewnianym stole. - Kiedy już skończysz, chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

- Już prawie skończyłam.

- To może chciałabyś, żebym ci zrobiła kawy?

- Proszę. Dla mnie czarną. Bez mleka i bez cukru. Ostatnio już się nie ważyła, ale sądząc po ubraniach, była pewna, że nadal chudnie.

- OK. Zaraz zrobię.

Vanessa już się nie odzywała. Właściwie ledwie zauważyła, że Eileen poszła w stronę domu.

Kiedy się znów pojawiła, z dwoma kubkami kawy na tacy, obraz był

już skończony, a Vanessa stała zamyślona przed sztalugą, z głową przekrzywioną na bok, nie oceniając swojej pracy ani jej nie podziwiając - po prostu zadowolona z tego, że skończyła, że się pozbyła nękającej ją wizji.

- Mogę zobaczyć? - Vanessa skinęła głową, więc Eileen podeszła.

- To bajeczne... - wyszeptwała. Za każdym razem mówiła tak samo. -

Absolutnie bajeczne. Rozumiem, dlaczego namalowałaś ten księżyc taki niewiarygodnie wielki, taki... no, że naprawdę można by go dotknąć. - Błagalnie popatrzyła na Vanessę. - Czy ja... mogłabym go mieć? Dla siebie?

Vanessa nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego namalowała taki wielki księżyc. Nie zdawała sobie nawet z tego sprawy, dopiero Eileen zwróciła jej na to uwagę.

- Naturalnie, że go możesz wziąć - odparła.

Hojnie szafowała obrazami, przede wszystkim dlatego, że z chwilą gdy już je namalowała, przestawały ją interesować.

- Chciałabym, żebyś mi pozwoliła za niego zapłacić - poprosiła Eileen. - To już trzeci, który mi dałaś. Mówisz, że nie chcesz za nie pieniędzy, ale chciałabym ci chociaż kupić jakiś prezencik, zanim wrócę w weekend do Londynu. Czy jest coś takiego, co szczególnie chciałabyś mieć?

Vanessa głęboko się zastanowiła, ale nic jej nie przychodziło na myśl.

Nie chciała ani biżuterii, ani kosmetyków, perfum czy ubrań.

- A może chciałabyś książkę o malarstwie? - zaproponowała Eileen.

- Już umiem malować. - Nie miała ochoty zgłębiać tajników skali, równowagi czy perspektywy, ani tego, jak trzeba mieszać farby czy co do nich dodawać.

- Nie to miałam na myśli! - Eileen aż przewróciła oczami z za-kłopotania. - Jasne, że umiesz malować, i to przepięknie! Miałam na myśli biografie: Picassa czy van Gogha albo któregoś innego malarza.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie. Pochlebia mi, że ci się podobają moje obrazy i możesz ich mieć tyle, ile tylko zechcesz. Ja nie chcę mieć żadnego.

- Och, Vanesso! - zawołała z uczuciem Eileen. - Jakaż z ciebie urocza osoba! Jestem po prostu zachwycona, że cię poznałam.

- Ależ dlaczego! No... dziękuję.

Chyba pierwszy raz od niepamiętnych czasów Vanessa się zarumieniła.

- W każdym razie - Eileen zapaliła papierosa i obie usiadły - chciałam ci powiedzieć, że uważam, iż powinnaś zrobić wystawę swoich prac.

Vanessa o mało nie zakrzuszyła się kawą.

- Co ty za głupstwa wygadujesz, Eileen! - zachnęła się.

- Żadne głupstwa. Jest dużo takich ludzi, którzy, jak ja, lubią mieć w domu oryginalne obrazy. I nie tylko to: twoje oryginały są naprawdę oryginalne. Mam na myśli, że żadnemu innemu artyście do głowy nie przyjdzie, żeby namalować to, co ty namalowałaś choćby dzisiaj, przed chwilą, a w każdym razie nie tak, jak ty to zro-

biłaś. To jest takie... takie naturalne i rzeczywiste. Twoja praca ukazuje, jaką masz niesłychaną wyobraźnię. No i to ma siłę. - Mówiła tak szczerze, tak prosto z serca, że Vanessa się wzruszyła. - Jestem przekonana, że twoje obrazy będą się sprzedawały jak świeże bułeczki.

A jeżeli nie będziesz za nie chciała pieniędzy, możesz przecież wszystko oddać na cele dobroczynne, na przykład do ośrodka dla uchodźców Diany.

- A gdzie mogłabym urządzić taką wystawę? - spytała Vanessa. -W

Galerii Sztuki Walkera? W Liverpool Tate?

- Tutaj! - rzuciła Eileen, wskazując ręką piękny ogród. - Tylko trzeba by zawiadomić o tym „Crosby Herald”, no i „Liverpool Echo”.

Wiedząc, że to na cel dobroczynny, na pewno zamieszczą informację o wystawie. Diana by wszystko zorganizowała, a Brodie i Megan z pewnością też pomogą!

- Pomyślę nad tym - przyrzekła Vanessa. - Najlepiej byłoby zaczekać, aż namaluję więcej obrazów. - Nie chciała, żeby jej nazwisko pojawiło się w prasie, bo mogliby je zobaczyć William i jej rodzina.

Skoro tylko Eileen sobie poszła, Vanessa całkiem zapomniała o wystawie.

Przypomniała sobie natomiast, że Brodie miała urządzić dla Eileen przyjęcie przed jej wyjazdem do Londynu.

Powinna się zebrać w sobie i kupić coś nowego do włożenia na tę okazję.

- Jaki był twój ojciec, Diana? - spytała Brodie któregoś wieczoru, kiedy już kończyły jeść obiad w małej jadalni. (Nazywała ten posiłek „obiadem”, ale Diana zjadała swój obiad w porze lunchu, a posiłek wieczorny nazywała „podwieczorkiem”).

Słońce oślepiająco oświetlało jeden róg pokoju, oddzielając jak nożem światło od mroku.

- Mój tata? - Diana oparła łokcie na stole i objęła twarz długimi, białymi dłońmi. Ostatnio zaczęła sobie malować paznokcie dziwnymi kolorami: dzisiaj były jasnoniebieskie i wyraźnie wymagały

ponownego pomalowania. - Był uroczy - odparła rozmarzona, z półprzymkniętymi oczyma.

- Ile miałaś lat, kiedy od was odszedł?

- Dziewięć. Miał brązowe włosy, tak jak ja, i był wysoki. Miał na imię James, ale wszyscy mówili na niego Jim. Czasami zapuszczał brodę, a czasami nie, bo nigdy się nie golił, kiedy był poza domem: był

marynarzem na statku handlowym. Był uroczy - powtórzyła.

-Pobłażliwy i łagodny: zanadto pobłażliwy, jak dla naszej mamy, to na pewno. - Przerwała, jakby się zastanawiała, czy ma powierzyć Brodie jeszcze więcej poufnych danych, czy też nie. - Ona... miała wtedy innych mężczyzn, kiedy tata odszedł - powiedziała i skrzywiła się. - Ja wtedy nie widziałam w tym nic złego. Pewnie powinnam była, ale kiedy się ma dopiero dziewięć lat, to się myśli, że tata i mama są doskonali.

- A gdzie on jest teraz? - Brodie położyła Dianie rękę na ramieniu. -

Jeżeli uważasz, że jestem wścibska, to nie odpowiadaj... Po prostu wszystkie cztery mieszkamy tu razem już ponad trzy miesiące, a wiemy o sobie nawzajem naprawdę bardzo mało.

Najbardziej tajemnicza ze wszystkich była Vanessa. Nikt poza Leonardem Goslingiem do niej nie przychodził, a jeśli nawet miała telefon komórkowy, to nigdy nie było słychać, żeby dzwonił. Nie dostała też ani jednego listu.

Rachel była już bardziej otwarta. Miała dwóch braci i siostrę, a ojciec małej Poppy miał na imię Tyler i chodził do szkoły w dzielnicy Waterloo. Odwiedzał Rachel w drodze ze szkoły do domu i czasami można go było zobaczyć, jak koło wpół do szóstej wychodzi i wsiada na rower. Czasami wpadał w niedzielę i długo przesiadywał na górze z Rachel i Poppy.

Żadna z pozostałych mieszkank „Kasztanów” nigdy z nim nie rozmawiała, ale Vanessa wiedziała, że to Amerykanin. Między nią a Rachel nawiązało się coś w rodzaju przyjaźni.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz tata - przyznała Diana. -Nikt tego

nie wie. Rozwiedli się z mamą i odtąd nikt o nim nie słyszał. A co z twoim tatą? Pamiętasz go w ogóle?

Słońce powoli przesunęło się przez pokój, pozostawiając w końcu tylko małe skrawki jaskrawej żółci. Za chwilę w ogóle zniknie i w całym pokoju zapanuje ciemność. Nie wiadomo dlaczego zasmuciło to Brodie.

- Umarł, kiedy miałam dziesięć miesięcy - odpowiedziała na pytanie Diany. - Tylko z fotografii wiem, jak wyglądał, a wszystkie zostały w domu...

Teraz to jest przecież mój dom, zdała sobie nagle sprawę. Chociaż może nie na zawsze...

- A jak miał na imię?

- Louis. Louis Sylvester. - Dziewczynki w szkole zazdrościły jej tego nazwiska: Brodie Sylvester. Jej najserdeczniejsza przyjaciółka, Wendy, twierdziła, że to nazwisko dla gwiazdy filmowej. - A ja jestem tylko Wendy Lott - mówiła z niesmakiem. - Cóż, kiedy zostanę gwiazdą filmową, będę musiała zmienić nazwisko.

Wendy nie została gwiazdą. Wyszła za mąż za budowniczego, Timothy'ego Houghtona, i wyjechała z nim do Australii.

- Mój ojciec urodził się w Irlandii - mówiła dalej Brodie. - Poznał

moją mamę na statku pasażerskim, który płynął z Nowego Jorku do Liverpoolu. Zaraz potem się pobrali.

- Ależ to ogromnie romantyczne! - Diana ustawiła swoje krzesło w ostatnich promieniach słońca. Jej rozwichrzone włosy z brązowych stały się teraz złote. - A co twoja mama robiła w Nowym Jorku?

Zawsze chciałam tam pojechać.

- Prawie każdy tego chce. Mama miała tam ciotkę, która występowała na scenie. Nie pytaj mnie, jak się nazywała, bo naprawdę nie mam pojęcia. Zresztą była tylko chórzystką.

W szkole podstawowej niektóre dzieci dokuczały Brodie, że nie ma ojca, ale była zbyt rozsądna, żeby się tym przejmować. To nie z jej winy umarł na zapalenie płuc, kiedy miał trzydzieści dziewięć lat.

- Miał słabe piersi - powiedziała jej matka w wiele lat później. -Jego rodzina w Irlandii była strasznie biedna i jako dziecko nie był

odpowiednio żywiony.

Za to ojciec Brodie był świetny w rachunkach. Naprawdę, poszedł na uniwersytet i został księgowym w sądzie: mógł zarabiać fantastycznie dużo.

Słońce już całkiem zniknęło: zrobiło się tak, jakby ciemna chmura spadła na pokój.

Brodie wstała.

- Napijemy się tutaj, czy zabierzemy herbatę do ogrodu? Tam jeszcze jest słońce.

Diana przeciągnęła się, zmęczona, i kiwnęła głową.

- Herbata czy kawa? - spytała Brodie.

- Cokolwiek, to co ty.

- Wobec tego kawa.

Kiedy Brodie powiedziała, że urządza przyjęcie dla Eileen przed jej powrotem do Londynu, Diana spytała Tinkera, czy zechciałby przyjść.

Leo nie był zbyt zadowolony.

- Przecież to ja jestem twoim chłopakiem - protestował. - Twoim narzeczonym. Nie powinnaś zapraszać na randki innych mężczyzn.

Diana się roześmiała.

- Nie bądź niemądry. Tinker to po prostu kolega. I nie zapraszam go na żadne randki, tylko na przyjęcie.

Prawdę powiedziawszy, często zapominała, że są z Leem zaręczeni -

a to nie było zbyt w porządku. Był naprawdę bardzo miły i z pewnością stałby się cudownym mężem dla jakiejś innej dziewczyny.

- Mama i tata zabierają nas w ten weekend do Ormskirk obejrzeć domy - oznajmił. - Budują tam nowe osiedle.

- Naprawdę?

Nadal miała nadzieję, że ją od siebie uwolni, ale nic na to nie wskazywało.

Brodie twierdziła, że to niemądrze z jej strony, że pozwala na kontynuowanie tego związku.

- Im dłużej to trwa, tym ci będzie trudniej się z tego wypłatać i tym bardziej zranisz biednego Lea. Zanim się zorientujesz, już będziesz szła do ołtarza. A kiedy ksiądz spyta, czy ktoś zna jakiegokolwiek powody, dla których nie powinniście zostać złączeni świętym węzłem

małżeńskim, wtedy krzyknę: „Ona go nie kocha, proszę księdza!”.

Diana zachichotała.

- Och, przecież tego nie zrobisz, co?

- Zrobię - stanowczo odparła Brodie. - Mam tylko nadzieję, że się opamiętasz, zanim będzie za późno. I wcale nie żartuję, młoda damo, jestem śmiertelnie poważna.

To już nie są żadne żarty, pomyślała Diana.

Rodzice Lea chcieli wpłacić depozyt za dom: to miał być ślubny prezent dla młodej pary. A teraz Leo zapraszał ją, żeby obejrzała ten dom!

W jaki sposób mogłaby się z tego wypłatać?

Brodie co rano włączała komputer i sprawdzała, czy nie nadszedł

jakiś mail od Karen Young. Sprawdzała jeszcze raz wieczorem, po powrocie z pracy, i jeszcze raz, przed pójściem do łóżka, chociaż wiedziała, że gdyby było coś naprawdę ważnego, Karen z pewnością by zatelefonowała.

Dawniej Brodie używała komputera codziennie, głównie po to, by szukać w Google informacji, których potrzebował Colin, albo wysyłać własne maile. Teraz włączała go jedynie w nadziei na wiadomości o córce.

- Co za zbieg okoliczności! - mruknęła, kiedy w nocy po jej rozmowie z Dianą na temat ojców znalazła maila od Karen, ale nie na temat Maisie, lecz dotyczący jej dziadka, Thomasa Ryana.

Stale zapominałam poszukać czegoś o nim w Google - pisała Karen - a kiedy to wreszcie zrobiłam, okazuje się, że to bardzo ciekawe.

Oczywiście są tłumy ThomasówRyanów, ale twój nazywa się Thomas Edward Ryan i jest tam nawet jego fotografia. Niestety, nadal

nie mam żadnych wiadomości o Maisie, ale jestem pewna, że coś się wkrótce znajdzie.

Brodie westchnęła. Nie miało sensu czekać do rana.

Wrzuciła Google, wpisała: *Thomas Edward Ryan* - i w ciągu paru sekund na ekranie pojawiła się fotografia w kolorze sepii, wyblakła na brzegach. Musiała być zrobiona na jakiejś paradzie czy czymś podobnym. Przedstawiała Thomasa Ryana od pasa w górę, w staroświeckim mundurze policjanta, z wysokim kołnierzem i mnóstwem mosiężnych guzików. Dziadek trzymał sztywno pod pachą kopulasty hełm, a jego włosy

były ostrzyżone nadzwyczaj krótko.

Brodie poczuła, że się uśmiecha do tej młodej, wybitnie przystojnej twarzy. Wydawał się ogromnie poważny, ale w jego oczach i w wygięciu ust było coś, co wskazywało, że jest niezmiernie zadowolony z siebie.

- Cześć, dziadziu - szepnęła ze łzami w oczach.

Dlaczego tego wcześniej nie zrobiła? Nigdy nawet nie marzyła o tym, że znajdzie w Internecie własnego dziadka.

Kiedy dorastała, nie знаła żadnych swoich krewnych: nie miała dziadków, wujków ani ciotek, i żadnych kuzynów - były tylko we dwie z matką.

Zabrała się do czytania tekstu, towarzyszącego fotografii.

Wiedziała, że jej dziadek został zabity w 1930 roku, kiedy to zaskoczył dwóch rabusiów włamujących się do banku. Jeden z nich go zastrzelił.

Lecz w miarę czytania szczęka opadała jej coraz niżej i niżej, a oczy robiły się coraz bardziej okrągłe.

- Więc przez te wszystkie lata okłamywano mnie - powiedziała do fotografii. - Ale dlaczego?

*

Jak się spodziewała Brodie, Diana całą duszą rzuciła się w wir przygotowań do przyjęcia dla Eileen.

W przypadku ładnej pogody miało się ono odbyć w ogrodzie, a gdyby padało, w domu. Okazało się, że ten późnoczerwcowy wieczór był przepiękny: na szafirowym niebie zachodziła lśniąca żółta kula słońca.

W powietrzu wisiał nastrój oczekiwania, jakby nawet sam ogród szykował się do przyjęcia.

Diana ciężko się napracowała. Do drzew przywiązane były dziesiątki białych baloników, na żelaznym stole paliły się świece. Świece płonęły też na pozbawionej głowy statui, tam gdzie powinna być głowa, i w rozmaitych innych miejscach, gdzie można je było bezpiecznie pozapalać.

Przedtem jeszcze przygotowała listę gier, w które można będzie grać - ale Brodie ją zapewniła, że to niepotrzebne.

- To nie zabawa dla dzieci. Dorośli zechcą tylko stać i rozmawiać.

- A nie będą chcieli czegoś do jedzenia i picia?

- Tak, tego będą chcieli. Każdego poprosiliśmy o przyniesienie butelki wina, a mama i ja zajmiemy się jedzeniem. Jeżeli chcesz, możesz nam w tym pomóc.

Miał przyjść Colin, jego dwie siostry i brat ze swoimi partnerami, poza tym ich dorosłe dzieci, o ile znajdą opiekę do swoich dzieci, jeszcze niedorosłych: Eileen miała już trójkę prawnucząt. Brodie nie była pewna, czy George też przyjdzie. Miała nadzieję, że nie.

- Mogę się zająć muzyką? - z przejęciem spytała Diana.

- Naturalnie, że możesz!

Brodie była pełna podziwu dla jej entuzjazmu.

O siódmej wieczorem stała w kuchni, oczekując przyjścia gości.

Miała na sobie nowe białe spodnie i przezrystą bluzkę.

Diana co chwila na nowo układała małe trójkątne kanapeczki w stożkowy stos. Z sukien podarowanych dla ośrodka uchodźców pożyczyła sobie tym razem długą czarną spódnicę i ciemnozieloną jedwabną bluzkę z pelerynką, spadającą z ramion aż do łokci.

- Wyglądasz jak postać wyjęta z powieści Jane Austen -

komplementował ją Leonard Gosling. On przyszedł na przyjęcie jako pierwszy.

Vanessa odbyła długą wędrowkę do miasta, żeby kupić coś pasującego na „nocne przyjęcie w ogrodzie”, jak je nazywała. Wróciła z wiadomością, że zaczęły się wyprzedaże, i pokazała Brodie kupioną właśnie powiewną kremową suknię.

- Noszę teraz już najwyższy rozmiar czterdzieści osiem - powiedziała z pełnym satysfakcji westchnieniem.

Rachel przyszła oczywiście w dżinsach, w których chyba chodziła zawsze, natomiast Poppy, z każdym dniem coraz większa, miała na sobie pełną falbanek sukienkę w kolorze maków.

- To jej tatuś kupił tę sukienkę - powiedziała Rachel.

Zaraz potem pojawił się Tyler: wysoki, chudy jak chmielowa tyczka młodzieniec z rękami i nogami jak zapalki, raczej zamknięty w sobie.

Brodie uznała, że musi być nieśmiały.

- Jak się pani ma, pani Logan? - przywitał się. Poprosiła, by ją nazywał Brodie.

- Pięknie się tu wszystkie urządzyliście - stwierdziła Eileen później, kiedy wieczór już był w pełnym toku.

Ella Fitzgerald właśnie zaczynała śpiewać: *Every Time We Say Goodbye*. - „...po trosze płacząc” - zaśpiewała za nią Eileen. Brodie uniosła brwi.

- Urządzyliśmy?

- No, to wszystko... ten piękny dom, piękny ogród... - Eileen powiała w obie strony ręką, w której trzymała szklankę. - Diana, Vanessa, Rachel ze swoim ślicznym bobaskiem... Naprawdę, wcale mi się nie chce stąd wyjeżdżać. Ale nasz Colin jest rzeczywiście strasznie nieszczęśliwy. - Spojrzała w kierunku syna, stojącego samotnie z ponurą miną i ściskającego w garści butelkę piwa. - Jeszcze z nim nie rozmawiałaś?

- Rozmawiałam, kiedy tu był pierwszy raz, ale tylko chwilę.

- On cię kocha, wiesz o tym - trzeźwo stwierdziła Eileen, mimo że przed chwilą robiła wrażenie troszeczkę wstawionej, jak zresztą większość obecnych, włącznie z Brodie.

- I ja go kocham - odparła - ale nie mogę z nim mieszkać, skoro tak a nie inaczej myśli o Maisie.

- Rozumiem. Ja prawdopodobnie uważałabym tak samo. - Lekko się uśmiechnęła. - Czy wiedziałaś o tym, że Colin, kiedy był na uniwersytecie, palił marihuanę? - Brodie potrząsnęła głową. - Kiedyś mu wytknęłam, jaki z niego hipokryta. Ostatecznie mnóstwo studentów tak robiło i jest naturalnie wielka różnica pomiędzy tym a kokainą czy heroiną. - Nagle, ni stąd, ni zowąd, po twarzy Eileen popłynęły strużki łez. - Dziękuję ci za przyjęcie, Brodie. To bajeczny, czarodziejski wieczór. - Odwróciła się, mówiąc, że ma ochotę z kimś zatańczyć. - Jaka szkoda, że George nie przyszedł.

Jedyne, co mogę powiedzieć o nim dobrego, to że był fantastycznym tancerzem. I chyba nadal nim jest, z tego, co wiem. A kim jest ten „piękny jak marzenie” młodzieniec? Naprawdę mi się podoba!

Brodie spojrzała we wskazaną stronę i zobaczyła, że chodzi o Tinkera, który właśnie rozmawiał z jej matką. Mama była bardzo zainteresowana ośrodkiem i przychodziła tam nawet dwa albo i trzy razy w tygodniu.

Kiedy Eileen do nich podeszła, Tinker zgiął się w wytwornym ukłonie. Po chwili już tańczyli walca na trawie, a razem z nimi Diana z Leem i siostry Colina ze swoimi mężami.

Robiło się coraz ciemniej, dzięki czemu płomienie świec wydawały się teraz jaśniejsze. Wieczorny zapach wilgotnej ziemi mieszał się z wonią topniejącego wosku. Baloniki na drzewach huśtały się tam i z powrotem jak małe duszki. Rudy kot Kenneth leżał na gałęzi, wyciągnięty jak długi, chłodno obserwując wszystko, co się działo pod nim. Od czasu do czasu ktoś podchodził i częstował go jakimś smacznym kąskiem. Ella Fitzgerald śpiewała teraz: *Someone to Watch Over Me*.

Brodie podeszła do Colina i spytała, czyby nie zechciał zatańczyć.

Nie powiedział ani słowa, po prostu objął ją ramieniem i huśtał do przodu i w tył, stojąc w miejscu.

5 Someone to Watch Over Me (Ktoś, kto czuwa nade mną) - piosenka Gershwina z musicalu „Oh, Kay!” z 1926 roku, w 1950 nagrana przez Ellę Fitzgerald.

- To ma być taniec? - zdziwiła się Brodie.

- Najlepszy, na jaki mnie stać w obecnych okolicznościach.

- Jakich znowu okolicznościach?

- Po prostu tak strasznie za tobą tęsknię. Jestem okropnie nieszczęśliwy, nie wiem, co ze sobą zrobić: nie mogę spać, nie mam czystych koszul... piję za dużo piwa... - Przestał się kołysać i popatrzył

jej prosto w oczy. - Czy tych okoliczności wystarczy?

- Chyba tak - przyznała.

Było tak, jakby znowu byli młodzi i od dawna się nie widzieli. Poczuła lekki zamęt w sercu.

- Tak się cieszę, że mogę cię trzymać w ramionach. - Przycisnął ją mocniej i ukrył twarz w załomie jej szyi. - Kiedy wracasz do domu, najdroższa?

To „najdroższa” i dotknięcie jego warg na jej uchu naprawdę podziałało.

Jęknęła. Był jej mężem i kochała go. Nie mogła się zdobyć na ostrą odpowiedź w rodzaju: „Wtedy, kiedy zmienisz swój stosunek do córki!”. Zamiast tego wymamrotała: - Nie wiem... Wyszepiał:

- Mogę tu zostać na noc? Wtedy Brodie odszepnęła: - Tak.

Poppy tej nocy długo nie mogła zasnąć.

Nie była przyzwyczajona, żeby się nad nią trzęsło aż tyle osób.

Brodie słyszała na górze lekkie kroki Rachel, kiedy spacerowała z małą tam i z powrotem po pokoju. Prawdopodobnie starała się ją ukotłosać do snu przed położeniem do łóżeczka.

Vanessa wykąpała się, po czym zeszła na dół zrobić sobie coś do picia. Cicho podśpiewywała. Najwyraźniej tego wieczoru dobrze się bawiła.

Nic dziwnego! Eileen zrobiła jej wspaniałą reklamę, przedstawiając swojej rodzinie.

- To właśnie ta artystka, o której wam mówiłam - powiedziała. - Jest absolutnie bajeczna. Pewnego dnia zyska taką sławę jak Picasso.

W pokoju obok chichotała Diana. Ktoś u niej był - jakiś mężczyzna.

To mógł być tylko Leo. Brodie była ciekawa, czy już się ze sobą kochali. Diana, mimo że miała prawie dwadzieścia sześć lat, wydawała się za młoda na seks.

Mam nadzieję, że nie zajdzie w ciążę, pomyślała, bo wtedy będzie musiała wyjść za niego.

Zwróciła się do Colina:

- Napijesz się herbaty?

Leżeli na jej pojedynczym łóżku, oboje zupełnie nacy: dopiero przed chwilą skończyli się kochać. Ostatni raz robili to wiele miesięcy temu i teraz każde z nich było bardzo stęsknione. Dziś było im lepiej niż kiedykolwiek... Teraz jednak Brodie czuła się trochę zażenowana i nie wiedziała, czy zdoła przejść przez pokój bez strzępka odzienia, żeby wziąć szlafrok, wiszący za drzwiami.

Colin westchnął.

- Zapaliłbym.

- Nie powinieneś palić, wiesz, że ci to szkodzi.

Oboje palili, kiedy spotkali się pierwszy raz, przed wyborami w 1983

roku, podczas rozdawania ulotek Partii Pracy. Resztę ulotek, jaka im została, rozdali już razem, kładąc je beztrosko na progu co drugiego domu.

Potem poszli do baru, oboje zapalili i wypili drinka - Brodie małe sherry, a Colin ćwierć litra najlepszego gorzkiego piwa. Oboje czuli, że to jest właśnie „to”.

W rok później wzięli ślub. Po następnym roku była już w ciąży z Joshem. Maisie pojawiła się w osiemnaście miesięcy po bracie.

- Napijesz się herbaty? - powtórzyła. - W sytuacji gdy nie możesz zapalić.

- Bardzo chętnie.

Zebrała się w sobie, wstała z łóżka i podeszła do drzwi po szlafrok, starając się ze wszystkich sił nie spieszyć. Obwiązała talię paskiem.

Kiedy się odwróciła, Colin patrzył na nią.

- Jesteś bardzo piękna, Brodie - powiedział. Głos miał jakoś dziwnie zmęczony.

- No, ty też nie jesteś taki znowu brzydki...

Starała się, żeby to zabrzmiało beztrosko. Poszła szykować herbatę.

Kiedy wróciła z dwoma kubkami, Colin, już całkowicie ubrany, siedział ponuro zamyślony na brzegu łóżka. Wstał.

- Nie myślałem, że ci sprawię tym kłopot... dzięki... pójdę już do domu.

- Ależ dlaczego? Co ci jest? Wszystko było dobrze... przedtem, prawda?

- Było więcej niż dobrze; było cholernie cudownie! - Spojrzał na nią spode łba. - Ale jak długo potrwa, zanim to się znowu zdarzy? -

Nerwowo przeczesywał włosy palcami. - Wróc ze mną do domu! -

rzekł błagalnie.

- A co z Maisie? - spytała Brodie.

- Jak to, co z Maisie?

- Nie mam już siły ci tłumaczyć - mruknęła. Poczowała się wyczerpana.

Postawiła kubki z herbatą na stole i ciężko opadła na krzesło. - Wiesz przecież, o co mi chodzi.

- Nigdy się z tobą nie zgodzę w sprawie Maisie.

- Wobec tego ja nigdy nie wrócę do domu.

W ogrodzie ciągle jeszcze paliły się dwie świece. Brodie otworzyła drzwi tarasu i wyszła, żeby je zdmuchnąć. Właściwie było bardzo niewiele śmieci: goście naprawdę pięknie się zachowali, starając się nie nabrudzić.

Kiedy wróciła do pokoju, włączyła komputer i wybierała wiadomości, aż dotarła do zdjęcia swojego dziadka.

- Witaj, dziadziu. - Młodzieńcza twarz wpatrywała się w nią beznamiętnie. - Chciałam o tobie porozmawiać z twoją córką,

Megan - wyjaśniła mu. Matka nawet żądała, żeby z nią porozmawiać, ale Brodie była zbyt zajęta podawaniem jedzenia. - Później, mamó - zaproponowała. Tymczasem matka bardzo wcześnie poszła do domu.

Brodie odniosła wrażenie, że była obrażona.

- Ale nie tak bardzo obrażona jak ja - powiedziała teraz dziadkowi.

Lipiec-sierpień 2006

Rozdział 8

Czarna furgonetka parkowała na Cazneau Street. Jej maska nieco wystawała zza rogu, tylko na tyle, by siedzący za kierownicą młody mężczyzna mógł obserwować Winstanley Grove i wejście do ośrodka dla uchodźców, gdzie jego brat, Rudi, stracił wzrok.

Ten kierowca - Jagar - miał na głowie czapkę bejsbolówkę z daszkiem nasuniętym na czoło aż po brwi.

Chociaż żaden lekarz tego nie potwierdził, Jagar był przeświadczony, że Rudi już nie odzyska wzroku. Kłopot polegał na tym, że nie można go było oddać do żadnego szpitala w tym kraju. W aktach policyjnych niewątpliwie odnotowano, co się stało tamtego ranka, prawie miesiąc temu, i szpitale na pewno dostały polecenie zwrócenia szczególnej uwagi na potężnej postury cudzoziemca, mówiącego łamaną angielszczyzną, z twarzą oblaną wrzątkiem.

Od tego dnia Rudi tkwił przed telewizorem, którego zresztą nie mógł

oglądać z powodu bandaża zakrywającego oczy. Siedział z opuszczonymi ramionami i prawie się nie odzywał. Od czasu do czasu Jagar zdejmował mu bandaż, ale jak dotąd jego brat tylko przecząco potrząsał głową.

Te cztery małe kurewki, co uciekły, najprawdopodobniej podały dokładny opis ich obu, Rudiego i jego samego, razem z imionami, adresami i innymi danymi. Pobyt w tym kraju był więc teraz o wiele bardziej ryzykowną operacją niż przedtem.

Jagar nie wiedział, co ma robić. Rudi był kompletnie bezradny:

po prostu cień tego potężnego, dominującego człowieka, jakiego znał

od zawsze, jakiego znała cała wioska w ich kraju.

Przywiezienie tu dziewczyn i zorganizowanie biznesu było pomysłem Rudiego. Rzeczywiście, pieniądze same płynęły do ich kieszeni potężną strugą: byli o krok od stania się milionerami. Plan przewidywał powrót do domu po kilku latach i zbudowanie tam pałacu dla ich matki - chociaż Jagar miał inne pomysły.

Wolałby zamieszkać w Londynie, w luksusowym apartamencie, i samemu prowadzić interes z paroma dziewczynkami. Nosiłby na szyi złote łańcuchy, kupował stroje znanych projektantów mody i uprawiał

seks, kiedy tylko miałby na to ochotę. Jak dotąd najbardziej doceniał

seks; dobrane młode kobietki, a każda do jego dyspozycji, gotowa zrobić wszystko, czego będzie sobie życzył. Na myśl o tym Jagar aż się oblizał.

Dwaj mężczyźni, którzy tu z nimi przyjechali, to głupki: nie potrafili ruszyć palcem bez polecenia Rudiego. Ale teraz wszystko zależało od niego, a on naprawdę nie wiedział, co robić. Dziewczynkom, które jeszcze u nich pracowały, brakowało żelaznej ręki Rudiego i zaczynały się niecierpliwić. Były inne niż te cztery, co uciekły. Starsze i bardziej doświadczone, wyglądały na zużyte i o wiele słabiej przyciągały klientelę. Większość mężczyzn preferowała młode ciała, wtedy nawet chcieli więcej płacić.

Jagar się bał, że wszystko może się rozsypać.

Nowy lokal, jaki znaleźli, mieścił się niestety bardzo blisko katedry katolickiej. Kiedy widział z okien ten święty przybytek, czuł się skrępowany. Nie wiedział, jak reklamować usługi, które mieli do zaoferowania. Dawniej Rudi drukował karteczki i rozkładali je po klubach i barach. Jagar próbował

teraz zrobić to samo, ale już w pierwszym barze, do którego wszedł, powiedziano mu tyle razy, żeby się „odpierdolił”, że w końcu dał spokój.

- Złe sobie wybrałaś miejsce, kolego - powiedział mu jakiś facet. - To porządny bar, godny szacunku. A jeżeli już o was mowa... to dlaczego nie wróćcie do swojego kraju?

Jagar uciekł.

Nigdy nie będzie tak dobrym biznesmenem jak jego brat.

Obserwował ośrodek dla uchodźców przez całe popołudnie: przypatrywał się każdej wchodzącej i wychodzącej osobie.

Było już po piątej, kiedy z budynku wyszła ona: rozpoznał ją od razu.

Szła w jego stronę w towarzystwie dużo starszej pani. W jakimś tajemniczym zakątku mózgu zaświtało mu, że ma mnóstwo uroku, ale pierwszą jego myślą było, jak bardzo jej nienawidzi za to, co zrobiła Rudiemu.

- Mam cię, moja pani! - Zaklął, kiedy przeszła obok niego: jej spódnica falowała, pantofle delikatnie stuknęły na chodniku. Miała gołe, opalone na brąz ramiona, a we włosach złote pasma.

To ona była winna nieszczęścia jego i Rudiego, była jego prze-kleństwem, powodem, dla którego ich cudowne, tak niewiarygodnie wspaniałe życie dobiegło końca.

- Kiedyś cię dopadnę za to, co zrobiłaś mojemu bratu - obiecał. Ta dziewczyna musi zapłacić. Tylko tak będzie sprawiedliwie.

Brodie nie widziała matki od dnia przyjęcia dla Eileen.

Dzwoniła kilka razy, ale matka zbywała ją najrozmaitszymi wy-mówkami: a to była zmęczona, a to miała listy do napisania albo obiecała udekorować tort na jakąś loterię fantową.

- Na litość boską, mamó - zdenerwowała się Brodie pewnego popołudnia, kiedy specjalnie wybrała się do niej do ośrodka dla uchodźców i usłyszała, że matka musi wieczorem umyć włosy. -Dajże teraz spokój włosom i przychodź do mnie na podwieczorek. A poza tym: czy nie masz suszarki? Przygotowałam świeżego łososa, twoją ulubioną potrawę.

W końcu matka niechętnie się zgodziła. Brodie wcale nie przygotowała łososa, ale teraz kupiła go w drodze z pracy, do tego trochę malutkich pomidorów i innych różności do sałaty.

Dzisiaj wieczorem Diana miała pójść z ośrodka prosto na Coral Street z okazji osiemnastych urodzin Gartha, mogły więc razem zjeść podwieczorek w gabinecie. Może mama nareszcie jej

wyjawia, czemu się ostatnio zachowuje, jakby jej ktoś nadepnął na odcisk.

Kiedy matka przyszła - zresztą z wyдутymi ustami i nieuśmiechniętymi oczyma - stół już był nakryty.

Brodie nie miała zamiaru przesiedzieć całego podwieczorku w sztywnym milczeniu.

- Co cię gryzie, mamó? - zapytała zdecydowanie, zanim usiadły. - Już od wieków nie rozmawialiśmy ze sobą, więc powiedz, co się stało?

- Powinnaś sobie przypomnieć - odparła matka lodowatym tonem, zarezerwowanym wyłącznie na okazje, kiedy córka doprowadzała ją do wściekłości - że próbowałam z tobą porozmawiać wtedy na przyjęciu, ale byłaś najwyraźniej zanadto zajęta.

- Bo byłam zanadto zajęta. Musiałam dopilnować jedzenia.

To nie było podobne do matki obrażać się o coś tak mało znaczącego.

- Wydaje się, że jednak miałaś mnóstwo czasu na rozmowy z innymi, na przykład z Eileen. Dlaczego jej powiedziałaś, że Maisie została narkomanką, a mnie, własnej matce, nie mogłaś tego powiedzieć?

Ach, więc o to jej chodzi!

- Eileen myślała, że odeszłam od Colina dlatego, że George bez przerwy przesiadywał u nas w domu - cierpliwie tłumaczyła matce Brodie. - Czuję się winna. Uznałam, że powinna znać prawdziwy powód: odeszłam, ponieważ Colin nie ma ani cienia współczucia dla Maisie i o to się bez przerwy kłóciliśmy. Ostatnio między nami były już tylko kłótnie.

Matka milczała parę sekund, jakby się zastanawiając nad tym, co usłyszała.

- Ale nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogłaś mi powiedzieć prawdy o Maisie - żaliła się. - To przecież moja wnuczka, jedyna, jaką mam.

Brodie wzięła rękę matki w dłoń i mocno ją uścisnęła.

- Nie chciałam cię martwić, mamó. Nie chciałam, żebyś wiedziała, że z Maisie jest coś nie tak.

- Czy uważasz mnie za idiotkę, Brodie? - Znowu ten lodowaty ton. -

Maisie nie było w domu co najmniej od sześciu miesięcy... może nawet dłużej. Dawniej przyjeżdżała przynajmniej raz w miesiącu. Poza tym nie dostałam od niej żadnego listu, nie telefonowała ani razu, nawet nie przysłała kartki na Gwiazdkę. Jasne, że wiedziałam, że coś z nią jest nie tak. Oczekiwałam, że mi o tym powiesz, kiedy już będziesz gotowa, ale teraz wydaje mi się, że wiedzą o tym już wszyscy z wyjątkiem mnie.

- Eileen jest jedyną osobą, która wie, mamó.

- Mimo to bardzo mnie zraniłaś. Wysunęła krzesło i usiadła przy stole.

Brodie zamarło serce. Wyglądało na to, że dzisiaj jest jeden z tych rzadkich momentów, kiedy przebaczenie nie przychodzi łatwo. Będzie musiała odczekać parę dni, aż matka uzna, że córka została już dostatecznie ukarana.

Nagle przypomniała sobie, że i ona ma coś do powiedzenia.

- Chodź do mnie na minutkę - zażądała. - Jedzenie może poczekać; zresztą jest tylko sałata.

- Dokąd?

- Do mojego pokoju.

W pokoju Brodie włączyła komputer, po czym w milczeniu czekała, aż maszyna się uruchomi.

- O co tu chodzi, Brodie? Matka siedziała na łóżku.

- Poczekaj, a zobaczysz.

Maszyna była gotowa. Brodie wypisała w wyszukiwarce imiona i nazwisko dziadka - Thomas Edward Ryan - i na ekranie pojawiła się jego fotografia.

- Poznajesz? - spytała.

Matka przekrzywiła głowę i z daleka przyglądała się ekranowi.

- Nie... ale to zdjęcie wygląda mi na bardzo stare.

- To twój ojciec. Mój dziadek.

- Święta Mario, Matko Boża! - Matka przyłożyła dłoń do gardła i zbladła jak płótno. - Czy to naprawdę mój tata? - spytała nagle

młodzieńczym głosem, jakby to mówiła dziewczynka. Szybko spojrzała na ekran raz, potem drugi.

- Tak, mamó.

Brodie wiedziała, że to z jej strony dosyć brutalne, ale matka doprawdy zasłużyła na to za swój brak rozsądku.

- Czy... on ma na sobie mundur policjanta? - spytała Megan.

- Tak.

- Nigdy nie widziałam tego zdjęcia! Straciliśmy wszystkie fotografie, wiesz, kiedy nasz dom, ten przy Scotland Road, został zbombardowany w czterdziestym roku. Wtedy przepadły wszystkie gwiazdkowe prezenty i suknie mamy, zaoszczędzone pieniądze... wszystko. -

Spojrzała jeszcze raz na zdjęcie, ale tym razem nie odwróciła od niego oczu. - Ciekawe, skąd ono się tam wzięło? Może było w aktach policji czy coś takiego. - Wstała, przesunęła się przez pokój, usiadła przed komputerem i z bliska studiowała twarz ojca. Ucałowała swój wskazujący palec i dotknęła jego zaciśniętych warg. - Był takim uroczym człowiekiem... Strasznie byłam z niego dumna. Już zapomniałam, jaki był przystojny... Ale, Brodie - odezwała się znowu głosem małej dziewczynki - co, u diabła, zdjęcie mojego taty robi w twoim komputerze?

- Opowiadałaś mi, że zginął podczas pełnienia służby - wyjaśniła Brodie - i kiedy o tym wspomniałam pewnej policjantce z Londynu, pomyślała, że może go znajdzie w Internecie. - Wskazała ręką komputer. - No i jest.

- A co tutaj piszą? Możesz mi podać torebkę, kochanie, wezmę okulary.

Brodie przyniosła torebkę z jadalni. Stanęła przy drzwiach bal-konowych i wyjrzała do ogrodu.

Vanessa, ukryta do połowy za drzewem, w słomianym kapeluszu na głowie i tym okropnym elastycznym dresie malowała jeden ze swoich cudacznych obrazów. Jakie to dziwne, że Eillen tak bardzo się one podobają!

Usłyszała, jak matka grzebie w torebce w poszukiwaniu okularów. Po chwili zapadła cisza: czytała to, co było na ekranie.

- Ach... - westchnęła, kiedy skończyła. Gdy Brodie odwróciła się od okna, matka nadal była bardzo blada. - Jest takie powiedzenie, że twoje grzechy same ciebie znajdują, prawda? Chyba tak samo jest z kłamstwami. Nigdy bym nie przypuszczała, że pewnego dnia historię naszej rodziny będzie mógł obejrzeć i przeczytać cały świat.

- Tu jest mowa o tym, że Thomas Ryan miał czworo dzieci.

Tymczasem ty mi przysięgałaś, że byłaś jedynaczką. Czy to oznacza, że ja gdzieś tam, w świecie, mam ciotki, wujów i kuzynów, których tak bardzo chciałam poznać, kiedy byłam dziewczynką?

Nadal chciałyby ich poznać.

Matka przytaknęła. Było to jak przyznanie się do porażki.

- Mieszkają w Irlandii. W małej miejscinie, Duneathly, ale przypuszczam, że teraz mogą być gdziekolwiek.

- Jak mogę ich odnaleźć? - Brodie miała jeszcze tyle pytań, po prostu kipiała z ciekawości, ale teraz mogła zadać tylko te najważniejsze. -

Czy tamta trójka dzieci była od ciebie młodsza, czy starsza? Chłopcy, dziewczynki? I, mamó - dodała z gniewem - dlaczego przez tyle lat mi wmawiałaś, że jesteś jedynaczką?

Matka znów usiadła na łóżku.

- Mogłybyśmy to zostawić na inny raz, Brodie, moja kochana?

- spytała drżącym głosem. - Nie jestem w stanie tłumaczyć ci teraz tego wszystkiego.

- Ale ja nie jestem w stanie czekać ani chwili dłużej!

To było coś, na co Brodie czekała całe życie. Minęło już trochę czasu od dnia, kiedy znalazła swojego dziadka w Internecie. Długo zastanawiała się, jak zdoła poruszyć ten temat z matką, nie martwiąc jej zbyt. Z tego samego powodu nic jej nie mówiła o Maisie.

Ale teraz miała już serdecznie dosyć bycia taktowną i wyrozumiałą.

- Chcę wiedzieć, dlaczego to wszystko - tu wskazała ręką na komputer - przede mną ukrywałaś. I chcę to wiedzieć teraz, a nie kiedyś, kiedy będziesz w stanie...

- Mogę się czegoś napić? - z patosem przerwała matka.

- Chcesz herbaty czy wina?

- Poproszę o jedno i drugie.

Brodie, czekając, aż woda się zagotuje, odkorkowała butelkę różowego wina i postawiła na tacy z dwoma kieliszkami. Zabrała sa-

łatki z jadalni i wstawiła do lodówki. Przez ten czas woda się zagotowała i Brodie zaparzyła herbatę. Zniosła wszystko do swojego pokoju, gdzie matka wróciła znowu do komputera i siedziała tam, wpatrzona w twarz ojca.

- Naprawdę piękny mężczyzna, co? - szepnęła cicho. - Zawsze tak krótko ścinał włosy. Jak to się teraz mówi? „Odłotowo piękny”. Kiedy umarł, miałam tylko cztery lata.

Brodie ustawiła tacę na małym stoliku przy oknie.

- Czego chcesz najpierw, herbaty czy wina?

- Wina, proszę. Och, to *rosé*, moje ulubione! - Podniosła kieliszek i wypila potężny łyk. - Ja byłam najstarsza - zaczęła mówić pospiesznie, jakby wino dodało jej odwagi. - Po mnie urodziła się Brodie, potem Joe, wreszcie Tom. On przyszedł na świat już po śmierci taty. To po ciotce nazwałam cię Brodie - powiedziała, widząc zdziwione spojrzenie córki. - Zrobiłam jej coś okropnego. Nie będę ci teraz opowiadać wszystkich szczegółów, ale ci powiem, dlaczego ją, Joego i Toma wykreśliłam ze swojego życia. I mamę także.

Brodie wzięła swój kieliszek z winem, gotowa słuchać dalej.

- Kiedy wojna się skończyła, miałam dziewiętnaście lat - zaczęła matka. - Mieszkaliśmy w Duneathly i byłam zaręczona z pewnym chłopakiem. Nazywał się O'Rourke, pracował w banku. Planowaliśmy się pobrać na moje dwudzieste pierwsze urodziny... Tak czy owak, zaraz po wojnie przyjechała do nas z wizytą Annemarie. Była naszą ciotką. Od dwudziestu lat mieszkała w Ameryce.

- Wiem, kto to jest Annemarie - przerwała jej Brodie. - Na tej stronie dziadka w Internecie jest mowa o tym, że jego żona Mollie, twoja matka, była siostrą Anne Murray, słynnej gwiazdy Broadwayu.

Sprawdziłam w Google: naprawdę nazywała się Annemarie Kenny.

Była nieprawdopodobnie piękna, ale ty twierdziłaś, że była tylko chórzystką.

Matka opędziła się od słów Brodie jak od uprzykrzonej muchy i pociągnęła następny łyk wina.

- W każdym razie mama, Brodie i ja pojechaliśmy do Annemarie, do jej apartamentu w Nowym Jorku. Byliśmy tam przeszło miesiąc. Już w kilka dni po przyjeździe Brodie poszła po coś do katedry Świętego Patryka na Piątej Alei. Ona zawsze latała do kościoła, ta nasza Brodie: zapalała świece, modliła się o to czy o tamto, spowiadała w pierwsze piątki miesiąca... Zawsze jej powtarzałam, że powinna zostać zakonnica. Tymczasem po paru godzinach sprowadziła do nas na podwieczorek młodego człowieka. - Głos matki brzmiał teraz miękko i lekko chrapliwie, oczy miała rozmarzone. Jej twarz, dotychczas taka blada, zaróżowiła się. Zupełnie nie była podobna do tej matki, którą Brodie zawsze znała. - Był piękny, naprawdę piękny: wysoki, z ciemnymi falującymi włosami i uderzająco błękitnymi oczyma.

Bardzo irlandzki. - Wargi matki wygięły się na krótką chwilę w uśmiechu. - To był, oczywiście, twój ojciec, Louis Sylvester. On i Brodie robili wrażenie zauroczonych sobą nawzajem. Byłam chorobliwie zazdrosna, bo z punktu zakochałam się w nim jak szalona.

Brodie wyobraziła sobie tę scenę. Dziewiętnastoletnia mama, młodsza o dwa lata Brodie, która z jakiegoś powodu miała wokół

głowy aureolę, oraz babcia Mollie, która wtedy musiała mieć koło czterdziestki - wszystkie w apartamencie Annemarie na Manhattanie, w jej wyobraźni niesłychanie wytwornym, pełnym pięknych mebli i dywanów, w których grzęzły stopy.

Matka wypita swoje wino i ponownie napełniła kieliszek.

- Byłam zdecydowana go jej ukraść - powiedziała z zawziętością. -

Robiłam wszystko, co mogłam, żeby zwrócił na mnie uwagę. Brodie, biedna, niewinna Brodie niczego nie zauważyła, ale mama tak.

Powiedziała mi, że jeżeli ta intryga mi się powiedzie, wyrzeknie się mnie. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak myślała, ale nawet gdyby tak było, nic mnie to nie obchodziło. Kochałam swoją rodzinę, ale twojego ojca kochałam bardziej. Byłam zaślepiona i zdecydowana, że muszę go mieć.

Brodie zaczynała się czuć troszeczkę nieswojo, skoro jednak poprosiła o wyjaśnienie i otrzymała je...

Nalała sobie herbaty; wino zmonopolizowała tym razem jej matka.

- Nie udawało mi się to aż do czasu, kiedy już płynęliśmy statkiem z powrotem do Liverpoolu. To, co ci dotychczas opowiadałam, że się poznaliśmy właśnie na statku, to oczywiście nieprawda. On w każdym razie mieszkał u jakiegoś amerykańskiego kolegi z uniwersytetu.

Zmienił datę powrotu do domu, żeby tylko popłynąć razem z nami. Nie zaręczyli się z Brodie, ale było jasne, że się pewnego dnia pobiorą.

Pewnie powiesz, że go uwiodłam - mówiła dalej matka w zamyśleniu. -

Nie mam zamiaru wchodzić w intymne szczegóły - w tym momencie córce wyrwało się westchnienie ulgi - ale kiedy statek dopłynął do Liverpoolu, Louis już zrozumiał, że to we mnie jest zakochany.

- I co się wtedy stało?

- Jak nędzni tchórze, w chwili kiedy stanęliśmy w porcie, uciekliśmy.

- Przez twarz matki przeleciał dziwny wyraz, jakby nadal czuła zarówno swoją winę, jak i szaleńczą namiętność z tamtych dni. - Zostawiłam nawet specjalnie część swoich bagaży, żeby przez jakiś czas nikt się nie domyślił naszej ucieczki. W tydzień później pobraliśmy się, za specjalnym zezwoleniem. Od tego dnia nigdy nie myślałam o przeszłości. Uznałam, że już nigdy nie skontaktuję się z rodziną: za bardzo mi było wstyd. Twój ojciec kupił ten dom i zamieszkaliśmy w nim. Kiedy zaczęłam tracić nasze nowo narodzone dzieci, myślałam, że to zemsta losu. Gdy ty się urodziłaś, ojciec nalegał, żeby dać ci na imię Brodie. Ale wiesz co, kochanie - dodała z promiennym uśmiechem, znowu z takim młodym wyrazem twarzy, co prawda tylko przez chwilę - mimo wszystko nigdy nie żałowałam tego, co zrobiłam.

Dla niektórych ludzi miłość nie jest łatwą rzeczą. Czy ty i Colin nie odczuliście tego na własnej skórze?

- Problem w tym, Colin, że jeżeli nawet mama tego nie żałuje, ja żałuję na pewno - zwierzała się Brodie mężowi w parę godzin później.

Odwiozła jeszcze matkę do domu, bo tamta była zbyt pijana, żeby jechać na rowerze. Brodie rozpaczliwie pragnęła z kimś porozmawiać, a jedyną osobą, jaka jej przychodziła na myśl, był Colin. Zadzwoiła do niego.

Zjawił się natychmiast.

- Sądząc z tego, co znalazłam w Internecie, Anne Murray, czyli Annemarie, umarła dopiero w 1999 roku: miała osiemdziesiąt jeden lat. Mogłam była jeszcze do niej napisać, a nawet pojechać i zobaczyć się z nią w Nowym Jorku. Poza tym mama miała siostrę, Brodie, i dwóch braci - wszyscy młodszy od niej! Prawdopodobnie jeszcze żyją.

No i mogę tam mieć całe tłumy kuzynów.

- Masz zamiar ich odnaleźć? - chciał wiedzieć Colin.

- Och, naprawdę nie wiem. - Westchnęła. Z ekranu spoglądał dziadek: jego nieruchomy wzrok był skierowany wprost na nią. - Przedtem bardzo tego chciałam, ale... to się przecież wydarzyło sześćdziesiąt lat temu... - głos jej zamarł.

- Myślisz, że matka byłaby przeciwna...?

- Nie powiedziała ani słowa. Poza tym, gdyby nawet, to by mnie chyba nie obeszło. Nie miała prawa ukrywać przede mną faktu, że mam dużą rodzinę!

- Na pewno żadne z nich nie miałyby żalu do twojej matki po tylu latach! Przeciwnie, z radością by ją zobaczyli i poznali ciebie - zachęcał

Colin.

Zachowywał się tak miło i był taki pomocny, że sama się zdziwiła, że ona mieszka w jednym domu, a on w drugim, o wiele kilometrów stąd.

Miała wrażenie, że gdyby tylko wspomniała o Maisie, wszystko by się ułożyło.

- Chciałabyś, żebym to dla ciebie zrobił? - zaproponował.

- W jaki sposób? Nie masz przecież komputera!

- Kupiłem sobie. Musiałem wyszukiwać rozmaite rzeczy, potrzebne mi do pracy, a nie miałem ciebie pod ręką. Już dawno się tego nauczyłem.

Nie wiadomo dlaczego Brodie poczuła lekką urazę. Wolą o nim myśleć jako o kimś, kto sobie bez niej nie poradzi.

- I jak ci to idzie?

- Właściwie całkiem dobrze. To łatwiejsze, niż myślałem. Jutro wieczorem mam się nauczyć, jak sobie załatwić adres mailowy.

Niedaleko mnie mieszka nowa nauczycielka z naszej szkoły i obiecała mi w tym pomóc.

Nauczycielka?

Brodie poczuła jeszcze większą urazę.

- Cześć.

Vanessa spojrzała sponad sztalug, ale nikogo nie dostrzegła. Głos był

dziecinny. Próbowala siłą woli go zignorować, ale jej się nie udało.

- Cześć - powtórzył głosik. - Jestem tutaj, w sąsiednim ogrodzie. To rzeczywiście było dziecko - z krótkimi, rudymi, kręconymi włosami, wyjątkowo różowymi policzkami i buzią solidnie obsypaną piegami. Vanessa nie była w stanie stwierdzić, czy to chłopiec o dziewczęcym wyglądzie, czy dziewczynka przypominająca chłopca.

Poza tym on - czy ona - musiał na czymś stać, bo kruszący się mur z cegieł był wysoki co najmniej na metr osiemdziesiąt, a ta istota wspierała się na nim piegowatymi rękami.

- Co robisz? - spytało dziecko.

- A jak myślisz, co ja robię? - syknęła Vanessa z irytacją. - Maluję!

Nie znosiła, żeby jej przeszkadzano.

Teraz był właśnie najlepszy moment dnia, ranek. Brodie i Diana niedawno wyszły do pracy, a Rachel i Poppy jeszcze nie wstały. Na drzewach leżała lekka mgielka i w powietrzu czuło się wilgoć, ale zanosilo się na kolejny piękny dzień. Vanessa uwielbiała to lato i jego tak słoneczne dni. Uznała, że ma szczęście, że właśnie tego lata została artystką. Nie przypominała sobie lata nawet w przybliżeniu tak pięknego jak to... Co prawda przedtem była z reguły przykuta do biurka i nawet nie wyglądała przez okno.

- Przecież widzę, że malujesz - odparło dziecko nieco wyniośle.

- Mam na myśli, co malujesz?

Vanessa miała ochotę tej małej smerdzie kazać pilnować jego - czy jej - własnego nosa. Wcale nie była pewna, co tego ranka maluje, po prostu z przyjemnością zasmarowywała płótno rozmaitymi kolorami i czekała, czym się to skończy.

- Eksperymentuję - prychnęła, pragnąc, by ten bachor wreszcie sobie poszedł.

Najwyraźniej jednak on - czy ona - nie miał zamiaru tego zrobić.

- To mi wygląda na bardzo ładny eksperyment - zauważyło dziecko. -

Mnie by się też podobało robienie czegoś takiego.

- Cóż... nikt ci nie broni. - Co za okropny sposób mówienia do dziecka! Wobec tego dorzuciła trochę przyjemniejszym tonem: - Czy nie powinieneś - powinnaś - być w szkole?

- Źle się czuję.

- Dla mnie wyglądasz zupełnie dobrze. Dziecko wyglądało na okaz zdrowia.

- Boli mnie brzuszek. Bardzo.

- To trzeba iść do doktora.

Te czerwone policzki mogły jednak oznaczać gorączkę.

- Zaprowadzisz mnie? Vanessa obruszyła się.

- Nie mam najmniejszego zamiaru!

Jak, u diabła, wkopała się w taką sytuację? Odmawiać choremu dziecku zaprowadzenia do lekarza - to brzmiało naprawdę okropnie, ale przecież nigdy dotąd nie widziała tego dzieciaka na oczy i to nie było w żadnym razie jej obowiązkiem.

- Gdzie jest twoja mama i tata? - spytała.

- Tata w pracy, a mama w wojsku. Rozwiedli się. Mama mu powiedziała, że nie jest stworzona na żonę i matkę.

- I twój tata tak po prostu poszedł do pracy, wiedząc o twojej chorobie?

Była oburzona. Niektórzy ludzie doprawdy nie zasługują na to, żeby mieć dzieci.

- Brzuszek mnie rozboleł wtedy, kiedy tata już poszedł do pracy.

- A teraz boli?

Co, u diabła, ma teraz zrobić? Była w tej chwili jedyną dorosłą osobą w pobliżu i chyba powinna jakoś działać.

- A jak z jedzeniem?

Chyba chore dziecko nie powinno nic jeść? O Boże! Nie miała pojęcia o tych sprawach.

- Nie mam na nic ochoty, nie.

- A coś ciepłego do picia?

- Też nie.

- Na czym ty stoisz?

- Na tym murku, tu brakuje cegieł.

- Jeżeli chcesz przejść na moją stronę, przyszykuję ci trochę ciepłego mleka.

To w każdym razie mogła zrobić, chociaż do dzieci miała równie niechętny stosunek jak do psów czy kotów.

- Mogę zabrać ze sobą moje farby? Wtedy razem coś namalujemy, kiedy już wypiję to mleko - z przejściem poprosiło dziecko.

- Chyba tak... - przyznała Vanessa z bólem serca, zgrzytając zębami.

Marzyła o tym, by odmówić, ale poczułaby się wtedy jak zła czarownica z bajki.

Dzisiejszy dzień był chyba kompletnie stracony.

- Jak masz na imię?

W każdym razie się dowie, czy ma do czynienia z chłopcem, czy z dziewczynką.

- Charlie. Zaraz przyniosę swoje farby!

Charlie zniknął i pojawił się szybciej, niż można było się spodziewać po dziecku z bólem brzucha. Wdrapał się po murku: pod pachą miał

pudełko farb, tani szkicownik oraz lalkę ze szmatek o nienaturalnie długich nogach, zwisających mu spod pachy. Vanessa podniosła małe, drobne stworzonko w górę i postawiła na ziemi. Z niesmakiem odkryła, że „chłopiec” nosi krótką dżinsową spódniczkę i czerwone rajstopy.

- Charlie to zdrobnienie od czego? - spytała.

- Od Charlotte.

- Aha. Ładne imię.

- Ja go nie cierpię. A jak ty masz na imię?

- Vanessa.

- Też mi się nie podoba.

- Cóż robić - przykro mi.

W gruncie rzeczy Vanessa mało się przejmowała własnym imieniem.

- Uważam, że powinniśmy móc sobie zmieniać imiona co pięć lat.

Kiedyś marzyłam, żeby się nazywać Stacey, jak ta dziewczynka z *EastEnders*, ale teraz wolałabym „Angelina”.

- To nawet niezły pomysł, zmieniać imię co pięć lat - przyznała Vanessa. Ona też zawsze marzyła, by się nazywać jakoś po szekspirowsku: na przykład Olivia albo Rozalinda... - Ile masz lat, Charlie?

- Siedem, ale jestem jak na swój wiek wyjątkowo dojrzała. W każdym razie mama tak zawsze mówiła.

Dokładnie to samo mówiono o Vanessie, kiedy była małą dziewczynką, chociaż - czy to jej coś dało? W każdym razie nie uchroniło przed tym, że William Lunt umknął jej sprzed ołtarza.

- Więc jak? Napijesz się ciepłego mleka? - zapytała.

- Tak, dziękuję - z powagą rzekła Charlie. - Dobrze mi robi na brzusek. - Ułożyła swoje skarby na metalowym stole i poszła za Vanessą do domu. - Nie mam takiej rzeczy, żeby na niej postawić mój obraz - poskarżyła się.

- Masz na myśli sztalugi? No cóż, teraz się musisz bez nich obejść.

Nie mam niestety dla ciebie zapasowych.

- Tu jest bardzo ładnie - stwierdziła dziewczynka, kiedy weszły do kuchni. - Podobają mi się te kafelki. To ty je pomalowałaś?

- Nie.

Vanessa nalala mleka do kubeczka i wstawiła do mikrofal.

- Jesteś małymówną osobą, prawda? - spytała mała zupełnie serio.

- A ty mówisz za dużo - odcięła się Vanessa.

- Moja mama też tak uważała.

Kiedy mleko się grzało, Vanessa zrobiła sobie kawę. Ukradła

z lodówki dwa czekoladowe herbatniki - nie miała zresztą pojęcia, do kogo należą - i podała je Charlie.

- Mam nadzieję, że nie zaszkodzą ci na brzusek.

- O, na pewno nie! Zresztą zaczynam się już czuć troszeczkę lepiej.

Może to sprawia sama myśl o mleku?

Vanessa zaczynała już wąpić w ten rzekomo obolały brzusek.

Dziewczynka wyglądała na to za dobrze i poruszała się zbyt dziarsko.

- A co robi twój tatuś?

- To geniusz komputerowy - z dumą odparła Charlie. - Wymyślił już całe mnóstwo gier i ma własny interes w dzielnicy przemysłowej w Kirkby. Umiem grać we wszystkie te gry, chociaż są dla mnie o wiele za dorosłe.

Była pewnie jednym z tych obrzydliwych dzieciaków, co to w wieku dwunastu lat idą na uniwersytet, a po paru latach pojawiają się z kilkoma dyplomami z najwyższą lokatą.

Vanessa rzekła:

- Pójdziemy z powrotem do ogrodu? Weź ze sobą herbatniki, ja zabiorę twoje mleko.

Była z siebie nawet zadowolona, czuła się wręcz anielsko dobra, jakby to z jej strony było wyjątkowo piękne, że wzięła to dziwaczne, najwyraźniej samotne dziecko pod skrzydła. Jeżeli kiedykolwiek natrafi na jej ojca, tego „geniusza komputerowego”, już ona mu powie parę słów do słuchu na temat zostawiania małej córeczki samej sobie, zwłaszcza kiedy jest chora.

Resztę poranku Charlie spędziła, leżąc na swoim bolącym brzuszku na trawie za plecami Vanessy i kopiując każdy ruch jej pędzla. Lalka -

imieniem Gwendolina - była owinięta wokół szyi dziewczynki jak szalik.

Do ogrodu wkroczył kot Kenneth. Charlie powiedziała, że nie ma najmniejszego pojęcia, czyj on jest, ale że jutro chciałaby go namalować.

- A czy nie powinnaś jutro pójść do szkoły? - przypomniała jej Vanessa.

- To będzie zależało od stanu mojego brzuszka.

- Musisz powiedzieć tatusiowi dzisiaj wieczorem, że cię bolą brzuch.

Gdyby nie przestał, tatuś musi cię zabrać jutro rano do lekarza.

- Uhm... - mętnie odmruknęła Charlie. Vanessa obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

- Jeżeli nie będziesz chodziła do szkoły, twój ojciec wpadnie w kłopoty.

- On się tym nie przejmuje. - Mała beztrząsco wzruszyła ramionami. -

Jest za bardzo zajęty wymyślaniem tych odlotowych gier.

- Mogą go wsadzić do więzienia - zagroziła Vanessa.

- Naprawdę? A czy to nie mnie powinni by wsadzić do więzienia? W

końcu to ja nie chodzę do szkoły. - Mówiła to tak, jakby istotnie marzyła o spędzeniu czasu za kratkami. - Mogłabym o tym napisać książkę. Zresztą jedną już napisałam: ma tytuł *Klątwa krypty*.

Chciałabyś ją przeczytać?

- To temat niezupełnie w moim guście. - Teraz znowu poczuła, że jest grubiańska; po prostu nie umiała rozmawiać z dziećmi. -Może mogłabym do niej zajrzeć któregoś dnia?

Koło południa do ogrodu zeszła Rachel z Poppy. Dziewczynka czasami potrzebowała pół dnia, żeby siebie i swoją malutką wyszykować do wyjścia.

Poppy zawsze wyglądała, jakby za chwilę miała wystąpić w jakiejś dziecięcej rewii: każda matka chłubiłaby się takim dzieckiem. Dzisiaj miała na sobie różową haftowaną sukieneczkę, różowe skarpetki i różową kokardę w świeżo umytych jasnych włoskach.

Rachel powiedziała, że Tyler w tej chwili leci do Nowego Jorku, żeby spędzić parę tygodni z matką. Jego rodzice się rozwiedli.

- Mają razem pojechać do miejscowości The Hampton; tam mieszka jego babcia. Był ogromnie zadowolony, że jego ojczym zostaje w Nowym Jorku, bo Tyler niespecjalnie go lubi.

- Zresztą nie lubi też swojej macochy w Anglii - zauważyła Vanessa.

Osobiście nie przepadała za Tylerem, którego uważała za dość bezczelnego chłopaka. Nie można mu było jednak nic zarzucić, bo uwielbiał Rachel i Poppy i był dla obu niesłychanie opiekuńczy.

- Ale ojczyma nie lubi o wiele bardziej niż macochy - wyjaśniła Rachel. - Prawdę mówiąc, po prostu nie chciał, żeby jego mama i tata się rozwodzili.

Potem przypomniała Vanessie, że to dzień wizyty w klinice. Vanessa kompletnie o tym zapomniała, ale przyrzekła, że na drugą będzie gotowa do wyjścia.

Charlie porzuciła malowanie; teraz podziwiała maleńką Poppy.

- Co za zachwycające imię! Chciałabym, żeby moja mama i tata tak mnie nazwali. O Boże, ależ ona śliczna! Jeszcze nie umie chodzić ani mówić? No, to co umie? - wypytywała rozdrażniona, kiedy Rachel przecząco potrząsała głową.

- Ma dopiero sześć miesięcy, ale już umie sama usiąść. Rachel rozłożyła kocyk na trawie i położyła Poppy na brzuszku, z grzechotką. Malutka waliła nieprzytomnie grzechotką w kocyk, po czym przetoczyła się na plecki i z rozanielonym uśmiechem popatrzyła na matkę.

- Jaka ona piękna... - szeptała Charlie. - Chciałabym mieć takiego dzidziusia jak Poppy, kiedy dorosnę.

Vanessa nie była całkiem pewna, jak to się stało, ale już po paru chwilach Rachel i Charlie namiętnie się bawiły w wylizanki, wdrapywały się na drzewa i kopały do siebie starą piłkę futbolową, znaną w krzakach. Nagle przypomniała sobie, że Rachel też właściwie jest jeszcze dzieckiem. Okazała niewiarygodną odwagę, kiedy odeszła z domu, kiedy się uparła, że zatrzyma dziecko przy sobie, a także teraz, kiedy sama się nim tak doskonale zajmowała.

Vanessa ze zdziwieniem poczuła, jak wzruszenie ścisła jej gardło.

Wcale nie była przekonana, że jej w takiej sytuacji, w wieku Rachel, starczyłoby odwagi, by postąpić tak samo. To, że dziewczynka tak postąpiła, na pewno dało jej mnóstwo radości.

Poppy zasnęła na kocyku. Vanessa podniosła ją i trzymała na kolanach, aż dziewczynki skończyły grę i padły na trawę, chichocząc jak szalone.

Charlie, kiedy już odzyskała dech, oznajmiła, że jest głodna i wobec tego idzie do domu zobaczyć, co ma w lodówce. Vanessa poradziła jej jednak, by tego nie robiła.

- Zobaczę, co mamy tutaj. Ty byś coś zjadła? - spytała Rachel. Jadły wszystkie w małej jadalni, którą Diana nazwała gabinetem, gdzie słońce zmieniło wypolerowaną powierzchnię stołu w lustro.

Vanessa przygotowała grzanki z serem. William robił je zawsze na śniadanie w niedzielę, kiedy późno wstawali. To zabijało głód przed lunchem.

Dzisiaj każda dostała też kartonik jogurtu owocowego na deser.

Żadne z tych produktów nie należało do Vanessy, ale uznała, że kiedy wróci z kliniki, podjedzie do supermarketu i wszystko odkupi.

Oczywiście Charlie spytała, czy mogłaby pójść z nimi do kliniki.

- A nie boisz się, że cię zobaczy ktoś ze szkoły i będziesz miała kłopoty? - spytała Vanessa.

- Ja chodzę do tej głupiej szkoły dla dziewczyn w Southport, więc raczej nikt mnie nie zobaczy. - Sama myśli o szkole ją zeżłościła. -

Dlatego nie mam nikogo, z kim mogłabym się bawić, żadna z dziewczynek nie mieszka tu blisko. Zresztą tylko dlatego nie poszłam do szkoły, bo mnie bolał brzusek, nie?

- A jak twój brzuszeczek teraz?

- Średnio.

- Co to znaczy?

- Mogłoby być gorzej, ale też mogłoby być lepiej. Vanessa nie uwierzyła w ani jedno jej słowo.

Poppy po prostu kwitła. Pielęgniarka w klinice nie przestawała się uśmiechać: nie znalazła niczego, co by było nie w porządku. Dziecko miało właściwą wagę i rozwijało się zupełnie normalnie. Jak to często bywało, pielęgniarka była pewna, że Vanessa jest matką Rachel, a Vanessa nie zadawała sobie trudu wyprowadzenia jej z błędu. To uwalniało Rachel od pytań na temat, jak sobie umie sama radzić.

- Piękna z was rodzinka! - podziwiała kasjerka w supermarkecie, kiedy Vanessa płaciła za jedzenie.

Poppy siedziała w sklepowym wózku, podparta różową poduszką z organdy, jak królowa, podczas gdy obie dziewczynki pomagały pakować zakupy. Vanessa, która zazwyczaj robiła zakupy bardzo dokładnie, licząc każdą kalorię, tym razem pozwoliła sobie na pełną beztróskę.

Kiedy wracały do domu, zastanawiała się, co by pomyślał William, jej rodzice, jej siostry czy nawet każdy z rozgłośni radia Siren, gdyby ją zobaczyli, popychającą wózek spacerowy z dzidziusem w środku, z Rachel i Charlie po obu stronach, trzymającymi razem z nią rączkę wózka i pożerającymi truskawkowe lody w waflach. Zakupy piętrzyły się na siatce pod wózkiem.

Nikt by chyba nie uwierzył, że to ona; pomyśleliby, że to jakiś jej sobowtór.

Zatrzymała się przed przejściem na drugą stronę ulicy.

- Uważajcie - mruknęła, na wypadek gdyby któraś z dziewczynek wyrwała się do przodu. W gardle i piersiach - a może w żołądku? -

czuła coś dziwnego. Nie mogła dokładnie określić, co by to mogło być.

Szczęście - uświadomiła sobie po chwili.

W tym akurat momencie poczuła, że jest kompletnie zmęczona, oszołomiona i z jakiegoś dziwnego, nieokreślonego powodu całkowicie, głęboko szczęśliwa.

Rozdział 9

Diana była w pracy najwyżej od pięciu minut, kiedy zadzwonił telefon.

- Di? Czy to nasza Di? - wypytywał jakiś podniecony głos.

- Damian! - zawołała. - Tak, to ja, Diana!

- Możesz zaraz przyjść do kliniki, siostrzyczko? Coś się stało.

- Skaleczyłeś się? Och, Damian, co się stało? - Serce Diany biło jak młotem.

- To nie ja, to Emma. Urodziła. Wcześniej, niż się spodziewała, przynajmniej o miesiąc za wcześnie. Och, Di... - W głosie Damiana słychać było napięcie, jakby lada chwila miał się załamać. -

Przyjeżdżaj, szybko! Bo za chwilę chyba zwariuję.

- Już jadę!

Diana odwróciła się do Owena Hughesa, blisko dziewięćdziesię-

cioletniego wolontariusza, który zajmował się biurem przed jej przyjściem. Powiedziała mu, że musi wyjść w bardzo pilnej sprawie.

- Kiedy pan zobaczy Tinkera, proszę mu powiedzieć, że wrócę, jak tylko będę mogła.

- Leć, mała - rzekł Owen. - Coś niecoś podsłuchałem: Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Mam zadzwonić po taksówkę?

- Proszę.

Diana zdążyła opowiedzieć kierowcy taksówki dosłownie całą historię swojego życia, zanim wreszcie dojechali do kliniki położniczej.

- No - powiedział, zatrzymując wóz - mam nadzieję, że z dzieckiem Emmy wszystko w porządku, dziecinko. Przekaż Damianowi moje gratulacje. Powiedz, że od Tony'ego.

- Dzięki, Tony. Och, patrz! To Damian! Stoi przed szpitalem. Damian, w starych adidasach, bez skarpetek i w zniszczonych dżinsach chodził tam i z powrotem przed wejściem do szpitala, jakby był tu ochroniarzem. Dosłownie wyciągnął siostrę z taksówki.

- I co ja mam teraz zrobić? - spytał chrapliwie tragicznym tonem.

- Z czym? Och, Damian, powiedz mi nareszcie, o co chodzi!

- To dziecko... Przerwał.

- Co jest nie w porządku z dzieckiem? - Diana rzadko miewała gwałtowne odruchy, ale w tej chwili chciała go zdzielić porządnie torebką. - Dziewczynka czy chłopiec?

- Chłopiec... i wszystko z nim jest w porządku, tylko że... Znowu przerwał.

- Że co?! - wrzasnęła Diana.

- On... nie jest biały.

- Jasny gwint! - stęknął Tinker, kiedy Diana wróciła do ośrodka i wszystko mu opowiedziała. -1 co Damian chce zrobić w tej sytuacji?

- Nie wie, co ma zrobić. - Diana jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. -

Nie chce wyrzucić Emmy na ulicę: no jakże, z dzieckiem! Ale właściwie jej nie kocha i nie chciałby, żeby wracała na Coral Street.

Oni się poznali w biurze pośrednictwa pracy, kiedy Emma szukała jakiegoś zajęcia. Zaprosił ją wtedy na randkę. Potem zamieszkała u nas, bo mu powiedziała, że jest z nim w ciąży. Mieli się pobrać.

Diana była naprawdę dumna z brata, że zachował się tak odpowiedzialnie, a tu proszę, do czego go to doprowadziło! Damian myślał pewnie, że jest pierwszym mężczyzną w życiu Emmy, mylił się jednak, i to grubo.

- Jasny gwint! - powtórzył Tinker. - A co Emma o tym mówi?

- Nic. Nie rozmawiali o tym z Damianem. Kiedy mu pozwolili wejść do niej, zajmowała się dzieckiem, ale oboje nie wspomnieli

nawet o tym, że nie jest biały. Jeśli Emma rzeczywiście odejdzie -ciągnęła Diana - mam nadzieję, że chłopcy nie będą ode mnie oczekiwali, że wrócę i zaopiekuję się nimi. Naprawdę lubię mieszkać w „Kasztanach”. Podobało ci się tam, prawda? Wtedy, kiedy byłeś na przyjęciu dla Eileen?

- Ależ uwielbiam to miejsce, najdroższa! - Tinker wręcz się rozpląwał

z zachwytu. - Nie mogę się doczekać kolejnej wizyty. A co do chłopców, to myślę, że są już dostatecznie dorośli i silni, żeby sobie poradzić. Zresztą przecież ty i Leo niedługo się chyba pobierzecie, prawda?

Diana przebiegła palcami po i tak już rozwichrzonych włosach.

- Nie... tak... och, nie wiem, naprawdę - jąkała się.

- Podoba mi się dziewczyna, która wie, czego chce.

W przerwie na lunch Diana kupiła sobie telefon komórkowy. Damian zawoził Emmę do szpitala około czwartej nad ranem.

- Gdybyś miała tę... tę głupią komórkę - Diana domyśliła się, że chciał

użyć o wiele mocniejszego określenia, wiedział jednak, że jej się to nie spodoba - mógłbym do ciebie zadzwonić, ale nie chciałem telefonować na domowy i budzić wszystkich po nocy. Wtedy byłabyś ze mną wcześniej, Di - skarżył się żałośnie.

- Naprawdę żałuję, że mnie z tobą nie było. - Diana ścisnęła rękę brata.

Doprawdy, Emma postąpiła ohydnie, oszukując go. Wierzył cały czas, że nosi jego dziecko.

Tinker kazał Dianie przysiąc, że nie podpisze umowy na telefon komórkowy.

- Znając cię, jestem pewien, że zobowiąziesz się do jakiejś idiotycznej liczby rozmów miesięcznie przez następne dziesięć czy ileś tam lat.

Kupuj tylko telefon na kartę. Taki będzie najlepszy, jeżeli nie chcesz dużo rozmawiać.

- Dobrze.

Diana bynajmniej nie miała zamiaru dużo rozmawiać. Widziała czasem, w autobusie czy w pociągu, jak ludzie rozmawiają przez

telefon caluterką drogę bez przerwy, co im nie zostawia już ani chwili na myślenie. A Diana lubiła myśleć.

Po wyjściu z pracy spotkała się z Damianem w kawiarni przy Central Station: mieli się zastanowić, co robić dalej.

- Jedyne, co mogę, to ją wywalić - ponuro mówił Damian. - Ale to mi się wydaje okropne. Mam na myśli, że dokąd ona pójdzie z tym dzieckiem? Na razie nie ma innego wyjścia, tylko przyjąć ją z powrotem do domu z tym cudzym dzieciakiem. Ale... wyobraź sobie tylko, co powiedzą sąsiedzi! Wyjdę na kompletnego idiotę.

- Może ona myśli, że ci wszystko jedno. Albo że niczego nie zauważyłeś.

- No nie, wszystko jedno to mi na pewno nie jest Wręcz przeciwnie. A zauważyłem od razu.

Siedzieli tam jeszcze pół godziny, nie mogąc znaleźć wyjścia, które by nie zaszkodziło temu kompletnie bezbronnemu niemowlęciu. W

końcu Damian poszedł do Emmy, porozmawiać z nią. Zanim się rozstał z siostrą, powiedział jeszcze, że niemowlak jest zachwycającym maluchem, prawdziwie uroczym. Tyle tylko, że nie jest jego.

Jak już Damian powiedział zeszłego wieczoru, jasne było dla wszystkich, że nie jest ojcem tego dziecka. Zupełnie grzecznie i raczej smutno poprosił, żeby Emma poradziła sobie jakoś inaczej.

Do domu rodzinnego nie mogła wrócić - zresztą nie chciała. Jej matka była najzwyczajszą prostytutką, a ojciec świnią. Właśnie dlatego, kiedy tylko skończyła szkołę, uciekła z domu szukać pracy.

Nie mogła się też zdobyć na zamieszkanie z siostrą w jej zapluskwionej norze w Walton Vale. Poza tym tam nawet nie było miejsca.

Wiedziała jednak, co trzeba zrobić, i to jej niemal łamało serce.

Kochała Damiana i dom przy Coral Street, a zwłaszcza kuchnię. Poza tym naprawdę myślała, że dziecko, które nosi, jest jego.

Po dwóch nocach w szpitalu Emmę wypisano.

Z dzieckiem - dotychczas nawet nie pomyślała o imieniu dla niego -

na jednym ramieniu i z małym plecaczkiem na drugim złapała przed szpitalem taksówkę i kazała się kierowcy wieźć do restauracji „Płonące Światła” na St Philomena's Street, w okolicach Pier Head.

Lokal był jeszcze zamknięty, ale kiedy zajrzała przez okno, zobaczyła pracowników przygotowujących stoły do lunchu.

Zaczęła walić w drzwi. Ktoś krzyknął, żeby sobie poszła: „Jeszcze zamknięte!”, ale ona waliła coraz mocniej i w końcu jakiś starszy pan, Hindus w turbanie, otworzył jej drzwi.

- Czy Ravi tu jest? - spytała, modląc się w duszy, żeby się nie okazało, że wrócił do Indii, o czym często wspominał.

Kiedy mężczyzna, który był z pewnością jednym z licznych wujów Ravięgo, uprzejmie przytaknął, powiedziała: - Proszę mu powiedzieć, że przyszła Emma i chce się z nim widzieć.

Przyszła poczta - Vanessa słyszała, jak listonosz otwiera i zamyka skrzypiącą, zardzewiałą żelazną furtkę.

Stała naprzeciw sztalug. Charlie leżała za jej plecami na trawie i czekała, aż Vanessa zacznie malować, żeby móc naśladować każdy ruch jej pędzla. Szkołę w Southport zamknięto na letnie wakacje, więc mała miała teraz doskonałą wymówkę, dlaczego siedzi w domu.

Vanessa uważała za haniebną, że jej ojciec wcale się nie przejmował, że córka jest w domu sama przez całe siedem tygodni.

Wzięła tubkę z białą farbą i wycisnęła na paletę. Charlie natychmiast zrobiła to samo. Rozprowadziła farbę pędzlem i kątem oka obserwowała, jak Charlie powtarza każdy jej ruch. Czuła się tak, jakby miała obok swój pomniejszony cień. Zastanawiała się, jakiego koloru teraz użyć, kiedy nagle powietrze przeciął ostry krzyk.

Dobiegał z otwartego okna w pokoju Rachel.

Obie, Vanessa i Charlie, jednocześnie pobiegły do drzwi z tyłu domu, zwykle otwartych w ciągu dnia. Vanessa pomyślała, że może matka Rachel postanowiła jeszcze raz spróbować dostać Poppy w swoje ręce i przekradła się jakoś do środka.

Charlie pierwsza pokonała schody i szeroko otworzyła drzwi pokoju.

Kiedy Vanessa tam dotarła, nie dostrzegła ani śladu matki

Rachel. Poppy leżała w łóżeczku i gruchała, trzymając w rączce własną stopkę, całkowicie obojętna na zdenerwowanie Rachel, która wymachiwała w powietrzu jakąś kartką.

- To od Tylera! - krzyczała. - Nie ma zamiaru się ze mną żenić! Piszę, że matka mu nie pozwala. Nie pozwoliła mu nawet wrócić do Anglii. -

Padła twarzą na łóżko. - Nigdy go już więcej nie zobaczę!

- Och, kochanie... - rzekła Vanessa dość nieudolnie. Najwyraźniej matka Tylera nie miała dotąd pojęcia o istnieniu Poppy, chłopak powiedział jej o tym dopiero teraz, kiedy pojechał do Stanów. Przypuszczała poza tym, że i ojciec Tylera o niczym nie wie.

Charlie załapała się łzami współczucia i rzuciła się na łóżko obok Rachel. Poppy nadal gaworzyła. Vanessa nie miała pojęcia, co zrobić.

Zeszła na dół i przygotowała czajnik herbaty - dla siebie i reszty.

Kiedy wróciła z herbatą na tacy, dziewczynki już się trochę uspokoiły. Siedziały obie na łóżku i czytały list Tylera.

Charlie zauważyła:

- Źle napisał słowo „utrzymanie”. Chyba nie ma w swoim komputerze systemu sprawdzania ortografii.

- A co on tam w ogóle pisze o „utrzymaniu”? - zainteresowała się Vanessa, siadając w rogu łóżka i podając dziewczynkom kubki. Obie suto posłodziły herbatę cukrem.

- To, że będzie co miesiąc przysyłał mi czek - cieniutkim głosikiem pisnęła Rachel.

Vanessa zmarszczyła brwi.

- Uważam, że będzie lepiej spotkać się w tej sprawie z prawnikiem: mieć coś zapewnionego prawnie i na piśmie.

- A mogę tam z wami pójść? - skwapliwie spytała Charlie.

- Myślę, że tak.

Vanessa nie wyobrażała sobie, żeby, przynajmniej w najbliższej przyszłości, mogła się ruszyć gdziekolwiek bez Charlie.

- Mogę przeczytać ten list? - zapytała. Rachel podała jej go z westchnieniem. List był drukowany i chociaż Vanessa nie powiedziała tego głośno, odniosła wrażenie, że napisała go matka Tylera albo ktoś inny dorosły, a nie Tyler. Pełno było w tym liście sztucznych określeń,

jak: *Jestem zbyt młody, bym mógł podejmować decyzję, która zaważy na całym moim życiu. Przez wiele najbliższych lat będę zbyt zajęty dalszą edukacją, żeby właściwie wypełniać rolę ojca. Żałuję, że zachowałem się tak nieodpowiedzialnie i mam nadzieję, że mi wybaczysz.*

Bzdety, bzdety, bzdety!, pomyślała. To wszystko były bzdety.

List kończył się wiadomością o załączeniu czeku na dwieście dolarów i informacją, że podobny czek będzie przychodził od dziś co miesiąc.

Kolejne bzdety.

List był podpisany: *Twój z poważaniem Tyler Carter Booth*, a czek nosił podpis pani E. Carrington.

- Z sumą dwustu dolarów nie zajedziesz daleko - uprzedziła Vanessa Rachel. - To w gruncie rzeczy tyle co nic: ledwie koło stu funtów.

Powinnaś jak najprędzej spotkać się z prawnikiem.

Potem się zastanowi, gdzie poszukać najodpowiedniejszego.

Biuro Porad Obywatelskich podało Vanessie kilka nazwisk prawników; jednym z nich był Simon Collier. Specjalizował się w sprawach alimentów i podobnych problemach i zgodził się je przyjąć tego popołudnia.

Był zaszokowany wiadomością, że Rachel nie otrzymuje żadnej pomocy od państwa.

- Jest przecież zasiłek na mieszkanie, zasiłek na dziecko i inne należności. Pozwolisz, że się o nie dla ciebie upomnę? - pytał serdecznie.

Był sympatycznym młodym mężczyzną, wyraźnie pragnącym ją zadowolić. Wyglądał o wiele za młodo jak na prawnika specjalizującego się w czymkolwiek! Miał dziecinne, niebieskie oczy, zadarty nos i był ostrzyżony na jeża. Poprosił, żeby się do niego zwracały „Simon”.

- Właściwie do dzisiaj nie potrzebowałam żadnych zasiłków, bo Tyler zawsze płacił za wszystko - tłumaczyła mu Rachel. - A zanim wyjechał do Stanów, też mi zostawił mnóstwo pieniędzy. Jego tata dawał mu ogromne kieszonkowe - Tyler nazywał to swoim „przydziałem”. -

Spuściła głowę i powiedziała cichutko: - Myślałam, że on mnie naprawdę, naprawdę kocha...

- Bardzo możliwe, że tak jest, Rachel! - Simon podniósł do góry list Tylera, trzymając go w dwóch palcach, jakby się obawiał, że się czymś zarazi. Zrobił minę pełną niesmaku. - TO może nie mieć nic wspólnego z Tylerem. Nie byłbym wcale, ale to wcale zdziwiony, gdyby to był list od jego matki, a nawet od jej prawnika.

- Dokładnie tak samo myślałam - wtrąciła Vanessa.

- No cóż! Wielkie umysły z reguły myślą podobnie - uśmiechnął się. -

A co ty o tym sądzisz, Poppy? - Poppy, która siedziała na kolanach Vanessy, pomachała tylko rączkami i uśmiechnęła się także. - Na tym etapie -

ciągnął Simon - sędzę, że mogę potraktować tę sprawę jako pomoc prawną, dlatego będziesz musiała wypełnić parę formularzy, Rachel. Jeżeli zrobimy to wspólnie, pójdzie o wiele szybciej. Vanessa, napijesz się może herbaty albo kawy? Trzeba będzie trochę poczekać.

- Poproszę kawy.

- A ty, Charlie? W lodówce zawsze jest sok owocowy.

- Wolałabym kawę... proszę. - Kiedy sytuacja tego wymagała, potrafiła być idealnie uprzejma.

- Tak mama, jak córka, co?

- Och, ale ja nie jestem... - zaczęła Vanessa, nim jednak zdołała skończyć zdanie, Charlie odezwała się głośno: - My prawie zawsze lubimy te same rzeczy.

Uśmiechnęła się promiennie do Vanessy, ale w jej zielonych oczach były smutek i tęsknota, jakby rozpaczliwie pragnęła do kogokolwiek należeć.

Vanessa poczuła, że wzruszenie dławi ją w gardle.

Ostatnimi czasy często ją tak dławiło i to z najrozmaitszych powodów, ale teraz, kiedy wzięto ją za matkę Charlie i kiedy Charlie okazała, że chciałaby, by ona naprawdę była jej matką...

To wzruszenie było najgłębsze ze wszystkich dotychczasowych.

Biała farba sterczała na palecie jak mały, twardy robaczek. Od wczorajszego poranku, kiedy to Vanessa wycisnęła ją z tuby, pozostała tam nietknięta. Teraz dała sobie spokój z bielą i zamiast tego sięgnęła po czerwień.

W tym momencie trzasnęła furka, a po paru sekundach zadzwonił

dzwonek do drzwi. Vanessa odłożyła tubę z farbą. Nie miała zamiaru otwierać, zanim się nie upewni, że wszystko jest w porządku.

Charlie powiedziała:

- Ja pójde. Zobacze, kto to. Moze listonosz z paczka.

Po paru minutach wróciła, mówiąc, że to był jakiś mężczyzna do Rachel.

- Otworzyła mu drzwi i wpuściła, tak jakby na niego czekała.

- Jak wyglądał?

- Wysoki i chudy, w wielkich okularach i ze śmiesznym akcentem.

- To chyba ojciec Tylera? - zastanowiła się Vanessa.

- Nie byłabym zdziwiona, gdyby to był on - przyznała Charlie na swój „dorosły” sposób.

Vanessa ponownie wzięła do ręki tubę z czerwoną farbą, ponownie się zatrzymała i popatrzyła w otwarte okno pokoju Rachel. Słyszała, jak ten mężczyzna coś mówi, ale nie mogła rozpoznać akcentu.

Nagle - jak prawie że przewidziała - rozległ się krzyk, a po nim wołanie: „Vanessa, Vanessa!!!”.

Obie z Charlie wbiegły do domu i na piętro.

Drzwi pokoju Rachel były otwarte: dziewczyna stała dokładnie w takiej samej pozycji jak wtedy, kilka miesięcy temu, gdy przyszła jej matka, żeby odebrać córkę Poppy. Tkwiła w kącie pokoju jak przerażone zwierzątko, z całej siły przyciskając dziecko do piersi.

- To tata Tylera! On chce mi odebrać Poppy! - wołała. - Myśli, że ja sobie może zabrać, bo jest jej dziadkiem!

- Nie twierdziłbym tego tak obcesowo. Po prostu próbuję być rozsądny - stwierdził ojciec Tylera beznamiętnym, suchym jak pieprz głosem.

Był wysoki i chudy, w okularach, dokładnie taki, jak go opisała Charlie; miał bezbarwne, przerzedzone włosy, jasne oczy i mocno

wystające jabłko Adama. Był ubrany swobodnie, w bawełniane spodnie, koszulę w kratę, beżową lnianą marynarkę i kremowe mokasyny ze skóry, ale Vanessa zorientowała się, że to wszystko musiało kosztować fortunę, podobnie jak płaściutki złoty zegarek, zwisający z kościstego przegubu.

- Gdzież tu mowa o rozsądku? - rzuciła. - Poppy jest córką Rachel.

Nie może pan tak po prostu przyjść tu i zażądać, żeby matka oddała panu własną córkę!

- Słusznie, słusznie - przytaknęła Charlie.

- Kim pani jest? - spytał ojciec Tylera, patrząc na Vanessę i kompletnie ignorując Charlie.

- Vanessa Dear. Jestem przyjaciółką Rachel.

- A ja się nazywam Charlie Ormerod!

Mała dziewczynka mogła się równie dobrze w ogóle nie odezwać, tak dalece gość nie zwracał na nią uwagi.

- Co to, jakiś lesbijski przybytek? - zainteresował się. Vanessa parsknęła śmiechem.

- Nie!

- Co to znaczy „lesbijski”? - chciała wiedzieć Charlie.

- Lepiej zapytaj o to tatusia - rzuciła Vanessa.

- Dopiero wczoraj dowiedziałem się od mojej byłej żony, że mój syn jest ojcem dziecka. - Ton, jakim mówił, był pełen irytacji, jakby miał pretensję, że się w ogóle musi tłumaczyć. - Znalazłem w domu ten adres razem z numerem komórki, w jego notesie.

- On... zatelefonował do mnie dziś rano i spytał, czy może przyjść. -

Rachel wyszła z kąta i usiadła na łóżku. Poppy z powagą obserwowała przybysza. - Nie przyszło mi do głowy, że chciałby zabrać moją Poppy!

- Wcale ci jej nie chcę zabierać!

Za chwileczkę tupnie nogą, pomyślała Vanessa.

- Jako dziadek dziecka chcę mieć do niego dostęp w czasie weekendów, powiedzmy, albo w święta. Niedługo wybieram się z moją obecną żoną do Irlandii do krewnych i żona chciałaby zabrać ze sobą dziecko.

Rachel znowu wydała cichy okrzyk, a Vanessa stwierdziła: - Innymi słowy, pan jednak chce zabrać jej Poppy?

- Tylko na parę dni - wyjaśnił.

- I pan naprawdę uważa, że może tu sobie przyjść i oczekuje pan, że Rachel wręczy panu swoje dziecko, jeżeli nie dziś, to jutro, w przyszłym tygodniu czy kiedykolwiek? To idiotyczne. - Mężczyzna się wzdygnął. Najwyraźniej nie chciał być uważany za idiotę. - To naprawdę idiotyczne - podkreśliła Vanessa, jakby specjalnie. - Radzę, żeby pan się wybrał do prawnika i dowiedział, co o tym stanowi prawo.

Och, a skoro mowa o prawie... Wie pan, że w tym kraju uprawianie seksu z nieletnią jest przestępstwem? A Rachel miała tylko czternaście lat, kiedy za sprawą pańskiego syna zaszła w ciążę. To go czyni przestępcą, panie Carter Booth, niezależnie od tego, ile on sam miał wtedy lat.

Miała jeszcze ochotę dodać: „Więc tak czy owak, wstrętny człowieku, musisz pan wypić to piwo!", ale się powstrzymała.

W każdym razie, z tego, co wiedziała, mogła powiedzieć wiele nonsensów.

Ojciec Tylera wyszedł. Vanessa zaproponowała, że zabierze Poppy do ogrodu, a Rachel niech się wykąpie, to jej uspokoi nerwy.

- Czy codziennie musi się wydarzać coś okropnego? - poskarżyła się.

- Nie codziennie - skorygowała ją Charlie.

- W każdym razie prawie codziennie.

- Czy ja dzisiaj wbiegłam po tych schodach? - spytała Vanessa, kiedy razem z Charlie i Poppy schodziły na dół.

- Pewnie, że tak! I wbiegłaś po nich też wczoraj, chociaż nie tak szybko jak ja. Co prawda to nic zaskakującego, wszak ja mam dopiero siedem lat, a ty jesteś ode mnie o wiele starsza.

Vanessie przypomniało się, z jakim trudem tarabaniła się na te schody w dniu, kiedy się tu wprowadzała.

Myśląc teraz o tym, poczuła się o wiele lżejsza. Nowa suknia, kupiona na przyjęcie dla Eileen, była już trochę za luźna w biodrach.

- W przyszłym tygodniu powinnam pojechać do miasta i kupić sobie coś nowego - stwierdziła.

- Mogę pojechać z tobą?

- Naturalnie. Zjemy razem lunch.

Trzeba będzie sprawdzić, czy Megan, matka Brodie, mogłaby przyjść tu na te parę godzin i dopilnować Rachel.

Tej dziewczynce chyba naprawdę potrzeba ochroniarzy.

Emma zadzwoniła do Diany z pytaniem, czy mogłaby zabrać z Coral Street jej rzeczy. Zaproponowała, że się po nie zgłosi do ośrodka, kiedy Diana już skończy pracę.

- Nie chcę o to prosić Damiana ani żadnego z chłopców - wyjaśniła. -

Walizka, którą ze sobą tam przyniosłam, stoi pod schodami.

Diana nie mogła się jakoś gniewać na tę dziewczynę, którą poniekąd uważała za swoją szwagierkę. Obiecała, że zabierze wszystko już tego

samego wieczoru i podała Emmie numer swojej komórki: - To na wszelki wypadek, gdybyś się chciała kiedyś ze mną skontaktować.

Strasznie polubiła swój nowy telefonik i podawała jego numer wszystkim znajomym.

Tego wieczoru poszła na Coral Street.

Zastała tylko Damiana. Leżał na kanapie i oglądał starą płytę DVD z Bondem. Powiedział, że się cieszy, że Diana zabierze rzeczy Emmy.

- Spodziewałem się, że sama po nie przyjdzie, a wtedy chyba nie wiedziałbym, o czym z nią mówić. Ale wiesz co, siostrzyczko? Trochę mi za nią tęskno - wyznał z ponurą miną. - W pewnym sensie tęskno mi za dzieckiem... Żałuję, że nie jestem tatusiem. Tak na to czekałem.

- Nie przejmuj się, kochanie - pocieszyła go Diana.

Był bardzo przystojnym młodzieńcem i na pewno wkrótce pozna inną dziewczynę, miejmy nadzieję, że o wiele sympatyczniejszą od Emmy.

Diana zrobiła Damianowi herbatę i kanapkę z dżemem.

- Chyba już pora, żebyś zrobił jakieś zakupy - zwróciła mu uwagę. -

Właściwie wszystkiego ci brakuje.

- To Emma zawsze robiła zakupy. Będę chyba musiał zacząć kupować w drodze z pracy do domu.

- Kupujcie na zmianę, ty, Jason i Garth - poradziła. - Jeżeli chcesz -

dodała wielkodusznie - mogę tu wpadać w soboty i też robić jakieś zakupy.

- Mowy nie ma! - zaprotestował Damian, potrząsając stanowczo głową. - Już pora, żebyśmy się wszyscy trzej nauczyli sobie radzić. Ty masz swoje sprawy i swoje życie, Di, a my mamy swoje.

Powiedział, że jej nie pomoże w pakowaniu rzeczy Emmy, bo go to strasznie zgnębi, ale jej pokaże, gdzie leżą.

- A kiedy już wszystko spakujesz, odwiozę cię samochodem do Blundellsands.

Kiedy następnego wieczoru Diana wychodziła z ośrodka, z wielkiego szarego auta zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy wysiadła Emma.

Podszła do Diany. Kierowcą był młody, przystojny mężczyzna o oliwkowej skórze. Z tyłu wozu siedziała jakaś kobieta w średnim wieku.

- Dzięki - rzekła Emma, biorąc walizkę.

- A gdzie dziecko? - spytała Diana. Bardzo chciała je zobaczyć.

- Matka Raviego je trzyma, tam, w samochodzie. Chcesz je obejrzeć?

Nazwaliśmy go Umesh.

Emma robiła wrażenie o wiele szczęśliwszej, niż Diana mogła przypuszczać. W jakiś sposób sprawy potoczyły się po jej myśli.

- Ten chłopak tam z przodu to Ravi?

- Aha... Chodziłam z nim, zanim poznałam waszego Damiana. Nigdy się nie domyślałam, że to on mnie w to wpakował.

Hinduska w pięknym zielonym sari, z czerwonym znakiem kasty pomiędzy oczyma, kiedy dostrzegła zbliżającą się Dianę, rozpromieniła się i otworzyła tylne drzwiczki auta.

- Chcesz zobaczyć mojego pięknego, najpiękniejszego wnuczka? -

Zsunęła szal z buzi dziecka. - To jest właśnie Umesh.

- Rzeczywiście jest piękny - zgodziła się Diana.

Dziecko miało gładką, jasnobrązową cerę, długie, czarne rzęsy, a na główce gęste, czarne jak kruk włosy. Spało słodko, nieświadome zamieszania, jakiego narobiło, przychodząc na świat.

Kobieta zamknęła drzwiczki auta. Emma otworzyła bagażnik.

- Trochę się bałam, że Ravi mi powie, żebym spadała - szepnęła Dianie do ucha. - Tymczasem był strasznie zadowolony, kiedy się dowiedział, że ma synka, a już jego mama i tata dosłownie nie posiadali się ze szczęścia. Upierają się tylko, żebyśmy się zaraz pobrali. Sprawa wygląda tak, że

Ravi nie ma brata, a jego obie siostry są zamężne, ale mają tylko córki. Umesh jest ich pierwszym wnukiem.

Powiedzieli, że to najlepsze wiano, jakie dziewczyna może wnieść...

Co prawda nie bardzo wiem, co to takiego „wiano”. I wcale nie wiedziałam, że Ravi mieszka w takim wspaniałym wielkim domu w Princes Park! Ale mimo to, Di - uśmiechnęła się smętnie - i tak wołałabym, żeby to było dziecko waszego Damiana!

Brodie dosłownie zakochała się we własnym dziadku!

Kiedy tylko była w pokoju, co chwila zerkąła na jego portret w komputerze. Od czasu do czasu portret zniknął, tak że musiała kliknąć myszką, żeby go ponownie wywołać.

- Dobranoc, dziadku - zwykła mówić, wyłączając komputer przed pójściem do łóżka. Nie musiała sobie wyobrażać, jak wyglądał w starszym wieku, bo przecież nigdy takiego wieku nie dożył. W kilka lat po zrobieniu tego zdjęcia dziadek zginął od przypadkowego strzału rabusiów podczas napadu, któremu próbował przeciwdziałać. W

Internecie nie było wiadomości o tym, co się stało z człowiekiem, który do niego strzelał. Miała nadzieję, że go stracono; ta myśl tak ją dręczyła, że zatelefonowała do Colina, by z nim o tym pomówić.

- Zawsze byłam przeciwna karze śmierci - powiedziała - jak zresztą my oboje, ale mam nadzieję, że ten, co zastrzelił dziadka,

został skazany na śmierć przez powieszenie. Chyba tak mówili sę-

dziowie, skazując morderców?

- Tak, coś w tym rodzaju. - Oczywiście duszy Brodie widziała, jak Colin wzrusza ramionami. - Ocenianie czegoś takiego jak kara śmierci nie ma sensu, jeżeli sami jesteśmy zaangażowani emocjonalnie. Jeszcze ciągle się zdarza, że ktoś w parlamencie żąda, by ją przywrócić, ale za każdym razem jego wniosek upada ogromną większością głosów.

- Tak, wiem - przyznała Brodie. - To właśnie różni cywilizowane państwa od bardziej zacofanych. Pewnie głowa mówi mi jedno, a serce zupełnie co innego.

- Właśnie dlatego, że jesteś zaangażowana emocjonalnie, zakładasz, że ten, co zastrzelił twojego dziadka, musiał go zamordować z zimną krwią. Ale powiedzmy, że wyszedł tego wieczoru z domu, nie mając najmniejszego zamiaru nikogo zabijać? Powiedzmy, że nosił broń, ot tak, dla popisania się, że spanikował, albo że nie wiedział, że jest naładowana? A poza tym, Brodie - dodał łagodnie - czy to z twojej strony nie jest trochę dziwaczne, że cały czas rozmyślasz o dziadku, skoro on umarł już siedemdziesiąt sześć lat temu?

Brodie pomyślała, że to bardziej niż dziwaczne: to było niezdrowe, nienaturalne.

- Sprawa polega na tym - wyjaśniła - że do czasu, kiedy wzięliśmy ślub, kiedy zostałam twoją żoną, nie miałam żadnych, ale to żadnych krewnych poza matką. Nie było w domu żadnych fotografii poza mojej mamy i ojca, no i moje z czasów, kiedy byłam małą. Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczyło: zobaczyć fotografię dziadka. Gdyby go nie zamordowali, może żyłby do dzisiaj.

Colin ryknął śmiechem.

- Musiałby mieć dobrze ponad setkę!

- No to co? To się zdarza! - upierała się Brodie. - W wiadomościach podawali kiedyś, że coraz więcej ludzi dożywa teraz stu lat.

- Też to słyszałem, kochanie, ale obawiam się, że po prostu musisz się pogodzić z faktem i uznać, że twój dziadek był wyjątkowym człowiekiem, któremu los przeznaczył śmierć w młodym wieku.

Przerwał na chwilę i Brodie usłyszała w słuchawce muzyczną zapowiedź wiadomości BBC 24.

- Oglądałaś wiadomości? Dalej bombardują ten nieszczęsny Liban.

- Nie, dzisiaj nie oglądałam.

Ostatnimi dniami unikała wiadomości, jak tylko mogła, chociaż w domu, w którym pracowała, telewizor był często włączony.

Ona i Colin ostatnio rozmawiali prawie wyłącznie o polityce w jej rozmaitych przejawach, ale w „Kasztanach” to nigdy nie było przedmiotem rozmów. Było tyle innych tematów: ośrodek dla uchodźców, bracia Diany, dziecko Emmy, kłopoty Rachel, a teraz jeszcze doszedł temat małej Charlie, rozkosznej dziewczynki z są-

siedztwa, która zdaniem Vanessy miała takiego okropnego ojca i która swoje tajemnice kryła głęboko w sercu.

No i oczywiście była Maisie, o której na razie nie miała żadnych wieści. Karen Young nadal od czasu do czasu telefonowała lub wysyłała maile. Kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiały, Karen się zastanawiała, czy Maisie nie wyjechała z Londynu. Powiedziała Brodie, że wysłała fotografię jej córki do wszystkich placówek w całym kraju.

Brodie szperała w szafach i komodach nieużywanych pokoi na górze w poszukiwaniu drobiazgów, które nadawałyby się do sprzedania na stoisku jej matki w ośrodku dla uchodźców. Mama traktowała to stoisko ogromnie poważnie, wręcz jako ważny element swojej życiowej kariery.

W domu panowała cisza. Z pokoju Rachel nie dochodziły żadne dźwięki, u Vanessy włączona była telewizja, ale bardzo cicho. Diana wyszła z

Leem, co było równoznaczne z całkowitym brakiem hałasu.

Brodie już teraz za nią tęskniła.

Na górze były jeszcze cztery pokoiki, każdy z nich cztery razy mniejszy od tych wynajętych. Było w nich ciemniej, okna były mniejsze, a urządzenie nietknięte od wielu lat. Kiedy Brodie mieszkała w tym domu jako dziecko, nie pamiętała, żeby te pokoi-

ki były używane do czegoś innego poza składowaniem w nich starych mebli i tekturowych pudeł, pełnych tajemniczej zawartości.

Istnieje coś w rodzaju niepisanej zasady: im więcej ma się miejsca, tym się je bardziej zapełnia. W ich domu w Crosby Colin i ona stale robili „czystki”. Oddawało się starą pościel razem z postrzępionymi ręcznikami, zniszczonymi pantoflami, których już nie warto było naprawiać, ale jeszcze komuś mogły się przydać; oddawali przeczytane książki, zabawki, którymi się już nikt nie bawił, nienoszone już ubrania - niemodne albo takie, z których dzieci wyrosły; podniszczony sprzęt ogrodniczy, niepotrzebne naczynia...

Wszystko to czekało w garażu na zabranie do różnych sklepów instytucji dobroczynnych albo na firmę sprzątającą śmieci. W ich całkiem nowym domu nie było miejsca na trzymanie czegokolwiek, co nie było konieczne potrzebne do codziennego użytku.

Tu natomiast były nawet dwa zapasowe łóżka i szafa na ubrania, zajmująca niemal całą ścianę.

Zastanawiała się, dlaczego jej rodzice kupili taki ogromny dom, ale przypominała sobie, że mama chciała mieć liczną rodzinę. Te małe pokoiki mogły być planowane jako dziecinne, pomalowane na różowo albo niebiesko, dla jej braciszków i siostrzyczek.

Z ulgą skonstatowała, że poza jakąś pojedynczą rękawiczką i kilkoma wieszakami na płaszcze szafy i komody są puste. Nie miała szczególnej ochoty grzebać w starej bieliźnie czy innych osobistych rzeczach sióstr Slattery.

Pudła to była zupełnie inna sprawa.

W pierwszym, które otworzyła, było pełno koszmarnych ozdóbek, jak gipsowe ptaszki, pomalowane paskudnymi kolorami, mosiężne lichtarze, mogące być idealnym narzędziem zbrodni, olbrzymie popielniczki, wyglądające równie groźnie, wreszcie plakietki z zachęcającymi tekstami typu: *Me ma na świecie nic ponad dom czy Tam dom twój, gdzie serce twoje.*

Pomyślała, że mama i Diana z prawdziwą radością zajmą się sortowaniem tych rzeczy z pudeł, a zatem zostawiła to zadanie dla nich.

Sama nie była w nastroju.

Został jej do sprawdzenia jeszcze jeden pokój.

Kiedy go otworzyła, powitał ją znany zapach farby olejnej. Jasne!

Vanessa spytała ją kiedyś, czy może tu składować swoje obrazy.

Stały teraz na podłodze w trzech rzędach. Brodie przeliczyła tylko jeden: było w nim dwadzieścia obrazów, zatem razem co najmniej sześćdziesiąt, nie licząc tych, które jeszcze zostały w pokoju Vanessy.

Co ona miała zamiar zrobić z sześćdziesięcioma czy nawet więcej niż sześćdziesięcioma ohydnyymi obrazami? Produkowała je błyskawicznie. Bywały dni, że kończyła jeden, a nawet czasami dwa, i zaczynała następny. Inne z kolei kończyła dopiero po wielu dniach.

Ta Vanessa miała chyba cierpliwość biblijnego Hioba.

Brodie przypominała sobie, że Eileen kiedyś sugerowała, żeby Vanessa urządziła wystawę w ogrodzie.

Diana byłaby szczęśliwa, mogąc coś takiego zorganizować.

Uwielbiała organizowanie. Brodie postanowiła jej o tym wspomnieć, kiedy się spotkają.

Jeżeli poczeka dostatecznie długo, będą mogły przed spaniem wypić wspólnie filiżankę kakao.

Vanessa przymierzała sukienki w sklepie „John Lewis”. Charlie cierpliwie czekała przed przymierzalnią, aż Vanessa znowu odsunie zasłonkę i spyta, jakie jest jej zdanie na temat tego ostatniego modelu.

- A co myślisz o tym? - zapytała, prezentując kolejną, jaskrawo-czerwoną sukienkę z wąską spódnicą i kloszowymi rękawami.

- Ta mi się najbardziej podoba - z uznaniem oświadczyła Charlie. Na spacer po mieście ubrała się w różową bawełnianą sukienkę, puszysty różowy beret i staroświeckie skórkowe sandały w stylu takich, jakie Vanessa nosiła w dzieciństwie. Poza tym miała białą plastikową torebkę ozdobioną plastikowymi kwiatkami.

- Pasuje ci czerwony kolor.

Vanessa dotychczas zawsze nosiła tak zwane „kolory biurowe”: szare, brązowe i czarne, z pastelową bluzką, jeżeli było trzeba.

- Myślę, że i mnie ta się podoba najbardziej...

- Ale mnie też się bardzo podobała ta zielona... i ta biała z wisienkami! Powinnaś sobie kupić wszystkie. Mama kupowała mi dawniej dwie albo trzy sukienki naraz, bo to oznaczało, że potem długo nie będzie musiała chodzić ze mną na zakupy. Co do mnie, uwielbiam kupować - dodała rozżalonym tonem.

- Nie, chcę kupić tylko tę jedną. Mam nadzieję, że jeszcze schudnę, a wtedy wszystko, co mam, będzie na mnie za duże.

- Uważam, że taka, jak jesteś, jesteś naprawdę idealna, Vanesso.

- Cóż... dziękuję ci, Charlie.

Zaciągnęła zasłonkę, zdjęła czerwoną sukienkę i włożyła z powrotem starą, kremową. Nie, żeby była rzeczywiście stara! Miała ją raptem od czterech czy pięciu tygodni.

Mieszkała w „Kasztanach” od czterech miesięcy i prawie przez cały ten czas traciła na wadze mniej więcej kilogram-półtora tygodniowo.

Ostatnio jej waga wynosiła już poniżej stu kilo. Zaczęła teraz wyglądać bardziej na pulchną niż otyłą.

Ale nie po prostu pulchną.

Vanessa przejrzała się w lustrze, przymykając oczy, tak żeby odbicie było trochę zamazane. Po przymierzaniu włosy jej się zmierzwiły, co nie znaczy, że ostatnio zawsze były uczesane!

Przez całe swoje dorosłe życie nosiła długie włosy, a teraz, odkąd obcięła je na krótko, nie pamiętała już, jakie były kręcone. Musi znowu poprosić Dianę o przystrzyżenie. Dawniej chadzała do najlepszych fryzjerów, żeby zrobić pasemka, podstrzyc i wysuszyć włosy suszarką.

Kosztowało ją to majątek. Teraz Diana robiła wszystko za darmo, a Vanessa suszyła je sama.

Potała palcami policzki. Nigdy dotąd nie były takie różowe. Twarz miała opaloną na brąz, podobnie zresztą ręce i nogi - spędzała przecież prawie wszystkie dni w ogrodzie, malując. Z tymi dzikimi włosami, pełniejszą figurą i czerwonymi policzkami wyglądała trochę... trochę...

lubieżnie!

Poczuła, że robi jej się gorąco, potem zimno, i znowu gorąco. W

gruncie rzeczy lubiła być taką ciemnoskórą, niespodziewanie lubieżną istotą.

- Co tam robisz?! - zawołała Charlie.

- Za chwilę wychodzę.

Wsunęła nagie, brązowe stopy w stare klapki. W dawnych czasach jedynym miejscem, gdzie nie nosiła rajstop, było łóżko. Zgodnie z obietnicą za moment wyszła z przymierzalni.

- Tylko zapłacę za sukienkę - rzekła - i idziemy na lunch.

- Gdzie jest twoja mamusia, Charlie? - spytała, kiedy czekały, aż im przyniosą zamówione dania.

Siedziały w nowej, bardzo nowoczesnej restauracji na tyłach St John's Market.

Białe

ściany,

białe

meble,

podłoga

pokryta

jaskrawoczerwonym dywanem... Poza dywanem wszystko tu wyglądało niezmiernie higienicznie i mogłoby być idealnym miejscem do wycinania wyrostka robaczkowego czy innej podobnej operacji.

- W Iraku. Rozwiodła się z tatusiem, bo chciała być niezależna, ale tatuś mówi, że to było głupie z jej strony, bo wojsko to ostatnie miejsce, w którym można być niezależnym i że ją najwyczejniej w świecie wykiwali. Powiedział też, że mamusia wygląda okropnie w mundurze, chociaż pasuje kolorem do jej oczu.

- Kiedy to było?

- Trzy lata temu, miałam wtedy cztery latka. Okropnie płakałam, kiedy mamusia odeszła, ale już teraz nigdy nie płaczę - dodała niezłomnie. - Widzisz... przyzwyczałam się do tej sytuacji. Tatuś twierdzi, że można się przyzwycząić do wszystkiego, trzeba się tylko o to naprawdę postarać. - Jak na takie małe dziecko, Charlie była zadziwiająco praktyczna. Jej ojciec chyba nie miał zbyt miłego charakteru, zresztą Vanessa była o tym od początku przekonana. - Jak myślisz, czy mi podadzą tego hamburgera w bułce? - spytała dziewczynka.

- Możliwe. Nie zauważyłam, jak jest napisane w karcie. Kelnerka zabrała karty, kiedy już zamówiły.

- A jeżeli będzie z bułką, czy muszę ją zjeść?

- Jasne, że nie. Nie powinnaś jeść nic takiego, czego nie chcesz.

Hamburger powinien być dobry: pisali, że jest „własnej roboty”.

- To dlaczego ty nie zamówiłaś?

- Wolę sałatę.

Charlie zmarszczyła nosek.

- Ja nie znoszę sałaty.

- No cóż, ja ją znoszę i dlatego zamówiłam, a ty dostaniesz hamburgera.

Zauważyła, że jakaś para, siedząca daleko od nich, po przeciwnej stronie restauracji, uważnie jej się przygląda: jakaś kobieta o nieokreślonym wyglądzie, w towarzystwie jeszcze bardziej nieokreślonego mężczyzny.

Mężczyzna wstał i podszedł do nich. Vanessa zakłęta pod nosem. Nie miała pojęcia, kto to taki.

- Vanessa?

W sposobie, w jaki wymówił jej imię, zabrzmiało coś znajomego.

- William! - zawołała z niedowierzaniem.

- Cudownie wyglądasz... - W jego głosie był pełen szacunku podziw.

- Ty też nie wyglądasz najgorzej - skłamała przez zęby.

Czy to naprawdę ten mężczyzna, z powodu którego wylała tyle łez, ten, przez którego przybyło jej tyle kilogramów? Czyżby on zawsze był taki bezbarwny? Z tymi włosami barwy brudnej wody i przygaszonymi oczami? A może ona widziała to wszystko w innym świetle? Wydawał się jej teraz nawet niższy, niż zapamiętała.

- A gdzie teraz mieszkasz? Machnęła niejasno ręką.

- Och, w okolicach Crosby.

- Rozumiem, że rzuciłaś pracę. Co teraz robisz?

Vanessa wyprostowała ramiona i spojrzała prosto w oczy mężczyzny, który był kiedyś jej narzeczonym.

- Maluję - oznajmiła. - Jestem zawodową artystką malarką.

Eileen kupiła trzy jej obrazy i sugerowała, że powinna sobie urządzić wystawę. Brodie niedawno też poruszyła ten temat. Vanessa już postanowiła, że to zrobi.

William (czy to naprawdę był William, czy tylko jego blada

imitacja, wykonana w laboratorium przez naukowców?) po prostu osłupiał.

- Ależ ty przecież nigdy nie malowałaś!

- Nie malowałam. A teraz odkryłam swoje powołanie. Maluję cały czas.

Podeszła kelnerka z zamówionym jedzeniem.

William pożegnał się i wrócił do swojej bladej niewiasty po drugiej stronie sali. Czy to jego dziewczyna? Czy mieli zamiar się pobrać?

Vanessa w duchu życzyła im jak najwięcej szczęścia. Każde z nich było warte drugiego.

Rozdział 10

Kiedy już obie z Charlie skręcały w Elm Road, Vanessa czuła się naprawdę z siebie zadowolona.

Było jej przyjemnie z powodu nowej sukienki, podobała się sobie w swoim nowym wcieleniu i... nigdy nie zapomni wyrazu osłupiałego podziwu na twarzy Williama, kiedy ją dostrzegł z drugiego końca restauracji. Poprawa jej losu nastąpiła dosłownie z dnia na dzień, nie, tego popołudnia! Trzeba było czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

Ale widok matki Brodie, która czekała przed „Kasztanami” i robiła wrażenie strasznie zaniepokojonej, zmniejszył nieco jej uczucie satysfakcji.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku - mruknęła, podejrzewając, że może znowu ktoś chciał zgłosić pretensje do dziecka Rachel.

Pomachała do Megan i przyspieszyła kroku. Charlie trzymała ją mocno za rękę i też biegła obok.

Kiedy się zbliżyły, z domu przylegającego do „Kasztanów” - domu Charlie - wyszedł jakiś mężczyzna.

Był wysoki, smukły, w czarnych dżinsach, koszulce z krótkimi ręk-

kawami i długich do kolan botach. Gęste, czarne włosy spadały mu na czoło, a z tyłu były ściągnięte w koński ogon. Stał zachmurzony, z założonymi na piersi rękami - na jego prawym przedramieniu widniał

wytatuowany ptak - i patrzył, jak idą w jego stronę.

- Co ty sobie, do cholery, myślisz, Charlotte? - rzucił gniewnie, kiedy podeszły. Mówił z silnym akcentem z Lancashire. - Odchodzę

od zmysłów z niepokoju! Pani Fuller zadzwoniła do mnie do pracy.

Chciała wiedzieć, czy twoja babcia się tobą zajmuje przez całe wakacje, czy tylko przez ich część. Czy ma się w którymś momencie ciebie spodziewać, czy nie? Musiałem się przyznać, że nie mam bladego pojęcia, o czym mówi. Odpowiedziała, że przecież wysłałem jej w tej sprawie maile.

- I co jej powiedziałaś, tatusiu? - potulnie spytała Charlie. Nie puściła ręki Vanessy. Wręcz przeciwnie, trzymała ją jeszcze mocniej.

Jego złość jeszcze się pogłębiła.

- Raczej, czego jej nie powiedziałem! Nie powiedziałem jej, że nie masz żadnej żyjącej babci! Nie chciałem, żeby wiedziała, że mam córkę, która

jest największym łgarzem na ziemi!

- Nie największym, tatusiu - sprostowała Charlie, zdobywając się na łobuzerski uśmiech.

- Nie bądź bezczelna, Charlotte Ormerod! - huknął. - Dzwoniłem do domu, ale nikt nie odbierał. Zadzwoiłem na twoją komórkę, ale i ona nie odpowiadała. Wtedy już się naprawdę zdenerwowałem, tyle ci powiem. Wróciłem zaraz do domu: okazało się, że jest pusty. Na szczęście ta pani z sąsiedztwa mi powiedziała, że poszła do miasta z inną panią, która najwyraźniej w świecie porwała cię na całe wakacje! -

Tu zwrócił się do Vanessy, której dotychczas jakby w ogóle nie widział. - Jest pani rozpaczliwie nieodpowiedzialna, pani... jakkolwiek się pani nazywa. Chwała Bogu, że pani w ogóle wróciła: już miałem dzwonić na policję.

- Co?! - parsknęła Vanessa, równie rozgniewana. -1 co im pan chciał

powiedzieć? Że porwałam pana córkę, kiedy stała po prostu przed pańskim domem? Jeżeli ktoś powinien się tłumaczyć na policji, to pan!

Pan za to, że zostawia biedną Charlie samą sobie na całe tygodnie!

Guzik pana obchodzi, czy się nią ktoś opiekuje, czy nie! Kiedyś rano czuła się taka chora, że powinna była zaraz pójść do lekarza. A pan, gdzie pan wtedy był? - spytała bardziej piskliwie, niż miała zamiar. - W

pracy, naturalnie. Nie wiedział pan nawet, że nie poszła do szkoły.

- Chora? - Szczeka mu opadła. Wyglądał na naprawdę wystraszonego. - Kiedy to byłaś taka chora, że powinnaś była pójść do lekarza? Charlie, kochanie moje, chodź tutaj.

Wyciągnął rękę. Charlie puściła rękę Vanessy i rzuciła mu się w ramiona.

- Kocham cię, tatusiu - szlochała mu na ramieniu. - Kocham cię całym sercem!

- Wiem, że mnie kochasz, słoneczko. I ja ciebie kocham. -Wziął ją na ręce i czule niósł w stronę domu.

Drzwi się za nimi zamknęły i Vanessa poczuła się nagle zadziwiająco, strasznie samotna, jakby coś bardzo ważnego zniknęło z jej życia.

- Vanesso, kochanie, chodź. Zrobię ci herbatki.

- Tak... och... dziękuję. - Zapomniała, że Megan nadal tam stoi.

- Przyszedł tu już jakiś czas temu i był w okropnym stanie -

opowiadała Megan, kiedy już były w kuchni. - Przypuszczał, że Charlie jest w jakimś wakacyjnym klubie w Southport, tymczasem ta mała panienka po prostu napisała na komputerze tatusia wiadomość do swojej pani, że przez całe lato będzie u nich jej babcia i że to ona się nią zajmie. A że miała do tego wakacyjnego klubu pojechać z inną dziewczynką samochodem jej mamy, napisała też i tam, odwołując swój wyjazd. - Megan się uśmiechnęła. - Nie mogłam nie podziwiać jej zimnej krwi. Myślę, że w jej wieku mogłabym zrobić to samo. Ale, ale!

Czy ten jej tata to nie prawdziwe чудо? Seksowny jak gwiazda rocka.

Gdybym miała sześćdziesiąt lat mniej... zwariowałabym dla niego!

Vanessa nie zauważyła w ojcu Charlie nic choćby odrobinę atrakcyjnego.

Zabrała herbatę do ogrodu i usiadła pod wspólnym murem, podsłuchując, na wypadek gdyby ten typ usiłował sprać dziewczynkę na kwaśne jabłko...

Nie usłyszała jednak nic.

Diana była w swoim żywiole: organizowała wystawę prac Vanessy.

Leonard Gosling zaprojektował wielki plakat do wystawienia w oknie swojego sklepu, poza tym zrobił pięćdziesiąt kopii. Nie

miało sensu go wieszać w „Kasztanach”, jako że dom stał w ślepej uliczce i mało kto przechodził obok. Mąż Brodie, Colin, miał wywiesić jeden w swoim oknie, tak samo Megan; jeden plakat zawisł na tablicy ogłoszeń w ośrodku dla uchodźców, a jeszcze jeden na domu przy Coral Street. Wszyscy trzej chłopcy obiecali, że przyjdą ze względu na siostrę, chociaż byli przekonani, że to będzie nudne jak flaki z olejem.

W niedzielę przed dwudziestymi piątymi urodzinami Diany biedny Leo, który próbował ją za wszelką cenę wyciągnąć „za wodę” na lunch w wytwornej restauracji, musiał jeździć po sklepach i barach w sąsiedztwie Blundellsands i czekać w aucie, podczas gdy Diana starała się przekonać właścicieli do wystawienia plakatu. Większość z nich się na to godziła. Ostatecznie to było coś nieco bardziej eleganckiego niż wyprzedaże w garażach czy parafiach, które się zwykle u nich ogłaszały.

- Cały dochód ma pójść na cele dobroczynne - wyjaśniała Diana -

każdy grosz. Będą przekąski i muzyka. Wystawa odbędzie się w sobotę i niedzielę w następnym tygodniu, od dwunastej w południe do czwartej.

To był pomysł Diany, żeby wystawa trwała dwa dni, bo wtedy więcej ludzi będzie ją mogło obejrzeć.

Vanessa się zgodziła dać wywiad do „Liverpool Echo”, do „Crosby Herald” i do „Bootle Times”.

Na zamieszczonym zdjęciu była niemożliwa do rozpoznania: w szarym dresie, ogromnym słomkowym kapeluszu i okularach sło-necznych. Wytłumaczyła reporterom, że chce być znana jedynie z inicjału „D” i odmówiła wyjawienia, jak ma na imię. Wobec tego „Echo” nazwało ją

„tajemniczą artystką”.

Wystawa miała być urządzona w ogrodzie, jeżeli pogoda na to pozwoli - co prawda jak dotąd lato było piękne, a prognozy pogody nie przewidywały deszczu. Obrazy - było ich już siedemdziesiąt pięć - miały wisieć na gałęziach drzew albo być przytwierdzone do pni.

Leonard Gosling zorganizował jakiegoś kolegę do pilnowania sklepu w sobotę, a sam gorliwie zajął się przygotowaniami do wystawy.

Ustalał, który obraz gdzie umieścić, do każdego przyczepiał małą karteczkę z podaniem ceny, poza tym miał się zajmować zbieraniem pieniędzy za sprzedane prace. Obrazy kosztowały po dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć i czterdzieści pięć funtów zależnie od rozmiarów.

Brodie i Megan zajęły się poczęstunkiem. Diana przeglądała swoją płytotekę i próbowała zdecydować, jaki rodzaj muzyki będzie dla tej wystawy najbardziej odpowiedni.

W sobotę rano Diana wstała bardzo wcześnie. Wskoczyła z łóżka i rozsunęła zasłony, otworzyła drzwi na taras i wyszła bosą do ogrodu.

Powietrze po prostu łśniło, a niebo było szaroniebieskie z małymi strzępkami białych chmur. Ogród wyglądał wspaniale, otoczony krzewami i rabatami wspaniałych kwiatów we wszystkich możliwych kolorach. Głęboko wciągnęła nosem ich zapach: był odurzający.

Zeszłego wieczoru Colin, mąż Brodie, skosił trawę, tak że tworzyła aksamitny, zielony dywan. Diana wcisnęła w niego stopy. Był wilgotny i zimny, ale dla niej to było cudowne uczucie.

- Dzień dobry.

- Och... dzień dobry. - Nie zauważyła Vanessy, na wpół ukrytej za drzewem, z pędzlem w ręce. - Co malujesz?

- Kwiat. Wielki kwiat. Nie wiem, jak się nazywa. Może to hortensja?

Peonia? A może rododendron?

- Ja też nie wiem. Nie znam prawie wcale nazw kwiatów, najwyżej róże i żonkile. Innych w ogóle nie pamiętam.

- Założę się, że znasz też jaskry i stokrotki.

- No tak, jaskry i stokrotki. Zapomniałam o nich. Aha, i takie, co mają buzie: bratki. Mogę zobaczyć ten, co malujesz?

- Proszę bardzo.

- Jaki piękny ciemny róż... - szepnęła Diana, patrząc na obraz. Nie mogła dokładnie dojrzeć, gdzie na tym obrazie jest kwiat.

- Wyobrażam sobie, że jestem wewnątrz tego kwiatu - wyjaśniła jej Vanessa.

Diana przymknęła oczy, próbując sobie wyobrazić coś podobnego.

- Chyba rozumiem, co chcesz osiągnąć - oznajmiła z triumfem i Vanessa wyglądała na zadowoloną.

Diana wyznała, że bardzo tęskni za Charlie. - To taka urocza mała dziewczynka. Jak myślisz, przyjdzie dzisiaj na wystawę?

- Nie wiem. Oboje wyjechali, ona i jej tata. Od dwóch tygodni nie ma ani śladu żadnego z nich. Wiesz co, Diana, ja na twoim miejscu zmieniłabym tę cienką nocną koszulę na coś mniej przezroczystego.

Właśnie przyszedł Leonard Gosling: jeszcze nierozważnie podniecisz biednego staruszka.

Diana weszła do mieszkania i włożyła na razie parę starych dżinsów i podkoszulek.

Kiedy wróciła, Leonard Gosling, w doskonale wyprasowanych dżinsach i pastelowej koszuli w kwiaty przeglądał notatki, na których zapisał, w jakich miejscach umieścić obrazy.

Brodie otworzyła swoje drzwi na taras i dołączyła do nich.

- Chyba słyszałam głosy. Czy to nie śliczny poranek? Wszyscy się zgodzili, że pogoda jest nadzwyczajna.

- Cześć! - Rachel wytknęła głowę przez okno na piętrze i oznajmiła, że chyba Poppy zaczęła ząbkować. - Bardzo płakała dziś w nocy. -

Wszystkie zgodnym chórem stwierdziły, że nic nie słyszały, chociaż było wręcz przeciwnie. Nie chciały po prostu, żeby Rachel było przykro.

Wkrótce pojawił się Colin. Wyładował z auta pół tuzina składanych krzeseł ogrodowych i mały okrągły stolik. Diana kompletnie nie mogła pojąć, czemu on i Brodie nie mieszkają razem, skoro byli w doskonałych stosunkach i najwyraźniej szalenie w sobie zakochani.

Przyszła Megan. Razem z Brodie poszły do kuchni szykować dziesiątki maleńkich babeczek.

- Zrobimy tylko parę kanapek, a resztę dopiero wtedy, kiedy ludzie zaczną się schodzić, inaczej jedzenie się zmarnuje - uznała Megan. -

Gdyby nie zjedli wszystkich babeczek, można je będzie

podać jutro. A gdyby i jutro coś zostało, mogę to zanieść w poniedziałek do ośrodka dla uchodźców.

Diana podeszła do Vanessy, całkowicie zagłębionej w malowanie różowego kwiatu i kompletnie nieświadomej przygotowań do wystawy jej prac.

- Mam nadzieję, że się nie rozczarujesz, jeżeli przyjdzie niewiele osób...

Do tej pory nie przyszła jej nawet do głowy wątpliwość w wielki sukces tej wystawy.

- Nie będę rozczarowana, na pewno nie. Strasznie miło ze strony was wszystkich, że to robicie - machnęła ręką w stronę ogrodu - ale naprawdę się nie przejmę, jeżeli nikt nie przyjdzie. Wiesz - zwierzyła się Dianie - jedyne, czego chcę, to malować. A zupełnie mnie nie obchodzi, co się potem stanie z moim obrazem. Rozumiesz, Diano? -

spytała ze słodkim uśmiechem.

Vanessa była teraz o wiele, wiele miłsza niż wtedy, kiedy się wprowadziła do tego domu.

- Tak... - Diana nie była pewna, czy rozumie. - Ale wiesz, wyliczyłam, że gdybyśmy sprzedały wszystkie obrazy, zarobiłybyśmy ponad dwa tysiące funtów dla schroniska - poinformowała Vanessę.

- Dobrze... - mętnie potwierdziła Vanessa i wróciła do malowania.

Diana weszła do kuchni, w której Megan wałkowała na stolnicy ciasto na babeczki i wycinała z rozwałkowanego ciasta małe krążki.

Brodie łopatką do ryb przenosiła te krążki na metalową foremkę. W

kuchni było gorąco od rozgrzanego pieca.

- Przed chwilą dzwoniła Eileen - oznajmiła Brodie. - Ona i jej siostra Mary przyjadą tu jutro z Londynu. Chce kupić parę obrazów Vanessy na prezenty gwiazdkowe. - Przechyliła głowę na bok i rzekła, zamyślona: - Jak bym się czuła, gdybym dostała w prezencie na Gwiazdkę obraz Vanessy?

Megan stuknęła córkę w żebra.

-

Podziękowałabyś uprzejmie ofiarodawcy i udawałabyś wdzięczność, kochanie! Tak cię wychowałam!

- Masz rację, mam. Na pewno bym tak zrobiła.

- Ja bym bardzo chciała dostać obraz w prezencie! - zawołała Diana.

Brodie wyglądała na skonsternowaną.

- Och, kochanie, szkoda, że mi tego wcześniej nie powiedziałaś. W

zeszłym tygodniu były twoje urodziny... a ja ci dałam w prezencie butelkę perfum!

- Ależ Brodie, ja się nie skarżę - zapewniła ją pospiesznie Diana. -

Cudowne są te perfumy od ciebie! Poperfumuję się nimi później -

używam ich tylko na najlepsze okazje. I czekoladki też były wspaniałe.

Aż za wspaniałe. Zjadła całe pudełko za jednym zamachem i potem chorowała.

- Sama sobie kupię obraz w prezencie.

Kupiłaby ten, który Vanessa teraz malowała: widok z wnętrza hortensji, peonii czy rododendronu.

Tinker, Alan i Rosa też mieli przyjść na wystawę dopiero jutro, podobnie Leo, jego mama i tata, a także jej bracia, którzy dzisiaj wybierali się na mecz piłki nożnej.

Pierwszego dnia wystawę odwiedziło tylko trzynaście osób. Jakaś para z dwójką dzieci - chłopcem i dziewczynką w wieku ośmiu i dziesięciu lat - ci przysli pierwsi. Kiedy spacerowali po ogrodzie, oglądając obrazy Vanessy, dziewczynka ciągle głośno powtarzała: - Mogłabym namalować to samo, stojąc na głowie, mam.

Wyszli, nie wypiwszy nawet filiżanki herbaty, nic nie zjedli, mimo że przekąski były za darmo. Oboje, mężczyzna i kobieta, robili wrażenie napiętych, a dzieci chichotały jak szalone.

Po długiej przerwie pojawiła się jakaś starsza para. Brodie podeszła, że może lepiej będzie, jeżeli ona, Diana i Megan wejdą do domu, zostawiając w ogrodzie tylko Leonarda; ich obecność mogłaby krępować wchodzących, gdyby tak stały i gapily się na wszystkich.

- Leonard im powie, gdzie znajdują przekąski, jeżeli ktoś będzie chciał.

Najwyraźniej w świecie starsza para niczego nie chciała, bo kiedy Diana wyjrzała do ogrodu, już ich nie było. Zmieniła teraz muzykę z bardzo nowoczesnej na bardzo starą, w obawie, że hałaśliwy, natarczywy beat może odstraszać gości. Mogą się lepiej czuć przy muzyce Cole'a Portera.

Była już prawie druga godzina. Vanessa i Rachel zabrały Poppy na plażę. Brodie zrobiła kolejny czajnik herbaty i zjadły po kanapce i po babeczce z masłem. Stały w kuchni, nie rozmawiając, kiedy nagle ciszę przerwały wybuchy śmiechu.

Diana wyskoczyła do ogrodu sprawdzić, dlaczego ludzie robią taki harmider na wystawie malarstwa. Ujrzała cztery skąpo odziane panienki. Wędrowały od obrazu do obrazu i wskazując palcem, wykrzykiwały na przemian:

- Popatrz na tamten! Nie, ale popatrz na TAMTEN!

Jedna z nich naprawdę upadła na trawę w ataku histerycznego śmiechu.

Diana była zdumiona, kiedy dziewczyny, uspokoiwszy się, kupiły dwa mniejsze obrazy i wręczyły jej banknot pięćdziesięciofuntowy.

- Mam nadzieję, że nie jest fałszywy - powiedziała do Leonarda, kiedy dziewczyny wyszły.

Zapewnił, że banknot jest prawdziwy.

- Proszę, popraw mnie, gdybym się mylił, Diano - rzekł na swój szarmancki sposób - ale... czyżby te młode damy miały na sobie tylko bieliznę?

- To wygląda jak bielizna, ale tak naprawdę to najświeższa moda.

- Za moich młodych lat takie koronkowe rzeczy nazywały się „kombinacja”.

- Teraz się nazywają „sukienki”. - Sama nigdy nie miała odwagi włożyć na siebie czegoś takiego. Poza tym w wieku dwudziestu pięciu lat... była na to już o wiele za stara.

Tuż przed czwartą zjawiły się jeszcze dwie panie, ale nie zostały nawet minuty.

Potem przyszedł pan, który powiedział, że jest nauczycielem rysunku w szkole w Chester. Szczegółowo studiował każdy obraz

i w końcu kupił jeden. Vanessa wyjaśniła mu, że przedstawia spód grzyba.

- To ma coś w sobie - przyznał. - Teraz się spieszę, ale chyba jutro wrócę i kupię jeszcze coś.

- No cóż... to nie była całkowita klęska - stwierdziła Diana, kiedy wspólnie z Leonardem składali obrazy. - Zarobiliśmy siedemdziesiąt pięć funtów.

- Osiemdziesiąt pięć. Ten ostatni obraz był za trzydzieści pięć.

- Okropnie się czuję - wyznała - sprawiając wszystkim tyle kłopotu.

Wiem, że to był pomysł Eileen, ale to ja się uparłam, żeby go wcielić w życie!

- Absolutnie nie wolno ci się czuć okropnie, Diano. - Poklepał jej nagie ramię (miał zwyczaj poklepywać kobiety po nagich ramionach, kiedy tylko mu się nadarzała okazja). - Lepiej spróbować i nawet coś stracić, niż nie próbować w ogóle; jestem pewien, że coś takiego mógł

powiedzieć nawet ktoś taki jak Szekspir. A jeżeli nie powiedział, powinien był powiedzieć. A poza tym jutro może być zupełnie inaczej!

I było inaczej.

Pogoda była jeszcze ładniejsza niż w sobotę: niebo bardziej niebieskie, słońce gorętsze, powietrze jeszcze bardziej oszałamiające, niemal jak bąbelki szampana.

Przyszło od czterdziestu do pięćdziesięciu osób. Diana, w ozdobionym cekinami pomarańczowym kombinezonie, była jedyną osobą, która chciała liczyć gości, ale po jakimś czasie straciła rachubę. Około dwudziestu gości jednocześnie siedziało lub stało, pijąc i zjadając przekąski. Wielu z nich to byli koledzy albo krewni: bracia Diany, teściowa Brodie, Eileen, która paliła jak smok, jej siostra Mary; Leo Peterson z rodzicami, Tinker, Rosa i Alan z ośrodka dla uchodźców.

Rosa, która nie miała własnych dzieci, oszalała po prostu na punkcie małej Poppy.

W domu Brodie i Megan jak szalone szykowały kanapki, a Colina posłały po dodatkowe trzy bochenki chleba. Z otwartego okna pokoju Diany płynęła łagodna, romantyczna muzyka, jeszcze pogłębiając

trochę nierealną, niemal senną atmosferę popołudnia.

Sprzedano co najmniej połowę obrazów. Jeżeli kupujący nie chciał

zaraz zabierać obrazu ze sobą, wówczas Leonard z ważną miną naklejał w rogu płótna mały czerwony znaczek, wskazujący, że obraz już nie jest na sprzedaż.

- Tak się właśnie robi w prawdziwych galeriach malarstwa - pouczył

szeptem Dianę.

W rezultacie zebrali na ośrodek dla uchodźców ponad tysiąc funtów.

Tinker cały czas planował, na co będzie najlepiej wydać te pieniądze: na przykład poprawić wygląd restauracji, tak żeby krzesła i stoły pasowały do siebie; albo kupić jeszcze jeden stół bilardowy; albo więcej zabawek dla dzieci; dywan do recepcji; nowy komputer...

Przyszli sąsiedzi zobaczyć, co się dzieje w „Kasztanach”. Byli zdumieni, kiedy się okazało, że na ich własnej uliczce odbywa się dzisiaj wystawa malarstwa. Niektórzy z nich zostali dłużej i nawet kupili obrazy.

- Czy ty rzeczywiście mieszkasz w tym domu? - spytała Dianę jakaś kobieta. - Ależ z ciebie szczęściara! - zawołała, kiedy Diana potwierdziła. - To prawdziwa mała oaza, tyle tu ciszy i spokoju: zupełnie jakby się było w samym środku jakichś wiejskich okolic. I właściwie prawie nie słychać pociągów.

Vanessa mimo woli czuła radosne uniesienie, widząc, jak ludzie wydają na jej obrazy grube pieniądze.

Mówiła przedtem Dianie, że po skończeniu malowania obrazu już się nim nie zajmuje, ale to nie była prawda. Nie zdawała sobie sprawy, jaka to przyjemność wiedzieć, że ktoś zawiesi taki obraz na ścianie w swoim domu. Eileen kupiła aż pięć, mówiąc: - Chciałam je dać w prezencie, ale chyba jednak zatrzymam wszystkie dla siebie.

Wczorajszy gość, nauczyciel rysunku, przyszedł i w niedzielę i dokupił jeszcze dwa obrazy.

- W nich coś jest - rzekł do Vanessy: bardzo chciał porozmawiać z artystką i poprosił o to spotkanie. - Nie wiem, co to jest, ale niewątpliwie mają w sobie COŚ!

Czyżby naprawdę miała talent?

Czyżby jej pragnienie przeniesienia na papier czy płótno załamania dachu, połowy okna, wnętrza kwiatu czy drzewa, jakichś dziwacznych form, zardzewiałej furki, skrawka nieba, włosów Charlie -tylko włosów, niczego poza tym - małej stopki Poppy czy tylnej ściany jej wózka naprawdę coś znaczyło?

W przyszłości musi uważać, żeby, zanim zacznie malować, nie brać pod uwagę ludzkich reakcji ani „pokupności” obrazu.

Nagle ktoś ją lekko pociągnął za spódnicę i cichy głosik powiedział: - Witaj, Vanesso.

Spojrzała w dół i... nigdy, w całym jej życiu niczyj widok tak jej nie ucieszył!

- Cześć, Charlie! - powiedziała i natychmiast poczuła ucisk w gardle.

Pohamowała chęć rozplakania się i mocno przytuliła małą do piersi. -

Gdzie byłaś?

Po białej koszulce z czerwono-złotymi literami „N.Y.” na piersiach domyśliła się sama.

- Byliśmy z tatusiem w Kalifornii - odparła dziewczynka rozmarzona.

- Tam była wystawa gier komputerowych i firma tatusia miała swoje stoisko. Grałam bez przerwy w rozmaite gry, a jeszcze więcej przywieźliśmy do domu. A po skończeniu wystawy pojechaliśmy do Disneylandu, a potem do Nowego Jorku, gdzie tatuś ma przyjaciół, tak że co wieczór chodziliśmy z nimi na kolacje.

Vanessa się uśmiechnęła.

- Więc chyba nie muszę pytać, czy miło spędziłaś czas. Mała westchnęła upojnie.

- Spędziłam czas naprawdę cudownie, tak samo i tatuś. - Jej rączka w dłoni Vanessy poruszyła się. - Ale ciągle marzyłam, żebyś ty tam była z nami.

- Też bym chciała...

Zastanowiła się, czy ojciec Charlie od początku planował zabrać ze sobą córkę do Ameryki, czy też zostawiłby ją pod opieką tej kobiety, która prowadziła wakacyjny klub w Southport, gdyby Vanessa nie rzuciła mu w twarz tych kilku słów prawdy.

- A gdzie twój tatuś? - spytała.

- Gdzieś tutaj się kręci. Brodie robi mu chyba filiżankę herbaty. Tatuś był zdziwiony, kiedy zobaczył, co się dzieje w sąsiedztwie, i powiedział, że się cieszy, że zdążyliśmy wrócić na czas. - Potarła buzię o ramię Vanessy. - Ja też się cieszę.

Minęła czwarta i ludzie stopniowo zaczęli się rozchodzić; w końcu zostali już tylko bliscy przyjaciele i paru krewnych. Bracia Diany mieli jakieś ważniejsze sprawy do załatwienia, a Tinker, Rosa i Alan szli na koncert. Leonard zniósł wszystkie obrazy, powstawił je do domu i też poszedł. W niedzielne wieczory grywał w szachy.

Słońce nadal jasno świeciło: było bardzo gorąco. Frank Sinatra śpiewał *Come Fly With Me* i *Nancy with the Laughing Face*. Ojciec Charlie i Colin siedzieli, pogrążeni w rozmowie o samochodach. Zdaje się, że tatuś Charlie koniecznie chciał zobaczyć starego triumpha, którego Colin restaurował.

Pan Ormerod był ubrany tak samo jak wtedy, gdy Vanessa zobaczyła go po raz pierwszy: całkiem na czarno. Tyle że tym razem miał włosy nie związane z tyłu, ale sterczące na wszystkie strony, jakby się przed chwilą przedzierał przez gęste chaszczę. Dawniej myślała, że ojciec Charlie powinien mieć rude włosy, tak jak mała, ale dziewczynka musiała widocznie swoje odziedziczyć po matce.

Mama i tata Lea Petersona poszli, lecz on sam został: wodził oczyma za Dianą, która w swoim pomarańczowym kombinezonie biegła z miejsca na miejsce, lśniąc jak robaczek świętojański, nie zatrzymując się ani na chwilę. Był w niej tak zakochany, że przypatrywanie się jej aż go bolało.

6 Poleć ze mną i Nancy ze śmiejącą się buzią - znane piosenki Franka Sinatry; ta ostatnia poświęcona córce, Nancy Sinatrze.

Vanessa była w stanie zrozumieć, że takie nieprzytomne oddanie mogło być dla Diany trudne do zniesienia.

Rachel i Charlie bawiły się z Poppy, leżącą na kocyku pod drzewem, w cieniu.

- Nie widziałam w Nowym Jorku ani jednego dziecka - mówiła Charlie.

Brodie wyjawiała wszystkim, że w lodówce jest wino.

- Kto chce szklaneczkę? - spytała.

- Ja! - Eileen podniosła rękę do góry. - Ja proszę o dwie szklaneczki: wszystko jedno, białe czy czerwone, wytrawne czy słodkie.

- Ja też chętnie. - Megan padła na oparcie krzesła. Nie była już młoda, a cały dzień ciężko pracowała.

- A ty jak, Vanesso?

- Tak, poproszę.

Siedziała na trawie, zadowolona, że popołudnie już właściwie minęło.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że było jednak trochę męczące.

Niemal natychmiast podszedł do niej ojciec Charlie i usiadł obok..

- Chcę ci podziękować za opiekę nad córką - powiedział. - I przeprosić za to, co powiedziałem wtedy, przed wyjazdem. Zachowałem się jak świnia. Nie miałem pojęcia, że Charlie wysyłała maile po całym świecie, odwołując to, co dla niej załatwiłem. Nie wiedziałem, że była taka nieszczęśliwa, kiedy opiekowali się nią wszyscy z wyjątkiem jej własnego taty. - Wyciągnął rękę. - Reggie Ormerod, albo Reg, ale z całą pewnością nie Reginald. Nie muszę pytać, jak ty się nazywasz: Vanessa Dear, słynna artystka malarka.

- Właściwie wcale niesłynna - skromnie odparła Vanessa i uściśniła sobie dłonie.

- Nadejdzie taki czas, jestem pewien - uśmiechnął się promiennie.

Był seksowny, jak to powiedziała Megan, i naprawdę wyglądał jak gwiazda rocka. Poza tym miał w sobie nieprzebrane zasoby lancashirskiego uroku. Vanessa właściwie nie lubiła mężczyzn z długimi-

mi włosami i tatuażami, a już z pewnością nie znośiła imienia Reginald -w żadnej z możliwych wersji i zdrobnień. Musiała chyba przechodzić zmianę osobowości, bo właściwie całkiem jej się ten Reggie Ormerod podobał, chociaż w zupełnie nieromantyczny sposób.

Wkrótce, pomyślała, z tej kobiety, która w marcu wprowadziła się do tego domu, nie zostanie zupełnie nic. A co do Reggiego Ormeroda... to po namyśle doszła do wniosku, że nie jest bynajmniej pewna, czy sympatia, jaką do niego czuje, jest tak całkiem pozbawiona romantyzmu...

- Chciałbym cię o coś zapytać - mówił Reggie. - Charlie ma jeszcze przed sobą dwa tygodnie wakacji. Czy mogę ją zostawić z tobą? Ona tak bardzo tego chce. A gdyby ci to nie pasowało, zawsze mogę to urządzić inaczej.

Było coś naprawdę wzruszającego w tym seksownym facecie tak przejętym sprawami swojej małej córeczki.

- Ależ z radością się nią zajmę - zapewniła go Vanessa. - Zresztą my wszystkie, zwłaszcza Rachel i Poppy! Rachel to ta młoda dziewczyna z dzieckiem. Możesz ją nam powierzać, kiedy tylko zechcesz.

- Dziękuję. Naprawdę jestem wam ogromnie wdzięczny.

Wszystko poszło cudownie, myślała Brodie, roznosząc wino, o wiele lepiej, niż się spodziewała.

Zdumiewające, że ludzie chcieli wydać ponad tysiąc funtów na obrazy Vanessy. Jak brzmi takie stare przysłowie? „Łatwo przyszło, łatwo poszło”...

Och, jak to nieładnie z mojej strony tak uważać, pomyślała zawstydzona. Tylko dlatego, że mnie się te obrazy nie podobają? To głupie, a nawet nie tylko głupie, ale aroganckie i niegrzeczne zakładać, że inni ludzie powinni myśleć tak samo jak ja. Może nadejść dzień, w którym obrazy Vanessy

będą warte dziesięć razy tyle co dziś, a wtedy będzie musiała odszczekać swoje słowa i myśli i będzie żałowała, że nie kupiła chociaż pół tuzina jako inwestycję, kiedy była okazja; tak jak to zrobiła na przykład Eileen.

Kupię później jeden - przysięgła sobie. - Nie, dwa: jeden w prezencie dla Diany.

Zastanowiła się, czy jej matka też nie chciałaby mieć takiego obrazu.

Wróciła do kuchni po szklaneczkę wina dla siebie. Żałowała, że nie pomyślała o kupieniu paru butelek piwa dla Colina i dla ojca Charlie, Reggiego, który też nie wyglądał na amatora wina. Mamie, niech ją Bóg zachowa, podobał się chyba niezmiernie, a sama też nie uważała go za nieatrakcyjnego. On i Vanessa nie przestawali ze sobą gadać.

Czy to nie byłoby wspaniale, gdyby się zaczęli spotykać? Wyobraziła sobie taki dzień jak dzisiaj i tę parę biorącą ślub w ogrodzie.

Wszedł Colin. Przypomniała sobie, co się wydarzyło, kiedy ostatnio było tu przyjęcie: poszli potem do jej pokoju i kochali się. Czy dzisiaj to się powtórzy? Po paru szklaneczkach wina z łatwością dałaby się namówić...

- Jest może piwo? - zapytał.

- Przykro mi... - Skrzywiła się. - Dopiero przed chwilą o tym pomyślałam.

- Nic nie szkodzi. Reggie ma w lodówce sześciopak. Powiedział, że po niego pójdzie, gdyby tu nic nie było. Czy to nie twoja komórka dzwoni, Brodie?

- Rzeczywiście.

Z jej pokoju dobiegały dźwięki granego w szalonym tempie jednego z *Koncertówbrandenburskich*.

- Zaraz ci przyniosę, kochanie. - Po chwili wrócił. - Odebrałem. Jakaś Karen chce z tobą rozmawiać.

Karen Young, policjantka z Londynu!

Brodie chwyciła telefon. Słuchała uważnie, prawie nic nie mówiła, tylko od czasu do czasu „tak... tak...”.

Kiedy skończyła, wyłączyła telefon i położyła go w kuchni, obok wina. Cała się trzęsała.

- Kto to był? - spytał Colin w napięciu.

- Karen to policjantka, która szuka Maisie. - Brodie nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. - Znalazła ją... Nie jest z nią

najlepiej i Karen ją przywiezie tu, do domu. Już jest w drodze, tak że powinna tu być za jakieś trzy godziny.

- Przyjedzie tutaj?

- Tak, tutaj. - Cały antagonizm, jaki narósł pomiędzy nimi, kiedy jeszcze mieszkali razem, powrócił ze zdwojoną siłą. - Nie do domu w Crosby, to na pewno - rzekła chłodno. - Oboje wiemy, że tam nie jest mile widziana.

Trzasnęła drzwiczkami lodówki tak mocno, że przyszło jej na myśl, że mógł je wgnieść.

- Na rany Chrystusa, Brodie, niechże ona wróci do swojego prawdziwego domu, proszę! Wtedy możemy się nią zająć oboje.

- Przecież ty się nie chcesz nią zajmować. - Gorące łzy napłynęły jej do oczu. - Stale powtarzałaś, że narkomania to jej własna wina, że nie zasługuje na współczucie, a w każdym razie nie na twoje. - Weszła do swojego pokoju. Colin poszedł za nią. - Nie chcę, żebyś tu był blisko niej, Colin! - krzyknęła przez ramię. - Nie życzę sobie, żebyś ją oskarżał o to, że cię zawiodła, i inne takie bzdury!

- Tak jakbym mógł coś takiego powiedzieć! - Był czerwony ze zdenerwowania. - Na rany Chrystusa! To przecież moja córka.

- Też coś! Widzę, że zmieniłeś śpiewkę. Przedtem tak nie myślałeś.

Wręcz wyparłeś się jej.

- To znaczy, że wtedy nie miałem racji, OK? - Zacisnął pięści i wbił je w kieszenie dżinsów tak głęboko, jak się dało. - W tamtej sytuacji mogłem myśleć tylko tak. Dopiero to, że mnie porzuciłaś, sprawiło, że zrozumiałem swój błąd. - Spoglądał na nią wojowniczo. - Teraz przepraszam i chcę ci pomóc.

Brodie potrząsnęła głową.

- Poradzę sobie sama, dziękuję.

- Gdzie ona będzie spała? - spytał Colin już innym, bardziej praktycznym tonem.

- Tutaj, ze mną.

- Ależ tu nie ma miejsca i jest tylko pojedyncze łóżko.

- Są zapasowe łóżka na górze. Wstawię tutaj drugie. - Zrobiła

ruch, jakby chciała wyjść na taras. - Poproszę Reggiego Ormeroda, żeby mi pomógł. Złapał ją za ramię.

- Och, nie bądźże taka cholernie niemądra! Ja je zniosę na dół.

- Nie dasz rady sam. Do tego trzeba dwóch osób. - Chwilę pomyślała.

- Dobrze. Zrobimy to razem. Gdybym poprosiła Reggiego, moja i twoja mama na pewno chciałyby wiedzieć, po co mi drugie łóżko.

Gdyby wiedziały, że Maisie wraca do domu, narobiłyby straszego zamętu... więc lepiej niech to na razie zostanie między nami.

Weszli na górę, gdzie stały dwa pojedyncze łóżka. Oba robiły wrażenie całkiem wygodnych, ale to bardziej nowoczesne - właściwie nie łóżko, a tylko niska podstawa pod materac - było lżejsze i łatwiejsze do przeniesienia.

- Myślę, że to - powiedziała. - Zagłówek się łatwo zdejmuje i z powrotem zakłada.

W kwadrans później łóżko już było ustawione w pokoju Brodie obok jej własnego.

Teraz szukała pościeli w komodzie.

- Do diabła! - zakląła. Mam tylko jedną koldrę. Zapomniałam.

- Mam pojechać do domu i przywieźć? - zaproponował Colin.

- Tak, bardzo ci dziękuję. Weź tę z pokoju Maisie. Zabierz też poduszkę i prześcieradło.

Odsunęła nowe łóżko trochę dalej od swojego. Maisie może będzie wolała nie być tak blisko... Brodie zdecydowała, że nie będzie jej zamęczać miłością: córka może nie być jeszcze na to gotowa. Może nawet będzie wolała, żeby ją zostawić samą? Gdyby chciała mieć pokój tylko dla siebie, Brodie odda jej ten, a sama będzie spała w jednym z małych pokoików na górze.

Po wyjściu Colina wzięła swoje wino i wyszła do ogrodu, na wypadek gdyby ktoś jej szukał. Karen powiedziała, że przyjedzie najprawdopodobniej koło dziesiątej wieczór, a teraz już minęło wpół

do ósmej.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała jej matka.

- Zmęczyłam się, mamo, tylko tyle.

- W takim razie najlepiej się napij herbaty albo kawy, a nie wina. Po winie poczujesz się jeszcze bardziej zmęczona.

Brodie tylko się uśmiechnęła i starała się nie okazać irytacji.

Nie była w nastroju do wysłuchiwanie opinii matki, co jest dla niej najlepsze. Eileen też jej działała na nerwy, bo mówiła o wiele za głośno, a poza tym piła i paliła o wiele za dużo. Jej siostra Mary, która robiła wrażenie zupełnie trzeźwej, wyczuła chyba dezaprobatę Brodie, ale tylko lekko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Cóż ja tu mogę!”.

Reggie Ormerod poszedł z Charlie do domu; Rachel zabrała Poppy na górę, mówiąc, że ma nadzieję, iż mała nie będzie dzisiaj nikogo budziła płaczem.

- Jestem pewna, że ząbkuje - stwierdziła ponownie. - Dziaśła ma strasznie czerwone.

- Masz coś do ich pocierania? - spytała Eileen.

- O, tak.

Brodie pomyślała, że ta dziewczynka jest naprawdę godna podziwu.

Poppy nie mogłaby sobie wymarzyć bardziej oddanej matki.

Diana i Leo zniknęli w innej stronie ogrodu. Vanessa, prawie zasypiając, siedziała na leżaku. Minęła ósma i słońce już się chowało za drzewami, które teraz rzucały na trawę długie cienie. Brodie usłyszała, że Colin wraca. Poszła przez taras do swojego pokoju i zamknęła ukradkiem za sobą drzwi balkonowe, w nadziei że nikt tego nie zauważy. Potem otworzyła Colinowi od frontu.

- Przywiozłem jeszcze trochę innych rzeczy - powiedział, wchodząc, obładowany pościelą i w dodatku jeszcze dużą plastikową czarną torbą.

- Zabrałem z jej pokoju szlafrok, jakieś kapcie i kilka rzeczy z jej garderoby, w tym kilka koszul nocnych.

- Dziękuję.

Zachował się nadzwyczaj troskliwie.

Pomógł jej pościelić łóżko dla ich córki. Kiedy skończyli, powiedział:

- Z pewnością powinniśmy robić to wszystko razem, najdroższa. Nie tylko ścielić łóżko, ale opiekować się nią, brać za nią wspólnie

odpowiedzialność.

Spojrzała na niego niecierpliwie.

- Musiałeś chyba stracić pamięć. Nie tak dawno nie chciałeś nawet rozmawiać o Maisie. To przecież był powód, dla którego od ciebie odeszłam, to, że nie mogłam znieść twojej obojętności!

Wiedziała, że powtarza to samo, tyle że innymi słowami.

- Już ci powiedziałem, że tak nie myślę. Pogubiłem się w tym wszystkim. - Stęknął i potarł czoło wierzchem dłoni. - Chyba nie jestem w stanie do ciebie dotrzeć.

Usiadła na łóżku.

- Och, Colin - jęknęła. - Okropnie się czuję. Usiadł obok i czule objął ją ramieniem.

- Co ci jest, kochanie? Jesteś chora?

- Nie. Ale to był taki wspaniały dzień. Naprawdę się doskonale czułam i prawie nie myślałam o Maisie.

Myślała, ale tylko przelotnie; ot, takie krótkie wspomnienia z przeszłości. W tej chwili już kompletnie zapomniała, co to było.

- Gdybyś sobie pozwoliła na zamartwianie się o coś w każdej chwili i każdego dnia, zwariowałabyś, i to bardzo prędko - uspokajająco mówił Colin.

Odpoczywała przy nim: nienawidziła go i równocześnie bardzo kochała.

- Tak bym chciała, żeby twoja i moja matka poszły już do domu... -

wyznała. - Strasznie mi działają na nerwy. Poza tym naprawdę bardzo chcę, żeby ich tu nie było, kiedy Maisie przyjedzie.

- Powiem może mojej, że Stephen czeka już na nią z kolacją, dobrze?

- Stephen był młodszym bratem Colina i Eileen z siostrą nocowały u niego. - Zaproponuję, że ją odwiozę, i ciocię Mary też.

Brodie przygryzła wargę.

- Jeżeli twoja mama wyjdzie, moja na pewno przyjdzie tutaj i będzie chciała wiedzieć, co robię. Nie, to raczej jej zaproponuj, że ją odwieziesz do domu. W żaden sposób nie pojedzie rowerem, nie

w takim stanie! Wypiła o wiele za dużo wina. A kiedy wrócisz, spró-

buj mnie uwolnić także od Eileen.

Czuła, że jest w tej chwili okropna, ale wyobraziła sobie, że te obie panie zaczną się zajmować Maisie, kiedy ta się zjawi, głośno komentować, doradzać, a może nawet uronią jedną czy dwie łezki... Eileen mogłaby ją poczęstować papierosem, a mama mocną herbatą z mnó-

stwem cukru, którą uważała za lekarstwo dosłownie na wszystko.

- Spróbuję - obiecał Colin.

Wyszedł i po paru minutach Brodie usłyszała, jak w ogrodzie rozmawia z jej matką, pytając, czy chciałaby, żeby ją odwiózł do domu.

Mama musiała się chyba zgodzić, bo powiedziała: - Pójdę po torebkę.

Torebka leżała na stole w pokoju Brodie.

Natychmiast pomyślała, że matka, wchodząc tu, powie: „Co, u diabła, tu robi to drugie łóżko?”.

Zniosła torebkę do ogrodu i podała matce. Megan jeszcze godzinami żegnała się ze wszystkimi: a to dobranoc, a jaki cudowny to był dzień, a jak to wspaniale, że zebrali tyle pieniędzy na ośrodek, a to, że Tinker nie posiadał się z radości...

Ledwie wyszła, Eileen i Mary także zaczęły się żegnać w identyczny, nieznośnie rozwlekły sposób.

Wtedy Vanessa ziewnęła i pocierając oczy, powiedziała, że idzie prosto do łóżka.

Rachel i Poppy już dawno poszły, tak że zostali już tylko Diana i Leo, których jednak nie było nigdzie widać.

Brodie głęboko westchnęła z ulgą i wróciła do swojego pokoju. W

całym domu i ogrodzie panowała teraz niezmacona cisza.

Chciałaby, kiedy jej córka przybędzie do domu, być jedyną osobą, która ją przywita. Gdyby Karen chciała się czegoś napić, Brodie jej pokaże, gdzie jest kuchnia i zaproponuje, żeby się sama obsłużyła; ona się przede wszystkim zajmie Maisie.

Zostało jeszcze trochę kanapek i babeczek... Brodie miała teraz wrażenie, że cała ta wystawa była co najmniej tydzień temu, a nie dzisiaj po

południu.

Brakowało już tylko kwadransa do dziesiątej i panowała ciemna noc.

Brodie przygotowała herbatę; nosiła się z tą myślą już od pół godziny.

Zadzwoniła jej komórka. To Colin powiadamiał, że szczęśliwie odwiózł jej matkę do domu i chciał wiedzieć, czy jego własna matka jeszcze jest w „Kasztanach”. A skoro jej już nie ma, to czy Brodie chce, żeby wrócił, czy ma pojechać do domu?

Brodie zaproponowała, żeby przyjechał jutro. Starał się jak mógł być pomocny i byłoby głupio odsuwać go od siebie.

Siadła w pokoju z herbatą.

W pewnej chwili wstała, włączyła komputer i wysłała maila do Josha, informując, że jego siostra jest w drodze do domu.

Potem wyświetliła fotografię dziadka i siedziała, patrząc na nią, aż usłyszała parkujący przed domem samochód.

- Chyba ci zdrętwiały nogi - mówiła łagodnie Karen, pomagając córce Brodie wydostać się z tylnego siedzenia auta. - Chodź, oprzyj się o mnie.

- Pozwól, że pomogę.

Brodie zapaliła światło na ganku i zbiegła ścieżką do furki. Jeszcze ciągle nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Jest twoja mama - rzekła Karen.

Maisie miała trudności z wydobyciem się z auta. Brodie zawołała: - Maisie! Och, moje słoneczko!

Karen wzięła Maisie pod prawe ramię, a Brodie pod lewe. Jej ręczki były chude jak patyczki.

- Witaj, mamó - wymamrotała Maisie.

W końcu stanęła, niezdarnie, chwiejnie, i zrobiła krok do przodu, tak że lampka na ganku oświetliła wyraźnie jej sylwetkę.

Dopiero wtedy Brodie dostrzegła, że córka jest w bardzo zaawansowanej ciąży: najmniej siedem miesięcy, a może i więcej.

Rozdział 11

Zadzwoniła komórka Brodie. To Colin.

- Rozumiem, że Maisie już jest? - powiedział spokojnie.

- Przyjechała jakieś pół godziny temu. Ale, Colin... - zaczęła i natychmiast przerwała, jakby jej było trudno mówić dalej.

- Co takiego? - spytał.

- Ona... jest w ciąży. Siódmy, a może i ósmy miesiąc już minął. Poza tym Maisie okropnie wyglądała, była podobna do chodzącego trupa, śmierdziała brudem i jakimś kwaśnym odorem.

- Chryste Panie! Powiedziała, kto jest ojcem? Czy w ogóle wie, kto nim może być?

- Nie miałyśmy możliwości rozmawiania o tym - zmęczonym głosem odparła Brodie. - Karen znalazła ją w jakimś miejscu w Islington... w takim ośrodku rehabilitacji narkomanów. Ale nie była tam długo...

najwyżej kilka dni. - Brodie przełknęła z wysiłkiem ślinę i starała się powstrzymać łzy. - Karen uważa, że powinno być z nią wszystko w porządku.

- Dzięki Bogu! - westchnął Colin. - A teraz... co Maisie robi teraz?

- Śpi. Kiedy przyjechała, poszła prosto do toalety, a potem rzuciła się na łóżko w ubraniu. Jest bardzo nerwowa. Ja w tej chwili rozmawiam z tobą z ogrodu. Zostawiłam okno otwarte, na wypadek gdyby się zbudziła i czegoś potrzebowała. - Brodie westchnęła.

ła. - Szkoda, że nie palę: to by mi pomogło się rozluźnić. - Takim osobom jak Eileen palenie chyba istotnie pomagało.

- A może napij się trochę wina? - zasugerował.

- Już i tak wypitałam za dużo. Nawet teraz jeszcze nie jestem całkiem trzeźwa. - Poza tym to nie pomagało. Wino sprawiło, że się robiła nerwowa i drażliwa. Właśnie dlatego wyszła do ogrodu: potrzebowała uspokojenia, świeżego powietrza. - Czego mi trzeba, to filiżanki mocnej, gorącej herbaty z mnóstwem cukru; o, taką zrobiłaby mi mama, gdyby tu była.

- A może chcesz, żebym przyjechał i zrobił ci ją w zastępstwie mamy?

Wyglądało na to, że za wszelką cenę chce być pomocny i że najwyraźniej zdołał w sobie pokonać uczucie niechęci wobec córki.

- Nie, dzięki. Zaraz sama sobie zrobię.

- Ale rano będę mógł przyjechać? Tak jak powiedziałaś?

- Naturalnie, Colin. W każdej chwili.

Mimo wszystko w ogrodzie było naprawdę przyjemnie.

Jedyne światło sączyło się z pokoju Diany. Zasłony w oknie były zaciągnięte, więc światło padało na trawę rozproszone, w formie wachlarza. Kwiaty pachniały nocą o wiele mocniej niż za dnia, a odgłosy przejeżdżających pociągów były głośniejsze i ziemia od nich drżała. Drzewa odcinały się czarnym cieniem na niebie, ciemnopomarańczowym od światła miasta, tak jakby ktoś z przestrzeni międzyplanetarnej skierował na Liverpool gigantyczny reflektor. Wysoko błyszczało zaledwie kilka słabo widocznych gwiazd. Z krzaków dobiegały odgłosy szurania i skrobania; pewnie jakieś małe zwierzątka odbywały w nich przyjęcie.

Pojawił się rudy Kenneth. Ocierał się o nogi Brodie, ogon miał

sztwno wyprostowany i uniesiony w górę. Głośno mrucał. Pochyliła się i pogłaskała pokryty futerkiem grzbiet, po czym wzięła kota na kolana.

- Co ty tu robisz, tak późno w nocy? - spytała. - Mam nadzieję, że nie zabłądziłeś!

Kot odpowiedział jeszcze donośniejszym mručeniem i umościł się wygodniej na jej kolanach.

Diana otworzyła okno i scenicznym szeptem zapytała: - Napijesz się czegoś, Brodie?

- Och, tak, herbaty! Proszę. Bardzo mocnej. Dziękuję. Zrezygnowała z cukru. W tej chwili na samą myśl o słodkiej herbacie robiło jej się mdło.

- Za momencik. - Okno się zamknęło.

Ta dziewczyna to prawdziwy brylant, pomyślała Brodie. Ona i Leo wyszli z ogrodu w tej samej chwili, kiedy Karen Young przywiozła Maisie. Diana natychmiast odesłała biednego Lea do domu i zaprowadziła policjantkę do gabinetu, gdzie podała jej herbatę i coś do jedzenia. Kiedy Brodie głaskała córkę po głowie, starając się uspokoić jej nierówny, nerwowy sen, słyszała stamtąd przytłumione, poważne głosy obu kobiet.

Potem Karen cicho zapukała do drzwi pokoju Brodie, by jej powiedzieć, że już wraca do Londynu.

Brodie wyszła z nią na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Na pewno nie chcesz przenocować? Moja matka mieszka niedaleko stąd i ma wolny pokój gościnny...

- Wiesz co, jeśli nie masz nic przeciw temu, wolałabym pojechać już teraz: o tej porze prawie nie ma ruchu. A wyśpię się jutro - mówiła Karen. Jej młoda twarz tryskała po prostu zdrowiem: nie wyglądała ani trochę na zmęczoną długą podróżą. - W kuchni położyłam ci na stole kilka broszurek... To ci pomoże zrozumieć, co się teraz dzieje z Maisie.

- A nie usiadłabyś ze mną na chwilę?

- Nie, dziękuję. Będę przecież siedzieć przez całą drogę do Londynu.

- Odchrząknęła. - Wiesz, ona była w tym ośrodku rehabilitacji w Islington tylko przez parę dni. Już od tygodni brała coraz mniejsze dawki narkotyku. To była heroina. Ostatnią dawkę wzięła kilka dni temu i odtąd strasznie cierpi. Właśnie dlatego poszła do ośrodka: potrzebowała pomocy. W tej chwili już właściwie prawie opanowała uzależnienie.

- To bardzo szybko! Naprawdę potrzeba było tylko kilku dni, żeby to pokonać?

Więc dlaczego wcześniej tego nie zrobiła?

Maisie zapłakała przez sen, a Diana albo włączyła telewizję, albo płytę CD. Z jej pokoju dobiegały tony jakiejś wysoce dramatycznej muzyki.

- Tak, ale trzeba podjąć decyzję, że się to naprawdę chce rzucić - poważnie stwierdziła Karen. - A to jest właśnie największa przeszkoda. No i potem trzeba umieć dotrzymać danego sobie słowa.

W ośrodku panuje opinia, że Maisie postanowiła rzucić narkotyki ze względu na dziecko, i to jest naprawdę pozytywny objaw. Dała tym dowód olbrzymiej siły woli i odwagi. Teraz przez jakieś trzy, cztery tygodnie będzie się czuła strasznie podle: będzie miała bóle w stawach, ataki panicznego strachu, koszmarne sny i tak dalej. Postaraj się nie zostawiać jej samej, po prostu na wypadek gdyby jej wola osłabła, bo wtedy zacznie szukać „kopa”.

- Będziemy uważać - obiecała Brodie. - Ale co z dzieckiem?

Słyszałam, że dzieci narkomanów mogą się rodzić z zespołem abstynencyjnym⁷.

- W przypadku Maisie to raczej niemożliwe. Nie brała narkotyków długo i nałogowo. Nigdy nie brała w postaci zastrzyków, tylko paliła to świństwo. Niemniej będzie dobrze, jeżeli jak najprędzej obejrzy ją lekarz. - Karen wyciągnęła rękę. - Będę już lecieć, Brodie. Mam nadzieję, że z Maisie wszystko będzie dobrze, a także z tobą i twoim mężem.

Brodie nie podała ręki, tylko rzuciła się dziewczynie w ramiona.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo ci dziękuję za to, że ją znalazłaś i przywiozłaś! - Wiedziała, że będzie wdzięczna Karen do końca życia. -

Będę ci dawała znać, jak się mają sprawy.

Karen odjechała, a Brodie znowu usiadła przy Maisie i starała się łagodzić jej niespokojny sen. Oczyma wyobraźni widziała sceny z przeszłości: Maisie jako niemowlę, jako maluch na czworakach,

7 Zaburzenia związane z odstawieniem środka uzależniającego.

jako mała dziewczynka w przedszkolu, a potem w szkole i tak dalej, aż do dnia, kiedy wyjechała z domu na uniwersytet. W tych wszystkich obrazach jej córka była jakby jasnym promyczkiem: jasnooka, z lśniącymi włosami i kremowymi policzkami.

Myślała też o Joshu. Po chwili włączyła komputer, ściszywszy przedtem dźwięk. Znalazła w poczcie maila od syna: *Czy z Maisie wszystko w porządku? Powiedz jej, że ją kocham i pytam, kiedy będę mógł przyjechać i ją zobaczyć.*

Brodie na razie nie odpowiedziała: nie bardzo wiedziała, co ma napisać. Postanowiła odpowiedzieć mu jutro.

W końcu Maisie się uspokoiła. Dopiero wtedy, gdy córka mocno zasnęła, Brodie wyszła do ogrodu, a Diana przyniosła jej herbatę.

- Idę teraz spać - wyszeptła dziewczyna. - Zobaczymy się rano.

- Dobranoc, kochanie. - Brodie chwyciła dziewczynę za rękę. - I dziękuję ci bardzo.

Diana wiedziała, że Brodie ma córkę - zresztą wiedzieli o tym także Vanessa i Rachel - ale nie miały pojęcia, że jej córka jest narkomanką.

Okno w pokoju Diany się zamknęło, zasłony zostały zaciągnięte. Po kilku minutach zgasło też światło. Zapanowała ciemność, skąpe światło sączyło się wyłącznie z nieba. Dopiero teraz Brodie dała ujście tak długo powstrzymanyemu łzom, które popłynęły jej strugami po policzkach. Płakała cicho, a jej łzy padały na rudy grzbiet Kennetha.

Myślała o córce, którą miała kiedyś... i o tej, którą teraz odzyskała.

Kwadrans po czwartej Maisie się obudziła i zaczęła jęczeć.

- Strasznie mnie boli! - wyła. - Boli mnie... całe ciało mnie boli!

Brodie, która już wtedy leżała we własnym łóżku, wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Maisie.

- Co ci jest, najdroższa? Może ci coś podać?

- Tak strasznie mnie boli... Kości mnie bolą. - Nagle usiadła na łóżku i straciła z ramienia rękę Brodie. - Masz jakieś tabletki? Od bólu głowy? Aspirynę?

- Zaraz coś znajdę.

Na półce w kuchni stał paracetamol.

- A kto ty jesteś? - niegrzecznie rzuciła Maisie. - Gdzie ja w ogóle jestem?

- Twoja mama, najdroższa... a jesteś w domu. - Brodie włączyła nocną lampkę przy łóżku. - Patrz! - powiedziała nienaturalnie jasnym głosem. - Poznajesz mnie?

Maisie wpatrywała się w nią, patrzyła i patrzyła, aż oczy jej się zaszklily, a twarz przybrała taki wyraz, jakby miała zaraz zemdleć.

- Mama... - szepnęła łamiącym się głosem.

Brodie nie wiedziała, czy ją może przytulić, czy nie powinna.

Powstrzymała łzy w obawie, że się znowu rozplacze, i spytała: - Chciałabyś, żebym ci przygotowała coś do picia, córeczko? Herbatę albo kawę? A może gorące mleko? Dawniej tak lubiłaś kubek gorącego mleka przed zaśnięciem, pamiętasz?

- Mleko byłoby najlepsze. Dziękuję. - Położyła się i schowała twarz w poduszkę. - Okropnie się czuję - jęknęła.

- Zaraz ci przyniosę tabletkę - obiecała Brodie.

Siedziały teraz na łóżkach, matka i córka, pijąc mleko.

Brodie nie potrafiłaby opisać, co wtedy czuła. Cała sytuacja wydawała się kompletnie nierealna. Nie była przygotowana na coś takiego. Między

jednym a drugim łykiem Brodie rzuciła obojętne uwagi w rodzaju: jaka dzisiaj gorąca noc; jakie w tym roku mieliśmy piękne lato. Mówiła o tym, że Josh nadal się wdaje w interesy, które jak dotąd nigdy mu się nie udają... Teraz kupił starą furgonetkę i zajął się przewodnikami. - Obawiam się, że tak jak wszystko dotychczas, ten interes też mu się nie uda.

Myślała o braciach Diany. Najmłodszy, Garth, zdał doskonale egzaminy i w październiku wybierał się na uniwersytet w Manchesterze, mimo że nie miał przecież rodziców, którzy by mu pomogli. Czy to możliwe, myślała, żeby pomagać dziecku za bardzo?

Może ona i Colin popełnili właśnie taki błąd?

Maisie zaczęła gwałtownie dygotać. Brodie dotychczas nigdy w życiu nie słyszała, żeby komuś naprawdę szczykały zęby.

- Może się chcesz wykąpać? - spytała. Ona sama zawsze uważała kąpiel za cudowne lekarstwo dosłownie na wszystkie dolegliwości, podobnie jak jej matka - słodką herbatę. Colin zawsze dawniej z tego żartował. - Woda jest jeszcze gorąca.

- Dobrze - zgodziła się Maisie. Trochę to było zaskakujące. Brodie wstała z łóżka i zaczęła się kręcić po pokoju: wzięła szlafrok, kupiony przez Colina, koszulkę nocną, kapcie.

- Tatuś przyniósł to wszystko przed twoim przyjazdem - wyjaśniła.

- Tatuś? A gdzie on jest? - Maisie, nadal rozdygotana, rozglądała się po słabo oświetlonym pokoju. - To przecież nie jest dom w Crosby.

Dlaczego taty tu nie ma?

- To był przedtem dom babci, a teraz jest mój. Nigdy w nim nie byłaś.

Po prostu mieszkam tu teraz, i to wszystko. Tata ma przyjść jutro.

Była rada, kiedy Maisie, zamiast zadawać kolejne pytania, skończyła pić mleko i wstała z łóżka. Brodie cieszyła się, że córka zgodziła się wykąpać. Dzięki temu zlikwiduje się ten obrzydliwy odór.

Poszły na górę. Brodie puściła wodę, dodając piankę do kąpieli z drzewa herbacianego. Maisie stała cały czas przy drzwiach i patrzyła.

- Wystarczy? - spytała wreszcie Brodie, kiedy wody w wannie było już koło dwudziestu centymetrów i pokrywało ją mnóstwo bąbelków piany.

Maisie pociągnęła nosem i przytaknęła. Długie ciemne włosy zwisały jej w strąkach, częściowo przesłaniając twarz. Ściągnęła zapinany sweter: jej koszulka z krótkim rękawem, którą nosiła pod spodem, była w szaroczarnym odcieniu. Dżinsy robiły wrażenie niepranych od wielu miesięcy. W przerwie pomiędzy koszulką i dżinsami skóra na jej brzuchu była tak napięta, że niemal błękitna.

- Tu masz szampon... jeżeli chcesz umyć głowę. Aha, i ta różowa szczoteczka do zębów jest moja: możesz jej użyć, jeżeli chcesz. Chyba nie mam dla ciebie nowej. Powiesiłam twój szlafrok i nocną koszulkę na drzwiach, a na stołku są czyste ręczniki. No, cóż...

rzekła wreszcie, trochę zadyszana. - Zostawiam cię teraz, dobrze?

-Odkąd Maisie skończyła dziesięć lat, matka nie asystowała jej w łazience.

- Proszę.

- I nie zamykaj drzwi na zasuwkę. Aha, możesz się kąpać, jak długo chcesz. Będę na zewnątrz, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Dobrze, mamó.

To „mamó” miało w sobie coś z normalności i było raczej pocieszające. Najciszej, jak tylko mogła, Brodie wyciągnęła z jednego z małych pokoików krzesło z wielkim wyściełanym siedzeniem i ustawiła w pobliżu drzwi do łazienki. Nie chciała przeszkadzać Vanessie ani Rachel i Poppy - jeżeli już im nie przeszkodziła. To nie był dom, w którym mieszkańcy biorą kąpiel o wpół do piątej rano.

Minęło dobre pół godziny, zanim Maisie wyszła z łazienki. Teraz już wyglądała prawie jak człowiek, niemal tak jak dawna Maisie, w swoim cytrynowożółtym szlafroku i białej koszulce nocnej. Umyła włosy i związała je z tyłu. Na jej prawym policzku widniała duża krosta -

niemal czyrak. Drugi taki miała na czole.

- Idę spać - oznajmiła.

Brodie przez cały czas kąpieli córki walczyła ze snem; bała się, że spadnie z krzesła.

- Wysuszę ci włosy - zaproponowała - a potem obie pójdziemy spać.

Miała wrażenie, że będzie potem spała cały tydzień.

Włosy Maisie były teraz żałośnie rzadkie w porównaniu z jej dawną gęstą czupryną. Kiedy już były suche i dziewczyna wróciła do łóżka, powiedziała sennym głosem:

- Lepiej mi teraz. A nie budź mnie, gdyby dzwonił Pete.

- Czy Pete ma do ciebie dzwonić? - spytała Brodie. - Lepiej mi daj swoją komórkę. A czy on wie, gdzie jesteś?

Gdyby tak było, mógłby się tutaj w każdej chwili zjawić. Po krótkim milczeniu Maisie się roześmiała - jakimś takim zardzewiałym śmiechem.

- Zapomniałam: ktoś mi zwinął komórkę. Poza tym nawet ja sama nie bardzo wiem, gdzie teraz jestem.

- A kto to jest Pete, kochanie? - odważyła się spytać Brodie.

- Mój chłopak.

Następnego rana o godzinie wpół do dziewiątej Maisie była jeszcze stracona dla świata; kiedy Brodie szykowała w kuchni wodę na herbatę, z jej pokoju nie dochodził żaden dźwięk.

Ona sama nie zmrugała oka od chwili, kiedy się położyła, czyli od piątej rano. Bez przerwy zadawała sobie pytania, na które i tak nie potrafiłaby znaleźć odpowiedzi.

Słyszała, jak Diana wychodzi do pracy. Już o wiele za późno zdała sobie sprawę, że przecież i ona powinna była dawno wyjść do pracy.

Był poniedziałek - zaczynał się nowy tydzień. W tych okolicznościach właściwie mogłaby nie wychodzić. Za chwilę zatelefonuje do pani Cowper w „Pięciu Dębach” i powie jej, że odchodzi - nie, że już odeszła. To nie będzie miłe, sprawi tej kobiecie wielki zawód, ale nie miała wyboru.

Jak szybko życie może ulec zmianie, pomyślała. Czasami na lepsze, czasami na jak najgorsze. Wczoraj o tej porze była tu w kuchni ze swoją matką i z Dianą. Stały, zastanawiając się, czy wystawa Vanessy będzie dzisiaj miała większe powodzenie niż poprzedniego dnia. I rzeczywiście, tak się stało.

Teraz w domu była Maisie, zatem życie się zmieniło na lepsze. Miała nareszcie swoją córkę pod własnym dachem i mogła się nią zająć.

Kłopot w tym, że życie teraz stało się gorsze. A może i nie gorsze -

zastanowiła się. Po prostu bardziej pełne kłopotów, problemów, bardziej rzeczywiste.

Teraz znowu musi się martwić o Maisie, tyle że w inny sposób, już nie na odległość.

Dzwonek u drzwi zabrzączał w ten swój dziwny, buczący sposób.

Brodie pospieszyła otworzyć.

Na progu stała jakaś kobieta, wyglądająca na jakieś czterdzieści lat, w „biznesowym” czarnym kostiumie i pantoflach na płaskich

obcasach. W rękach trzymała notes i pióro. Czarne włosy miała przycięte w prostą grzywkę, a na nosie ciężkie okulary w rogowej oprawie, co razem wzięwszy, nadawało jej pozór osoby, która w przeszłości mogłaby być kapo w obozie koncentracyjnym. Obrzuciła Brodie - w jej dżinsowej spódnicy, bluzce w kratkę i klapkach -lekceważącym spojrzeniem. Brodie to zauważyła i jej instynktowna niechęć do tej osoby jeszcze się pogłębiła.

- Słucham? - zwróciła się grzecznie do przybyłej.

- Chcę się zobaczyć z Rachel Keen - odparła ostro kobieta tonem nieznoszącym sprzeciwu, nie racząc nawet dodać „proszę”.

- Nie ma jej tu.

Rachel i Poppy bez wątplenia spały teraz u siebie na górze, ale zdaniem Brodie ta baba powinna sobie iść do diabła. Nie miała zamiaru jej w niczym pomagać.

- A kiedy będzie?

- Nie mam pojęcia.

- Czy ona naprawdę tu mieszka?

- Tak.

- A co to w ogóle za dom?

- Z cegły. - Brodie już straciła cierpliwość. - Co pani rozumie przez „co to w ogóle za dom”? To ani nie noclegownia, ani domek o złej reputacji. To po prostu dom, a ja jestem jego właścicielką.

- Ahaaa... tak.

Sarkazm Brodie w ogóle nie podziałał na tę kobietę: zapisywała teraz coś w notesie.

- A jak się pani nazywa?

- Hillary Clinton.

Brodie zaczynała bawić ta cała sytuacja.

- Pani czy panna?

- Z pewnością pani.

- Musi pani mieć jakieś pojęcie, gdzie jest teraz Rachel.

- Myślę, że może być na wakacjach. Uznała, że teraz czas, by to ona zadała pytanie.

- A z jakiego powodu chce się pani widzieć z Rachel?

- Wiemy - odparła ponuro baba - że Rachel jest nieletnią matką i wyrażono zaniepokojenie, czy dziecko jest pod odpowiednią opieką.

Brodie zastanawiała się, czy osobą, która „wyraziła zaniepokojenie”, była matka Rachel czy ojciec Tylera. Vanessa mówiła jej, że ten ojciec to niezły kawał rozrabiaki.

Powiedziała:

- Wiem, że Rachel co tydzień bywa z dzieckiem w klinice, w towarzystwie bardzo odpowiedzialnej osoby dorosłej. Jest o wiele lepszą matką, niż ja byłam kiedykolwiek, i w ogóle powinna być wzorem dla wszystkich matek, w każdym wieku! A teraz muszę panią przeprosić, jestem bardzo zajęta. Żegnam!

Zamknęła drzwi, oparła się o nie i stała tak z uczuciem triumfu. Tę bitwę z pewnością wygrała.

Po chwili jednak poczuła wstyd. Ta nieszczęsna baba po prostu wykonywała swoją pracę. Otworzyła z powrotem drzwi, ale po nie-proszonym gościu nie było już śladu, a z oddali dosłyszała odgłos odjeżdżającego auta.

- Przepraszam... - szepnęła tak ogólnie, w stronę drogi. - Naprawdę przepraszam.

Wyszła przed dom i głęboko odetchnęła. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. To lato było chyba najpiękniejsze ze wszystkich, jakie pamiętała.

Jeżeli globalne ocieplenie ograniczyłoby się tylko do takiego lata, to była w stu procentach za nim.

Zeszła do kuchni, ponownie zagotowała wodę, zrobiła herbatę i zabrała ją ze sobą do ogrodu. Ku swemu zaskoczeniu znalazła tam Rachel i Charlie: czytały jakąś gazetę, ściśnięte na leżaku jak sardynki.

Vanessa siedziała na ławce, trzymając na kolanach Poppy, która z pasją żuła swoją grzechotkę. Kenneth ułożył się na gałęzi drzewa nad nimi.

Wyglądał jak taka futrzana rzecz, którą kiedyś nosiła na szyi jej matka: to się chyba nazywało „boa” i było brązowe, a nie rude.

- Cóż za piękny obrazek szczęścia domowego! - zawołała, podchodząc.

Wszystkie, nie wyłączając Poppy, spojrzały na nią i uśmiechnęły się.

Postanowiła nie mówić Rachel o porannej wizycie. To by tylko zdenerwowało dziewczynę, a ta kobieta może już nigdy tu nie wróci...

Najwyżej porozmawia o tym z Vanessą, kiedy będą same.

- Poppy już wyszła połowa zęba - oznajmiła Vanessa.

- No, czy to naprawdę nie mądra dziewczynka?! - krzyknęła Brodie. -

Kiedy się pokazał?

- Chyba wczoraj w nocy - odparła Vanessa w imieniu malutkiej. -Bo z pewnością go tu jeszcze nie było, kiedy się kładła spać.

- Zeszłej nocy - zaczęła Brodie - moja córka Maisie przyjechała bardzo późno i brała kąpiel. Mam nadzieję, że żadnej z was nie przeszkodziła?

Rachel stwierdziła, że nic nie słyszała. Vanessa tylko powiedziała: - Zastanawiałam się, kto to może być.

- Maisie spodziewa się dziecka - ciągnęła Brodie. - Uznała, że chce je urodzić w domu. To nie znaczy akurat w tym domu, po prostu w Liverpoolu.

- Kiedy to ma być? - chciała wiedzieć Rachel.

- Nie jest tak całkiem pewna. Myśli, że za jakieś sześć tygodni.

Vanessa się nie odezwała. Brodie odniosła wrażenie, że nie była z tej wiadomości szczególnie zadowolona. Może się domyślała, że Maisie nie przyjechała tu tylko dlatego, iż jest w ciąży, ale że było też coś innego, coś, co mogłoby zakłócić spokojne życie, jakie tu wiodła od chwili, kiedy się wprowadziła do „Kasztanów”.

Jakby na potwierdzenie jej podejrzeń, z wnętrza domu dobiegł

przenikliwy krzyk. Brodie wpadła do środka. Doprawdy, spokojne życie!

Maisie stała pośrodku pokoju, obejmując rękami piersi: wyglądała na kompletnie obłąkaną. Wrzód na policzku pękł w nocy i teraz czerwona plama sięgała jej aż do podbródka.

- W tym łóżku są robale! - krzyczała. - Pająki! Całe tłumy pajaków!

Brodie ściągnęła pościel z łóżka.

- Nic tu nie ma, kochanie - mówiła. - Popatrz! Jest pusto.

- Ale ja przecież czułam! Łaziły po mnie całe!

Trzęsła się gorączkowo i tarła ramiona i nogi, jakby zrzucając z nich insekty.

- Naprawdę, Maisie, nie ma tu nigdzie żadnych pająków! Brodie brzydziła się pająków, tak samo jak jej córka. Kiedy w ich domu w Crosby znalazł się jakiś pająk, wzywały zawsze na pomoc Colina.

- Nie zabijaj go - błagała wtedy Brodie. - To przynosi nieszczęście.

- Zwłaszcza pająkowi - zgadzał się Colin z szerokim uśmiechem.

Zestaw ratowniczy pająka, jak to nazywał, składał się z kartki brystolu i małej czerwonej plastikowej miseczki. Po paru skomplikowanych manewrach pająk był schwyty i odtransportowany do ogrodu, gdzie -

jak podkreślał Colin - ryzykował najwyżej, że złapie katar.

Maisie nieufnie zbliżyła się do łóżka, żeby sprawdzić, czy naprawdę nie ma na nim tych ohydnych robali, jak je zwykła nazywać.

- Słuchaj! - zawołała Brodie z wesołością, której absolutnie nie czuła.

- Może teraz zjadłabyś śniadanie? Są jajka, tosty, są chrupki, jakie tylko zechcesz...

- A są może lody?

- Tak, na pewno się znajdują jakieś lody...

Dziwna rzecz, lody na śniadanie. W lodówce było opakowanie lodów „kornwalijskich”, należące do Diany, ale ona na pewno nie będzie mieć nic przeciw temu, że trochę sobie wezmą.

- A może, kiedy mnie nie będzie, ubrałabyś się? Tata przywiózł

trochę twoich rzeczy, wiszą w szafie. Boję się tylko, że zapomniał o butach. Aha, i rozpakuj swoją torbę, na wypadek gdyby było tam coś do uprania.

Te obrzydliwie brudne łachy, w jakich Maisie przyjechała, już były w pralce.

W kuchni Brodie zadzwoniła do Colina w nadziei, że go jeszcze zastanie w domu i będzie go mogła poprosić o przywiezienie pan-tofli Maisie. Ku jej przerażeniu telefon odebrał George, jej teść.

Powiedział, że Colin wyjechał dziesięć minut temu.

- Jak sobie radzicie? - uznała za stosowne zapytać.

- Nie najgorzej. A ty jak się masz? - Prawdopodobnie pierwszy raz od lat zainteresował się jej samopoczuciem. To nawet zabrzmiało tak, jakby istotnie był tym zainteresowany.

- OK. A jak wam idzie z triumphem?

Jeśli o nią chodziło, triumph mógł się rozlecieć na kawałki: nie przejęłaby się tym ani trochę.

W tym momencie aż się skręciła ze wstydu. Cóż za okropna z niej osoba dziś rano! Dla jej męża i jego ojca ten samochód znaczył bardzo wiele.

- Doskonale - odparł George. - Naprawdę doskonale.

- Muszę kiedyś wpaść i rzucić na niego okiem.

- Świetny pomysł, Brodie. Jest już prawie gotowy do jazdy. Brodie odłożyła słuchawkę. Okazywało się, że jest w tej chwili w o wiele lepszych stosunkach z George'em, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała.

Przypomniała sobie, że przyszła tu po lody i wybrała kilka łyżek do miseczki.

- Tata przywiózł tylko sukienki - rzekła Maisie, przechodząc z lodami do stolika przy oknie. Miała na sobie śliczną kwiecistą niebieską szatkę z rękawami z falbanką i dołem obrzeżonym angielskim haftem, teraz za ciasną na jej brzuszku. - Już od lat nie nosiłam sukienek. Wolę dżinsy.

- Jestem pewna, że wszystkie swoje dżinsy zabrałaś ze sobą, Maisie -

przypomniała jej Brodie. - A tata prawdopodobnie po prostu złapał z wieszaków to, co wisało u ciebie w szafie. Zresztą w tym wyglądasz naprawdę ładnie - skłamała - mimo że to nie sukienka na ciążę.

W rzeczywistości dziewczyna wyglądała żałośnie chudo, kolana jej sterczały, a kostki rąk przypominały piłki golfowe. Nie była w odpowiednim stanie do rodzenia dziecka.

Maisie pokręciła się niepewnie.

- Śmiesznie się w tym czuję.

- No cóż, to wcale śmiesznie nie wygląda. Wiesz co? Może pójdziemy potem do miasta i kupimy ci jakieś nowe dżinsy i bluzki?

- Dobrze... - westchnęła Maisie.

Parę lat temu zarzuciłaby w takiej chwili matce ręce na szyję i skakała z radości na samą myśl o zakupach, a potem poprosiłaby, żeby przy tej okazji poszły gdzieś razem na lunch...

Brodie była jednak zadowolona z pozytywnej reakcji córki.

Wyobraziła sobie, że się opiekuje kimś, kto jest po prostu inwalidą. To, że Maisie chciała pójść na zakupy, było dość nieoczekiwane. Może Colin też będzie mógł z nimi pójść... wtedy to będzie jakby rodzinna wyprawa, co prawda bez Josha. Przypomniała sobie, że przyrzekła wysłać dzisiaj rano maila do syna. Zrobi to, jak tylko będzie miała wolną chwilę.

Zasłony były nadal zaciągnięte. Rozsunęła je. Vanessa nadal siedziała w ogrodzie z dziećmi. Jeżeli nawet Maisie je zauważyła, nie spytała, kto to.

Rozległo się pukanie do drzwi: przyszedł Colin. Też robił wrażenie zmęczonego, jakby niewiele spał tej nocy.

- Mogę ją zobaczyć? Sam... tylko ona i ja? - wyszeptał.

- Dlaczego? Zmarszczył brwi.

- A dlaczego nie?

Teraz to Brodie się nachmurzyła.

- Żebyś tylko, broń Boże, nie powiedział jej niczego, dobrze? Że z niej będziesz darł pasy albo coś w tym stylu?

- Nie mam zamiaru nic podobnego mówić.

- Ale jeszcze niedawno mówiłeś podobne rzeczy, na przykład „jak sobie pościele, tak się wyśpi” - przypomniała mu.

- Wiem, ale już teraz przestałem. - Niecierpliwie przewrócił oczami. -

Nie myślałem prawidłowo... byłem w takim stanie...

- Och, w porządku. - Odsunęła się, żeby dać mu wejść do pokoju Maisie, a sama zeszła do kuchni, zastanawiając się, o jakim „stanie” on mówił.

- Tatusiu! Och, tatusiu! - usłyszała okrzyk Maisie i aż jej się zrobiło przykro, że ona nie została przywitana równie gorąco.

- Może dzisiaj gdzieś razem wyjdziemy? - spytała Vanessa.

- Powiedzmy, do miasta?

- Wyjdziemy? Ale my przecież nigdy nie wychodzimy dalej niż do kliniki i z powrotem albo do supermarketu - zdziwiła się Rachel.

- Ja i Vanessa wychodziłyśmy parę tygodni temu do miasta kupić jej nową suknię - podlizwała się Charlie.

Między dziewczynkami powstało coś w rodzaju małej rywalizacji, Vanessa musiała więc bardzo uważać, by obie traktować dokładnie tak samo.

- Mogłybyśmy pojechać pociągiem; to o wiele wygodniej niż samochodem - zaproponowała.

Nie czuła się dzisiaj sobą.

Już przedtem mocno podejrzewała, że córka Brodie jest narkomanką albo że stara się z tego wyleczyć, zwłaszcza kiedy usłyszała o czwartej czy piątej rano wodę lejącą się do wanny. Było coś fałszywego w sposobie mówienia Brodie do osoby biorącej kąpiel (wtedy jeszcze Vanessa nie wiedziała, że to córka Brodie), coś nienaturalnego, tak jakby ktoś dorosły przemawiał do dziecka albo pielęgniarka do pacjenta. Kiedy zaś Brodie przyszła do ogrodu i powiedziała -zresztą niezbyt przekonująco - że jej córka przyjechała do domu, żeby tu urodzić dziecko, Vanessa tylko się umocniła w swoich podejrzeniach, które jeszcze potwierdził ów okropny wrzask. To wszystko raczej zaciemniało uroczą dotychczas atmosferę tego domu.

Powód, dla którego dzisiaj rano tak wczesnie się obudziła, nie miał

nic wspólnego z tym, że ktoś brał w nocy kąpiel. Po prostu była strasznie zdenerwowana.

Oto wydarzyło się coś okropnego: nie miała już więcej ochoty malować.

Winą Eileen było, że zasugerowała Vanessie możliwość urządzenia wystawy; drugą winną była Diana, która wszystko zorganizowała.

Ta wystawa okazała się jakby wielkim finałem, końcową uwerturą, ostatnią stroną książki. Ostatnio poświęcano Vanessie za dużo uwagi: naruszono jej prywatność. Odtąd ludzie będą się nią interesować. A ona wolała tworzyć w całkowitej samotności.

Minęło ledwie parę tygodni od chwili, kiedy gratulowała sobie poprawy swojego losu. Teraz, w środku nocy, gdy wiatr poruszał drzewami w ogrodzie i słychać było daleki odgłos policyjnych syren, myśli Vanessy były przykre i ponure.

Nie miały już nic wspólnego z Williamem ani z porzuceniem jej przy ołtarzu czy z przybieraniem na wadze: teraz myślała o tym, że jej życie nie ma sensu, że nie ma w życiu żadnego celu, niczego, do czego mogłaby dążyć. Przedtem myślała, że tym, co zawsze chciała robić, będzie malarstwo, ale się myliła.

W pokoju obok Poppy lekko zakasłała i ten dźwięk przypomniał

Vanessie, że są ludzie, którzy liczą na znalezienie w niej oparcia, w każdym razie teraz. Ale naturalnie nie zawsze tak będzie. Rachel była przekonana, że Tyler wkrótce wróci z Ameryki. Za rok, kiedy Rachel skończy szesnaście lat, nikt nie znajdzie już powodu, żeby jej odbierać Poppy i w związku z tym nie będzie potrzebować opieki i ochrony Vanessy. A jeśli idzie o Charlie, to za tydzień czy dwa dziewczynka pójdzie z powrotem do szkoły.

- Strasznie bym chciała pójść do miasta - mówiła tymczasem Rachel.

- Przyszykuję dla Poppy kilka butelek i zabierzemy je ze sobą, poza tym zapakuję zapasowe pieluszki. Aha, i zanim wyjdziemy, zmienię jej pieluszkę na świeżą.

Wzięła Poppy z kolan Vanessy i poszła do domu. Charlie powiedziała, że też musi pójść do siebie i przyszykować się do wyjścia.

- Ale przecież wyglądasz doskonale w tym, co masz - tłumaczyła jej Vanessa.

Dziewczynka była w bawełnianych szortach i koszulce w paski.

- Nie, potrzebuję kapelusza i torebki - upierała się Charlie. - A ty, czy nie włożysz swojej nowej czerwonej sukni?

- Właściwie... dlaczego nie?

Nie było chyba powodu robić z siebie jeszcze większej cierpiętnicy, wyglądającej jak półtora nieszczęścia i krzywiącej się za każdym razem na widok własnego odbicia w szybie sklepowej.

- Tylko pamiętaj, Charlie! - zawołała za dziewczynką, która już przełaziła przez mur do własnego ogrodu. - Zadzwon do ojca i powiedz mu, dokąd idziesz. Nie mam ochoty znowu wysłuchiwać jego awantur.

Czuła, że gdyby dzisiaj ktoś podniósł na nią głos, wybuchnęłyby płaczem.

Pojechały pociągiem do Central Station, po czym wsiadły do autobusu jadącego na Pier Head: tam oglądały promy, odpływające i przepływające przez rzekę Mersey. Było trochę zamieszania przy wsiadaniu i wysiadaniu z pociągu i autobusu: w końcu miała pod opieką dwójkę dzieci (Vanessa zawsze uważała Rachel za dziecko), a poza tym niemowlę i wózek. Skoro jednak inni to potrafili, to i ona mogła.

Siedziała na ławce, karmiąc Poppy z butelki, podczas gdy obie dziewczynki poszły kupić lody: obie, jak się okazało, miały mnóstwo pieniędzy. Po zjedzeniu lodów goniły się dookoła ławki. Nikt z patrzących z pewnością się nie domyślał, że jedna z tych dziewczynek jest matką niemowlęcia, które klaskało w rączki i pokrzykiwało z radości, siedząc na kolanach dorosłej kobiety.

Poszły powoli z powrotem w stronę miasta, w kierunku sklepów British Home Stores, gdzie Rachel chciała kupić dla Poppy pół tuzina śpioszków.

Następnie powędrowały aż do centrum handlowego przy Clayton Square. Pojechały windą na pierwsze piętro, gdzie wśród licznych sklepów była też restauracja, żeby usiąść i napić się czegoś.

- Pozwolicie, że zajrzę do tego butiku? - spytała Rachel, kiedy już wypita swoją colę. Poppy zasnęła w wózku, a Vanessa dopiero zaczęła pić kawę.

- Oczywiście, że tak.

Nie miała zamiaru niczego Rachel zabraniać.

- Mogę z nią pójść? - Charlie dokończyła swoją colę i zerwała się od stolika.

Vanessa potrząsnęła głową.

- Wolałabym, żebyś została tu ze mną. Jesteś jeszcze za młoda, żeby samej chodzić po sklepach.

Charlie się oburzyła.

- Ale przecież nie będę chodziła sama tylko z Rachel.

- Będę ją trzymała za rękę, obiecuję - dodała Rachel. Sklep był raptem o parę metrów dalej.

- Och, dobrze, ale nie chodźcie nigdzie indziej: tylko do tego jednego sklepu. Później pójdziemy na St John's Market, tam jest całe mnóstwo sklepów.

Patrzyła za nimi, aż się wtopiły w tłum kupujących, przeważnie młodych kobiet. Cały czas trzymały się za ręce.

Z jakiegoś powodu, który na zawsze pozostał niewyjaśniony, Vanessa zaczęła płakać; nie głośno, właściwie całkiem bezdźwięcznie, tyle że wiedziała, że łzy ciężko jej spływają po policzkach i kapią do filiżanki z kawą, wydając cichutki plusk.

Zamknęła oczy, ale najpierw położyła rękę na brzuszku śpiącej Poppy, na wypadek gdyby ktoś chciał ją ukraść, kiedy ona nie będzie patrzyła.

Wszystko wydawało jej się takie przygnębiające! W niedalekiej przyszłości minie rok od jej wprowadzenia się do „Kasztanów”. A co potem? Dokąd pójdzie? Wyobraziła sobie, że już nigdy więcej nie zobaczy Rachel, Poppy ani Charlie... Przed nimi było przecież ich własne życie, a Vanessa po prostu pozostanie osobą, którą kiedyś znały. Mogą nawet o niej zupełnie zapomnieć, tak że nawet nie zostanie po ich wspólnych chwilach żadne wspomnienie...

- Co się stało, Picasso? - spytał jakiś męski głos.

Vanessa gwałtownie otworzyła oczy i ujrzała siedzącego naprzeciw niej Reggiego Ormeroda.

Czarne włosy miał jak zwykle rozczochrane, a koszulka natarczywie domagała się żelazka. Zauważyła, że miał naprawdę ładne

oczy, bardzo ciemnoszare, teraz wpatrzony w nią z wręcz zawstydzającym natężeniem uwagi.

- Nic - odpowiedziała. - Zupełnie nic.

- Kłamczucha - stwierdził dobrodusznie. - Nikt nie płacze bez powodu.

- Ja tak, taki mam zwyczaj. - Wytarła nos papierową chusteczką. - Co tu robisz?

- Charlie dzwoniła do mnie wcześniej i powiedziała, że się wybieracie do miasta - wyjaśnił. - Poprosiłem, żeby zadzwoniła, jak już tu będziecie. Miałem dziś rano spotkanie z takimi dwoma facetami z Ameryki w hotelu przy Lime Street. Pomyślałem, że się możemy zdybać tutaj na chwilę.

Miał na myśli, że chciał się tu „zdybać” z Charlie, czy z nią? - zastanowiła się Vanessa, zanim zdecydowała, że właściwie to jej wszystko jedno, a potem zdecydowała, że bynajmniej nie wszystko jedno, wręcz przeciwnie, i miała nadzieję, że to jednak chodziło o nią.

To by jej świetnie zrobiło.

- Charlie jest w tym sklepie za twoimi plecami - dodała.

- Wiem, widziałem, jak tam wchodziła.

To znaczyło, że musiał obserwować ją płaczącą przez co najmniej pięć minut!

W podobnych okolicznościach większość mężczyzn starałaby się uciec jak najdalej.

Poppy się zbudziła, uśmiechnęła się szeroko do nich obojga, po czym zasnęła z powrotem. Na widok tego uśmiechu Vanessa nie mogła już wytrzymać i znowu zaczęła płakać.

- Cały czas myślę, że wkrótce przyjdzie dzień, kiedy już nie zobaczę więcej Poppy, bo i ona, i Rachel znikną z mojego życia; zresztą Charlie też...

- Charlie i ja nie myślimy o przeprowadzce - powiedział łagodnie.

Położył dłoń na jej rękach: pomiędzy nimi przebiegł jakby delikatny prąd. Vanessa poczuła w piersi coś dziwnego, jakby jej serce z lekka podskoczyło.

- Tak, ale ja się będę musiała przeprowadzić - wyznała. - Brodie prawdopodobnie sprzeda w przyszłym roku swój dom. Nie mam pojęcia, dokąd wtedy pójdę.

- Nie masz rodziny?

- Tłumy - odparła. - Mnóstwo, aż za dużo. Ale kiedy jest się nieszczęśliwą, nie można wiecznie siedzieć rodzinie na karku. W

końcu trzeba sobie jakoś samej poradzić.

- Nie powinnaś być dla siebie taka twarda, Picasso.

To imię przypomniało jej główny powód obecnego stanu.

- Nie chcę już więcej malować - rzekła żałośnie. - Nie wiem dlaczego, ale po wczorajszej wystawie straciłam całe zainteresowanie dla malarstwa.

- Nie bądź niemądra - skarcił ją. - Właśnie cię chciałem poprosić, żebyś namalowała obraz do mojego biura.

- Jaki to miałby być obraz? - spytała z odrobiną zainteresowania.

- Jaki chcesz, pod warunkiem że będzie kolorowy i długi co najmniej na dwa metry. Nie chciałbym niczego białego z paroma maźnięciami czarną farbą, które miałyby oznaczać coś niezmiernie ważnego. Po prostu walnij mnóstwo farb na płótno i wymieszaj. Taki właśnie obraz chciałbym mieć.

- Dobrze... - powiedziała powoli.

Przez głowę już przelatywały jej rozmaite pomysły. Powinna kupić trochę nowych farb, korzystając z pobytu w mieście. Nie, tu ich nie kupi, kupi je jutro w sklepie Leonarda... razem z naprawdę wielkim płótnem.

- Tatuś! - Charlie biegiem wpadła do restauracji. - Nie wiedziałam, że tu będziesz! Kupiłam sobie nową bluzeczkę.

Wyciągnęła z torby niebieski, marszczony T-shirt i pokazała im.

- Bardzo ładna - stwierdził z uznaniem Reggie. - Naprawdę bardzo ładna.

- A ty co kupiłaś, Rachel? - zwróciła się Vanessa do drugiej dziewczynki, nie chcąc, żeby tamta czuła się niedowartościowana.

- Tylko czerwone dzinsy i T-shirt. - Pociągnęła noskiem i skrzywiła się. - Poppy trzeba zmienić pieluszkę. Tu chyba gdzieś jest toaleta, gdzie można... - Wyprowadziła wózek i oddaliła się. Charlie popędziła za nią.

- Ja z tobą!

- To wspaniałe... - westchnął radośnie Reggie Ormerod, patrząc za dziewczynkami.

- Co wspaniałe?

- Nie wiem... ale cokolwiek to jest, jest wspaniałe.

W innej stronie Liverpoolu, w innej restauracji, oddalonej zaledwie o paręset metrów od tamtej, Maisie Logan czepiała się ramienia matki.

- Kup mi coś - mówiła zachrypniętym głosem. - Cokolwiek, coś do zucia. Cukierki toffi. Ale daj mi coś takiego już, teraz.

- Ja to załatwię. - Colin w panice zerwał się na nogi. - Czy tutaj sprzedają słodczyce? Tam na dole, gdzie jedzenie?

Byli w sklepie Marks & Spencer. Broddie przytaknęła.

- Potrzebny mi strzał - powiedziała Maisie, obliczając wargi.

- Naprawdę mi potrzebny jeden cholerny strzał!

Brodie z trudem przełknęła ślinę.

- W porządku, kochanie. Tata poszedł i zaraz ci przyniesie jakieś cukierki. A może wypijesz trochę kawy?

- Nie! Czy tu można palić? Masz może papierosa?

- Obawiam się, że obecnie nigdzie w Liverpoolu nie wolno palić. -

Ręka Maisie zacisnęła się na jej ramieniu. - A poza tym, Maisie, jesteś w ciąży. Byłoby bardzo niedobrze dla dziecka, gdybyś teraz paliła.

- Oj, mammo! Tylko mi tu nie rób żadnych pieprzonych wykładów!

Obrzuciła Brodie spojrzeniem, które można było określić jedynie jako pełne nienawiści.

Dwie kobiety przy sąsiednim stoliku popatrzyły na siebie znacząco.

Jedna z nich cmoknęła i potrząsnęła głową. Brodie starała się nie zwracać na to uwagi, ale nie mogła pohamować uczucia

wstydu. Jak by się czuła na miejscu którejś z tych kobiet, słysząc, jak córka wymyśla matce w taki sposób?

Przypomniała sobie ich dawne rodzinne wyjścia na zakupy.

Tymczasem to, co było dzisiaj, to jakiś koszmar.

- W porządku - mówiła Maisie. Uścisk ręki zelżał. Zaczęła głęboko, głośno oddychać. - Już się lepiej czuję.

- Naturalnie, kochanie - zagruchała Brodie, obejmując córkę ramieniem. - Niedługo w ogóle wszystko już będzie dobrze.

Sama bardzo chciałyby w to wierzyć.

Wrzesień-październik 2006

Rozdział 12

Tinker powiedział Dianie, że w jej oczach widać szczęście.

Siedzieli po obu stronach biurka w ciasnym, zapchany gratami biurze i odbywali coś, co nazywali „zebraniem załogi”. Co prawda, tylko oni dwoje byli oficjalnymi członkami tej załogi, bo resztę stanowili wolontariusze.

Pod ścianami pokoiku rzędem stały stare, obłupane z farby metalowe szafki na akta, a w rogu kręcił się staroświecki wentylator. Dzień był wyjątkowo upalny.

Tinker obgryzał koniec pióra i jakoś dziwnie patrzył na Dianę.

- O co ci chodzi? - spytała.

- Jak to, o co chodzi?

- Tak śmiesznie patrzysz.

- Nie śmiesznie, tylko z zachwytem. Twój widok to balsam dla oczu, wiesz o tym, Di? Skąd wzięłaś ten strój?

Miała na sobie sukienkę z kwiecistego sztruksu z koronkowym kołnierzykiem, dopasowaną w talii, z rozszerzaną spódnicą sięgającą kostek.

- Z ubrań w piwnicy. Rosa mi powiedziała, że ten styl nazywał się kiedyś *new/look* i zaczął być modny zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej. Ta sukienka trochę pachniała stęchlizną, tak że musiałam ją prać aż dwa razy, zanim zapach zniknął. - Właściwie wolałaby dzisiaj mieć na sobie coś lepszego, bo w tym się pociła jak mysz. - Zawsze płacę za te rzeczy, Tinker - zapewniła go. - Płacę nawet więcej, niż można by za nie dostać, gdyby się je sprzedało na stoisku.

- Wiem, że to robisz, Di, ani przez chwilę nie twierdziłem, że tak nie jest. Wyglądasz w tym naprawdę słodko. - Mrugnął do niej. - A właściwie dlaczego robisz wrażenie takiej szczęśliwej?

- Nie wiem. - Westchnęła rozkosznie. - Może dlatego, że życie jest takie cudowne... Uwielbiam swoją pracę, uwielbiam miejsce, w którym mieszkam, w ogóle wszystko uwielbiam! - Zatoczyła ręką w powietrzu, jakby włączała w swoje uczucia również ten pokój, a także całe miasto Liverpool... a może po prostu cały świat?

Z góry, z sali bilardowej dochodził dźwięk bil uderzanych kijami, grupa przedszkolna akurat się pakowała i dzieci coś gwałtownie wykrzykiwały, w sali rekreacyjnej grał telewizor, a jeden z młodych ludzi, siedząc na schodach, grał na gitarze i śpiewał coś niezmiernie melodyjnego i pięknego. Ta kakofonia rozmaitych dźwięków jeszcze bardziej utwierdziła Dianę w przekonaniu, że istotnie bardzo kocha to miejsce.

- Kiedy ty i ten jak-mu-tam bierzecie ślub?

- Leo. Nie wiem. - Posmutniała.

Biedny Leo przynajmniej raz w tygodniu nalegał, żeby w końcu ustalili datę ślubu, ale ona nadal to odwlekała. Nie uważała, żeby było z jej strony ładnie, że zawsze o nim myśli „biedny”. Kiedyś odpowiedziała w żartach: „Weźmiemy ślub w moje pięćdziesiąte urodziny”, a wtedy on naprawdę się bardzo głęboko zasmucił.

- Dlaczego o to pytasz? - zwróciła się do Tinkera.

- Bo gdybyś się kiedyś zdecydowała rzucić tego gościa, chciałbym o tym wiedzieć pierwszy.

- A po co ci to?

- Wtedy mógłbym się z tobą sam ożenić, zanim jakiś inny gość nie pojawi się na scenie.

- Naprawdę? - Poczuli, że się rumieni.

- Jak Boga kocham. - Wargi mu się wygięły w uśmiechu. -

Zaskoczyłem cię?

- Myślałam... myślałam, że ty jesteś gejem - wyjąkała. Uśmiech przeszedł w wybuch śmiechu.

- Naprawdę? No to wiedz, że nie jestem!

- Ale... robisz sobie ondulację?

Dotknął masy rudych loków na głowie.

- Nie, kręcą mi się same.

Odłożył pióro, zmarszczył brwi i równocześnie popatrzył na nią z ukosa. Miał w uszach małe złote kolczyki w kształcie kóelek i sweter, który był z jednej strony śliwkowy, a z drugiej zielony. Dzięki temu wyglądał jak aktor ulicznej pantomimy.

- Więc brałaś mnie za geja z ondulacją, co? Założę się, że myślałaś też, że farbuję włosy. A ja cały czas sądziłem, że uważasz mnie za nieodparcie pociągającego!

- Ależ uważam, uważam.

Była w nim trochę zakochana od czasu, kiedy pierwszy raz przyszła do pracy w ośrodku. Był naprawdę uroczy, miał słoneczne usposobienie i

rzeczywiście przejmował się losem swoich uchodźców.

Jeżeli nie liczyć gwałtownych wybuchów zdenerwowania, które mu się od czasu do czasu zdarzały, właściwie nigdy nie tracił panowania nad sobą. Poza tym bywał ogromnie śmieszny. Być żoną Tinkera byłoby z pewnością o wiele zabawniejsze, niż być żoną biednego Lea, który do wszystkiego podchodził z taką powagą! Diana starała się za wszelką cenę nie zranić jego uczuć, ale nie przychodziło jej to łatwo: musiała się z nim obchodzić jak z jajkiem.

- Jeżeli dam ci moją wizytówkę - mówił Tinker - to czy będziesz ją trzymała w torebce i zadzwonisz na moją komorę, gdybyście ty i Leo postanowili zerwać ze sobą? Możesz dzwonić nawet w środku nocy, nieważne. Dzwoni, kiedy chcesz, a natychmiast ci się oświadczę.

Wręczył jej swoją wizytówkę. Było na niej nazwisko: Anthony Taylor i adres ośrodka dla uchodźców, numer telefonu ośrodka i numer jego komórki. Zastanowiło ją, dlaczego wszyscy go nazywali Tinker, skoro się nazywał Taylor.

- Tak zrobię - obiecała, starając się zachować powagę. - Dam ci znać.

Nie była pewna, czy Tinker żartuje, czy nie. Miała nadzieję, że nie...

W pociągu w drodze do domu pokazała Megan sukienkę do chrztu, znaną w rzeczach w piwnicy ośrodka.

- Czyż nie jest piękna? Czysty jedwab. Wiem, że wygląda jak kremowa, ale Rosa uważa, że powinna być biała. Ma się dowiedzieć, jakim środkiem można by ją wybielić, tak żeby nie uszkodzić tego delikatnego materiału. Rosa sądzi, że ta sukienka musi mieć co najmniej osiemdziesiąt lat!

- Jest naprawdę piękna, Dianko. Ale to chyba nie dla ciebie? - spytała Megan, dotykając palcami koronek wykańczających sukienkę.

Diana popatrzyła na nią jak na kogoś niespełna rozumu.

- To sukienka do chrztu. Przecież ja bym się w nią nie zmieściła - parsknęła.

- Ach, ty głuptasie! - prychnęła w odpowiedzi Megan. - Miałam na myśli, że dla ciebie, bo może się spodziewasz dziecka?

- Nie, to dla Maisie. Chyba nie ma żadnych ubranek dla dziecka. Jak myślisz, spodoba się jej?

Diana sama była ciekawa, jak to jest, kiedy się jest w ciąży. Niestety, w jej wypadku taki stan nie wchodził w grę: nadal była dziewicą.

- Chyba tak.

Megan nie mogła sobie wyobrazić, żeby jej wnuczce cokolwiek się w tej chwili podobało. Była już w „Kasztanach” od tygodnia, ale - jak dotąd - jedyną osobą, która potrafiła z nią dojść do porozumienia, był

ojciec, co w obecnych okolicznościach zakrawało na ironię! Brodie była tak dobra i wyrozumiała, jak to tylko było możliwe, lecz Maisie odplacała jej naprawdę okropną niewdzięcznością. Zdarzało się, że używała w stosunku do matki obrzydliwych wyzwisk.

- To te narkotyki - tłumaczyła ją Brodie przed kilkoma dniami. - Ona po prostu nie wie, co mówi.

- Nie, moja kochana - upierała się Megan. - To nie narkotyki, to brak narkotyków! Ma teraz objawy zespołu abstynencyjnego. Oglądał ją lekarz?

- Nie. Stanowczo nie chce iść do lekarza. - W głosie Brodie słychać było ostateczne zmęczenie. - *A propos*, mam, a skąd ty o tym wiesz?

- Przecież, jak każdy, oglądam telewizję. Czytam gazety. Pewnie wiem o narkotykach tyle, co i ty. - Naprawdę, córka robiła z niej głupią staruszkę!
- Moja córka nigdy tego nie dotknęła, co stwierdzam z przyjemnością.

Po twarzy Brodie przemknęło coś, co mogło być uśmiechem, ale też i wyrazem bólu, w każdym razie Megan nie potrafiła tego określić.

- Ja nigdy nie prowadziłam takiego trybu życia. Przypuszczam, że to efekt

Londynie

połączonego z życiem

uniwersyteckim.

Od dnia powrotu Maisie Megan czuła się w „Kasztanach” zawadą.

Kiedy tylko się zbliżała do wnuczki, Brodie nie spuszczała z nich oczu, jakby się obawiała, że matka powie coś okropnie nietaktownego.

Megan była zadowolona, że może spędzać czas, pracując w ośrodku dla uchodźców, że robi coś pożytecznego i interesującego. Miała co prawda przyjaciółki, ale choć większość z nich była od niej młodsza, nie dorównywały jej aktywnością. Ich pomysłem na spędzanie czasu była gra w brydża, najlepiej po południu: wołały to niż kino czy zakupy. Wieczorami Megan czuła się trochę osamotniona.

- Idziesz do nas? - pytała Diana, kiedy wysiadły z pociągu i Megan poszła po swój rower.

- Nie, kochanie. Chyba pójdę dziś prosto do siebie.

Megan naprawdę wołałaby z całego serca pójść razem z Dianą.

- Ech, co tam! Chodź, zjesz z nami podwieczorek! - nalegała Diana. -

Chcę zrobić kielbaski z kartoflami purée i cebulowym sosem. A potem możemy obejrzeć jakiś film na DVD. Widziałaś już *Dumę i uprzedzenie* z Keirą Knightley? Kupiłam to parę dni temu. Uwielbiam Szekspira, a ty?

Megan już ją chciała poprawić, powiedzieć jej, że *Dumę i uprzedzenie* napisała Jane Austen, ale się powstrzymała.

Najwyraźniej ta wrażliwa dziewczyna wyczuła jej samotność.

A cóż znaczy znajomość literatury angielskiej w porównaniu z naprawdę dobrym sercem?

- Ja też uwielbiam Szekspira - powiedziała.

Brodie siedziała przed komputerem wpatrzona w ekran i zastanawiała się, gdzie może być teraz Maisie. Poszła do łazienki i słychać było, jak stamtąd wychodziła. Może poszła zwiedzać pokoje na piętrze? A może siedzi w kuchni?

Naprawdę, naprawdę zupełnie nie miała ochoty jej szukać. Wyjrzała przez okno, czy czasem córka nie wyszła do ogrodu, ale tam jej nie było, tylko Charlie rzucała piłeczkę w stronę Poppy, w nadziei że mała ją złapie, a Rachel czytała książkę.

Vanessa malowała - tym razem na naprawdę wielkim płótnie.

Komputer wydał lekki odgłos na znak, że nadszedł mail.

Od Colina. Pisał:

Kilka dni temu wysłałem maila do urzędu pocztowego w Duneathly w Irlandii, to jest do miejscowości, w której twoja matka mieszkała jako dziecko. Spytałem, czy mieszkają tam teraz jacyś członkowie rodziny Kennych albo Ryanów. Posyłam ci maila, jaki dzisiaj dostałem od kobiety nazwiskiem Roseanna Ryan. Twierdzi, że jesteś jej ciotką.

W załączniku był jakiś dokument. Kiedy Brodie wyświetliła go na ekranie, ukazało się coś w rodzaju drzewa genealogicznego z dziesiątkami nazwisk. Nie miała ochoty teraz się temu przyglądać.

Otworzyły się frontowe drzwi: weszła Diana. Niestety, nie była sama.

Brodie skrzywiła się na dźwięk głosu matki. Wołałaby, żeby się teraz trzymała od nich z daleka. Megan nie wpływała dobrze na Maisie, bo zawsze mówiła nie to, co powinna.

Diana zawołała:

- Dobry wieczór wszystkim!

Brodie się nie odezwała.

Po paru sekundach obie, Diana i mama, pojawiły się w ogrodzie, a za nimi poszła tam też Maisie.

Brodie zeszywniała. Okno było zamknięte, więc nie mogła słyszeć, o czym mówiły, zorientowała się jednak, że wszystkie się

śmieją. Diana wyciągnęła coś z torby - chyba jakąś bluzkę - i podała to Maisie. Podbiegły Rachel i Charlie i też się przyglądały.

Nagle Maisie rzuciła się w ramiona. Obie tak stały przytulone jedna do drugiej przez parę sekund, wreszcie się roześmiały i rozłączyły.

Brodie siedziała jak przyrośnięta do krzesła, wpatrzona w to dziwne przedstawienie przed domem.

Jej matka i córka razem z Dianą wrócili do mieszkania i poszli do kuchni. Głos Maisie brzmiał całkiem normalnie, niemal tak jak dawniej.

- Kupiłam osiem kielbasek - mówiła Diana - to znaczy, że każda może dostać dwie i kawałek. Mam nadzieję, że się nie pogniewacie, że zrobię puree z turek, a nie z prawdziwych kartofli. I otworzę puszkę groszku.

- Pychota! - zawołała Maisie.

Trudno było sobie wyobrazić bardziej niezdrowe jedzenie: kielbaski, suszone kartofle i groszek z puszek...

Brodie od powrotu córki do domu starała się ją karmić sałatami i świeżymi owocami i dostrzegała korzystne działanie takiej diety: cera Maisie była teraz bardziej czysta, a włosy odzyskały połysk. Chyba nawet trochę przybrała na wadze.

Diana spytała, czy mogłyby dopilnować kielbasek, a ona się tymczasem przebierze.

- Pasek w tej sukience dosłownie mnie przeryza na pół. Byłam głupia, że się tak ubrałam w taki gorący dzień. Aha, a gdzie jest Brodie? - zapytała jeszcze, wybiegając.

- Musiała się na chwilę położyć - stwierdziła mama. - Najlepiej jej nie przeszkadzać.

Brodie błyskawicznie wstała i poszła się położyć na łóżku: w końcu otrzymała pozwolenie! Nie zatęskniła za nią: żadna nie spodziewała się, że Brodie wyjdzie z pokoju. Z chwilą kiedy położyła głowę na poduszce i poczuła mrowienie w szyi i ramionach, zdała sobie sprawę, jak napięte miała mięśnie. Ostatnio często jej się to zdarzało.

Miniony tydzień był rzeczywiście wyjątkowo nieprzyjemny. Nawet na krótko nie potrafiła nawiązać kontaktu z córką. A może było odwrotnie? Brodie myślała, że zachowuje się niezmiernie tolerancyjnie i cierpliwie, ale Maisie chyba uważała, że jest inaczej.

- Nie wku... rzaj mnie, mam - mówiła, uchylając się i odsuwając, jeśli Brodie tylko jej dotknęła albo, broń Boże, zaproponowała wizytę u lekarza.

Ale najbardziej denerwujące, naprawdę denerwujące było to, że Maisie i jej ojciec zgadzali się ze sobą po prostu fantastycznie.

A przecież Maisie wróciła do domu tylko dlatego, że to ona, Brodie, pojechała do Londynu i poznała Karen Young.

Teraz Colin odkrył, że Pete, chłopak Maisie, też był uzależniony od narkotyków i że się poznali na uniwersytecie.

- Założę się, że to on ją w to wciągnął - z goryczą twierdziła Brodie.

- Nie - potrząsnął głową Colin. - Było odwrotnie. Ona pierwsza zaczęła brać, a po niej on. Ale był na tyle rozsądny, żeby się zorientować, że to zły pomysł, i rzucił. Odtąd opiekował się Maisie najlepiej jak mógł, ale stale mu zniknęła z oczu.

- Czy to nie dziwne - mruknęła Brodie - że tu siedzimy i rozmawiamy o narkotykach i o naszej Maisie?

Siedzieli wtedy w małej jadalni, czyli w gabinecie. Maisie spała w pokoju Brodie.

Colin wstał i zaczął chodzić dookoła stołu. Był bliski płaczu.

- Pierwszy raz zażyła heroinę na jakiejś imprezie... Wyobraź sobie tylko, nasza mała dziewczynka! Miała właśnie przystąpić do egzaminów po pierwszym roku. Mówi, że jej to pomogło się skupić i rozjaśniło umysł. To uczucie tak jej się spodobało, że zaczęła brać więcej. Już po paru tygodniach jak szalona poszukiwała handlarzy i wydawała wszystkie pieniądze. - Wzruszył ramionami. - Uzależniła się.

- A co z tym Pete'em?

- Próbował ją powstrzymać, czasami brał z nią też, dla towarzys-

stwa, wreszcie się wystraszył i przestał. - Colin zatrzymał się przy oknie. - Diana tu idzie. Co ona, u diabła, ma na sobie? Brodie nie zadała sobie trudu, żeby spojrzeć.

- Nie wiem - odparła.

Drzwi frontowe się otworzyły i weszła Diana.

- Cokolwiek to jest, ta dziewczyna chyba uważa, że całe życie jest jednym wielkim bałem kostiumowym. - Odwrócił się znów do Brodie.

- Śmieszna sprawa z tymi narkotykami. Niektórzy tak potrafią: mogą brać, mogą nie brać. A inni uzależniają się już po paru dawkach. To się chyba tak nazywa, dawki? A może „działki“?

- Nie wiem - powtórzyła Brodie. - Rozumiem, że Pete jest ojcem jej dziecka?

- Nie zapytałem jej wprost, ale przypuszczam, że tak. Miała szczęście, że trafiła na niego. Był jej wierny najbardziej, jak tylko potrafił. Musi ją naprawdę bardzo kochać.

- Wróciłam! - zawołała Diana.

- Jesteśmy tutaj! - odrzyknęła jej Brodie.

Diana weszła do gabinetu w niezwykle wytwornej, ciemnozielonej sukni z tafty. Promieniowała.

- Witajcie oboje!

- Witaj. - Brodie uśmiechnęła się i po raz nie wiem który pomyślała, o ile przyjemniej rozmawia jej się z tą dziewczyną niż z własną córką.

- Idę robić podwieczorek - oświadczyła Diana. - Mogłabym zjeść konia z kopytami.

Podśpiewując, zeszła do kuchni.

- To przecież koktajlowa suknia... - mruknął Colin, kiedy drzwi się zamknęły.

- Co?

- To, co Diana ma na sobie, to koktajlowa suknia. Dotychczas widziałem tak ubrane kobiety tylko na filmach. - Westchnął. - Cóż, w każdym razie ona jest szczęśliwa.

- Zawsze jest szczęśliwa. - Brodie wróciła do poprzedniego

tematu rozmowy. - Czy Maisie się orientuje, gdzie ten Pete teraz jest?

Czy to możliwe, że któregoś dnia się tu zjawi?

- Jest w Londynie albo ze swoją rodziną. Mieszkają w Exeter. To w hrabstwie Devon.

- Wiem, gdzie jest Exeter! - zwróciła mu uwagę Brodie.

- Ale nie musisz się od razu na mnie wydierać - spokojnie zauważył

Colin. - W każdym razie ona ma jego numer komórki i może się z nim skontaktować, ale najwyraźniej teraz nie chce.

- Rozumiem... - westchnęła Brodie. - Nie potrafię do niej dotrzeć.

Dlaczego ty potrafisz, a ja nie? Dlaczego przed tobą się otwiera, a przede mną nie chce? Och! - Ukryła głowę w dłoniach. - To strasznie przygnębiające.

- Myślę, że powinnaś się rozchmurzyć. Po prostu rozmawiaj z nią normalnie. Staraj się nie być za grzeczną, za wyrozumiałą. To ją peszy, sprawia, że się czuje niewygodnie... że czuje się winna.

- Powiedziała ci to?

- Nie, sam to rozumiałem. Wiem, że dawniej byłem może dla niej za surowy i że to był jeden z powodów, dla których odeszła. Żałuję tego, Brodie. A teraz to ty z kolei jesteś za miękka. - Stał za krzesłem żony i położył jej ręce na ramionach. - Myślę, że obie powinnyście wrócić do domu, kochanie. Tam jest wasze miejsce. I Maisie się lepiej poczuje, mogąc spać we własnym starym pokoju, w swoim własnym łóżku.

Już to przedtem proponował, a ona wtedy stanowczo się sprzeciwiła.

Zresztą nadal była temu przeciwna.

- Wakacje zaraz się skończą, już w przyszły poniedziałek wracasz do szkoły - przypomniała mu. - A to oznacza, że Maisie i ja musiałybyśmy tkwić w domu przez cały dzień tylko we dwie. Tymczasem tutaj są też inni ludzie, z którymi może sobie porozmawiać, młodzi ludzie. Poza tym nie prosiła ani razu, żeby wrócić do domu. Doskonale się dogaduje z Dianą i uwielbia małą Poppy. Och, a przy tym ten ogród jest naprawdę cudowny, Colin, w porównaniu z naszym tam, w domu... -

Wyjrzała przez okno, ale od frontu widać było tylko drzewa kasztanowców, które osłaniały dom od strony ulicy. - Kiedy już przyjdzie pora się wprowadzać, będę tęskniła za tym domem - wyznała.

Teraz, kiedy leżała w łóżku, wyczerpana, z odrętwiałymi ramionami, czując, jak stopniowo coraz głębiej się zapada w materac, przypomniała sobie, że w sobotę ma przyjechać Josh. Miał być już w zeszłym tygodniu, ale nie mógł się wyrwać z pracy.

Praca! Nie przypuszczała, że jej syn kiedykolwiek wymieni to słowo.

W niedzielę rano, ledwie Megan zdążyła po mszy wejść do swojego mieszkania przy Burbo Bank Road, rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzyła.

Na progu stała kobieta, chyba nieco młodsza od niej. Włosy miała jasnobrązowe. Ubrana była w białą suknię z wzorem w zielone listki, do tego zielony lniany żakiet. Różowe policzki, niebieskie oczy, twarz trochę tylko pomarszczona.

- Tak...? - odezwała się Megan po paru sekundach, kiedy już doszła do wniosku, że tej kobiety nigdy przedtem nie widziała.

- Witaj, Megan - powiedziała kobieta. Mówiła z mocnym irlandzkim akcentem. - Jestem Brodie.

- Brodie! - Megan niepewnie zrobiła krok w tył i omal się nie potknęła o wycieraczkę. - Brodie!

- Tak, to ja. Na litość boską, siostra! Tylko się na mnie nie przewróć!

Nie mdlejl! - Weszła do środka i złapała Megan za rękę. -Gdzie jest..

no, ten... salon, gabinet, czy jak tam tutaj nazywacie to cholerne miejsce?

- Salon. Dziękuję, sama pójdę.

Odsunęła jej rękę i trochę niepewnym krokiem weszła do pokoju.

Brodie szła za nią.

BRODIE! Jej siostra Brodie! Kiedy się ostatni raz widziały?

Sześćdziesiąt lat temu.

- Co tutaj robisz? - wychrypiła, kiedy już obie usiadły. Bała się, że dostanie ataku serca.

- Parę dni temu urząd pocztowy w Duneathly dostał maila od pewnego pana nazwiskiem Colin Logan: pisał, że jest twoim zięciem i że chce wiedzieć, czy w tej okolicy jeszcze mieszkają jacyś ludzie o nazwisku Kenny albo Ryan.

Mówiła szybko i jasno i sądząc z szerokiego uśmiechu na twarzy, uważała całą sytuację za ogromnie zabawną.

Siedziała z nogami elegancko skrzyżowanymi w kostkach, ręce miała złożone na kolanach. Megan doskonale zapamiętała tę jej pozę. Miała wtedy wrażenie, że siostra się wygłupia. „Popatrzcie, rączki w małdrzyk, buzia w ciup”, mówiła wtedy, czy jakoś podobnie.

- Przesłali tego maila do nas i Roseanna wysłała odpowiedź. To wnuczka naszego Toma.

- Naszego Toma...? - szepnęła Megan. Pamiętała, że Tom był żywym obrazem ich ojca.

- Nasz Tom i nasz Joe nadal mieszkają w Duneathly, zresztą ja też, i wszyscy inni. Jest nas w tej okolicy całe plemię. No, przecież nasza matka miała jeszcze siostrę i trzech braci! Tyle że już nie żyją, z wyjątkiem wuja Aidana, ale wszyscy razem mieli dwadzieścia troje dzieciaków... A teraz każde z tych dzieci jest już żonate albo zamężne i mają własne dzieci. No i poza tym cała gałąź rodziny ze strony Annemarie mieszka w Ameryce, ale o tym to wiesz, prawda, Megan? -

Spojrzała ukradkiem na siostrę. -Pamiętasz, jak razem z mamą mieszkaliśmy u Annemarie w Nowym Jorku, kiedy poznałam w katedrze Świętego Patryka pana Louisa Sylvestra? Przyproceedziłam go do nas i przedstawiłam tobie i mamie.

- Tak, oczywiście, że pamiętam - przyznała Megan. Gardło miała suche jak pieprz. - Napijesz się czegoś? - wysapała. - Herbaty, kawy...?

Ona sama marzyła po prostu o szklance wody.

- Kropelki czegoś mocniejszego nie odmówię... Co prawda to ty wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała bardziej niż ja. Masz w domu jakiś alkohol?

- Chyba mam sherry... Aha, i jest jeszcze trochę brandy, co zostało po Bożym Narodzeniu - przypomniała sobie Megan. - Trzymam to, na wypadek gdybym się przeziębiła.

- To brandy. Na twoim miejscu wypiłabym podwójną.

- No, ale nie jesteś na moim miejscu - zdenerwowała się Megan. - Nie potrzebuję podwójnej brandy. Czuję się doskonale. Przyznaję, że byłam trochę wytrącona z równowagi, kiedy cię zobaczyłam na progu mojego domu, ale to chyba zupełnie zrozumiałe. Nie jestem z kamienia.

Wyjęła butelkę brandy z kredensu.

Miała zamiar wypić solidny haust w kuchni, ale Brodie poszła tam za nią i stała w drzwiach, przyglądając się, podczas gdy Megan wyjmowała kieliszki z szafki i nalewała - dokładnie tyle samo do każdego kieliszka. Poza tym nalala sobie szklankę wody.

Zaniosły drinki z powrotem do salonu.

- Miło masz tutaj - stwierdziła Brodie. - Podoba mi się ten widok na rzekę Mersey. To tutaj mieszkaliście z Louisem?

- Oczywiście, że nie! - odparła Megan, zirytowana na samą myśl, że Brodie mogła przypuszczać, iż ona i Louis spędzili cały okres swego małżeństwa w takim ciasnym, małym mieszkanku. -Tu byłoby o wiele za ciasno. Mieliśmy wielki, piękny dom, niedaleko stąd. Teraz tam mieszka moja córka. Też ma na imię Brodie.

- Wiem. Roseanne mi powiedziała. Było o tym w mailu. -Niebieskie oczy Brodie załśniły wesoło. - Bardzo mi pochlebia, że dałaś jej imię po mnie.

- Nie widzę, żeby ci pochlebiało - kwaśno zauważyła Megan. -Na pewno uważasz, że to był po prostu żart.

- Powiedzmy, że podejrzewam, że nazwałaś dziewczynkę Brodie, bo ty albo Louis mieliście przyływ wyrzutów sumienia... jedno z was albo oboje.

Megan zignorowała te słowa.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? - spytała. - Colin podał ci mój adres?

Brodie zachichotała.

- Od dawna wiedzieliśmy, gdzie mieszkasz, Megan. I doskonale wiedziałam, że nie mieszkałaś tu z Louisem. Powiedziałam tak, żeby ci dokuczyć. Wiem, że ten wielki piękny dom, o którym wspominałaś, to „Kasztany”, a ty przez długi czas nie mieszkałaś w Liverpoolu, dopiero potem się tu przenieśliście.

- Skąd, u licha, wiesz o tym wszystkim?! - krzyknęła Megan.

- Twoje nazwisko jest w liverpoolskiej książce telefonicznej, kochanie. Pamiętasz Nonę? Pracowała na poczcie. To ona nam cię odnalazła. Wiedzieliśmy też dokładnie, kiedy Louis umarł, bo wtedy jego nazwisko w książce zastąpiono twoim. - Głos Brodie zmiękł, zmiękł też jej uśmiech.

- Mnóstwo razy myślałam, żeby zadzwonić, ale nie miałam ochoty się poniżyć. Myślałam sobie: to ona z nim uciekła, niech ona się pierwsza odezwie.

- Więc dlaczego teraz przyjechałaś?

Megan przemknęło przez myśl, że pewnie jest w tej chwili taka blada, jak to czuje. Czy wygląda, jakby jej przed chwilą ktoś wymierzył potężny cios w splot słoneczny?

- No cóż, siostrzo: masz osiemdziesiątkę, a ja siedemdziesiąt osiem i biorę pod uwagę, że może nadejść dzień, w którym zajrzę do książki telefonicznej i już w niej nie znajdę twojego nazwiska. Albo z kolei mnie już nie będzie i nie zdołam ciebie tam odszukać. Kiedy twój zięć się odezwał, już mi było wszystko jedno, czy się poniżam, czy nie.

Wskoczyłam po prostu do samolotu i przyleciałam.

Megan siedziała, wpatrzona we własne kolana.

- Wcale się nie poniżyłaś - wymamrotała. - Naprawdę się cieszę, że przyjechałaś. Często się zastanawiałam, co się dzieje z wami wszystkimi: z tobą, Joem i Tomem... Wyszłaś za męża, Brodie?

- Tak, wyszłam - odparła Brodie serdecznie. - Wyszłam za bardzo fajnego człowieka, rolnika. Nazywał się Geny Flaherty. Umarł w zeszłym roku. Mieliśmy troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopca. Też są świetni, wszyscy troje. Wszyscy już mają swoje rodziny i teraz my...

och, siostrzo, czy kiedy twój ukochany mąż już odszedł, tak samo jak ja nie mogłaś się przyzwyczaić mówić zamiast „my” - „ja”? No, więc ja mam już dziewięć wnuków i sześcioro pra-wnuków! W tym dwójkę bliźniaków, najnieznośniejszą parkę łobuziaków, jaką sobie możesz wyobrazić.

- Troje moich dzieci umarło - cicho powiedziała Megan. - Brodie jest jedyną, która przeżyła.

- Ach! Pan Bóg potrafi być czasami naprawdę okrutny. Tak mi przykro... - miękko wyszeptwała Brodie. Wyglądała teraz tak, jak ta dobra, łagodna Brodie, którą Megan pamiętała sprzed sześćdziesięciu lat. - O tym mi twój zięć nie wspominał... Słuchaj, siostrzo - zaczęła innym tonem - mam nadzieję, że to nie zabrzmiało niegrzecznie, ale po prostu umieram z pragnienia i marzę o filiżance herbaty. Jeżeli ty nie dasz rady, sama ją sobie zrobię.

- Ja mam nie dać rady zrobić filiżanki herbaty? - Megan była naprawdę oburzona. - Czy wyglądam jak inwalida albo kaleka?

Przyznaję, że twoje przyście nieźle zwałiło mnie z nóg, ale musisz też wiedzieć, że dzisiaj, jak zwykle, pojechałam na mszę i z powrotem na rowerze! Poza tym pracuję przez kilka dni w tygodniu w mieście, w ośrodku dla uchodźców. Wiedz, że jestem w cholernie dobrej formie!

- Nie złość się na mnie, siostrzo - uspokajająco rzekła Brodie. -W

takim razie usiądę sobie i poczekam, aż mi podasz herbatę. Aha, aha, a co to wisi u ciebie na ścianie?

Megan podążyła za nią wzrokiem.

- Jak to co? Oczywiście obraz.

- A co on przedstawia, jeżeli można zapytać?

- Przedstawia widok z dna komina. Widzisz tę niebieską plamkę pośrodku? To niebo.

- I ten, co to malował, rzeczywiście włożył głowę do kominka, żeby namalować taki widok?

- To namalowała kobieta, a używała przy tym wyłącznie własnej wyobraźni - wyjaśniła Megan i dodała ostro: - Tak właśnie robią artyści. - Zatrzymała się w drzwiach. - Powiedz mi... czy ty farbujesz włosy? Ten brązowy kolor u starszej kobiety nie wygląda naturalnie. I czyżbyś używała tego... no... zastrzyków z botoksu na zmarszczki? Nie masz ich tyle, ile powinnaś mieć w swoim wieku!

Brodie przyznała, że raz w miesiącu rzeczywiście farbuje włosy.

- Ale co do botoksu, to nigdy w życiu nawet tego nie dotknęłam! Czy nie robią go czasem z trutki na szczury albo czegoś w tym rodzaju?

- Prawdopodobnie tak... Wiesz co, kiedy wypijemy już tę herbatę, pojedziemy do „Kasztanów” na niedzielny obiad. Moja Brodie chyba zwariuje z radości na twój widok.

Megan aż zatarła ręce, zadowolona, że sprawy przybrały taki właśnie obrót. Cudownie było z powrotem mieć kontakt z własną rodziną - po tylu latach!

- Aha, i będzie tam też moja wnuczka, Maisie. Niedługo ma urodzić dziecko, ale ojca jakoś dotąd nie poznałam.

- No cóż, tak to już jest w dzisiejszych czasach, prawda? Najmłodszy chłopak naszego Toma rozwiódł się już dwa razy i teraz mieszka ze swoją trzecią żoną. Czy można sobie było dawniej wyobrazić, Megan, żeby katolik się rozwodził?

- Ale przecież nie można się rozwieść, skoro się wzięło ślub kościelny, połączyło „na dobre i na złe” w obliczu Boga, prawda?

- Wiesz, Kevin, ten chłopak naszego Toma, potrafił sobie poradzić z tym kłopotem: po prostu brał śluby w tym pogańskim urzędzie stanu cywilnego, więc wobec Boga w ogóle nie jest żonaty.

- Zupełnie jakby jeszcze przed ślubem wiedział, że się rozwiedzie -

stwierdziła Megan.

- Dokładnie tak! - przyznała Brodie. - A potem zrobił to nawet dwa razy!

- Zaparzę herbatę... Megan zniknęła w kuchni.

Brodie, pozostawiona sama sobie, patrzyła przez okno na rzekę, migoczącą jak płynne srebro w blasku późnoserpniowego słońca.

Joe i Tom będą na pewno zadowoleni, że przyjechała się zobaczyć z Megan. Postanowiła pod wieczór zadzwonić do nich ze swojej komórki.

Jej komórka!

To była chyba jedna z największych zmian, jaka zaszła na świecie od czasu, kiedy ostatni raz widziała się z siostrą.

Teraz ludzie noszą telefony - dość rzadko nawet mają je w domach -

po prostu w kieszeni albo w torebce. Poza tym są jeszcze komputery i mnóstwo samochodów, są samoloty i człowiek spacerował już po Księżycu... Na litość boską! Nawet w Duneathly jeden gość ma naprawdę przeszczepione serce!

Podniosła się i stanęła przy oknie, zastanawiając się, czy Megan ma dosyć miejsca, żeby ją przenocować. Jutro wcześniej rano mogłaby pójść na spacer nad tę srebrzystą wodę.

Megan się solidnie zestarzała, myślała Brodie: te tysiące zmarszczek.

.. no, ale trzyma się prosto i nie ma w niej ani śladu sztywności.

Postanowiła, że nie powie siostrze, że wtedy w 1946 roku zupełnie niepotrzebnie uciekła z Louistem Sylvestrem, kiedy tylko statek stanął

na redzie w Liverpoolu. Brodie nawet nie przyszło do głowy, żeby Louis chciał się z nią żenić, a gdyby nawet, to by mu na pewno dała kosza! To był nawet miły facet, ale zupełnie nie w jej typie.

Ale... skoro Megan myślała, że go wtedy siostrze ukradła, to niechże sobie tak myśli dalej.

Do „Kasztanów” pojechały taksówką, zatrzymując się po drodze w supermarkecie, by kupić dwa duże, pieczone kurczaki, dwie paczki wstępnie upieczonych ziemniaków i całe góry sałaty.

- Nic dziwnego, że w dzisiejszych czasach młode kobiety nie spędzają wiele czasu w kuchni - zachwycała się Brodie, kiedy z powrotem wsiadały do taksówki. - Pyry już upieczone! Kupowanie w niedzielę! I w ogóle. Co ty z tymi pyrami robisz? Podgrzewasz je w piekarniku?

- Myślę, że tak. Pierwszy raz w życiu takie kupiłam. A co powiesz na jednorazowe pieluchy?

- I jednorazowe latarki! Wyglądają jak długopisy. Sprzedają je w supermarkecie w Duneathly po euro za sztukę.

- To znaczy, że macie już w Duneathly supermarket? - Kiedy Megan tam mieszkała, w osadzie było zaledwie parę małych sklepików, zamkniętych nie tylko w niedziele, ale także w środowe popołudnia. -I zupełnie zapomniałam, że wy w Irlandii już nie macie funtów!

- Nie, już dawno jesteśmy w strefie euro - z pewną dumą oświadczyła Brodie. - My się łatwiej na wszystko decydujemy, nie tak jak wy tutaj, w Anglii. Wiecznie się tylko zastanawiacie.

Brodie jeszcze się nie zabrała do lunchu, kiedy pojawiły się jej matka i ciotka, obciążone jedzeniem.

- Ciocia Brodie! - zawołała, z trudem wierząc własnym oczom, kiedy matka przedstawiła jej nowo przybyłą.

- Cieszę się, że cię mogę poznać, Brodie - odparła ciotka z naprawdę słodkim, odrobinę figlarnym uśmiechem.

Tego dnia i tak planowano lunch na więcej osób. W domu byli Colin i Maisie, poza tym wcześniej tego ranka wielką białą furgonetką przyjechał z Londynu Josh. A teraz doszły jeszcze dwie osoby.

Brodie wyszła do Vanessy, która malowała w ogrodzie, i spytała, czy jej rodzina może zająć gabinet na czas lunchu.

- Zwykle nie mam o tej porze gości, ale dziś będzie nas aż sześcioro.

Wyobraź sobie, że przyjechała moja ciotka, o której istnieniu dowiedziałam się dopiero niedawno. Też ma na imię Brodie.

- Zdziwiająca - skomentowała Vanessa i dodała, że jej to absolutnie nie przeszkadza. - Rachel, Poppy i ja idziemy dzisiaj do sąsiadów: zjemy lunch razem z Charlie i Reggie. Zamówił jedzenie w hinduskiej restauracji, przyniosą je nam do domu.

- Spodziewam się, że będziecie się świetnie bawić!

Brodie lekko dotknęła ramienia Vanessy. Przeczuwała, że mogą z czasem zostać bliskimi przyjaciółkami.

- Mam nadzieję, że i wy też.

- Wiesz może, co robi Diana?

- Zapraszałam ją, żeby poszła z nami, ale pojechała z Leem do Southport.

- To dobrze.

Ta dziewczyna nie powinna jeść lunchu sama - nie w taki dzień.

W przeszłości rodzina to była tylko jej matka, mąż i dwoje dzieci.

Tymczasem dzisiaj siedziała też z nimi jej ciocia, przemiła starsza pani o łagodnym głosie i cudownym akcencie i opowiadała o wujach: Joem i Tomie, i o mnóstwie jej kuzynów, bratanków i bratanic o imionach, takich jak Kerianne, Bernadette czy Eoin lub Finbar.

- Musisz do nas jak najprędzej przyjechać - mówiła „nowa” Brodie (stwierdziła, że woli, żeby ją nazywać „nową” niż „starą” Brodie).

Jesteście wszyscy zaproszeni. Urządzimy wam wielkie przyjęcie!

Brodie nie mogła się doczekać.

- Przyjadę, kiedy tylko Maisie urodzi - obiecywała.

Gdyby to się wydarzyło w czasie krótkich ferii międzysemestralnych, mogliby tam pojechać razem z Colinem. Mama postanowiła polecieć do Duneathly na jakiś czas już teraz, razem z siostrą.

- I ja bym bardzo chciał tam pojechać! - zawołał Josh. Colin popatrzył

na niego zdumiony.

- Ale... myślałem, że jesteś zanadto zajęty swoim nowym interesem, synku?

- Jestem, ale nie chcę opuścić takiego przyjęcia. Bo to przecież wydarzenie raz na całe życie, prawda? Nawet osoby, które prowadzą własne firmy, powinny mieć wakacje - stwierdził z ważną miną.

Brodie z dumą patrzyła na syna.

Może byłoby lepiej, gdyby wolał zostać lekarzem albo artystą, ale Josh chciał tylko prowadzić własną firmę - i chyba w końcu mu się to udało. Po tym, jak kupił tę wielką furgonetkę za paręset funtów, okazało się, że jego firma cieszy się w Londynie wielkim powodzeniem.

Wyjaśniał to w ten sposób:

- Kiedy ludzie się przeprowadzają z jednego umeblowanego mieszkania do drugiego, zawsze przecież mają telewizory, odtwarzacze DVD, komputery, książki, ubrania i takie tam różne rzeczy. Zwykły samochód jest na to za mały, a wóz meblowy o wiele za duży. Moja furgonetka jest za to w sam raz.

A co więcej, Josh ze swoją furgonetką był do dyspozycji dniem i nocą. W ten sposób przeprowadzający się nie musieli brać wolnego dnia w pracy, kiedy się chciał przenieść. Josh mógł przyjechać na życzenie bladym świtem, w porze podwieczorku, a nawet w środku nocy.

Brodie miała nadzieję, że syn nie za bardzo niedosypia. Uznała, że robi wrażenie zmęczonego, ale zadowolonego, poza tym się cieszył, że siostra wygląda o wiele lepiej, niż przypuszczał.

Właściwie wszyscy dzisiaj byli zdecydowanie zadowoleni, nawet Colin i Maisie.

Także Megan, która ostatnio wydawała się trochę przygnębiona, teraz się uśmiechała, podobnie jak „nowa” Brodie.

Podczas jedzenia Brodie postanowiła, że kiedy roczny wynajem pokoi w „Kasztanach” dobiegnie końca, sprzeda ten dom. Co prawda nie miała pojęcia, co wtedy zrobią - i ona, i wszystkie mieszkające tu kobiety.

Pieniądze ze sprzedaży podzieli na trzy części: jedną trzecią dla siebie i Colina i po jednej trzeciej dla Maisie i Joshua. Wtedy Josh będzie mógł

sobie kupić nowiuteńką furgonetkę, a za resztę pieniędzy zapłacić pierwszą ratę za dom w Londynie; jakoś wątpiła, by syn kiedykolwiek wrócił do Liverpoolu. Było to smutne, ale przecież nie mogła się spodziewać, żeby jej dzieci mieszkały blisko rodziców przez resztę ich życia! Maisie ze swoją częścią niech robi, co jej się podoba.

Sama miała serdecznie dosyć bycia tylko żoną i panią domu. Musi się czegoś porządnie nauczyć - na przykład tego, jak właściwie używać komputera. A może powinna się uczyć i zaocznie zdać maturę albo spróbować znaleźć pracę w szpitalu, bo zawsze marzyła o pracy w szpitalu.

- Pensa za twoje myśli, Brodie! - zażartował Colin. Roześmiała się.

- Och, są warte o wiele więcej!

- Mam nadzieję, że ta wspaniała pogoda nigdy się nie skończy - zauważyła Megan.

Siedziała na krzeselku pod czymś, co Diana nazywała „drzewem talerzowym”, ponieważ miało wielkie i płaskie liście. Było późne popołudnie. Goście po zjedzeniu lunchu przeszli do ogrodu.

- To skutek globalnego ocieplenia, babciu - przypomniał jej Josh. -

Może być oznaką, że świat zmierza ku końcowi. Za rok będzie jeszcze goręcej i tak dalej, i tak dalej... aż wreszcie się wszyscy na śmierć popalimy.

- Podczas wojny lata bywały jeszcze ładniejsze - zauważyła nowa Brodie. - Za to niektóre zimy! Można by pomyśleć, że się zaczyna kolejna epoka lodowcowa.

- A teraz ten lodowiec topnieje - ponuro przypomniał Josh.

- Pewnie! To okropne, żeby młodzi czekali na koniec świata. Na szczęście, ja już tego nie zobaczę!

- A ja wcale nie mam ochoty umrzeć - oświadczyła Megan.

- Jeżeli świat się skończy, nie będziesz miała niestety innego wyjścia -

zawyrokowała siostra.

Brodie zaparzyła herbatę, a Colin otworzył butelkę wina.

- Widzę, że przyjęcia w tym ogrodzie zaczynają być stałym punktem programu - zauważył. - Miejmy nadzieję, że Diana wkrótce wróci, wtedy będziemy też mieli trochę muzyczki.

Diana pojawiła się tuż po piątej i przyprowadziła ze sobą Lea.

Otworzyła drzwi tarasowe swojego pokoju i po chwili jakiś melan-cholijny głos zaczął śpiewać *Góry Mourne*.

- To płyta CD z irlandzkimi pieśniami - wyjaśniła wszystkim, jakby tego nie wiedzieli.

Charlie i Rachel, ściągnięte z sąsiedztwa odgłosami rozmów i zabawy, pojawiły się także, razem ze śpiącą Poppy, a tuż za nimi przyszli Vanessa i Reggie. Oboje wyglądali na trochę przegaszonych.

- Brodie, to jest Vanessa, artystka, która namalowała ten obraz, który widziałas w moim mieszkaniu. - Megan przedstawiła siostrze Vanessę.

- Na górze jest ich całe mnóstwo, może zechcesz kupić

8Góry Mourne - pasmo górskie na północy Irlandii.

sobie jakiś? Pieniądze za te obrazy idą na ośrodek dla uchodźców, ten, w którym pracuję.

- Nie miałabym nic przeciw temu, żeby jeden czy dwa zawieźć do domu. Obejrzę je może później. Muszę powiedzieć - zauważyła „nowa” Brodie - że w tym domu mieszka naprawdę niezwykle wachlarz ludzi! Nie pamiętam, kiedy się ostatni raz tak świetnie bawiłam. Co prawda jeszcze jak dotąd nie wiem dokładnie, kto tu mieszka, a kto tylko przyszedł z wizytą.

- Potem ci to wytłumaczę - obiecała Megan. - Czasami sama nie jestem tego tak zupełnie pewna.

Kiedy zapadła noc, zrobiło się trochę chłodniej. Wszyscy powkładali swetry, szale i marynarki, a Diana pozapalała świece na stołach i parapetach okien.

Pojawił się kot Kenneth i skoczył Brodie na kolana. Pomyślała, że żal jej się będzie z nim rozstawać, kiedy opuści ten dom. Ale żal jej też będzie się pożegnać z domem w ogóle... A już zupełnie okropne jest to, że może nigdy już się nie spotka ze swoimi lokatorkami.

Lekko przytuliła kocura.

- Sprawdź dokładnie, zanim się wyprowadzę, czy ty czasem nie jesteś bezpański - obiecała mu. - A jeżeli tak, to cię zabiorę ze sobą.

Jej nowa ciotka już się tu czuła jak u siebie w domu. Wykonała pokaz tańców irlandzkich i nauczyła Dianę, jak się tańczy *reela*.

Mama od lat nie wyglądała na tak szczęśliwą jak dziś.

Brodie od jakiegoś czasu odsuwała matkę na boczny tor w obawie, że Megan może źle wpłynąć na Maisie. Teraz jej było z tego powodu bardzo przykro. Co prawda... cokolwiek matka powiedziała do Maisie, trafiło jak kulą w płot.

Brodie zerknęła na córkę, która obejmowała dłońmi swój wypukły brzuszek. Wyglądało na to, że się dobrze bawi. Nadal stanowczo odmawiała pójścia do lekarza, niezależnie od tego, jak bardzo Brodie ją o to prosiła. Do tych próśb i błagań przyłączył się też i Colin, niestety bez skutku.

- Muszę tylko pojechać do szpitala, kiedy się zacznie, i tyle -upierała się Maisie. - Nie odmówią mi przecież przyjęcia tylko dlatego, że nie jestem pacjentką jakiegoś tam lekarza, no nie?

- Oczywiście, że nie... ale przecież może się dziać coś niedobrego z dzieckiem - nalegała Brodie. Rozmawiały o tym nie raz i nie dwa. -

Dziecko może być ułożone nóżkami do przodu albo ty możesz mieć za wysokie ciśnienie krwi... czy coś innego - kończyła niepewnie.

Maisie powiedziała jednak, że nie ma najmniejszej ochoty chodzić do doktora.

- Po prostu wiem, że wszystko będzie dobrze. Gdybym myślała inaczej, poszłabym do niego od razu.

W ten sposób temat został wyczerpany.

Minęła jedenasta. Vanessa siedziała teraz samotnie w ogrodzie.

Nie sądziła, by ktoś zauważył, że nie weszła do domu razem ze wszystkimi. Wszędzie paliły się światła - z wyjątkiem jej pokoju.

Tylko Diana nie zaciągnęła zasłon i widać ją było, jak siedzi na krześle, przy włączonym telewizorze, czytając książkę.

Vanessa nie byłaby zdziwiona, gdyby i odtwarzacz płyt też miała włączony. Diana była osobą, która lubiła, żeby ze wszystkich stron otaczał ją hałas, tak samo jak lubiła być w towarzystwie wielu ludzi.

Może to miało związek z tym, że dorastała w małym domku z trzema braćmi i nie była przyzwyczajona do ciszy ani do samotności.

Vanessa patrzyła na pomarańczowe niebo ze słabo świecącymi gwiazdami i malejącym księżycem, podobnym do plasterka cytryny.

Była zakochana w Reggie Ormerodzie i wszystko, czego chciała, to siedzieć tu samotnie w ciemnościach i smakować to uczucie oszołomienia. *Oczarowana, zmartwiona i oszołomiona* - chyba tak to było w piosence?

Nigdy przedtem nie doznawała podobnego uczucia, a już z pewnością nie w stosunku do Williama, chociaż swego czasu myślała, że jest w nim zakochana. Teraz przypomniała sobie jeszcze inną piosenkę: *To nie może być miłość, bo tak dobrze się czuję...*

Ona się czuła wręcz cudownie! Zupełnie jakby płynęła w powietrzu.

Nie miała pojęcia, czy Reggie czuje to samo, ale miała taką nadzieję...

Cóż, pewnego dnia trzeba się będzie koniecznie dowiedzieć, jak to jest.

Nie przejmuj się tym, Vanesso - mówiła do siebie. - Jeżeli to ma się stać, to się stanie. Po prostu płyn z prądem, jak to mówią.

Jeszcze parę minut siedziała wpatrzona w niebo, po czym weszła do domu.

Rozdział 13

Ktoś naciskał guzik dzwonka tak uparcie, że najwyraźniej nie miał zamiaru przestać, póki drzwi się nie otworzą.

Vanessa przeturlała się po łóżku i z hukiem wylądowała na podłodze.

Zaspana, spojrzała trochę nieprzytomnie na zegarek i stwierdziła, że jest dopiero za kwadrans siódma. Usłyszała, jak na dole Brodie woła niecierpliwie:

- Idę już, idę!

Drzwi zostały otwarte. Natychmiast rozległo się bębnienie nóg po schodach i czyjaś pięść zaczęła walić w drzwi pokoju Rachel, która zawołała:

- Kto tam?

- Tyler! - brzmiała lakoniczna odpowiedź. Rachel zaczęła wołać: - Tyler, och, Tyler! Wiedziałam, wiedziałam od dawna, że przyjdiesz!

Vanessa zdołała się podnieść, sięgnęła po szlafrok i zataczając się, wyszła na podest.

Drzwi pokoju Rachel były otwarte, zajrzała zatem, by zobaczyć Tylera - wysokiego, mocno opalonego i w okularach - jak jednym ramieniem obejmuje Rachel, a drugim małą Poppy. On i Rachel płakali, Poppy zaś radośnie ciągnęła za wyłoczone słońcem włosy ojca; robiła to pierwszy, ale z pewnością nie ostatni raz w życiu.

Na ten widok Vanessa, która kiedyś uważała się za osobę cyniczną do szpiku kości, wybuchnęła płaczem.

- To takie wzruszające... - chlipała, kiedy Brodie weszła do niej na górę.

Brodie zerknęła do pokoju Rachel i też zaczęła płakać.

- Bardzo... bardzo!

Z łazienki wyszła Diana, owinięta tylko ręcznikiem.

- Co się stało? - Twarz jej się zmieniła. - Coś okropnego, tak?

- wybełkotała na widok dwóch zapłakanych kobiet. - Coś z... dzieckiem Maisie?

- Nie, kochanie - zapewniła ją Brodie. - Nic złego. Przeciwnie, to cudowna wiadomość. Tyler wrócił do Rachel.

Okazało się, że Tyler nigdy tak naprawdę od Rachel nie odszedł - po prostu wyjechał na wakacje.

Kiedy jego matka dowiedziała się o nowej rodzinie, którą jej syn założył w Anglii, była oburzona. Kwestionowała wiek Rachel, jej pozycję społeczną uznała za niewystarczającą, bo dziewczynka nie była nawet w najmniejszym stopniu spokrewniona z rodziną panującą, atakowała też jej moralność.

Przewiozła błyskawicznie Tylera do położonego na pustkowiach letniego domu w Carter Booths na przylądku Cod i kazała mu tam siedzieć z chorą babcią. Telefon komórkowy Tylera jakoś się zapadział, a ponieważ chłopiec nie znał numeru stacjonarnego do „Kasztanów”, nie był w stanie nawet zadzwonić.

Jednak regularnie pisał listy, jak mówił „dwa, a nawet trzy tygodniowo” i zostawiał je na tacy przy drzwiach frontowych, licząc na to, że matka albo ktoś ze służby je wyśle.

Był przekonany, że Rachel je dostawała.

- Ależ nigdy nie dostałam ani jednego! - żaliła się Rachel Vanessie i Brodie przy śniadaniu.

Diana już była w pracy, Maisie leniuchowała w łóżku, Tyler zaś został na górze, żeby się lepiej poznać z córeczką.

- Jego matka ich po prostu nie wysyłała - ciągnęła Rachel. - Posłała tylko ten jeden, w którym mi pisze, że mnie porzuca. A ten list napisała ona

sama, udając Tylera! Słowo daję, nawet moja mama nie zachowałaby się tak podstępnie - stwierdziła, a jej mała buzia wprost pałała z oburzenia. - Tymczasem to on się martwił, że ja go rzuciłam, bo nie dostał ode mnie ani jednego listu. A kiedy powiedział matce, że chce wracać do Anglii, usłyszała, że jego babcia może lada moment umrzeć. Aha, i właśnie dlatego Simon Collier, ten prawnik, nie dostał

odpowiedzi na swoje pismo: cała rodzina wyjechała i w Nowym Jorku nikogo nie było! Zgodzisz się, żeby Tyler tutaj czasami zostawał?

- Im nas więcej, tym weselej - zacytowała Brodie.

- Dopiero dzisiaj zauważyłam, że Rachel od marca urosła o dobre kilka centymetrów! - mówiła Vanessa do Brodie, kiedy po śniadaniu zabrały Poppy w wózku na spacer po plaży.

Mimo że słońce wspaniale świeciło, powietrze było chłodnawe, co zwiastowało nadchodzącą zimą. Vanessa się zaofiarowała, że zabierze Poppy, zakładając, że Rachel i Tyler zechcą zostać chociaż na trochę sami, we dwoje. Wolała na ten czas wyjść z domu, a nawet z ogrodu.

Poza tym już się strasznie stęskniła za Charlie, która w poniedziałek poszła z powrotem do szkoły, wolała więc czymś się zająć, żeby tylko nie myśleć ciągle o małej sąsiadce.

- To musi być strasznie dziwne zakochać się i urodzić dziecko, kiedy się ma dopiero czternaście lat! - dumiała Brodie. - Ja w tym wieku byłam pełnym dzieckiem. Właściwie jestem pewna, że się jeszcze bawiłam lalkami.

- A mnie w tym wieku obchodził tylko tenis. Miałam nawet chrapkę na Wimbledon, ale nie byłam nawet tak dobra, żeby wejść do reprezentacji szkoły.

Vanessa zerknęła na śpiące dziecko i zastanowiła się, co też czeka to maleństwo w przyszłości. Może znęci ją życie w Ameryce? Jeżeli Tyler zostanie z Rachel, mała będzie żyła w dostatku. Vanessa miała nadzieję, że chłopakowi starczy sił, by stawić czoło matce, która jak się wydaje, miała wobec niego inne plany.

- Kiedyś też lubiłam grać w tenisa. Może któregoś dnia zagramy razem?

Vanessa parsknęła śmiechem.

- Nie przypuszczam, żebym dała radę biegać, a już na pewno nie trafiłabym w piłkę!

- Chodźmy aż do sklepu Leonarda Goslinga! Tam naprzeciwko jest taka mała kawiarenka, napijemy się kawy i zjemy po ciastku, dobrze? - zaproponowała Brodie. - Leonard może tam pójść razem z nami i pilnować sklepu z drugiej strony ulicy.

- Chętnie.

Vanessa straciła tak dużo na wadze, że jedno ciastko z kremem nie mogło jej zaszkodzić. Ot, taka mała uroczystość z okazji powrotu Tylera do Rachel.

- Chyba nie malujesz już tak dużo jak dawniej, chociaż spędzasz mnóstwo czasu w ogrodzie...

- Zamiast malować, myślę - wyjaśniła Vanessa. - Można by powiedzieć, że maluję, tyle że w głowie.

Brodie zachichotała.

- No, tylko że swoich myśli nie sprzedasz po dwadzieścia pięć funtów za sztukę! A co się stało z tym wielkim obrazem, który ostatnio malowałaś?

- To był obraz dla Reggiego. Wisi teraz na ścianie w jego biurze.

Mówił mi, że ludzie stale o niego pytają. Podoba im się. - Vanessa podzieliła wielkie płótno na dwanaście kwadratów. Każdy kwadrat stanowił osobny obraz, jeden zupełnie różny od drugiego. - Reggie chce, żebym mu taki drugi namalowała do domu.

- I namalujesz?

- Czekam tylko, aż wpadnę na dobry pomysł. Właśnie o tym stale ostatnio rozmyślam.

No, poza tym też o jednej czy dwóch innych sprawach... zresztą też związanych z Reggieciem.

Leonard Gosling, sam wyglądający jak obraz w barwach blado-szarych i turkusowych, był zachwycony ich wizytą.

- Tęsknię za twoją matką - zwierzył się Brodie. - Chciałbym móc jak dawniej wpadać do niej do domu i poplotkować od czasu do czasu o tym i owym. Jak jej tam jest, w tej Irlandii? Przysłała mi pocztówkę, ale to tak niewiele...

- Cóż, ja odnoszę wrażenie, że mama cudownie się tam czuje -stwierdziła Brodie.

Megan spakowała się najszybciej jak mogła i razem z siostrą poleciała do Irlandii. Planowała tam zostać miesiąc i poznać swoich wszystkich krewnych.

Od początku pobytu przeżywała coś, o czym nawet czytała, ale czego sama nigdy dotąd nie doświadczyła: huśtawkę emocjonalną.

Czasami ta huśtawka była aż za silna, zwłaszcza kiedy się spotykała twarzą w twarz - najpierw z braćmi, Joem i Tomem, których ostatni raz widziała jako nastolatków, następnie z kuzynami, z którymi mieszkała podczas wojny, wreszcie z tymi, których jeszcze nie było na świecie, kiedy razem z matką i Brodie wyjechały do Nowego Jorku zaraz po zakończeniu wojny.

Poza tym żył jeszcze jej najmłodszy wuj Aidan, który kiedy Megan przysłała na świat, miał dopiero cztery latka.

Gdy Megan była jeszcze bardzo mała, kochała się na zabój w swoim najstarszym kuzynie, Patricku. Pamiętała nawet, jak mówiła swojej matce, że ma zamiar za niego wyjść, kiedy dorosną.

Próbowała teraz opowiedzieć o tym owemu Patrickowi, ale miał on osiemdziesiąt jeden lat, w dodatku okazał się mruklwym i kompletnie głuchym starszkiem. Nie chciał używać aparatu słuchowego, zatem nie poznał tej romantycznej historii. Z jakiegoś powodu Megan to niemal przygnębiło.

- Starość to cierpienie - stwierdziła po paru dniach pobytu w Irlandii, rozmawiając z siostrą.

- Ale to chyba lepsze, niż umrzeć w młodości - odparła Brodie.

Siedziały w czystym parterowym domku siostry w nowoczesnej dzielnicy na obrzeżach Duneathly.

Mała, senna osada rozbudowała się ogromnie od czasu, kiedy Megan stąd wyjechała; pełno w niej było cudzoziemców, przede wszystkim Amerykanów, którzy pracowali w fabrykach produkujących komputery. Tak w każdym razie utrzymywała Brodie.

Megan nie podobał się ten bungalow, jego nowość, niesplamiona niczym charakterystycznym; poza tym nie cierpiała widoku zupełnie takich samych domków po przeciwnej stronie ulicy, a także samej ulicy z jej gładką, czarną asfaltową nawierzchnią i czystymi, prościutkimi chodnikami. Wszyscy mieszkańcy byli ludźmi w starszym wieku, chociaż Brodie twierdziła, że to nie dzielnica emerytów.

- Masz rację, zestarzeć się jest lepiej, niż umrzeć młodo - zgodziła się Megan, smętnie pociągając nosem. - Prawdopodobnie tak teraz myślę, bo nie widziałam, jak ci wszyscy ludzie się stopniowo starzeją. Tak, jakby to się wydarzyło za moimi plecami. Och, wiem, że to wszystko moja wina - przyznała, widząc, że Brodie już otwiera usta, by się sprzeciwić. - Ale i tak to naprawdę przygnębiające i szokujące widzieć, że wszyscy są już tak rozpaczliwie wiekowi, chodzą o lasce i noszą aparaty słuchowe, podczas gdy ja zawsze ich pamiętałam młodszymi o sześćdziesiąt lat!

Dla niej czas stanął w miejscu. A jednak w Irlandii on też się systematycznie posuwał naprzód i lata odciskały na wszystkich swoje piętno. Nawet córka i synowie Brodie byli już po pięćdziesiątce, mieli też dorosłe dzieci, które już miały swoje potomstwo. Brodie dochowała się już sześciorga prawnucząt.

- Co prawda i ja muszę przyznać - zgodziła się Brodie - że kiedy pukałam do twoich drzwi, w pewnym stopniu spodziewałam się, że mi je otworzy dwudziestoletnia Megan. Tymczasem otworzyłaś mi ty, siwiuteńka i z twarzą tak pomarszczoną jak suszona śliwka.

- I co z tego? - mroźnym tonem odparła Megan. - Dawniej nigdy nie byłaś taka napastliwa.

- Bo się ciebie bałam, dlatego. Miałaś zwyczaj okropnie się nade mną znęcać. Teraz, po tylu latach, mogę ci się odplacić.

- W takim razie bardzo cię przepraszam. Naprawdę nie miałam zamiaru się nad tobą znęcać.

- No dobrze. Przeprasziny zostały przyjęte - roześmiała się Brodie.

- Chyba żony naszego Joego i Toma mnie nie lubią - marudziła Megan. - Patrzą na mnie jak na intruza.

- Och, ta parka! Dawniej jedna nienawidziła drugiej i nawzajem, ale kiedy się zestarzały, wspólnie urządzają sabat czarownic.

- Mam nadzieję, że nie rzucą na mnie uroku.

- Podejrzewam, że są z nich marne czarownice, nawet nie wiedzą, jak to zrobić.

Megan zadrżała.

- Chyba jestem zadowolona, że mnie ominęły takie rzeczy. Mam na myśli posiadanie krewnych, z którymi nie mam dobrych stosunków, i całe to obgadywanie, które się z tym wiąże.

- To wszystko jest częścią „bycia rodziną”, Meg. W okolicy mieszkają sto sześćdziesiąt trzy osoby o nazwisku Kenny i gdyby wszyscy się lubili, zakrawałoby to chyba na cud.

- Sto sześćdziesiąt trzy!

Straszna myśl, musieć się spotkać z tyloma ludźmi!

W najbliższy weekend wuj Aidan kończył osiemdziesiąt pięć lat.

Przyjęcie urodzinowe miało się odbyć w wielkim nowym hotelu na drugim końcu Duneathly i zaproszono na nie wszystkich członków rodziny Kennych, młodych i starych, włącznie z tymi ze Stanów Zjednoczonych i Liverpoolu.

Z krewnych liverpoolskich miała być obecna tylko Megan, bo Maisie już w każdej chwili spodziewała się porodu. Z kolei dwaj chłopcy ze Stanów walczyli teraz w Iraku. Gdyby nie to, że z pewnością bardzo zraniłaby uczucia Brodie, Megan wolałaby wcześniej wrócić do domu, byle tylko uniknąć tej urodzinowej imprezy. Co za historia, mieć wuja, kiedy się samej ma już osiemdziesiąt lat! Ale obiecała, że zostanie cały miesiąc, i tak też zrobi.

*

W Liverpoolu nadal panowała ładna, ciepła pogoda, ale dni były coraz krótsze. Kiedy mieszkanki „Kasztanów” siedziały po południu w ogrodzie, już robiło się ciemno.

Zapalały wtedy światła w pokojach i nie zasłaniały kotar, żeby w ten sposób oświetlić ogród. Diana przyniosła mnóstwo pachną-

cych świeczek i dzięki temu ogród przypominał teraz scenę jak z bajki i w dodatku cudownie pachniał.

Vanessa uznała za twórczą inspirację fakt, że światło padające na trawę czyni ją srebrną, a nie zieloną, i tak ją namalowała. Przeniosła też na płótno efekt, jaki wywoływało światło na złotych liściach, które już zaczynały opadać z drzew i teraz sucho trzeszczały pod stopami.

W sklepach nagle znalazło się mnóstwo ozdób gwiazdkowych.

Brodie była tym zdegustowana.

- Lato jeszcze właściwie nie minęło - narzekala. Niemniej zaczęła już przygotowywać listę prezentów dla wszystkich na Gwiazdkę. - Czy świąteczny obiad urządzimy tutaj, czy każdy u siebie w domu? -

zastanawiała się głośno pewnego sobotniego poranka, kiedy wszystkie razem jadły śniadanie w ogrodzie. Diana nazwała to śniadanie *alfresco*.

- Ja nie mam „swojego” domu - podkreśliła Vanessa. - Tutaj jest mój dom.

- Ani ja... ani Poppy - przyłączyła się Rachel.

Tyler był w szkole, grał w rugby. Jego ojciec chciał, żeby cała ich trójka przeprowadziła się do niego i jego nowej żony, Rachel jednak odmówiła.

- Ja też wolę zjeść świąteczny obiad w „Kasztanach”. Na Coral Street do moich chłopaków pójdę dopiero na podwieczorek - zdecydowała Diana.

- Moja matka naturalnie na pewno przyjdzie, Maisie też... Nie przeszkodzi wam, jeżeli zaproszę Colina? - spytała Brodie.

Przypuszczała też, że może i Josh pojawi się w domu.

- Nie, jeżeli tobie nie przeszkodzi, że zaproszę Reggiego i Charlie.

- Och, Vanesso, to byłoby cudownie! Możemy rozłożyć ten stół, a na górze jest przecież mnóstwo krzeseł. Muszę zacząć szykować kolejną listę: tego, co będziemy jeść, taki rodzaj menu. Ja kupię kurczaka, indyka i wieprzowinę.

- Tylko się upewnij, żeby kurczak i indyk były z naturalnej ho-

dowli, takie „grzebiące” - zwróciła jej uwagę Diana. - Wszystkie się na to złożymy.

Ale Brodie stanowczo potrząsnęła głową.

- Mowy nie ma. To zwyczajny świąteczny obiad, jaki zawsze miałyście w domu, i to ja za wszystko zapłacę. Aha, i jeszcze myślę, że powinniśmy zaprosić Leonarda Goslinga. Razem będzie nas wobec tego jedenaścioro. - Z przejęciem zatarła ręce. - Już się naprawdę z góry cieszę na to wszystko!

Sądząc z ogromnych rozmiarów brzucha Maisie, jej dziecko miało przyjść na świat lada dzień. Ona sama nie miała pojęcia, kiedy ostatni raz przeszła menstruację. W dalszym ciągu nie chodziła też do lekarza.

- Nie uważasz, że powinnaś chociażby porozumieć się ze szpitalem, żeby wiedzieli, że mają cię przyjąć? - powiedziała kiedyś Brodie późnym wieczorem, sprzątając kuchnię.

Bardzo trudno przychodziło jej zachowanie cierpliwości wobec córki i była przekonana, że Maisie odmawia pójścia do lekarza po prostu na złość.

Brodie serdecznie pragnęła, żeby córka już się wyprowadziła i zamieszkała z ojcem, o którym miała takie wysokie mniemanie: niech on się martwi, jeżeli dziecko zacznie się rodzić w środku nocy i trzeba będzie się spieszyć do szpitala.

- Czy ty naprawdę uważasz, że pielęgniarki na porodówce wpadają w panikę, jeśli się zjawia kobieta, która zaczęła rodzić? - wydziwiała Maisie, krzywiąc usta. Wyglądała teraz o niebo lepiej niż w dniu swojego przyjazdu: gdyby nie figura, przypominałaby dawną Maisie. -

Przecież to ich zawód, przyjmowanie niemowląt. I to może być każda kobieta, skądkolwiek. Może przecież przyjechać na wakacje albo kogoś odwiedzać i być już zapisana na poród w zupełnie innym szpitalu. Przecież jej nie wyrzucą, prawda? No i tak samo nie wyrzucą mnie.

Tego już Brodie nie zniosła: nie słów, jakie wygłaszała Maisie, ale tego wykrzywania ust.

Nie wspominała zatem, jak to już robiła kilka razy przedtem, o ciśnieniu krwi, które się powinno mierzyć przez całą ciążę, ani o samej krwi, w której może brakować żelaza czy czegoś innego, ani nie powiedziała, że dziecko może mieć nieprawidłowe położenie.

Nie.

Po prostu rzuciła trzymany w ręku czajniczkę do herbaty o przeciwległą ścianę kuchni, tak że wylądował na ziemi w dziesiątkach kawałków, razem z trzema torebkami herbaty.

- Do jasnej cholery, Maisie! - wrzasnęła. - Zachowujesz się jak totalna kretynka. A kiedy już zaczniesz rodzić to dziecko, to sama sobie pojedziesz do tego twojego cholernego szpitala. Nie licz na to, że cię tam zawiozę i będę musiała tłumaczyć, dlaczego nigdy dotąd nie pokazałaś się w tym przeklętym miejscu, mimo że mieszkasz tylko o parę kilometrów! Oni będą myśleli, że to ja jestem nieodpowiedzialna, a nie ty!

- Więc tylko to ma dla ciebie znaczenie? - prychnęła Maisie, znowu krzywiąc usta. - To, że ludzie, których nigdy nie poznałaś i pewnie nigdy więcej nie spotkasz, będą cię mieli za nieodpowiedzialną?

Brodie podniosła torebki herbaty, przez chwilę się zastanawiała, czy nie rzucić nimi w córkę, po czym jednak wyrzuciła je do śmieci.

- Nie, Maisie - rzekła bardzo chłodno i z rozważą - nie to mnie niepokoi. Martwię się, że być może mój pierwszy wnuk przeżyje trudny poród, że może nawet doznać stałego urazu z jednego z powodów, które ci już nieraz tłumaczyłam. Tymczasem ty jesteś najzwyczajniej paskudnie arogancka i gadasz bez sensu, że masz to wszystko w nosie.

Wyjęła śmietniczkę i szczotkę spod zlewu i zaczęła zmiatać szczątki czajniczka z podłogi. Na szczęście w czajniczku już prawie nie było herbaty, więc podłoga właściwie się nie zamoczyła.

Kiedy Brodie podniosła oczy, Maisie już nie było.

Włączyła czajnik na wodę. Herbata... herbata. Strasznie potrzebowała herbaty.

Na półce stał inny czajniczek, metalowy. Ten w każdym razie się nie stłucze, nawet gdyby nim kiedyś chciała rzucić o ścianę.

- Och, w porządku - rozległ się głos od drzwi. - Możesz mnie zawieźć do szpitala jutro rano...

- Dziękuję - ostro odparła Brodie. - Bardzo ci dziękuję.

Do niedawna czuła dla córki tylko współczucie, ale teraz już miała serdecznie dosyć tego ciągłego chodzenia na paluszkach, obchodzenia się z Maisie niesłychanie łagodnie, ponieważ spodziewa się dziecka, za co w zamian otrzymywała tylko szyderstwa i oburzające chamstwo.

Z pewnością niektórzy rodzice odmówiliby przyjęcia z powrotem do domu swoich ciężarnych córek narkomanek - ale Maisie nie okazała ani grama wdzięczności za to, że matka przyjęła ją bez słowa krytyki, mimo że postępowała w stosunku do niej w tak skandaliczny sposób.

Jak to mówił Colin? „Jak sobie pościele, tak się wyśpi. Zawiodła nas”. Chociaż Brodie nie myślała dokładnie tak, jak kiedyś jej mąż, teraz żałowała, że wtedy nie nagadała dziewczynie solidnie do słuchu.

To by nam obu doskonale zrobiło - mówiła sobie.

Teraz, kiedy sobie ulżyła, czuła się o wiele lepiej. Pomyślała, że Maisie chyba też się lepiej poczuła, będąc świadkiem tej sceny.

Po zaparzeniu herbaty zajrzała do swojego pokoju: jej córka leżała w łóżku i spała albo udawała, że śpi.

Brodie zamknęła cicho drzwi. Już było za zimno, żeby siedzieć w ogrodzie - Vanessa wróciła do domu jakiś czas temu - usiadła zatem przy stole w gabinecie. Nadal była roztrzęsiona. Nieczęsto jej się zdarzało tak stracić cierpliwość i teraz najchętniej by z kimś porozmawiała. Z wielką więc ulgą usłyszała, że drzwi frontowe się otwierają.

Do domu weszła Diana.

- Cześć! - zawołała Brodie.

- O, cześć! - Diana wsunęła głowę do pokoju. - Byłam ciekawa, dlaczego tu się pali światło.

- Gdzie byłaś?

- W kinie z Leem obejrzeć *Spisek Bourne'a*. Bardzo dobre. Ten Matt Damon naprawdę mi się podoba.

- Jeżeli masz ochotę na filiżankę herbaty, to woda powinna się za chwilę zagotować - zaprosiła ją Brodie. - A w lodówce jest trochę czekoladowych ciasteczek.

- Świetnie! Za moment jestem. Ty też się jeszcze napijesz?

- Dziękuję, ale jeszcze tej nie skończyłam.

Diana wróciła z kubkiem herbaty i dwoma ciasteczkami na talerzu.

Postawiła wszystko na stole, a sama rzuciła się na krzesło z westchnieniem.

- W sobotę mam zamiar powiedzieć temu biednemu Leo, że już się z nim nie mogę spotykać... i oddam mu z powrotem pierścionek - oznajmiła ponuro. - Cały czas mówi, że chce się ze mną żenić, tymczasem... nie, to po prostu nie byłoby uczciwe.

- W stosunku do ciebie czy do niego? - chciała wiedzieć Brodie.

Właśnie takiej rozmowy jej było trzeba: najlepiej odwracała uwagę od własnych kłopotów.

- W stosunku do niego, do tego biedaka, oczywiście! Bo go przecież nie kocham, prawda? - Dziewczyna była strasznie zgnębiona. - Czy, jeżeli go rzucę, jakoś to zniesie? Prawda, że tak? - pytała z niepokojem.

- Kochanie, myślę, że możesz z pewnością na to liczyć. I nie potępiaj się za nic, proszę. Leo jest naprawdę strasznie zdeterminowany, poza tym dodatkowo jego rodzice go do tego popychają. - Brodie uściśniła rękę Diany. - Jesteś dobrą partią, dlatego to wszystko.

- No i Tinker prosił, żebym zerwała z Leem. I ja też chcę.

- A jeżeli to zrobisz, mam nadzieję, że z kolei nie będziesz chciała wychodzić za Tinkera? Chyba że będziesz zupełnie pewna, że go kochasz.

Diana skinęła głową z powagą.

- Nie przejmuj się, nie zrobię tego.

Zanim Brodie zasnęła, minęły chyba wieki. Cały czas rozpatrywała w myślach awanturę z Maisie, słuchając równomiernego oddechu córki.

Miała nadzieję, że dziecko zacznie się rodzić w dzień, a najlepiej w weekend, kiedy tu będzie Colin.

Miała wrażenie, że spała raptem kilka sekund, gdy Maisie zaczęła stękać. Brodie natychmiast się zerwała, zwłaszcza że Maisie usiadła i zaczęła krzyczeć.

- Och, mam! Teraz miałam naprawdę straszny ból. Ooo, cholera... to mnie zabija!

- Gdzie czujesz ten ból, słoneczko?

Kiedy później o tym myślała, doszła do wniosku, że to było najgłupsze pytanie na świecie.

- W brzuchu. O Jezus, mam, to tak strasznie boli! - Znów zaczęła krzyczeć.

- To znaczy, że zaczynasz mieć skurcze. Najlepiej będzie, jeżeli zaraz pojedziesz do szpitala. - Brodie wstała z łóżka i narzuciła na siebie ubranie.

- Gdzie walizka z twoimi rzeczami? - Przypomniała sobie, że jest na górnej półce w szafie i poszła po nią. - Chodź, słoneczko, włóż na siebie szlafrok. Zadzwoń do szpitala i powiem, że już jedziemy.

Najlepiej ruszajmy od razu. - Zupełnie zapomniała o swoim niedawnym gniewie.

- Nie mogę... nie dam rady... nie mogę się ruszyć. - Maisie zaczęła skopywać z siebie kołdrę. - Kurwa, mam, ten dzieciak już się rodzi.

Najwyraźniej czuję, jak się rusza!

- Jezusie Maryjo! - Brodie otworzyła drzwi i zawołała: - CZY JEST W TYM DOMU KTOŚ, KTO WIE, JAK

PRZYJMOWAĆ DZIECKO?!

Odpowiedzią była cisza, która wydawała się trwać bardzo długo.

Nagle otworzyły się drzwi pokoju na górze.

Rachel na bosaka pędziła w dół po schodach: biała nocna koszula plątała się jej pod nogami.

- Ja wiem! - wołała. - Pielęgniarka uczyła nas tego w szkole.

Brodie, telefonowałaś już po karetkę? Jeżeli nie, dzwoń zaraz, a potem naszykuj kilka czystych ręczników. Idę umyć ręce! Diana też wyszła ze swojego pokoju.

- Ja zadzwonię po karetkę, Brodie - ofiarowała się. - Ty się zajmij ręcznikami.

Kiedy Brodie weszła z ręcznikami do pokoju, Rachel już klęczała przy łóżku Maisie.

- Czy są jakieś problemy, o których powinnam wiedzieć? - pytała rodzającą. - Nie wiesz, czy dziecko nie jest czasem w pozycji pośladkowej?

- Ona nie ma o tym pojęcia - wtrąciła Brodie.

- Muszę przeć! - zawołała Maisie.

- Postaraj się na razie nie przeć - spokojnie zalecała jej Rachel.

- Lepiej spróbuj dyszeć. O, tak. - Zaczęła sapać jak lokomotywa. Po chwili Maisie spróbowała tego samego. - Brodie, podłóż ręczniki pod jej tyłek i pomóż mi wyprostować jej nogi! Och! Chyba widzę główkę!

- zawołała po paru sekundach.

- Już?! - krzyknęła Brodie z przerażeniem. - Czy to niebezpieczne?

Czy to nie za wcześnie?

Rachel nie odpowiedziała. Zwróciła się do Maisie: - Teraz czas, żebyś parła.

- Święta Mario, Matko Boża! - wrzasnęła Brodie - Już wychodzi!

- Brodie! - ostro zwróciła jej uwagę Rachel - w ten sposób jej nie pomagasz. Proszę, wyjdź stąd, zrób herbatę czy coś takiego i poproś Vanesę, żeby tu przyszła, jeżeli jest u siebie.

Brodie wyszła chwiejnie, trzymając się ściany.

- Ona... cię... potrzebuje - wyszeptła do zaniepokojonej Vanessy, która stała w korytarzu razem z równie zdenerwowaną Dianą.

Vanessa pobiegła do rodzącej, Diana zaś rzekła: - Karetka jest już w drodze. Niedługo powinna tu być.

- Dzięki Najwyższemu... - Brodie ścisnęła rękę Diany. - Boję się, że umrę...

Razem zaczęły spacerować tam i z powrotem po korytarzu: osiem kroków w jedną stronę, osiem w drugą - Brodie liczyła. Miała wrażenie, że robi to już przez parę godzin, ale potem się dowiedziała, że wszystko trwało najwyżej dwadzieścia minut. Następnie usłyszała płacz dziecka: jeden słaby, raczej żalospny krzyk.

Vanessa otworzyła drzwi. Tryskała po prostu radością.

- Chłopiec! - zawołała. - Fantastyczny! Wiecie co? Za nic na świecie nie chciałabym stracić tego przeżycia! Możecie wejść.

Dziecko było owinięte w ręcznik i leżało na piersiach matki. Maisie przypominała teraz jakąś dziką kobietę: była rozkochana, ale twarz miała spokojną i prawie piękną. Rękoma obejmowała dziecko, które miało gęstą, kędzierzawą ciemną czuprynkę i robiło wrażenie raczej zakłopotanego swoim przyjściem na świat.

- Mam syna, mam - odezwała się Maisie.

- Wiem, słoneczko. - Brodie położyła rękę na plecach wnuka. Były gorące i mocne. - Jest ogromny, waży co najmniej cztery, może nawet cztery i pół kilo!

- Sprawdziłam buzię i noski i są czyste - opowiadała Rachel - ale pępowina jeszcze nie jest odcięta; to mogą zrobić w szpitalu; poza tym łóżko jeszcze nie wyszło. Teraz umyję znowu ręce i wracam do łóżka. Jeżeli Poppy się obudziła, będzie pewnie chciała wiedzieć, gdzie się podziewałam.

- Dziękuję... - wybełkotała Brodie. - Och, Rachel! Dziękuję!

- Lubię tu mieszkać - zwierzyła się Diana Vanessie, kiedy karetka już zabrała Maisie, noworodka i Brodie do szpitala. - Jest naprawdę pasjonująco.

- I ja lubię.

Obie uśmiechnęły się do siebie i poszły spać. Vanessa nie mogła zasnąć.

Z ulgą powitała pierwsze przebliski światła dnia, przedostające się przez zasłony: uznała, że już ma prawo wstać z łóżka.

W domu panowała całkowita cisza.

Kiedy zeszła na dół, zastała drzwi do pokoju Brodie na oścież otwarte, wobec czego tam weszła, sprawdzić, w jakim stanie jest łóżko Maisie. Znalazła na nim zakrwawione ręczniki. Zniosła je na dół i wrzuciła do pralki.

Później, z powrotem w pokoju Brodie, pościeliła łóżka i trochę posprzątała. Odśloniła okna i zobaczyła, że cały ogród pokrywa gęsta mgła. Było za wcześnie, by mogła dojrzeć słońce, można jednak było przewidzieć, że zanoszą się na kolejny piękny dzień, tyle że może nie tak ciepły, jak dotychczas bywało.

Już się zabierała do robienia porannej kawy, kiedy usłyszała ciche stukanie w szybę frontowych drzwi. Ktoś postąpił naprawdę przemyślnie, nie chcąc budzić całego domu głośniejszym dzwonieniem.

Przez witrażowe szybki rozpoznała przybysza: to był Reggie Ormerod.

Vanessa zdawała sobie sprawę, że nie wygląda zbyt pociągająco w starym szlafroku, lecz wcale się o to nie troszczyła. Zresztą to nie była tamta posępna, pozbawiona nadziei troska, którą odczuwała w początkach swojego pobytu w tym domu, ale przyznanie się, że właśnie tak wygląda, kiedy wstaje rano z łóżka, jeszcze przed ucze-saniem włosów i umyciem się.

- Cześć! - zawołał Reggie, kiedy otworzyła i stanęła z nim twarzą w twarz.

On co prawda najwyraźniej zrobił wysiłek, żeby jakoś wyglądać, i związał włosy. Ubrany był, jak zwykle, na czarno. Nie było wątpliwości: Megan miała rację, kiedy go nazwała seksownym - z tą twardo zarysowaną, a przy tym wrażliwą twarzą i ciemnoszarymi oczyma.

- Jeszcze nie spałem, kiedy wczoraj wieczorem przyjechała karetka.

Chciałem się dowiedzieć, czy u was wszystko w porządku?

- Wszystko doskonale. - Vanessa wręcz poczuła rumieniec na twarzy.

- To Maisie urodziła.

- Tak też przypuszczałem. A co urodziła? - Robił wrażenie naprawdę zainteresowanego.

- Chłopca. Ale wejdź, jeżeli tylko masz chwilę czasu. Właśnie robię kawę.

- Z rozkoszą napiję się kawy.

Odsunęła się, żeby go wpuścić, i zaprowadziła go do kuchni.

- Naprawdę urodziła dziecko tu, w domu?

- Tak. - Odwróciła się do niego, chcąc opowiedzieć, jak te narodziny ją przejęły. - Byłam przy tym i pomagałam... Wiesz, to było naprawdę cudowne. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś podobnego. Maisie krzyczała i wrzeszczała, i nagle zapanowała kompletna cisza i ten wspaniały chłopczyk wydostał się na świat. - Czuła, jak po policzkach płyną jej łzy: otarła je rękawem szlafroka. - Nie płaczę ze smutku, ale dlatego, że to było takie wzruszające. Prawdziwy cud. Chodź, napijemy się przy stole. - Zaniósł ich kawy do gabinetu i zamknęła drzwi. - Nie chciałabym nikogo budzić. Aha, i jeszcze ci nie powiedziałam, że to właściwie Rachel przyjęła dziecko. Ona też była cudowna: taka zrównoważona! Ani przez chwilę nie straciła spokoju.

Biedna Brodie: o, ta to była w okropnym stanie! -Przerwała na chwilę, żeby nabrać tchu. Reg przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. -

Przepraszam cię... trochę się zagalopowałam.

- Nic nie szkodzi - odparł. - Możesz mówić, co tylko zechcesz.

- Nie mogę, krępuję się przy tobie...

- Wybacz...

Ujął jej dłoń i pocałował; potem ucałował jej drugą rękę i obie przytulił do policzków.

Wydawało się, że czas się zatrzymał.

Przejechał jakiś pociąg, a im się wydało, że był o wiele kilometrów stąd. Ptaki śpiewały, gdzieś zaszczekał pies. Vanessa mogłaby przysiąc, że słyszy, jak w ogrodzie liście spadają z drzew i kwiaty otwierają się do słońca.

Wtedy Reggie Ormerod znowu ją zaczął całować, tym razem w usta...

i wszystko już stało się jasne.

Przedtem jej życie było jednym długim planem działania; odtąd już nigdy więcej nie będzie nic planować. Od dzisiaj będzie najpierw robić, a potem dopiero myśleć...

Oto dlaczego oddała teraz Reggiemu pocałunek.

- Mamy wnuka! - chichotał Colin.

Była czwarta rano. Odwoził Brodie z powrotem do domu z liverpoolskiego szpitala położniczego. Ich pierwsze wnuczę już zostało wykąpane, zważone, zbadane i teraz mocno spało w kołysce obok zmęczonej matki.

- Mamy wielkiego, pięknego i zdrowego wnuka, który wygląda tak, jakby miał z niego wyrosnąć pierwszorzędnny gracz w rugby.

- Thomas! - szepnęła Brodie. - Maisie sobie nawet nie zdawała sprawy, że nazwała syna imieniem jego prapradziadka.

- A czy Maisie i Thomas mają dalej mieszkać z tobą, kiedy już wrócą ze szpitala? - spytał Colin w skupieniu po krótkiej, zdaniem Brodie trochę kłopotliwej pauzie. Jego dobry humor natychmiast uległ

zmianie.

- W „Kasztanach” nie ma dość miejsca - odparła. - Te nieużywane pokoje są strasznie małe i wszystkie wymagają odnowienia.

- Czy wobec tego wrócą do domu? Mam na myśli: do ich prawdziwego domu, tego, w którym ty i ja mieszkaliśmy razem i wycho-wywaliśmy nasze dzieci?

Starał się za wszelką cenę, żeby to nie zabrzmiało gorzko.

- Nie wiem. Czuję, że powinnam być razem z nią... - przerwała, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

To chyba musiało być niemądre, ale czuła jakąś lojalność wobec tej swojej „innej rodziny” w „Kasztanach”. Nie chciała ich zostawić na lodzie.

- Zupełnie oczywiste, że powinnaś teraz być z córką - stwierdził Colin tak ostro, że to ją zirytowało. - Tak się składa, że w tym domu, o którym wspominałem, jest podwójne łóżko, jest miejsce dla kogoś drugiego: dla żony na przykład! Sypialnia Maisie została

pięknie odnowiona. Poza tym ma tam dosyć miejsca na łóżeczko dla dziecka, które kupiłem i teraz czeka tylko, żeby je poskładać. *A propos*, nie jestem specem od takich rzeczy. Potrzebuję pomocy.

Kupił łóżeczko! Temu już Brodie nie mogła się oprzeć.

Powiedziała:

- Czemu nie poprosisz o pomoc swojego ojca?

- Nie widziałem go już od tygodnia, może i od dwóch. Stara się teraz o czyjeś względy.

- Co takiego?!

- Ona... ma na imię Blanche. Właśnie się wprowadziła do sąsiedniego domu. Nie obok nas, tylko obok niego. Więc teraz, kiedy tata już nam nie zawadza - rzucił niecierpliwie - może mogłabyś ponownie rozważyć swoje stanowisko w sprawie powrotu do domu?

- To nie była tylko sprawa twojego ojca. Przede wszystkim twój stosunek do Maisie i to, jak o tym mówiłeś.

- Ale teraz mam do Maisie zupełnie inny stosunek - podkreślił. - Ile razy mam ci to powtarzać?

- Tak to się wydaje, ale kiedy się okazało, że jest uzależniona, nie byłeś dla nas żadną pomocą. To ja pojechałam do Londynu i ja poznałam Karen Young, tę policjantkę, która ją przywiozła do domu. -

Zwróciła się twarzą do męża. Jechali przez ciche, puste ulice. - Może będzie lepiej porozmawiać o tym innym razem? Jestem okropnie zmęczona i nie w nastroju do dyskusji.

Postanowiła, że pojedzie teraz do domu w Crosby i zostanie tam parę dni, pomoże Maisie w zainstalowaniu się, ale będzie spała w łóżku Josha, a nie z Colinem.

Nie była w nastroju także i do tego.

Obudziła się w pokoju Josha o wpół do dziewiątej. Był piękny poranek, pokój zalewało słońce. Colin już wyszedł do szkoły.

Na dole w szafce kuchennej znalazła płatki kukurydziane, a w lodówce karton świeżego mleka. Dziwnie się czuła, jakby nie na miejscu, jedząc śniadanie w tej kuchni, a nie w „Kasztanach”.

Kiedy skończyła śniadanie, zadzwoniła z komórki do Josha, powiedzieć mu, że został wujkiem.

Potem zatelefonowała też do matki w Irlandii.

- Więc jestem już prababcią! - wołała mama, najwyraźniej ogromnie przejęta. - Najbliższym lotem wracam do domu!

- Ależ nie musisz, mamo - zaprotestowała Brodie.

- Och, kochanie, muszę! Mam cudowną wymówkę, żeby wyjechać.

W sobotę wuj Aidan kończy osiemdziesiąt pięć lat i mają się tu zjechać wszyscy członkowie rodu Kennych z całego świata. Na samą myśl o tym robi mi się po prostu niedobrze! To dziecko Maisie urodziło się akurat na czas!

Brodie wygrzebała bieliznę, którą Maisie zostawiła w domu, zanim wyjechała na uniwersytet; poza tym znalazła też kilka jej rzeczy, które były jeszcze podatne do użytku. Do kupionego przez Colina łóżeczka brakowało pościeli: postanowiła, że po południu pójdzie do miasta i kupi wszystko, co potrzebne. Wyobraziła sobie, co to będzie za przyjemność wybrać kocyk dla tego niemowlęcia: może w niebieskie i białe pasy? Kupi też coś ładnego dla Maisie: może perfumy albo jakąś biżuterię?

Samochód zostawiła w Blundellsands. Postanowiła pojechać teraz pociągiem do szpitala, zajrzeć do córki, upewnić się, że wszystko w porządku, po czym porobić zakupy. Po samochód pojedzie później.

U Maisie już był gość: młody człowiek z miłą, otwartą twarzą i brązowymi, kręconymi włosami. Oczy miał trochę ciemniejsze niż włosy.

W tej chwili hołubił Thomasa, przepelniony dumą i dziecięcą naiwną radością świeżo upieczonego ojca. To mógł być tylko Pete.

Brodie była zadowolona, że chłopak ma taki przyjemny wygląd, więc nie była pewna, czemu nagle poczuła serce w gardle.

- Mamo! - zawołała Maisie, kiedy Brodie się zbliżyła. Dziewczyna promieniała. - To jest Pete, ojciec Thomasa. Właśnie przyje-

chał z Londynu. Zadzwoiłam do niego ze szpitala w nocy... no, właściwie dziś nad ranem.

- Dzień dobry, pani Logan - nieśmiało powiedział Pete, podnosząc się.

Mówił z odrobiną akcentu... chyba walijskiego, pomyślała Brodie.

Poza tym za bardzo się bał puścić dziecko, żeby jej podać rękę.

- Proszę, nazywaj mnie Brodie. No, co myślisz o swoim synu?

- Jest... odlatowy. - Znowu usiadł. - To wszystko ułożyło się o wiele lepiej, niż sobie wyobrażałem. Brodie zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

- No... - zaczął, ale Maisie mu przerwała.

- On ma na myśli, że się zachowałam jak skończona świnią. Uciekłam i nic mu nie powiedziałam, więc strasznie długo nie miał pojęcia, gdzie się podziewam. Cały ten zeszły rok z mojej winy przechodził przez prawdziwe piekło. - Położyła rękę na kolanie chłopaka. -

Przepraszam... - Wyciągnęła drugą rękę do Brodie. - I ciebie przepraszam, mamó. Wobec ciebie też się zachowywałam jak świnią.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale cały czas potępiałam wszystkich innych za to, co przecież było wyłącznie moją winą. -Wyprostowała się i roześmiała. - Dzisiaj pierwszy raz od nie wiem jak dawna jestem znowu sobą!

- I mam nadzieję, że tak już zostanie, moje słoneczko.

Już chciała spytać córkę, co ją przede wszystkim skłoniło do brania narkotyków, ale uznała, że to jednak niezbyt odpowiedni moment.

- Jedziesz teraz do domu, mamó? - spytała Maisie.

- Kiedy już zrobię zakupy. Czemu pytasz?

- Bo chciałabym, żebyś mi przywozła tu trochę rzeczy: mój czarny płaszcz... i chyba mam jeszcze dwie pary niezłych dżinsów. Resztę można wyrzucić. A może Diana zechce to zabrać do swojego ośrodka?

W tej chwili Brodie zrozumiała, czemu na widok Pete'a serce uwięzło jej w gardle: musiała przeczuć to, co się zaraz wydarzy.

- Czy... to znaczy, że wyjeżdżasz? - zapytała, usiłując mówić spokojnie.

Oczy Maisie zapłonęły.

- Wracamy do Londynu, jutro rano, samochodem Pete'a! Wynajął

wielki pokój na Muswell Hill i ma naprawdę dobrą pracę: robi badania rynku dla Partii Zielonych. A ja za parę miesięcy będę mogła oddawać już Thomasa do opiekunki i sama zacznę pracować.

Serce Brodie zaczęło walić jak młotem.

- Uważasz, że to dobrze, jeżeli dwoje dorosłych i niemowlę mieszka razem w jednym pokoju?

- Och, to naprawdę duży pokój. Prawda, Pete?

- Jest ogromny, pani... Brodie. Naprawdę ogromny - zapewniał Pete. -

Jest tam miejsce na łóżeczko dla dziecka i na wszystko.

Była ciekawa, czy już mają łóżeczko. Nie mogła się zdobyć na powiedzenie im, że Colin już je kupił. Niech on sam im to powie później.

Już nie miała nastroju do robienia zakupów.

Zresztą nie wiedziała, co kupić. Pomimo porannych napięć między nimi bardzo chciała porozmawiać teraz z Colinem, powiedzieć mu, że Maisie nie ma zamiaru zostawać ani w domu w Crosby, ani w Blundellsands.

Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Cały czas wyobrażała sobie, że ich wnuk będzie w pobliżu, przynajmniej przez jakiś czas, że go jej nie zabiorą błyskawicznie sprzed nosa teraz, kiedy maluch ma raptem dwa dni.

Czyżby Maisie była tak nieczuła, że nawet nie pomyślała o matce i ojcu? Od kiedy była taka? A może od zawsze? Poza tym... ciekawe, któż to pomagał Maisie w tym czasie, kiedy ona i Pete przestali się kontaktować?

To było coś, czego ona, Brodie, nigdy się nie dowie.

W „Kasztanach” zastała w ogrodzie Vanessę, wpatrzoną marzycielsko w przestrzeń: trzymała przy tym rączkę wózka Poppy, poruszając nim lekko od czasu do czasu.

- Jest dzisiaj trochę niespokojna - powiedziała, kiedy Brodie usiadła obok przy stole. - Myślę, że się jej wyrzyna drugi ząbek.

- A gdzie Rachel i Tyler? - spytała Brodie.

- Pojechali do Southport, do lunaparku. Chcieli wziąć Poppy ze sobą, ale zaproponowałam, że się nią zajmę. Niech już sobie będą tego dnia dziećmi, a nie rodzicami, jak zwykle.

Brodie oczyma duszy ujrzała tę młodą parę z rożkami lodów, wędrującą ręką w rękę wśród kramów i karuzeli.

Zauważyła, że Poppy ma na sobie ciepłą, watowaną kurteczkę. To ją przygnębiło: było dowodem, że lato definitywnie się skończyło i że wkrótce wszystko się zmieni.

Vanessa zaczęła ją wypytywać o noworodka.

- Ma już jakieś imię?

- Tak, Thomas. I jest w porządku. Waży prawie cztery i pół kilo.

- Strasznie bym chciała go zobaczyć. - Wyglądała na naprawdę przejętą. - W końcu to jedyne dziecko, któremu pomagałam przyjść na świat. Będę tam mogła pojechać dzisiaj wieczorem? A może Maisie już wkrótce wraca do domu?

- Obawiam się, że Maisie wraca jutro, ale do Londynu. Na twoim miejscu poszłabym dziś wieczór. To może być ostatnia okazja, żebyś go obejrzała. Zresztą Diana i Rachel też.

Modliła się w duchu, żeby matka przyleciała dostatecznie wcześnie z Irlandii, by zobaczyć Thomasa, w przeciwnym razie z pewnością będzie ogromnie zmartwiona.

Diana wróciła do domu rozradowana. Okazało się, że cały dzień wymieniały z Megan SMS-y i planowały, że w piątek wieczorem pięknie się ubiorą i obejrzą film.

- Obejrzymy *Deszczową piosenkę* - obiecywała Diana. - To jeden z moich ulubionych filmów. Mogłybyśmy kupić wino i zamówić jakieś jedzenie. A ja zrobię deser biszkoptowo-owocowy ze śmietaną.

Mówiłam wam już, że robię najlepsze, fantastyczne desery?

- Nie - przyznała Brodie. Była tak zadowolona z widoku tej dziewczyny, że chciało jej się płakać. Diana nigdy nikomu nie

sprawiła najmniejszej przykrości. - A co dodajesz do tego deseru?

- Wszystko! - odparła Diana z triumfalnym uśmiechem. - Ostatnim razem, kiedy go zrobiłam, wszyscy się upiliśmy.

Tylko Diana potrafiła zmienić oglądanie w domu na DVD liczącego ponad pięćdziesiąt lat filmu w wielkie wydarzenie.

Kupiono wino, zamówiono pizzę, zakupiono produkty do deseru: główną rolę wśród nich grał cydr.

W sklepach już sprzedawano ozdoby świąteczne i Diana w czwartek wróciła do domu obładowana srebrnymi „anielskimi włosami”.

Maisie, Pete i Thomas już wrócili do Londynu, ale Brodie nie czuła się tak bardzo zraniona, jak mogłaby się czuć, gdyby nie to, że naprawdę już bardzo czekała na ten „filmowy wieczór”.

Wybrała się na zakupy. Nie kupowała pościeli dla dziecka, jak planowała, ale poszła do Marksa i Spencera i nabyła bluzkę i spódnicę w jesiennych kolorach firmy Per Una. Mama kupiła w Irlandii parę kompletów strojów i planowała się ubrać w „królewską purpurę”.

- Och, jak cudownie być znów w domu - mówiła do Brodie pierwszego wieczoru po powrocie. - Znowu się czuję prawie młoda. W

Irlandii byłam stara jak świat! I dziękuję ci za kwiatki w moim mieszkaniu. Są piękne.

- Te kwiaty to był pomysł Diany - zwierzyła się matce Brodie.

Piątkowy ranek wstał jasny i chłodny. Colin zadzwonił przed wyjściem do szkoły, dowiedzieć się, jak żona się czuje.

- Zupełnie nieźle - zapewniła. - A ty?

- Chyba w porządku - odparł ponuro. - Jutro mam zamiar oddać z powrotem do sklepu to cholerne łóżeczko.

- Pójdę z tobą - zaproponowała. - Możemy iść razem coś zjeść.

- A co robisz dziś wieczorem?

Wyjaśniła mu, że planują oglądanie filmu. Spytał, czy on też może przyjść, ale poprosiła, żeby tego nie robił.

- Będą same kobiety. No, jeżeli przyjdiesz, będziesz musiał siedzieć w kuchni, a my cię potem nakarmimy tym, co zostanie. Albo możesz pójść do sąsiada na drinka. Mała Charlie wybiera się oglądać film razem z nami, bo jutro nie musi iść do szkoły, tyle że nie wolno jej będzie jeść deseru.

Odłożył słuchawkę, mówiąc, że przyjdzie później.

O piątej Brodie ozdobiła srebrnymi „anielskimi włosami” pokój Diany. Vanessa i Rachel szykowały się na górze. Mama przyjechała na rowerze z ogromną torbą babeczek.

Zadzwonił telefon w korytarzu. Odebrała Brodie.

To była najgorsza wiadomość w jej życiu.

Minie wiele czasu, nim będzie mogła znowu odbierać telefony bez uczucia okropnego lęku.

- Co się, u diabła, stało? - spytała jej matka po chwili, kiedy Brodie odłożyła słuchawkę niemal bez słowa. - Jesteś blada jak ściana!

- Co się stało...? - wyszeptwała Vanessa.

- To był Tinker - odparła Brodie. - Dianę przed wejściem do ośrodka potrącił samochód. Kierowca uderzył w nią i uciekł. -Rozplakała się. -

Diana nie żyje.

Rozdział 14

Na mszę żałobną za Dianę przyszło co najmniej pięćdziesiąt osób.

O jej śmierci napisano w „Liverpool Echo”, a także w gazetach lokalnych dzielnic Bootle i Crosby; zamieszczono też jej fotografię.

Przyszli nawet ci, co jej nie znali, a także sąsiedzi z Coral Street, którzy znali ją całe życie, ludzie z centrum informacji, gdzie kiedyś pracowała, i koleżanki ze szkoły. Przybył cały tłum ludzi z ośrodka dla uchodźców: większość z nich nie była w stanie uwierzyć, jak coś podobnego mogło się wydarzyć w cywilizowanym kraju.

Nie wszyscy przyszli do „Kasztanów” na przekąskę. Była tylko najbliższa rodzina Diany, Megan, Leonard Gosling, Tinker i Eileen, która, ogromnie zgnębiona wiadomością, uparła się, żeby natychmiast przyjechać z Londynu. Ona i matka Brodie nie przestawały płakać i wydawały się rywalizować między sobą o to, która z nich wypije więcej wina. Były też dwie czy trzy osoby, których Brodie nigdy dotąd nie spotkała. Colin przyszedł do kościoła, wzięwszy parę wolnych godzin w szkole. Następnie wrócił do pracy i pokazał się dopiero dużo później.

Bracia Diany stali obok siebie, trzymając się nawzajem za ramiona, ze spuszczoneymi głowami, złączeni wielkim żalem. Leo bezradnie stanął w ich pobliżu. W pewnym momencie chłopcy się rozłączyli i przyjęli go do swego grona.

- Biedny Leo - szepnęła Brodie na wspomnienie tego, co Diana mówiła parę dni temu: miała zamiar mu powiedzieć, że już go nie chce widywać. Przynajmniej to mu zostało oszczędzone.

Dlaczego ją zabili? Czemu Diana, która nie skrzywdziłaby muchy, która była jednym z najłodszych stworzeń na świecie, padła trupem pod kołami czarnej furgonetki, prowadzonej przez jakiegoś cudzoziemca?

- On to zrobił naumyślnie - mówił Tinker. To samo zresztą powiedział

policji. - Wychodziłem z ośrodka dosłownie w minutę po niej... Ta furgonetka umyślnie wjechała na chodnik i wpadła prosto na nią.

Zdołał zapisać numer. Policja już wiedziała, o kogo chodzi, ale nie chciała ujawniać szczegółów, zanim nie będzie mieć pewności.

Był kolejny piękny dzień, ogród grał bajeczną feerią kolorów złocistych drzew i opadłych liści.

Brodie nie była pewna, czy ten cud natury sprawia, że ów dzień jest mniej, czy jeszcze bardziej smutny. Cały czas po trosze miała nadzieję, że Diana zaraz wybiegnie z domu, w teatralnym kapeluszu z woalką w czarne kropki, jak gwiazda na własnym pogrzebie, obejmując ramionami wszystko i wszystkich w polu widzenia.

Goście wynieśli przekąski i napoje do ogrodu.

Michelle, matka Diany, była w zupełnej rozpacz. Minispódniczka ledwie zakrywała jej tyłek, a koronkowe rajstopy były w wielu miejscach pozaczepiane.

- Żadna kobieta nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej córki -szlochała. - Dziękuję, że zapłaciłaś za jej pogrzeb, Brodie; to było piękne z twojej strony. Gdybym to ja miała płacić, musiałabym po-

życzyć na to pieniądze... Nie jestem rozsądna jak ci, co się ubez-pieczają i kupują polisy i inne takie rzeczy.

- To nie ja zapłaciłam - sprostowała Brodie - tylko moja matka. Była bardzo przywiązana do Diany.

Megan pałała nieprzytomną wściekłością z powodu śmierci Diany.

- To nieuczciwie! - piekliła się. - Ci wszyscy starzy ludzie tam w Irlandii, po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, zresztą razem ze mną!

Dlaczego my żyjemy, skoro Diana umarła?

- Mamo, w życiu nie ma nic uczciwego. Nigdy nie było. Brodie była zadowolona, że matka jest już przy niej z powrotem: stęskniła się za nią bardziej, niż przypuszczała.

Diana leżała w białej trumnie, ubrana w białą suknię; paciorki krwistoczerwonego różańca spływały z jej długich palców. Brodie i Megan codziennie chodzą do domu pogrzebowego, modliły się i patrzyły na tę uroczą, spokojną twarz, na oczy, na zawsze już zamknięte. Płakały tak długo, aż lzy im odbierały oddech.

Vanessa też przyszła na pogrzeb. Miała na sobie jaskrawozieloną suknię. Żadna z nich nie włożyła żałoby: była odpowiednia wszędzie, ale nie na pogrzebie Diany!

- Wiecie, że jej nie lubiłam - wyznała Vanessa. - W każdym razie na początku. Pamiętam, jak mi przyniosła jakąś koszmarną świecą bluzkę z tego stoiska w ośrodku. Czułam się zobowiązana do włożenia jej wtedy wieczorem, kiedy oglądaliśmy *Przeminęło z wiatrem*.

- To był przecież ten wieczór, kiedy obcięłaś włosy - przypomniała jej Brodie.

- Diana mi je wtedy poprawiła. Ale nadal jej nie lubiłam. Wydawała mi się o wiele za apodyktyczna, jakby nam wszystkim chciała organizować życie.

- Ona... miała wielkie serce, największe na świecie - trzeźwo stwierdziła Brodie. - Wszystko, czego chciała, to pomagać ludziom, sprawiać, żeby byli szczęśliwi.

- Po jakimś czasie już sobie z tego zdawałam sprawę - przytaknęła Vanessa. - Pomyślałam nawet, że mogłybyśmy dzisiaj wieczorem wspólnie obejrzeć *Deszczową piosenkę*, ale to chyba pomysł bez sensu, co?

- Absolutnie bez sensu. - Brodie tak się skrzywiła, że jej twarz przypominała węzełek. - Zapłakałybyśmy się na śmierć. Nawet gdybym dożyła setki, nigdy już nie obejrzę tego filmu.

Przyszła Charlie, tuląc do siebie Kennetha: kocur spał w jej ramionach.

- On tęskni za Dianą - oznajmiła dziewczynka - tak samo jak ja. -

Pozwolono jej wrócić ze szkoły do domu w porze obiadowej na czuwanie przy zmarłej.

- Znacie tego mężczyznę, który rozmawiał z braćmi Diany? - spytała Vanessę Brodie.

Miał około pięćdziesięciu lat, był wysoki i chudy jak patyk; jego włosy siwiały na skroniach. Ogorzały i jakby trochę znużony, robił

wrażenie kogoś, kto dużo podróżował i teraz szuka miejsca do od-poczynku. Ubrany był nieoficjalnie, w dżinsy, szarą koszulkę i pod-niszczone sportowe buty.

- Nie mam pojęcia. Jak na starszego pana, wygląda całkiem, całkiem -

stwierdziła Vanessa, cmokając z aprobatą. - Twoja matka pewnie nazwałaby go „seksownym”. O, patrz, właśnie tu idzie! Zobaczę, czy ktoś może chce jeszcze herbaty albo kawy. Jego zostawiam tobie. -

Poklepała Charlie po główce. - Chodź ze mną. Pomożecie mi, ty i Kenneth.

- Cześć... - Oczy mężczyzny miały znajomy odcień błękitu i były otoczone siateczką zmarszczek, jakby za dużo przebywał na słońcu.

Wyciągnął rękę, którą Brodie potrząsnęła. Dłoń miał ciepłą i szorstką. -

Jestem Jim O'Sullivan, tata Diany. Przepraszam za mój strój, ale prawie wszystkie rzeczy zostawiłem. Nie warto mi ich było taszczyć do domu.

- Ojciec Di? - Brodie była zaskoczona. - Gdzie się pan podziewał

przez ten cały czas?

- Wszędzie, gdzie się dało - odparł takim tonem, że Brodie od razu pojęła, iż musiało mu w tym czasie nie być zbyt wesoło. - Domyślam się, że pani ma na imię Brodie i jest tu szefową.

- Mam na imię Brodie, tak, ale nie jestem żadną szefową.

Przypadkiem to akurat jest mój dom. - Nadal się trzymali za ręce.

Uścisnęła jego dłoń. - Tak mi przykro z powodu Diany - powiedziała żarliwie. - Była naprawdę cudowną osobą. Mieszkała tu z nami, wie pan, i wszystkie ją bardzo kochałyśmy. Ale co za okropność! Wrócił

pan akurat wtedy, kiedy zmarła.

- Mam kumpla w Bootle. Pisujemy do siebie od czasu do czasu, mniej więcej raz na rok. Udało mu się ze mną skontaktować, kiedy przeczytał w gazecie o śmierci Di.

- To musiał być dla pana straszny szok...

Wyobraziła sobie, że dostałby taką wiadomość, przebywając akurat w bardzo dalekim kraju!

Westchnął.

Brodie była ciekawa, ile też kilometrów musiał przebyć w ciągu ostatnich kilku dni, bo robił wrażenie strasznie zmęczonego.

- A zawsze miałem nadzieję, że pewnego dnia przyjadę na jej ślub...

- Była zaręczona, wie pan o tym? Tyle że chciała zerwać te zaręczyny... planowała to zrobić, ale ten wypadek...

- Tak, powiedziano mi, że była zaręczona... z tym młodym mężczyzną, co stoi razem z moimi chłopakami, z Leem... Nikt mi jednak nie mówił, że chciała zerwać.

Wygłądał na zaskoczonego. Mrugał zmęczonymi oczyma, tak jakby nawet zaskoczenie było dla niego wysiłkiem.

- Bo też chyba ja jedna o tym wiedziałam. A kiedy pan przyjechał do Liverpoolu? Jadł pan coś? To znaczy coś porządnego?

Trzymał w ręku talerz, pełen małych kanapek.

- Samolot z Amsterdamu wylądował dziś rano koło dziesiątej. Udało mi się zdążyć do kościoła tuż przed końcem mszy.

- To tam pan pracował? W Amsterdamie?

- O nie. W Ekwadorze. W takiej małej osadzie, o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od najbliższego lotniska. W Amsterdamie miałem przesiadkę.

- Uśmiechnął się. Był to łagodny, słodki uśmiech, bardzo podobny do uśmiechu Diany, tylko pozbawiony jej wigoru. -

Obawiam się, że nie bardzo umiem spać w samolotach.

- Może usiadłby pan w jakimś spokojnym miejscu i chwilę odpoczął?

- spytała. - Mogę panu zrobić zupę. Wtedy się pan na pewno lepiej poczuje. - Wzięła go za łokieć i poprowadziła do wnętrza domu, gdzie go posadziła w pustym gabinecie. - To co, może zjadłby pan zupę? -

powtórzyła. - Będzie co prawda z puszek, ale jednak bardziej pożywna niż to, co pan tu ma.

Ożywił się.

- Zupa... tak, to byłoby świetne.

- A jak już pan zje, może pan odpocząć w moim pokoju. Kiedy pan stąd wyjdzie, proszę wejść w drugie drzwi po lewej. Zajrzę do

pana koło czwartej i obudzę, gdyby pan spał. Nie opuści pan nic ważnego. Większość ludzi zostanie tu przez cały dzień.

- Bardzo pani dobra dla mnie.

- Ależ... przecież pan jest tatą Diany! Na pewno chciałaby, żebym się panem zaopiekowała. W podobnych okolicznościach ona zrobiłaby dla mnie to samo.

W miarę jak popołudnie mijało, atmosfera w ogrodzie zelżała, chociaż tylko trochę, jak to bywa podczas czuwania.

Osoba, która umarła, choćby była nie wiem jak kochana, odeszła już na zawsze, a ci, co zostali, muszą do tego przywyknąć. Poza tym powinni się cieszyć, że sami nadal żyją i mogą tego życia używać, nawet tacy, którym już go niewiele pozostało.

Brodie zauważyła, że Tinker już od dawna gdzieś zniknął.

Znalazła go w pokoju Diany, ciągle jeszcze ozdobionym srebrnymi „anielskimi włosami”.

Leżał na jej łóżku twarzą do poduszki, a oczy miał czerwone od płaczu. Ubrany był w wielobarwny zapinany sweter, ręcznie robiony na drutach.

- Kochałem ją... Ty o tym wiesz, Brodie - mówił łamiącym się głosem. - To była taka wspaniała dziewczyna. Jej mózg nie przestawał pracować ani na moment, ciągle miała coraz to nowe pomysły. -

Pociągnął nosem, ale po chwili omal się nie roześmiał. -Bywało, że mnie doprowadzała do szału!

- Ona nas wszystkich doprowadzała do szału. Na pewno zauważyłeś te koszarne ściany i kafelki w kuchni? Te kolory: musztardowy i pomidorowy, to właśnie wybór Diany.

Pomyśleć tylko: Brodie już się zupełnie do tych kolorów przyzwyczała i kompletnie jej nie przeszkadzały.

- Zawsze mi się ta kuchnia bardzo podobała - uśmiechnął się blado Tinker.

Tyler i Colin przyszli prosto do „Kasztanów”, każdy ze swojej szkoły.

Reggie Ormerod pojawił się po pracy. Brodie zobaczyła, jak

pociągnął Vanessę za drzewo. Domyśliła się, że się tam całowali.

Poczuła się ogromnie zadowolona, a przy tym trochę zazdrosna.

Przypomniała sobie, jaka była przejęta i podniecona, kiedy poznała Colina i oboje się w sobie zakochali.

Michelle pojechała z powrotem do Nottingham.

Zanim wyszła, spytała Brodie, czy wie, gdzie jest Jim, bo chciałaby mu powiedzieć „do widzenia”.

- Chyba gdzieś zniknął.

- Jest w moim pokoju i pewnie śpi. - Brodie zapomniała go obudzić, tak jak obiecała. - Chcesz, żebym mu powiedziała, że wychodzisz?

- Nie, dzięki, kotku. Niech zostanie tam, gdzie jest. Biedak, jechał tu parę dni. Ale wiem, że ma zostać kilka tygodni, więc się na pewno zobaczymy. - Skuliła ramiona i skrzywiła się. - Pewnie myślisz, że jestem głupia, że pozwoliłam odejść takiemu mężowi jak Jim, co?

- Wcale tak nie myślę. Prawie go nie znam. „Ani ciebie”, chciała dodać.

- To fantastyczny facet, prawdziwy brylant.

Brodie mętnie sobie przypomniała, że ktoś w podobny sposób określił

Dianę... Może to ona sama tak o niej mówiła?

- Ale go odstawiłam - ciągnęła Michelle. - Nie wiedziałam wtedy, z której strony mój chleb jest masłem posmarowany... Jim był w tamtych czasach w marynarce handlowej i zawsze mówił, że kiedy mnie zostawia, powinien mi zakładać ten... no... ten... pas cnoty.

Brodie mogła sobie tylko wyobrazić, do czego ta kobieta była zdolna.

Z czwórki dzieci O'Sullivanów jedynie Diana wykazywała podobieństwo do Jima.

Zbliżała się północ.

Brodie i Colin, Vanessa i Reggie oraz Jim O'Sullivan siedzieli w gabinecie przy owalnym stole, kończąc ten dzień dopijaniem resztek wina. Wszyscy, którzy nie mieszkali w „Kasztanach”, rozeszli się już do swoich domów, z wyjątkiem Charlie, która spała te-

raz w pokoju Vanessy, czekając, aż ojciec zabierze ją do domu.

Rachel i Poppy już od dawna spały. Brodie nie miała pojęcia, czy i Tyler nie poszedł spać razem z nimi.

Rozmowy oscyły od gazów cieplarnianych, poprzez wojnę w Iraku, poziom inflacji i system nauczania oraz służbę zdrowia, aż do -

oczywiście - Diany.

- Miała dziewięć lat, kiedy wyjechałem - mówił Jim z uśmiechem, który tak bardzo przypominał Brodie jego córkę. - Przysięgnę, że już wtedy miała bardziej dojrzałą głowę na karku niż moja żona kiedykolwiek. Diana potrafiła już spisać listę zakupów i pomagała chłopcom w pracy domowej.

- No, trochę to było nieodpowiedzialne tak odejść od rodziny, nie uważa pan? - mruknął Colin. - Zostawić żonę, która sobie nie potrafi z niczym dać rady, i czworo dzieci, z których najstarsze ma dziewięć lat!

To nie była jego pierwsza krytyczna uwaga. Najwyraźniej Jim mu się nie podobał. Nie był też szczególnie zadowolony, kiedy Brodie zaproponowała, że Jim może zamieszkać w pokoju Diany na cały czas swojego pobytu w Liverpoolu.

Poza tym Colin najwyraźniej nie miał zamiaru wracać do domu, zanim Jim nie pójdzie spać.

- Nie powiedziałem, że Michelle z niczym nie dawała sobie rady, ale rzeczywiście, przyznaję, że nie powinienem był wtedy wyjechać -

spokojnie oświadczył Jim. - Po prostu sprawy wyglądały w ten sposób, że to ja sobie nie potrafiłem z niczym poradzić. A te siedem lat temu...

Cóż, gdybym wiedział, że Michelle opuściła dzieci, żeby zamieszkać osobno, wróciłbym natychmiast.

Colin parsknął z dezaprobatą.

Brodie miała ochotę mu przypomnieć, że i on przecież właściwie opuścił własną córkę, kiedy najbardziej potrzebowała pomocy, ale dała spokój. Atmosfera i tak już była dostatecznie nieprzyjemna.

W końcu życzyła wszystkim dobrej nocy i poszła spać. Wkrótce usłyszała odjeżdżający samochód Colina i odgłos otwieranych przez Jima drzwi do pokoju córki.

- Dobranoc, Dianu... gdziekolwiek teraz jesteś - wyszeptała, przykładając głowę do poduszki.
- Cieszę się, że ten dzień już się skończył - mówiła Vanessa, kiedy zostali sami z Reggie.
- Lubilem Dianę. - Reggie objął Vanessę i pocałował w ucho. - Mimo że miała beznadziejny gust w ubieraniu się.
- To pierwszy raz w moim życiu, kiedy umiera ktoś z tego pokolenia, co ja; to znaczy ktoś znajomy.

Było jej przyjemnie, że ją całował w ucho, że czuła jego ramiona.

Lubiła też cytrynowy zapach wody po goleniu, której używał.

- Przydziesz do mnie dzisiaj w nocy? - wyszeptał.

- Tak...

Spała w sąsiednim domu już przez ostatnie pięć nocy. Jak dotąd, Brodie chyba niczego nie dostrzegła (nie mówiąc o tym, że to nie była bynajmniej sprawa Brodie), ale Vanessa czuła się z tego powodu trochę niezręcznie.

- Twojej Charlie chyba nie przeszkadza, kiedy mnie widzi u was, co?

- Charlie się z tego cieszy, tak samo jak i ja.

Ujął jej głowę i odwrócił twarz w stronę swojej, po czym gorąco pocałował ją w usta.

Vanessa czytywała kiedyś o kobietach, które w takiej sytuacji omdlewały, ale wydawało jej się to zawsze strasznie głupie. A już nigdy nie sądziła, że coś takiego mogłoby się przytrafić jej samej.

Teraz przytrafiało się za każdym razem. Aż jęknęła, kiedy przerwali, by złapać oddech.

- Ojej! - wysapała.

- Powiedz to jeszcze raz! - Reggie czule pogłodził jej policzek. - Czy to odpowiedni moment, by cię zapytać, czy rozważysz przeniesienie się w sąsiedztwo na stałe?

- Odpowiedni i nieodpowiedni - poważnie odparła Vanessa.

- Przeprowadzę się do ciebie, ale jeszcze nie wiem kiedy. Obiecałam Brodie, że będę tu mieszkała przez cały rok. Nie chcę się wyprowa-

dzać akurat teraz, kiedy biedaczka straciła Dianę. - Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła spędzić resztę życia z Reggie i Charlie Ormerodami, ale trzeba przecież myśleć też o innych. - Masz coś przeciwko temu?

- Mam tyle, ile można mieć. Ale cię rozumiem - dodał z uśmiechem. -

To kwestia kobiecej solidarności.

- Prawda?

Nigdy nie myślała o sobie jako o należącej do „grupy kobiet”.

- A czy tak nie jest?

- Podejrzewam, że tak...

W pewnym sensie czuła o wiele silniejszy związek z kobietami mieszkającymi w „Kasztanach” niż z własnymi, rodzonymi siostrami.

Przejechał jakiś pociąg: jego odgłos było wyraźnie słychać w ciszy, która teraz zaległa w całym domu. Na górze Poppy lekko krzyknęła przez sen. Na dole Jim O'Sullivan zakaszłał. Vanessa słyszała własny oddech.

- Idziemy? - cichutko spytał Reggie. Vanessa skinęła głową.

- Muszę zabrać z pokoju trochę rzeczy.

- Ja też muszę zabrać z pokoju... swoją córkę.

Kiedy Brodie się obudziła, było jeszcze bardzo wcześnie. Słyszała tylko śpiew ptaków w ogrodzie. Czuła się, jakby spadł na nią jakiś wielki ciężar: wiedziała, że stało się coś bardzo złego. Dopiero wtedy sobie przypomniała, że Diana nie żyje.

Usiadła. Marzyła w tej chwili, żeby mieć taką maszynkę, która parzy herbatę za naciśnięciem guzika.

Po raz pierwszy od miesiący zmarła w łóżku: musi zmienić koldrę na grubszą. Koldra Maisie leżała schowana w szafie, bo Colin wyniósł jej łóżko

z powrotem na górę.

To jej przypomniało, że Maisie nie przysłała nawet kwiatów na pogrzeb, mimo że Diana była naprawdę wyjątkowo szczodra i pomocna podczas pobytu jej córki w „Kasztanach”. Tego dnia, kiedy urodził się mały Thomas, Diana w przerwie obiadowej pobiegła do miasta i kupiła w prezencie pół tuzina maleńkich koszulek.

Brodie była też ciekawa, co się stało z tą uroczą sukienką do chrztu, którą Diana przyniosła z ośrodka dla uchodźców. Czy w ogóle ochrztili Thomasa? Gdyby tak było, Maisie z pewnością zaprosiłaby rodziców!

O Boże, chyba nigdy się nie przyzwyczai do tego, że jej córka tak bardzo się zmieniła. Zupełnie jakby ta słodka mała dziewczynka, którą знаła dawniej, w ogóle przestała istnieć. Coś się z nią stało? Może powodem był fakt, że tak długo brała narkotyki? W każdym razie jej serce stwardniało. Potrzebowała matki wtedy, kiedy rodził się Thomas, ale być może tylko dlatego, że nie było wtedy przy niej Pete'a.

Musisz się po prostu do tego przyzwyczaić - przekonywała samą siebie Brodie. - Nie wolno ci się z tego powodu zamartwiać przez resztę życia!

Zabawne, że Josh, który Diany właściwie prawie nie znał, przysłał

piękny bukiet chryzantem związanych jasnozieloną wstążką. „Dla dziewczyny z gwiazdami w oczach”, napisał na bileciku.

- Wiem, że się spotkaliśmy tylko dwa razy - zwierzył się Brodie, kiedy zadzwoniła, by mu powiedzieć o śmierci Diany. - Ale prawdę mówiąc, mamo, naprawdę się w niej zakochałem. Teraz żałuję, że nie poprosiłem jej o spotkanie... Co prawda przypuszczam, że nic by z tego nie wyszło: ona w Liverpoolu, a ja w Londynie.

Ale takie rzeczy się przecież zdarzają, pomyślała Brodie. Zdarzało się, że zakochiwały się w sobie osoby mieszkające nawet w dwóch przeciwnych stronach świata!

Teraz przez chwilę zabawiła się nawet uroczym pomysłem, że Diana jest jej synową... aż zmarła tak, że już dłużej nie mogła wytrzymać w łóżku. Wskoczyła z niego, złapała drugą kołdrę i biegiem wpadła z powrotem do łóżka, otulając się obiema kołdrami.

- Ooo, tak jest lepiej... - zamruczała.

Już wkrótce będzie musiała zabrać z domu ciepłe nocne koszule i flanelowy szlafrok...

Kiedy była dzieckiem i mieszkała w „Kasztanach”, pamięta, że w domu zimą było okropnie chłodno: centralne ogrzewanie absolutnie nie wystarczało. Od tamtych zimnych, zamierzchłych dni przywykła do mieszkania w dużo cieplejszej atmosferze.

A w ogóle... czy naprawdę chciałaby tu zostać aż do marca przyszłego roku? Nie miała zamiaru wynajmować nikomu pokoju Diany ani też szukać jakiegokolwiek pracy. Gdyby potrzebowała pieniędzy, może je zawsze pożyczyć od matki. A w ostateczności pójdzie na kurs, zdobędzie pewne umiejętności, zacznie karierę zawodową, najchętniej w dziedzinie medycznej...

Zesztywniała, słysząc, że frontowe drzwi się otworzyły i ktoś bardzo delikatnie wszedł na górę. Drzwi od pokoju Vanessy otworzyły się, potem zamknęły.

Pewnie spędziła tę noc z Reggie. Brodie pociągnęła nosem.

Szczęściara!

Jeżeli się zaraz nie napije herbaty, lada chwila umrze.

Znowu wstała z łóżka, wsunęła stopy w sandały, a na cienką nocną koszulę nałożyła pikowany żakiet. W kuchni, kiedy wlewała wodę do czajnika, trzęsła się gwałtownie. W nocy temperatura spadła co najmniej o jakieś sto stopni. Myśl o prysznicu była wręcz nie do zniesienia. Starła się sobie przypomnieć, jak się tutaj włącza centralne, ale nie mogła. Postanowiła, że później zadzwoni do matki, ona na pewno będzie wiedziała.

Już miała wracać z herbatą do siebie, kiedy drzwi do pokoju Diany się otworzyły. Tak ją to przeraziło, że omal nie upuściła filiżanki.

Jim O'Sullivan wyglądał dziś na zdecydowanie bardziej rozbudzonego niż poprzedniego dnia.

Zupełnie zapomniała, że go zaprosiła, by tu został na noc.

- Wybacz - powiedział przepaszająco. - Wystraszyłem cię. A starałem się być tak cicho, jak tylko można. Miałem nadzieję, że ci nie przeszkodzi, jeżeli zrobię sobie coś do picia.

- Jasne, że nie. Ja ci zrobię. Chcesz kawy czy herbaty?

- Kawy, proszę. Bez mleka i cukru.

- Wypałeś się?

- Mimo wszystko spałem jak kamień, tyle że moją pierwszą myślą po obudzeniu była Diana...

Uśmiechnął się tym swoim smutnym, słodkim uśmiechem.

Zauważyła, że jest nieogolony: na jego brodzie srebrzył się zarost.

Usta miał szerokie i dość pełne, podobnie jak jego córka.

Brodie pomyślała, że chyba zwariowała: wyobraziła sobie w tym momencie, że je całuje!

Jak większość kobiet, miewała od czasu do czasu erotyczne fantazje, ale zwykle koncentrowały się one na postaciach, które pochodziły jakby z innej planety: to bywał na przykład George Clooney albo Antonio Banderas, ale nigdy mężczyzna z krwi i kości, tym bardziej będący w zasięgu ręki!

Przełknęła ślinę.

- Muszę przyznać, że i ja myślałam o Dianie, kiedy się tylko obudziłam.

Gdy kawa już była zrobiona, Brodie zaproponowała: - Może chciałbyś, żebyśmy ją wypili u mnie w pokoju? W gabinecie będzie za chłodno, poza tym krzesła są tam niewygodne.

Nie miała ochoty odsyłać go do jego pokoju, mimo że być może nawet by to wolał.

Wszedł za nią do pogrążonego w półmroku pokoju. Brodie rozsunęła zasłony.

- Siadaj.

Wskazała jedno z krzeseł przy małym, okrągłym stoliku.

- Macie tu wiewiórki! - zauważył, kiedy podszedł do okna z widokiem na ogród.

- Ale tylko dwie. W każdym razie tak mi się wydaje, że ciągle widzę tę samą parkę. Diana je uwielbiała. Kupowała im zawsze orzechy. -

Wiewiórki goniły się nawzajem po drzewach, w górę i w dół. - Czy tutaj ci dość ciepło? - spytała Brodie. Miał na sobie dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami. Miał też bose, opalone stopy.

- Nie czuję ani zimna, ani gorąca, chyba że są naprawdę skrajne.

Przepraszam za moje bose nogi. Chcesz, żebym włożył skarpetki?

- Och, na litość boską - parsknęła. - Widziałam już w życiu bose męskie stopy. Od dwudziestu trzech lat jestem zamężna.

- Z tym gościem, który był tu wczoraj wieczorem... z Colinem?

- Tak. - Uznała, że powinna mu wyjaśnić, dlaczego ze sobą rozmawiają, ale nie mieszkają w tym samym domu. - W tej chwili jesteśmy w separacji - wytłumaczyła.

- Aha. Ale on nie jest z tego zbyt zadowolony.

- Dlaczego tak sądzisz? Wzruszył ramionami.

- To oczywiste. Przede wszystkim nie jest w stanie spuścić z ciebie oczu.

- Och, to długa historia - westchnęła Brodie.

- W naszym wieku - powiedział z pewną goryczą - niemal wszyscy mamy do opowiedzenia jakąś długą historię... albo i dwie.

W najdalszym zakątku ogrodu pokazało się słońce.

Zjawił się Kenneth, wskoczył na stół i zabrał się do precyzyjnego mycia całego futerka. Wiewiórki skakały po gałęziach na szczytach drzew, liście opadały na ziemię. Na trawie widać było coś, co bardzo przypominało szron. Ptaki nadal śpiewały.

- Jak tu spokojnie i pięknie - zauważył Jim.

- Wszyscy tak uważają - przytaknęła Brodie.

Upiła łyk herbaty. W tym mężczyźnie także był jakiś spokój, taka...

szlachetna cisza. W jego obecności czuła się całkowicie odprężona.

Mogłaby tak siedzieć już zawsze, słuchając jego cichego głosu z odrobiną liverpoolskiego akcentu. Nie potrafiła go sobie wyobrazić w gniewie. Mógł się z czymś nie zgadzać, nawet dyskutować, ale bez zbytecznego angażowania się.

- Zjadłbyś śniadanie? - spytała.

- To wspaniałe, że mi proponujesz, ale nie powinnaś mnie karmić -

zaprotestował. - Kupię sobie jakiś chleb i coś jeszcze i zrobię grzanki.

Brodie aż huknęła, zdając sobie przy tym sprawę, że to zabrzmiało podobnie jak w wykonaniu jej matki.

- Och, nie bądź śmieszny! Jak mogłabym cię głodzić? Jesteś tąd

Diany. Mamy tu dość chleba, masło, dżem... Bekon i jajka są w lodówce, poza tym mnóstwo sera i innych rzeczy.

- Kanapka z serem mi wystarczy. Dziękuję, Brodie.

Na górze słyhać było teraz, że ktoś bierze prysznic. Brodie czuła, że powietrze zrobiło się trochę cieplejsze, tak że myśl o prysznicu już nie była aż tak bolesna. Ktoś inny zszedł na dół, do kuchni.

Wyjaśniła Jimowi:

- Vanessa mieszka na górze. Większość czasu spędza w ogrodzie, na malowaniu obrazów. Kiedy się tu sprowadziła, robiła wrażenie bardzo nieszczęśliwej, ale teraz się zaprzyjaźniła z Reggie, sąsiadem.

Naprawdę bardzo się z tego cieszę. - Kenneth na chwilę przerwał

mycie mordki i zgłodniałym wzrokiem patrzył na ptaszka, siedzącego na gałęzi dokładnie nad jego głową. - W drugim pokoju na górze mieszka Rachel - ciągnęła Brodie. - Ma dopiero piętnaście lat, ale już ma dziewięciomiesięczną córeczkę, Poppy. Tyler, ojciec Poppy, czasami też u nas mieszka. Chodzi jeszcze do szkoły. - Wstała i sięgnęła po jego pustą filiżankę. - Pomyślałam, że dopóki u nas mieszkasz, powinieneś poznać wszystkie swoje sąsiadki. Daj mi tę filiżankę, zrobię ci jeszcze kawy, no i tę twoją kanapkę z serem.

Mniej więcej koło dziewiątej przyszła jej matka.

Zdaje się obiecała Jimowi, że go zabierze do ośrodka dla uchodźców, by mógł zobaczyć, gdzie pracowała Diana. Potem mieli pójść na lunch do miasta.

- Bardzo przyjemny młody mężczyzna - zaopiniowała Megan. Brodie uniosła brwi.

- Jaki on tam młody!

Była bardzo niezadowolona, że matka zabiera jej Jima O'Sullivana.

- Kiedy skończysz osiemdziesiąt lat, cały świat będzie ci się wydawał

młody. Czy planujesz wyjechać i poznać swoją rodzinę w Irlandii? -

spytała matka, zaciekawiona.

- Może kiedyś, ale nie teraz. W tej chwili mam za dużo na głowie.

Niedługo będą musieli razem z Colinem pojechać do Londynu obejrzeć wnuka, nawet gdyby ich tam nikt nie zapraszał. Wątpliwe, czy Maisie choć przemknie przez myśl możliwość przywiezienia dziecka do Liverpoolu.

- Założę się, że jedną z tych rzeczy, które masz na głowie, to jak utrzymać ten dom w cieple przez zimę - rzekła matka. Dotknęła kaloryfera w korytarzu, który był oczywiście zimny jak lód. Brodie dobrze o tym wiedziała. - Zauważyłam już dziś rano, kiedy wstawałam, że się zrobiło naprawdę zimno, i natychmiast pomyślałam o tym domu.

Cholernie trudno go dogrzać. Prawdopodobnie trzeba by wymienić całe centralne ogrzewanie.

- To kosztowałoby fortunę, a skoro postanowiłam opróżnić cały dom w marcu i potem go sprzedać, wydaje się, że nie warto...

Matka trąciła ją żartobliwie.

- Zapłaciłabym za to, wiesz, że bym to zrobiła... ale masz rację, to się chyba nie opłaci. Kiedy wystawimy „Kasztany” na sprzedaż, każdy inwestor zburzy cały ten dom i postawi na tym miejscu blok z eleganckimi, kosztownymi mieszkaniami. Fortunę to wart jest ten teren, kochanie.

Brodie stała przy oknie, obserwując Vanessę, malującą w ogrodzie.

Odziana w gruby szary sweter i tweedową spódnicę, malowała jakieś wyjątkowo szerokie płótno: zamówienie Reggiego do domu. Minęło raptem parę tygodni od dnia, kiedy powiedziała o tym Brodie, ale w tym czasie Diana zginęła i cały świat stał się całkiem odmiennym miejscem. Pewnego dnia Vanessa na stałe przeniesie się w sąsiedztwo.

Mogłaby to zrobić nawet teraz, ale uważa za swój obowiązek mieszkać tutaj cały rok.

No, a czy Rachel nie powiedziała, że ojciec Tylera pragnie, żeby ona, Tyler i Poppy zamieszkali z nim i jego nową żoną? A kiedy się nie zgodzili - no, w każdym razie Rachel nie chciała - ojciec zaproponował, że zbuduje im dom obok swojego.

Jeżeli sprawy tak się potoczą, Brodie zostanie jedyną mieszkanką tego domu, a wtedy problem ogrzewania sam się rozwiąże. Może

przecież zamieszkać z powrotem z Colinem i „Kasztanom” w ogóle nie będzie potrzebne żadne ogrzewanie.

Czy jednak mieszkanie razem z Colinem to było to, czego chciała?

Przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z Dianą. Dziewczyna powiedziała jej wtedy, że nie ma dokąd pójść, że już nie jest nikomu potrzebna, że się czuje zbyt liczna.

Teraz Brodie czuła się tak samo. Dzieci doskonale sobie już radziły bez niej, a poza tym nie była pewna swoich uczuć do Colina - ani tego, co on czuje do niej.

Rozległo się szuranie pod drzwiami i Rachel zawołała: - Brodie, to ja! Możesz mi otworzyć?

- O Boże! Ona już sama chodzi! - krzyknęła Brodie, kiedy drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Rachel trzymająca za rączki Poppy, która stała całkiem pewnie na ubranych w białe skarpetki stopkach.

Brodie rzuciła się na kolana i wyciągnęła ręce do dziecka. Mała zrobiła kilka niepewnych kroczków, nadal trzymając matkę za ręce, i wpadła w ramiona starszej pani, głośno chichocząc.

- Ty moje maleństwo!

Brodie strasznie zachciało się płakać, chociaż nie miała pojęcia czemu.

- Dzisiaj pierwszy raz to zrobiła - z dumą opowiadała Rachel.

- Trzymałam ją za pasek i wtedy przeszła parę kroczków. Zaraz ją wyprowadzę, pokażę Vanessie.

- Lepiej najpierw włoż jej butki - poradziła Brodie. - Trawa jest jeszcze mokra.

- Przyniosę z góry.

- Popilnuję jej tymczasem.

Siadła na łóżku, trzymając na kolanach małe, ciepłe ciało i głaszcząc jedwabiste włoski. Wspominała, kiedy tak samo pieściła własne dzieci.

Rachel wróciła z parą małych niebieskich bucików i Poppy z zainteresowaniem przypatrywała się procesowi wkładania ich na jej nóżki.

- Jeszcze nigdy nie nosiła bucików - wytłumaczyła Rachel. Wszystko ma swój pierwszy raz, pomyślała Brodie.

Już niedługo Poppy zacznie chodzić sama, bez pomocy. Z czasem nauczy się jeździć na rowerze, potem pójdzie do szkoły... i tak dalej, i tak dalej, w końcu wyjdzie za mąż i będzie mieć własne dzieci. Jak też wtedy będzie się czuła Rachel?

- Och, daj spokój, ty głupia kobieto - skarciła głośno samą siebie, kiedy Rachel i Poppy już wyszły do ogrodu. - Przestań się tak rozklejać!

Patrzyła, jak Rachel prezentuje Vanessie biegłość w chodzeniu swojej córeczki. Vanessa z radosnym uśmiechem wzięła dziecko w ramiona.

Brodie pytała samą siebie, co najbardziej ze wszystkiego na świecie sprawiłoby jej przyjemność. Nie musiała się specjalnie zastanawiać: chciała, żeby Jim O'Sullivan już wrócił i żeby mogła z nim znowu porozmawiać.

Włożyła płaszcz, podjechała do supermarketu i kupiła wszystkie produkty potrzebne do przyrządzenia zapiekanki z kurczaka, a także dość jabłek, by zrobić szarlotkę; do tego pudełko gęstej śmietany.

Postanowiła, że przyrządzi dzisiaj dla niego prawdziwie smaczną kolację, którą zjedzą wspólnie w jej pokoju, tylko we dwoje.

Nie próbowała go uwodzić, nie, nic w tym rodzaju. To by nie było zgodne z jej charakterem.

W każdym razie nie sądziła, żeby tak było.

Jej plan spalił na panewce, bo matka przyprowadziła Jima z powrotem do „Kasztanów”, ale bynajmniej nie miała zamiaru wyjść.

Brodie nie wypadało poprosić, żeby już sobie poszła do domu. A koło piątej po południu pojawił się Colin - i Brodie też nie potrafiła namówić go do wyjścia, chociaż, gdyby znowu zachował się tak niegrzecznie jak wczoraj, naprawdę miałyby mu to za złe.

Zjedli kolację w gabinecie we czwórkę. Brodie dodatkowo przyrządziła jeszcze całą michę ryżu. Colin zachowywał się na szczęście

bardzo poprawnie i w rezultacie wszyscy spędzili naprawdę miłą wieczór, co prawda nie taki, jaki Brodie miała na myśli. Inna sprawa, że gdyby ktoś ją spytał, co dokładnie miała na myśli, pewnie by nie wiedziała.

Megan uruchomiła centralne ogrzewanie w jakiś tajemniczy sposób, włączając rozmaite urządzenia, na których Brodie nic a nic się nie rozumiała. Staroświeckie kaloryfery zrobiły się zaledwie letnie i wydawały dziwne bulgotania. Jim, który okazał się „złotą rączką”, zerknął na to wszystko i stwierdził, że system jest tak przestarzały, iż wątpliwe, by dało się go naprawić.

- Takich części już na pewno się nie dostanie - mówił. - Na twoim miejscu zaangażowałbym porządnego hydraulika. Zobacysz, co powie.

Porządny hydraulik powiedział, że prawdopodobnie rury są pozatykane.

- Potrzebne będą nowe. A co do bojlera, to ten jest moim zdaniem po prostu niebezpieczny. Poza tym pachnie, jakby był tam jakiś przeciek.

Jest już za stary na remontowanie, potrzebny pani nowy.

- A ile to by razem kosztowało, nowe rury i nowy bojler? - chciała wiedzieć Brodie.

- Do tego domu? O tej kubaturze? Na mój rozum tak gdzieś osiem-dziesięć patyków, a może i więcej. Chce pani, żebym przygotował dokładny kosztorys?

- Nie, dziękuję - słabym głosem podziękowała Brodie.

W niedzielę, w cztery dni po pogrzebie Diany, Jim wynajął samochód i pojechał do Nottingham, spotkać się z Michelle.

- Nie będę tam długo - mówił przed odjazdem. - Pójdziemy pewnie razem na obiad i pogadamy o starych czasach.

- To naprawdę pięknie z twojej strony - stwierdziła Brodie. Zdażył już jej powiedzieć, dlaczego się z Michelle rozwiedli, a także o tym, że wie na pewno, iż żaden z chłopców nie jest jego synem.

- Wszyscy mają ciemne włosy, a ja jasne - zwierzał się jej. - Poza tym ich oczy są ciemne, piwne, a moje niebieskie, no i jestem o parę centymetrów wyższy od każdego z nich. Zresztą nie są głupi i pewien jestem, że się domyślają prawdy. Ale Diana wychowała ich naprawdę wspaniale i nie mógłbym być z nich bardziej dumny, nawet gdyby byli moimi własnymi synami.

- Michelle nic na to nie mogła poradzić - powiedział tuż przed wyjazdem. - Chciała więcej od życia, niż mogłem jej dać. Wyobraź

sobie, że ja dotychczas nie wiem, o co jej właściwie chodziło. Pewnie o przyjemne spędzanie czasu. A może po prostu chce być szczęśliwa, ale nie wie, jak to osiągnąć? - Pokazał w uśmiechu białe zęby. - Jak my wszyscy zresztą.

Przez cały dzień, kiedy go nie było, Brodie siedziała jak na szpilkach.

Już się przyzwyczaiła do jego obecności w domu. Oglądała jakiś stary film w telewizji i aż podskoczyła, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

To była Vanessa: pytała, czy zjedzą razem kolację.

- Tyler zabrał Rachel i Poppy na spotkanie z jego ojcem i macochą. ..

a ja się czuję trochę samotna - wyjaśniła.

- A co z Reggie'em?

- Jest w pracy, ma jakąś dodatkową robotę. A Charlie jest na urodzinach jakiejś dziewczynki z jej szkoły. Mam w piecyku zapiekankę z wołowiny z cebulą: jest tego tyle, że wystarczy dla nas obu... No i mogę też upiec jeden czy dwa kartofle w mikrofalce.

- Brzmi obiecująco. - Brodie zupełnie dziś zapomniała o jedzeniu. - A może zjemy tutaj, w moim pokoju? Nakryję stolik. W gabinecie jest za zimno.

Wszędzie było teraz za zimno. Brodie kupiła kilka kaloryferków elektrycznych na olej do dużych pokoi, ale efekt, jaki dawały, był raczej mizerny.

- Właściwie - rzekła Vanessa, kiedy już zjadły i kończyły butelkę wina, o której Brodie też całkiem zapomniała - chciałam z tobą

coś omówić. - Odchrząknęła. - Zastanawiałam się, czy nie będziesz miała nic przeciw temu, że zamieszkać w sąsiedztwie, z Reggie'em.

Początkowo nie chciałam o tym nawet napomykać przed Bożym Narodzeniem: pamiętasz, że zaplanowałyśmy wspólny obiad świąteczny, na którym miało być co najmniej tuzin osób? Ale jakieś parę dni temu twoja matka wspomniała, że myślałaś o założeniu nowego centralnego i że to kosztuje fortunę. Nie chciałabym, żebyś to robiła tylko ze względu na mnie.

- No tak, myślałam o tym - przyznała Brodie - ale to wszystko.

Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Z kolei - ciągnęła Vanessa, nalewając wino do dwóch kieliszków, aż całkiem opróżniła butelkę - Rachel i Tyler pojechali zobaczyć dom, który ojciec Tylera chce im kupić. Nie godzi się, żeby tu dalej mieszkali. To taki dość gamoniowaty facet. Tyler trochę go przypomina, ale Rachel tego przecież nie widzi! W każdym razie istnieje duże ryzyko, że i oni się wkrótce wyprowadzą.

Brodie westchnęła.

- Diana nie żyje, lato się skończyło i wszyscy chcą stąd odchodzić. ..

- Nic nie trwa wiecznie, Brodie - powiedziała trzeźwo Vanessa. - Ten dom bez Diany wydaje się ciemniejszy i o wiele za cichy. Jakby uszło z niego życie. Zostaniesz tutaj sama, czy weźmiesz nowych lokatorów?

- A ty, co zrobiłabyś na moim miejscu?

- Nie wiem dokładnie, co przez to rozumiesz, czy to się odnosi tylko do tego domu, czy do twojego życia, ale spróbuję... - Uścisnęła dłoń Brodie. - Na twoim miejscu sprzedałabym ten dom albo go komuś wynajęła, po czym wróciłabym do Colina i żyła z nim szczęśliwie do końca życia.

Brodie wydała głębokie westchnienie.

- Rozumiem...

Nie była pewna, czy właśnie takiej rady pragnęła, ale to „szczęśliwie do końca życia” zabrzmiało całkiem zachęcająco.

- Och, popatrz! - zawołała nagle. - Za oknem siedzi Kenneth!

- Zerwała się na równe nogi i otworzyła okno. - Kici, kici... chodź tutaj.

- Zatarła ręce.

Kenneth wkroczył dumnie do mieszkania, prężąc wysoko uniesiony ogon. Wszedł ostrożnie do pokoju i obszedł wszystkie meble, węsząc nieufnie, wreszcie lekko wskoczył na łóżko i natychmiast zasnął.

Vanessa się odezwała:

- Charlie przysięga, że on tęskni za Dianą. Zastanawiałam się już, czy nie mógłby przejść do domu obok i zamieszkać razem z nami, ale parę dni temu widziałam, jak się myje, siedząc na oknie tego pierwszego domu od ulicy. Robił wrażenie bardzo zadowolonego.

Zostawienie tu Kennetha byłoby bolesnym rozstaniem, pomyślała Brodie. Odegrał swoją rolę tego pięknego lata, które się tak nagle i tak brzydko zakończyło.

Zabrała się do zbierania naczyń ze stołu.

- Czy chciałabyś, żebym ci pomogła w przeprowadzce w sąsiedztwo?

- Ależ ja nawet nie marzę o tym, żeby już odchodzić! - zaprotestowała Vanessa. - Zostanę tak długo, aż ty będziesz gotowa się przenieść, albo do końca roku.

- Strasznie to miło z twojej strony, Vanesso. - Brodie się szczerze wzruszyła. - Ale naprawdę nie musisz.

- Wolałabym jednak zostać - Vanessa była zakłopotana. -W końcu jesteśmy przyjaciółkami, prawda? A właśnie po to ma się przyjaciół!

Kiedy naczynia były już pozmywane i Vanessa poszła do siebie na górę, Brodie zrobiła to, co robiła zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiała: zadzwoniła do Colina.

- Właśnie się do ciebie wybierałem - powiedział na dźwięk jej głosu.

- Masz jakąś konkretną sprawę? - spytała.

- Wystarczająco konkretną: chcę cię zobaczyć. W czym mógłbym ci pomóc, kochanie?

Opowiedziała mu o problemie z centralnym.

- Hydraulik twierdzi, że założenie zupełnie nowej instalacji będzie kosztowało od ośmiu do dziesięciu tysięcy funtów (powiedział co prawda „patyków”, a takie określenie Brodie pierwszy raz w życiu słyszała).

Colin aż jęknął.

- Chryste Panie! Ale... przecież masz lokatorki, Brodie, w tym małe dziecko. Nie możesz oczekiwać, że zechcą mieszkać w domu zimnym jak lód. Musisz coś zrobić, nawet powstawić jakieś kaloryfery do ich pokoi.

- Kupiłam już kilka elektrycznych grzejników, ale są beznadziejne.

Właśnie się zastanawiałam, co zrobić, kiedy przyszła Vanessa i powiedziała, że planuje przeprowadzkę i że Rachel też się wyprowadzi w najbliższym czasie.

Nastąpiła chwila ciszy, jakby Colin się zastanawiał.

- Mam nadzieję, że nie myślisz o mieszkaniu samotnie w tym wielkim domu - powiedział wreszcie.

- Och, nie wiem. Już nic nie wiedziała. Kolejna pauza.

- Jeżeli chcesz - zaczął powoli Colin - to znaczy, jeżeli naprawdę z całej duszy pragniesz tam zostać, to możemy sprzedać nasz dom, spłacić hipotekę, a za to, co zostanie, całkowicie zmodernizować „Kasztany”.

W tym momencie Brodie rozumiała, że ten człowiek ją naprawdę kocha.

Pomyśleć, że mógłby sprzedać ich miły, kwadratowy domek w Crosby, z takimi sympatycznymi, ustawnymi pokojami, z ogrodem, który był jego radością i dumą, z czystym garażem, gdzie teraz trzyma tego starego triumpha, którego stopniowo doprowadza do dawnej świetności!

Chciał rzucić to wszystko dla niej, dla Brodie, swojej żony!

Mogłaby wrócić do tego miłego, kwadratowego domku i „żyć szczęśliwie do końca życia”, jak to sugerowała Vanessa, ale jeszcze ciągle nie była

pewna, czy to jest właśnie to, czego chce.

Do Jima przyszła para policjantów.

Rozmawiali w gabinecie niemal godzinę. Brodie podała im herbatę i przeprosiła, że jest tak zimno. Podziękowali z powagą.

- Dowiedziałem się, że w tym ośrodku dla uchodźców parę miesięcy temu zdarzył się wypadek - zwrócił się do niej Jim, kiedy policjant i policjantka już wyszli. - Jakichś dwóch cudzoziemskich bandziorów przybiegło tam w pogoni za paroma dziewczynami.

- To prawda. - Brodie dobrze to wszystko zapamiętała. - Diana chlusnęła herbatą w twarz jednemu z tych mężczyzn.

- Policja twierdzi, że czarna furgonetka, która przejechała Dianę, to ta sama, którą ci dranie uciekli. Spodziewają się ich lada chwila zaaresztować. - Był gniewny i zdziwiony. - Wygląda na to, że naszą Dianę zabił ktoś po prostu z zemsty.

Następnego dnia rano Brodie zadzwoniła do agenta nieruchomości, który obiecał przyjść, obejrzeć wszystko i następnie przygotować wycenę całości, o ile dostanie adres. Brodie jednak poprosiła, by nie przychodził przed drugą; wiedziała, że wtedy Vanessa i Rachel pójdą z małą Poppy do kliniki.

W pokoju Diany Jim przeglądał rzeczy córki. Jej ubrania Tinker zabrał do ośrodka dla uchodźców, a resztę rzeczy Jim chciał zawieźć do jej matki, do Nottingham.

- Ona się naprawdę ucieszy z tego małego telewizorka i tych wszystkich płyt DVD i CD - mówił. - A czy jest coś, co ty byś chciała, Brodie, jako pamiątkę po Dianie?

- Nie potrzebuję żadnych pamiątek. Nigdy nie zapomnę Diany.

Brodie była pewna, że wspomnienie jego cudownej, łagodnej córki na zawsze pozostanie w jej sercu.

Wkrótce po tej rozmowie Brodie robiła akurat porządki w kuchni, kiedy wszedł Jim, niosąc jakąś plastikową torebkę.

- Znalazłem to na dnie jej szafy - powiedział. - To najwyraźniej prezenty gwiazdkowe. Jest jakaś mała, biała sukienka haftowana w maki, jakiś szal robiony na drutach z kawałków - i to.

Wręczył jej małe tekturowe pudełeczko, w którym była broszka, złożona z białych i złotych kwiatków z emalii, tworzących literę B.

- To mogło być tylko dla ciebie, Brodie.

- Wybierasz się z powrotem do Ekwadoru? - spytała później, kiedy już zrobiła dla nich kawę. Pili ją u niej w pokoju. Miał wyjechać za tydzień czy coś w tym rodzaju.

- Mam już dosyć Ameryki Południowej. - Nie sprawiał wrażenia, jakby się nad tym zbytnio zastanawiał. - Myślę, że tym razem pojedę na Bliski Wschód. Już kawał czasu, jak robiłem na platformie wiertniczej.

W Ekwadorze ciężko pracował na roli, w Australii był kierowcą autobusu, w Kanadzie remontował samochody...

- Och, ale teraz na Bliski Wschód? Tam jest bardzo niebezpiecznie! -

zawołała Brodie, wystraszona.

- Nie wszędzie. - W jego głosie zabrzmiała nuta beznadziei.

- A czemu się nie osiedlisz gdzieś tutaj, w kraju? - zaproponowała łagodnie.

- Jeszcze nie jestem gotów, żeby się „osiedlać”.

- Co się z tobą porobiło? - Czowała bolesny smutek. - Powinieneś się ożenić i mieć więcej dzieci.

- Myślisz, że powinienem? - Jego wargi wygięły się lekko w uśmiechu.

- Nie mogę znieść myśli, że będziesz nieszczęśliwy!

Nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś takiego. Niemniej to była prawda.

- Dziękuję ci, Brodie - powiedział poważnie. - Zapamiętam to na zawsze.

Gdyby jej wtedy dotknął, na pewno z radością by zareagowała.

Drżała, głos miała stłumiony z przejęcia i lęku na myśl o kochaniu się z mężczyzną innym niż jej mąż.

Ale Jim tylko się uśmiechnął i wrócił do pokoju Diany, mówiąc, że musi napisać jakiś list.

Brodie się odprężyła. Wpatrywała się w ogród, tym razem pusty.

Czy rzeczywiście miał list do napisania, czy też w jakiś sposób wyczuł to, co ona, i w ten sposób uciekł?

Kiedy odzyskała wreszcie równowagę, była zadowolona z tego, co zrobiła. Gdyby zdradziła Colina, znenawidziłaby siebie na resztę życia.

To mniej więcej ustaliło wszystkie sprawy.

W każdym razie teraz już wiedziała, na czym stoi.

To się wydarzyło całkiem nagle.

Pewna firma skupująca nieruchomości zaproponowała, że kupi dom za sumę, która wywołała u Brodie zawrót głowy.

Potem Rachel jej powiedziała, że ojciec Tylera już kupuje dla nich dom.

- Ta macocha Tylera jest naprawdę miła, chociaż Tyler się zarzeka, że jej nie lubi. Ma dopiero trzydzieści lat, ale nie może mieć dzieci. Ja po Bożym Narodzeniu wracam do szkoły, a ona się zajmie małą Poppy.

Właściwie to się na to cieszę... to znaczy, na szkołę. Zawsze chciałam być nauczycielką. Kiedy już nią na dobre zostanę, Poppy też już będzie w szkole!

- A kiedy chcecie się przeprowadzić? - spytała Brodie.

- Cóż... właściwie to mają już dla nas gotowy pokój u siebie, bo ten nasz dom to się kupi za jakieś parę tygodni. Myślę, że tak... za parę dni.

- Widać było, że jest zakłopotana. - Chyba się nie pogniewasz... ale...

ostatnio tu jest strasznie zimno, nawet kiedy kaloryfer działa na całego.

Teraz śpię razem z Poppy, bo boję się, żeby nie zmarła.

- O Boże! - Brodie z trudem przełknęła ślinę.

Cóż z niej za beznadziejna gospodyni. Pewnie nieświadomie próbowała wszystkich przepędzić z domu!

- Strasznie mi będzie tęskno za tobą i Poppy.

- I nam za tobą... i za tym cudownym ogrodem.

Z pomocą Brodie i Charlie Vanessa zaczęła się stopniowo przeprowadzać do domu Reggiego.

Colin teraz już był pewien, że Brodie wróci do domu w Crosby i pytał, czy może już zacząć przewozić jej rzeczy.

- Jeszcze nie - protestowała Brodie, chociaż nie miała pojęcia dlaczego.

Czuła się niespokojna i niezadowolona... tyle że w tym wypadku знаła przyczynę.

- Chyba nie masz zamiaru zmieniać zdania? Zawsze mówiłaś, że chciałabyś dać Joshowi i Maisie kupę pieniędzy, kiedy sprzedasz „Kasztany”. Chyba nie cofniesz swojego słowa?

- Nie mówiłam tego im, prawda? - parsknęła. - Za kogo ty mnie masz?

Tych pieniędzy było tyle, że starczyłoby i na osobne mieszkanie dla niej, a Colin mógłby sobie iść i się powiesić... Ale czy to nie było z jej strony nierozsądne - zakładać, że mąż, który ją kocha, nigdy nie będzie robił żadnych głupich uwag?

- Przepraszam - rzekł Colin pokornie. - Czasami najpierw mówię, a dopiero potem myślę. Ale to tylko dlatego, że się boję ciebie stracić.

- Nie bój się, nie stracisz mnie - westchnęła Brodie.

Rachel i Poppy już się wyprowadziły, obiecując, że wszyscy razem spotkają się w Boże Narodzenie, także rodzina Brodie i Vanessa. To ona miała przygotować świąteczny obiad.

- Będę chyba musiała pójść na przyspieszony kurs gotowania - mówiła. - Nigdy jeszcze nie szykowałam bożonarodzeniowego obiadu.

W wietrzny poniedziałek, w ostatnim dniu października, Vanessa przeniosła resztę swoich manatków do domu Reggiego i wsunęła głowę do pokoju Brodie, żeby się pożegnać.

- No, więc znikam - zaanonsowała.

Brodie siedziała na łóżku, czując się kompletnie zagubiona. Patrzyła, jak z drzew spadają, jak śnieg, ostatnie liście.

- Poszukasz jakiejś pracy, kiedy się już tam urządzisz? - spytała.

Vanessa lekko się zarumieniła.

- Właściwie już mam pracę. Jestem malarką, ale teraz mam zamiar zostać też panią domu, zajmować się Reggie i Charlie... I będę się bardzo starała mieć dziecko, a nawet kilkoro dzieci.

- Zazdroszczę ci - mówiła Brodie, zadumana. - No, ja już byłam panią domu i miałam dzieci. Teraz chcę się zająć jakąś pracą.

- Życzę ci szczęścia, Brodie.

- I ja tobie, Vanesso.

Ledwie Vanessa wyszła, pojawił się Jim, który robił tego dnia zakupy na Crosby Road.

Tego popołudnia miał jechać na lotnisko Heathrow i tam złapać połączenie nocnym lotem do Arabii Saudyjskiej.

Brodie wyszła mu naprzeciw, do holu.

- Wybacz - rzekł na jej widok. - Czekalaś, aż pojedę, i dopiero potem chciałaś sama stąd odjechać?

- Chyba musiałam...

Serce jej się ścisnęło na myśl, że mogą się już nigdy więcej nie zobaczyć, że dzisiaj widzą się może ostatni raz w życiu...

- Tylko wrzucę te rzeczy do torby. Kupiłem nową szczoteczkę do zębów i mydło... i inne takie tam...

Wszedł do pokoju Diany, gdzie na łóżku leżał jego plecak, już spakowany.

Brodie, stojąc w korytarzu, nerwowo tarła czoło.

- Nie chcę, żebyś odjeżdżał... - powiedziała, ale tylko cichutko, do siebie.

Wyszedł z sypialni córki z plecakiem zwisającym mu z prawego ramienia.

Samotny podróżnik, wędrujący po świecie... Nie chciał od życia niczego trwałego, niczego stałego... a już z pewnością nie chciał -jej.

Bardzo możliwe, że nie miał żadnych szczególnych ani dziwaczych myśli, takich, jakie ona miała na jego temat.

- Obiecałem być w kontakcie z chłopakami - oznajmił szorstko. -

Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała, możesz się ze mną kontaktować przez nich.

- Naturalnie - odparła Brodie. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek to zrobi. Ścisnęła ją za ramiona.

- Cześć, dziewczyno - powiedział i uśmiechnął się serdecznie. Podał

jej rękę i równocześnie pocałował w policzek.

- Cześć, Jim.

Ostatni raz spojrzała w jego błękitne oczy. Potem się cofnęła.

Odwróciła się dopiero na dźwięk zamykanych drzwi. Odszedł.

Stuknięcie drzwi odbiło się echem w całym domu, po czym wszystko ucichło.

Dom zdawał się teraz tykać jak jakiś gigantyczny zegar ścienny.

Brodie podniosła torbę z resztą swoich rzeczy i policzyła do stu. Nie chciała, wychodząc, zobaczyć Jima, choćby daleko na horyzoncie.

Otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz i stała, mrużąc oczy, z uczuciem, że w tej chwili wydostała się z jakiegoś głębokiego snu i że wszystkie te dziwne uczucia, które nią ostatnio targaly, rozwiały się.

Patrzyła w intensywnie błękitne niebo i szybko płynące po nim chmurki i nagle się roześmiała - pierwszy raz od bardzo dawna.

W tej chwili jej umysł był już całkiem czysty.

Wiatr uwolnił gałąź dzikiego wina, która trzepnęła ją po twarzy. Już miała zatknąć gałązkę z powrotem za kratki przybite do muru, kiedy nagle się zatrzymała.

Coś łagodnie świeciło przez ciemną zieleń liści. Odsunęła je ostrożnie, żeby się nie skaleczyć, i odkryła wśród gąszczu listowia -różę.

Była pysznie kremowa, w pełni rozwinięta - całkowicie doskonała.

Jej płatki wyglądały jak zrobione z aksamitu.

- Och! - aż krzyknęła. Z jakiegoś powodu przyszła jej na myśl Diana.

Czuła pokusę, żeby zerwać ten kwiat, ale wtedy mógłby przetrwać jeszcze najwyżej parę dni. Zostawiony sam sobie, umrze w naturalny sposób - tak jak Dianie nie było dane umrzeć.

Brodie dotknęła palcem kwiatu: poczuła zaskakujący chłód.

Ostatnia róża tego lata.

Wyprostowała się. Teraz była gotowa do powrotu do domu, do Colina.

Już nie mogła dłużej czekać.